

Ann Maxwell

*Diaamentowy
tygrys*

Prolog

Lepiej, żeby Abe Windsor nie żył, bo inaczej sam go zabij. Ta myślnica Jasona Streeta była jednocześnie obietnicą i modlitwą. Od czasu, kiedy dziesięć godzin temu zadzwonił jego szpieg ze stacji Szalonego Abe'a w Australii Zachodniej, Street nie pierwszy raz powtarzał to zdanie w myślach. Zrobił wszystko, żeby jak najszybciej dostać się na pole on na pustkowiu farm i do kopalni boksytu. Najpierw cztery godziny leciał samolotem czarterowym z Perth, a potem przez ciężkie wiatry w nieskończoność czarne godziny siedział za kierownicą poobijanej terenowej Toyoty i próbował złamać karku po wyboistych drogach, mknął do jednego z najbezładniejszych zakątków kontynentu.

Jednak to nie szaleńcza szybkość jazdy podsycała w ciekło Streeta, ale strach, że ponad dziesięć lat cierpliwego wyczekiwania i sprytnych wybiegów poszło na marne, zniweczone przez pijacki wybryk starego wariata.

Krzyk "Południa bladej na niebie" z wolna wchłaniany przez krzykliwy ół promieni wschodzącego słońca. Na południowo-wschodnim krańcu wyspy Kimberley temperatura powietrza wynosiła ponad trzydzieści stopni Celsjusza. Upał narastał, w miarę jak wstawał dzień. Gwałtowny strumień wiatła wydobyl z mroku trawy spinifeksu i karłowate akacje, czerwony pył i z rzadka rozrzucone skrawki kamienistego gruntu. Nad tym wszystkim wisiało niezmienne słońce, jedyny prawdziwy mieszkaniec Australii Zachodniej.

Kamienie z hukiem przypominającym strzały z pistoletu odbijały się od podwozia przedniego samochodu. Kołyszając się na boki, lizgając i podskakując na nierównościach, Toyota przemierzała z wysiłkiem szlak, który wyraźnie rysował się w pamięci kierowcy na terenie. Street nie miał wątpliwości co do kierunku jazdy. Od dziesięciu lat przemierzał drogę do stacji Abe'a tam i z powrotem, próbując natarczymi pytaniami,

gro b i podst pem wydoby ze starego tajemnic . Teraz był pewien tylko jednego: je li wci mo na było zdoby sekret Abe'a, to jemu si to uda, zanim Krzy Południa znów wzejdzie nad Australi .

Toyota w tumanie kurzu pokonała szczyt niewielkiego wzniesienia. Przed Streetem ukazało si n dzne gospodarstwo Abe'a. Nale ce do starego budynku rozrzucone były na obszarze kilku hektarów płaskiej, jałowej ziemi jak szcz tki rozbitego statku. Stał tam wal cy si dom, pokryty blaszanym dachem, kilka wypalonych przez sło ce zabudowa gospodarczych, ci gniki zniszczone przez rdz i niewła ciwe u ytkowanie, zdezelowany sprz t wydobywczy, porzucone ci arówki z nap dem na cztery koła i pochodz cej z czasów drugiej wojny wiatowej wrak Dakoty RAAF-u, która rozbiła si w pobli u farmy kilka dni przed ko cem wojny.

Nagle błyszcz cy, hała liwy i bardzo nowoczesny helikopter wyskoczył na niebo zza blaszanego dachu domu. Street z całej siły nadepn ł na hamulec i Toyota zatrzymała si z dygotem. Usiłował dostrzec znaki identyfikacyjne, kiedy helikopter zakr cił i przeleciał nad jego głow . Spodziewał si zobaczyć herb policji stanowej Australii Zachodniej, symbol Australijskich, Sił Obronnych albo logo Powietrznej Słu by Medycznej.

Tymczasem obłe boki helikoptera były gładkie i anonimowe jak skorupka jaja. Jego wła ciele, tak samo jak Street, nie chcieli ujawnia swojej obecno ci na stacji Abe'a Windsora. W ciekły i pełen obaw uderzył pi ci w kierownic . Potem wrzucił bieg i ruszył w dół wzniesienia.

Kiedy samochód z po lizgiem zatrzymał si w czerwonym pyle przed domem Abe'a, Street wyskoczył zza kierownicy i padł na ziemi , trzymaj c w r ku półautomatyczny pistolet. Z precyzj komandosa wybiegł zza osłony samochodu i skrył si za jak zardzewiał maszyn , a potem schronił si za rogiem domu. Zaryzykował i szybko zajrzał przez brudne okno do wn trza.

Du y pokój o wietlała lampa naftowa. Na rodku, na długim stole, le ał bosonogi trup, przykryty kawałkiem postrz pionego płótna. Jedyń poruszaj c si rzecz była zwykła w australijskim interiorze chmara much.

Kln c przez zaci ni te z by, Street zrezygnował z zachowania czujno ci i posłu ył si ci kim butem jak taranem. Górne zawiasy odpadły z futryny, zamek ust pił, drzwi zakotyłały si chwiejnie i stan ły otworem. Zastarzały odór mierci rozniósł si po rozgrzanym dziedzi cu. Street rozejrzał si po pokoju znad lufy pistoletu. Nie spostrzegł nikogo. Dusz c si odorem podszedł do stołu i odchylił róg płótna. Stado much poderwało si do lotu.

S dz c po stanie ciała, Abe Windsor nie ył ju od jakiego czasu. Wzi wszy pod uwag upał i wilgo , jakie zwykle panuj w pa dzierniku, kiedy zbli a si pora deszczowa, Street domy lił si , e stary zmarł co najmniej trzy dni temu, mo e troch wcze niej. Nie było jednak w tpiwo ci, e pod tym płótnem le y Abe Windsor. Gruba blizna na lewym nadgarstku lepiej oparła si niszczyielskim procesom ni mi kkie ciało wokół niej.

Street odwrócił si z okrzykiem obrzydzenia i rozejrzał si .

W tpił, czy pasa erowie helikoptera zostawili po sobie cokolwiek oprócz much. Z drugiej strony było mo liwe, e zaskoczył ich, zanim sko czyli przeszukiwa farm . Krzywi c si dotkn ł zwłok, odsun ł brudny podkoszulek i zacz ł szuka welwetowego woreczka, który zwykle wisiał na szyi Abe'a. Woreczek znikn ł. Street zerkn ł na półk z surowego drewna nad bujanym fotelem Windsora. Starego blaszanego pudełka równie nie było.

- Ty stukni ty staruchu, poszedłe sobie na ostatni spacer po buszu, co? -wymamrotał. -Jak zwykle zabrałe ze sob to pudełko, co? Mo e twój sekret umarł razem z tob ? I kto jeszcze, do cholery, ci obserwowwał?

Odpowiedział mu tylko ohydny grymas mierci. Przez chwil Street miał wra enie, e starzec jeszcze yje i nadal si z

niego na miewa.

- Od początku wiedziały, o co mi chodzi, prawda? Chryste, uwielbiały się ze mną drażnić! Do diabła z tobą, stary. Ty umarłeś, a ja żyję.

Za kuchennymi drzwiami rozległo się ciche skrzypienie zbutwiałych desek podłogi. Kto chciał wymknąć się z domu.

Street wpadł do ciemnej kuchni. Był na tyle szybki, że w ostatniej chwili dostrzegł jak ciemno ubrana postać wylizguje się na zewnątrz. Znowu rozległ się obcy dźwięk, tym razem po piśszny tupot nagi ch stóp, biegnących po pylistej ziemi.

Street rzucił się do otwartych drzwi i szybko wystrzelił. Kula dosięgła uciekającego, zanim zniknął za rogiem jednego z budynków gospodarczych. Padł twarzą na ziemię. Street ostro nie podszedł do niego i sprawdził, czy nie ma broni. Nic nie znalazł. Wstał i nogę odwrócił lewego na plecy. Chu, kucharz Abe'a, spojrział na niego przez zmrużone oczy, w których widać było ból. Street wycelował pistolet prosto w czoło.

- Gdzie jest pudełko, ty złodzieju?

Chu skrzywił się z bólu i syknął przez zęby, ale nic nie odpowiedział.

- Słuchaj no. -Street napał płaską podeszwą buta na zranione ramię Chi czyka. -Mów, gdzie jest pudełko i welwetowa sakiewka!

Chu jęknął i odparł co po chijsku, prosił o litość albo przekleństwo.

Street mocniej nacisnął butem na ramię Chi czyka. Któraś z nich zauważyła ledwo dostrzegalne poruszenie. Ktoś wyskoczył z cienia budynku gospodarczego. Street odruchowo odwrócił głowę.

Chu, korzystając z okazji, zwinął się we dwoje i zamierzył się, aby kopnąć przeciwnika w krocze. Atak z dwóch stron był szybki i skoordynowany, więc Street od razu odgadł, że wpadł w pułapkę zastawioną przez zawodowców. Jego reakcją była

równie szybka i groźna. Bez namysłu strzelił do Chu, jednocześnie nie robiąc uników, a cios kucharza chybił celu.

Na ułamek sekundy, zanim kula weszła w ciało, piśtaoletem w drugiego napastnika. Padając na ziemię oddał dwa strzały. Jeden nie był celny, ale ten manewr pozwolił mu uchylić się przed wymierzonym w głowę kopniakiem, który roztrzaskałby mu czaszkę.

Nieznajomy napastnik przemknął obok przeciwnika, który wciąż jeszcze toczył się po ziemi w obronnym uniku. Street padł na brzuch, natychmiast się odwrócił i spokojnie dwa razy strzelił uciekającemu w plecy. Słyszając krzyk bólu i padające ciało Street domyślił się, że to była kobieta – była, bo już nie żyła. Jego mózg rejestrował tę informację, kiedy ponownie przetoczył się po ziemi, oczekując kolejnego ataku. Stał na nogach, plecami do muru, mając w polu strzału całą dziedziniec farmy.

W odległości pięćdziesięciu metrów wystraszone strzelanin stado jasnych kakadu skrzeczało hałaśliwie w gałęziach karłowatych drzew. Po dłuższej chwili papugi uspokoiły się i znów na stacji Abe'a Windsora zapanowała miertelna, niczym nie zakłócona cisza. W gorącym październikowym słońcu poruszały się tylko wszechobecne muchy.

Street szybko obszukał ciała dwojga ludzi, których przed chwilą zabił. Nie znalazł ani ładunku blaszanego pudełka i welwetowej sakiewki. Cierpliwie jeszcze raz sprawdził dokładnie, w nadziei, że dowiedzie się, kto przysłał napastników i dlaczego. Ani Chu, ani jego współniczka Chinka nie mieli przy sobie nic, co pozwoliłoby ich zidentyfikować, żadnych dokumentów, metek na ubraniu ani broni.

Street zmarszczył brwi, przykucnął i uważnie przyjrzał się zwłokom. Chu od lat pracował na farmie, ale Street nigdy przedtem nie dostrzegł odcisków na jego stopach i dłoniach. Takie odciski widuje się u ludzi uprawiających sztuk walki, a

nie u prostych słu cych. R ce kobiety były podobnie stwardniałe. Oboje pracowali jako zespół, gotowy zabi lub zgin .

Teraz nie yli, a Street nie wiedział, dla kogo pracowali, ani nie był cho by o krok bli ej rozwi zania tajemnicy kopalni Szalonego Abe'a.

Splun ł na czerwon ziemi i odwrócił si plecami do zwłok. Istniała bardzo nikła szansa, e na farmie zostało co warto ciowego, ale po dziesi ciu latach czatowania na okazj nie mógł pozwoli , eby przez zdenerwowanie co przeoczy . Mo liwe, e pudełko zawieraj ce kiepskie wiersze napisane przez Abe'a i jego testament jest wci ukryte gdzie w pobli u.

Odór wewn trz domu si nie zmienił. Street przeszukał wszystkie pomieszczenia wprawnymi ruchami kogo , kto ju nie raz to robił. Jak zwykle, nie znalazł nic nowego. Nie było te pudełka. Otarł z oczu kurz i pot i stan ł nad ciałem starca, który teraz, tak samo jak za ycia, nie dawał mu si rozszyfrowa .

-Dziesi lat wczytywania si w "Pawia z Antypodów" - warkn ł wi zn cym w gardle głosem. -Dziesi lat twojego smrodu i chytrego rechotu. eby si usma ył w piekle, Abe. I niech sma y si w piekle ten, kto odziedziczy Kopalnie pi cego Psa.

Rozdział pierwszy

- Dwoje ludzi zgin ło, eby mi to dostarczy .

Cole Blackburn spojrział na mał zniszczon sakiewk z welwetu.

- Warto było? -zapytał.

- Ty mi powiedz -odparł Chen Wing.

wiatło załamywało si i dr ało, kiedy dziesi przezroczystych kamieni potoczyło si po blacie, uderzaj c o siebie z cichym, krystalicznym podzwaniem. Na pierwszy

rzut oka sprawiały wrażenie duży, niestarannie zrobionych kulek do gry, poobijanych od czasu użycia. Dziewięć z trzynastu kamieni było bezbarwnych. Trzy miały kolor różowy, a jeden intensywnie zielony, jak głębia rzeka.

Ręka Cole'a natychmiast zacisnęła się na zielonej kulce, wielkością czubka jego kciuka. Kamień okazał się zaskakująco cięki jak na swój niewielki rozmiar. Potarł go między palcami. Wydawał się śliski, jakby natarty drogocennymi olejkami. Obracał kamień w dłoni, a znalazł płaską, gładką powierzchnię, tam gdzie odprysnął niewielki odłamek. Chuchnął na niego delikatnie. Na płaszczyźnie nie osadziła się para.

Cole poczuł ostre ukłucie podniecenia. Bez słowa podszedł do ustawionego pod cianką barku na kółkach. Wziął cięki kryształowy szklank i pytał, co spojrzał na Winga, który skinął głową. Szybkim, płynnym ruchem przesunął zielonym kamieniem po kryształ.

Kamień łatwo cięki wyłobitł w nim głębia bok rys, a sam pozostał nie naruszony. Cole brał kolejne kamienie i pocierał nimi o szklank. Pojawiły się nowe rysy. Na kamieniach nie widać było najmniejszego zadrapania. Wyjął starożytny jubilerski, ustawił odpowiednio lampę na biurku i przez szkło obejrzał zieloną kulę.

Wydawało mu się, że pogra się w oceanie jaskrawo szmaragdowego blasku. Jednak to nie był szmaragd. Chociaż nie oszlifowany, wychwytywał i rozpraszał światło tak, jak to się dzieje tylko w przypadku brylantów. Przy cichym lekkim poruszeniu dłoni migotał między palcami. Błyski drgały, odbijały się od nierównej powierzchni i gromadziły się w jego wietlistej głębi. Cole nie dostrzegł żadnych plam, tylko dwie małe kreski, nie mające wpływu na wartość diamentu, ponieważ znajdowały się tu pod jego powierzchnią, skąd można je było usunąć przy cięciu i szlifowaniu.

Cole obejrzał jeszcze kilka kamieni, zanim schował je do kieszeni.

- Biały papier - powiedział krótko.

Wing otworzył szuflad biurka, wyjął arkusz nieskazitelnie białego firmowego papieru z nagłówkiem Pacifik Traders Ltd. i położył na blacie. Cole wyciągnął z kieszeni irchowy woreczek, w którym przechowywał nie oszlifowany diament o doskonałej barwie.

Diament miał kanciasty, o miodowy kształt. Wyglądał niemal jak sztuczny obok poobijanych, nieregularnych kamieni Winga. Cole rozłożył diamenty na papierze. Jeden delikatnie zmienił kolor z różowego na koralowy. Odcień pozostałych różowych pogłębił sobie. Wśród białych kamieni nabrała niebieskawego blasku, dokładnie takiego, jak diament Cole'a. Kilka ujawniło delikatne żółte zabarwienie, na które zwróciłby uwagę jedynie ekspert.

Zielony diament płonął jeszcze jaskrawiej, jak szmaragdowy ogień na niegu.

Cole odsunął lupę i jeszcze raz bez szkła dokładnie mu się przyjrzał. Klejnot wciśnięty wewnątrz trzonym wiatłem, jednocześnie nie gorącym i zimnym. Wiele lat temu, w Tunezji, widział klejnot, który niemal dorównywał temu. Przemysłownik, właściciel diamentu, twierdził, że kamień pochodzi z Wenezueli, ale Cole w to wątpił. Jednak zanim zdobył wystarczającą ilość gotówki, aby wydobyć od niego prawdę, kto na zawsze zamknął usta przemysłownika, podrzynał mu gardło.

Cole był zaskoczony, że za te diamenty zapłacił tylko dwóm ludziom. Nigdy jeszcze nie widział zbioru równego temu, który spoczywał przed nim na białym papierze. Te kamienie zawdzięczały swój kolor naturalnym warunkom, w jakich powstały, a nie barwie otoczenia.

Schowwał swój wzorcowy diament i obejrzał woreczek z ciemnego welwetu, leżący na mahoniowym blacie biurka. Materiał był bardzo stary, więc czas i twarda powierzchnia przechowywanych w sakiewce diamentów zniszczyły go tak, że miejscami stał się cienki jak jedwab. Sakiewka to martwy przedmiot, więc było jej wszystko jedno.

Natomiast kamienie nie wydawały się martwe. Połyskiwały

jakby o ywione wiatłem, czasem i nienasycon ludzk dz posiadania wszystkiego, co rzadkie.

- Czego chcesz ode mnie? -zapytał Cole, przygl daj c si zielonemu kamieniowi zamy lonym spojrzeniem szarych oczu.

Przez chwil Wingowi zdawało si , e pytanie jest skierowane do diamentu. Ten biznesmen z Hongkongu znał Cole' a od wielu lat, jednak nie był w stanie zrozumie ani przewidzie skomplikowanych procesów my lowych ameryka skiego badacza.

- Czy to s diamenty? -zapytał cicho Chi czyk.

- Tak.

- adne oszustwo nie jest mo liwe?

Cole wzruszył ramionami. Ten gest spowodował ruch wiatła na jego sylwetce. Surowy jedwab, z którego uszyta była sportowa marynarka Amerykanina, połyskiwał czerni . Jego włosy miały równie l ni cy i g ł boki odcie . Skóra Cole ciemniała od przebywania w najdzikszych miejscach globu. Delikatne zmarszczki, rozchodz ce si promieni cie od k cików powiek, były efektem długich miesi cy sp dzonych w blasku pustynnego sło ca lub w wietle lampki górniczej. Nad lew skroni w g stej czuprynie wida było srebrne nitki. Cole miał trzydzie ci cztery lata, ale wygl dał o wiele dojrzalej i rzeczywi cie po wieloma wzgl dami był bardziej do wiadczonej, ni wskazywałby na to jego wiek.

- Oszustwo zawsze jest mo liwe -odezwał si . -Ale je li te diamenty zostały wykonane przez człowieka, to oznacza to ruin dla wszystkich wydobywców i dla wszystkich kopalni diamentów na wiecie. -Wing u miechn ł si . -Je li to ci niepokoi -ci gn ł Amerykanin -to mog znale w Darwin kogo , kto ma przyrz d do badania bezwładno ci cieplnej. Tej maszyny jeszcze nikomu nie udało si oszuka .

Tym razem Wing wzruszył ramionami.

- Nie ma na to czasu, chyba e przyniosłe ten instrument ze sob . Za kilka godzin kamienie musz wyruszy w drog .

- Dok d?

- Do Ameryki.
- Skąd ci je przywieziono?
- Z Kimberley.

Cole zamilkł. Kiedy się znów odezwał, przemówił obojętnym tonem.

- Zło a południowoafrykańskie są dokładnie zbadane.
- Nie chodzi mi o Kimberley w Afryce, tylko o wyjątkowy Kimberley, tutaj w Australii - wyjątkowy Wing. Uśmiechnął się, jakby zadowolony, ale zna różnic między tymi dwoma miejscami. Ludzie często je mylą. Zwykle diamenty kojarzą się z Afryką, chociaż największa kopalnia wiat, Argyle, jest usytuowana na bezludnej pustyni w tropikalnym stanie Zachodnia Australia.

Cole odpowiedział Chińczykowi uśmiechem, ale w twardej linii jego ust nie było wesołości.

- Czy rodzina Chen zainwestowała w Argyle kierując się wartością tych diamentów?
- Nic nie mówiłem o Argyle, tylko o Kimberley.

Cole w milczeniu rozważał wszystkie możliwości. Jeśli kamienie pochodzą z Argyle, oznacza to, że kartel, który kontroluje wiatowe wydobywanie diamentów, dokonał znaczącego odkrycia i dzięki temu jeszcze trochę się wzbogaci. Lecz jeśli kamienie pochodzą z nowego ródła, to do diamentowej rozgrywki dołączył nowy gracz i wkrótce rozpręta się piekło.

W każdym razie, dla człowieka, który trzyma w rękach tak silny kartel, jak ten zbiór kamieni, życie stanie się bardzo emocjonujące, a gra nabierze rumieńców.

- Kimberley w Australii? - powiedział Cole przygryzając wargi Winga spojrzeniem szarych oczu, tak czystych jak lodowiec. - Czy tam je znaleźli?

Chińczyk po raz pierwszy się zawahał.

- Stał przed mi je dostarczono, ale gdzie zostały znalezione...
- Rozłożył w kieszeni.
- Czy jest ich więcej? - zapytał Amerykanin, wskazując

ruchem głowy na rozrzucone kamienie.

- Dostałem tylko tyle - odparł ostro nie Wing.

Cole podszedł do okna i spojrzał na palmy, otaczające frontowy trawnik pałacu kasyna w Darwin, na australijskim Terytorium Północnym, niemal dwa tysiące kilometrów od wybrzeży Kimberley. W ostrym tropikalnym słońcu, pod zamglonym wilgoci niebem, morze Timor wyglądało jak kłosa z aluminium drutu.

Słońce promieniowało przez podwójne szyby okna obok Cole'a. W tle słychać było cichy szum klimatyzacji. Maszyna kasyna wyciągała dym papierosowy z sal gier na nieszczęśliwych, jednocześnie nie chłodzić parne, przytłaczające rozgrzane powietrze tropikalnego pałacu dzielnicy. Zaczęła się już pora przejść ciowa mi dżuszy a jesiennymi deszczami, czas, w którym zwierzęta padają, a ludzie tracą zmysły.

Cole rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Australijskie tropiki w pałacu dzielnicy były jednym z niewielu miejsc na ziemi, gdzie nawet on nie mógł wytrzymać. Z jakiego powodu trudniej mu było zniesić upał i wilgoć przesycające powietrze w eukaliptusowych i akacjowych zarostach Australii niż podobne warunki klimatyczne panujące w Wenezueli lub Brazylii.

Jednak maszyny zbudowane przez człowieka nie wpuszczały tropikalnego upału do wnętrza kasyna. Dostarczały technicznie przetworzone powietrze, które w niczym nie przypominało tego, którym trzeba oddychać na zewnątrz. Gdyby nie aborygeny malowidła na ścianach, ten pokój mógłby znajdować się gdziekolwiek między Hongkongiem a Johannesburgiem, Londynem a Los Angeles lub Tel'Avivem a Bombajem. Meble zrobione były z europejskiego drewna, ale według wschodniej tradycji. Ubrania obu mężczyzn uszyte z tkanin wschodu, lecz zgodnie z najlepszymi włoskimi wzorami.

- Czy te diamenty wydobyto w Kimberley? - zapytał wprost Amerykanin, ponieważ wiedział, że dyplomatycznie niczego więcej się nie dowie.

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

Cole zmrużył oczy pod czarnymi brwiami. Wing zwykle nie udzielał wymijających odpowiedzi, szczególnie kiedy mu na czym zależało. Jednak równie rzadko zdarzało mu się nosić w kieszeni diamenty wielkiej wartości. On i jego rodzina byli zbyt pragmatyczni, żeby zawracać sobie głowę surowcem mineralnym, którego cenę rynków kontrolował potężny kartel. Chenowie zajmowali się głównie wydobywaniem i przetwarzaniem rud metali, których nazwy były znajome jedynie specjalistom od lotów kosmicznych i produkcji broni.

- Nie mogę z całą pewnością ci określić, skąd pochodzą te diamenty - oznajmił wreszcie Cole. - Mogę tylko powiedzieć, że nie z Argyle.

- Kamienie do ciebie przemówiły? - z powściąpliwym zapytał Chi czyk. Cole czekał. - Skąd masz tak pewno? - dopytywał się Wing. - W końcu w Argyle te znajdują się również owe diamenty.

- Kopalnia w Argyle dostarcza niemal wyłącznie przemysłowego miedzi. Jasne, że spotyka się tam także również owe kamienie, ale te są ciemniejsze, czystsze i o wiele większe niż jakiegokolwiek inne znane mi brylanty australijskie. Aby z wydobywanej w Argyle drobnicy zrobić brylanty, trzeba cierpliwie ci indyjskiego szlifierza.

Wing czubkiem palca poruszył kamienie. Wiatr zamigotał i omył ich powierzchnie, jakby były mokre.

- Chcesz powiedzieć, że nie pochodzą z Australii?

- Nie. Twierdzę jedynie, że nie wykopano ich w Argyle. Do diabła, Wing, na całym świecie Kimberley działa siedemdziesiąt trzy spółki wydobywcze. Jedna nie znalazła tam nic oprócz surowca klasy przemysłowej. - Cole przerwał i po chwili dodał: - Tak przynajmniej utrzymuje Conmin.

Wing mruknął coś pod nosem, równie sceptyczny jak Cole.

Conmin oznajmił w końcu jedynie to, co Sam uznawał za stosowne.

- Co jeszcze kamienie ci powiedziały?

- że są aluwialne.

- Ja niej prosz .
- Dawno, dawno temu zostały wymyte z pierwotnego zło a.

- Czy to le?

Cole potrz sn ł głow .

- Chryste, nadal znasz si na diamentach jak kura na pieprzu, co?

- Nie wy miewałe moich pyta , kiedy byli my współnikami.

- Kiedy byli my współnikami, nie kusite mnie gar ci najwspanialszych surowych diamentów, jakie w yciu widzialem - odparował Cole. - Te kamienie to sama mietanka z jakiego starego, zerodowanego zło a. Sztuki ze skazami i drobnica zostały zniszczone przez czas. Te, które przetrwały, maj wygładzone kraw dzie i dlatego straciły naturalny dla siebie kształt kryształu.

- To dobrze czy le? -niepewnie zapytał Chi czyk.

- Je li chodzi o ci cie, to dobrze. Kamienie wydobyte prosto z pierwotnego zło a trac przy obróbce połow wagi. Aluwalne strac nie wi cej ni dwadzie cia procent w drodze mi dzy kopalni a palcem jakiej rozpuszczonej damy.

- Wi c te kamienie s przynajmniej o trzydzie ci procent dro sze od niealuwalnych diamentów o tej samej wadze? - zapytał szybko Wing.

Cole u miechn ł si . Wing nie musiał wiele wiedzie o diamentach, eby dokona w my lach sprawnego bilansu ich warto ci. To był jeden z powodów, dla których Cole ufał byłemu współnikowi. Wiedział, co go nap dza: zysk.

- Bior c pod uwag nie tylko wielko , ale równie barw , masz na biurku diamenty ł cznej warto ci co najmniej miliona dolarów. Poci te i oszlifowane b d warte o wiele wi cej.

- Ile?

- To zale y od tego, jak bardzo kto ich po da. Kolorowe błyskotki ...

- Kolorowe błyskotki? -przerwał mu Chi czyk.

- Diamenty o wyjątkowo pięknych barwach. Występują cholernie rzadko, a prawdziwie zielone są najrzadsze ze wszystkich. Nie wiem, skąd pochodzą te okazy, ale to prawdziwy skarb Pana Boga.

- Czy istnieją kopalnie, które mogą być tak nazwane ?

- W Australii? Ja o takich nie słyszałem.

- A gdzie indziej na świecie? -dopytywał się niecierpliwie Wing.

- Słyszałem kiedyś o Namaqualandzie? Leży na południowo-zachodnim wybrzeżu Afryki, poniżej ujścia rzeki Orange. -Wing potrząsnął głową. -Jakieś dziesięć lat temu geolog Hans Merensky badał tam tereny należące do spółki Crown. Natrafił na diamenty zgromadzone w jednym miejscu na powierzchni ziemi, jak jajka w gniewie przepiórki. -Wing nic nie powiedział, tylko wyprostował się w fotelu i nachylił bliżej do Cole'a. -Gdziekolwiek Merensky spoznał, znajdował nowe diamenty -ciężki Amerykanin. -Wkrótce nie mieściły mu się w dłoniach. Wiąszo z nich była zbyt duża, aby przejść przez ząbek jego manierki. Musiał je chować w pudełkach po cukierkach.

Wing jęknął cicho i spoznał na niewielką kupkę diamentów na blacie biurka. Wyobraził sobie, co by czuł, gdyby natrafił na jeszcze bogatsze znalezisko.

- Tak -odezwał się cicho Cole. -Ja też się tak czułem, kiedy pierwszy raz usłyszałem tę historię. Kiedyś poszukiwaczowi diamentów zdarza się leżeć bezsennie w rodoku nocy i marzyć o znalezieniu takiego skarbcza.

- Wiąc takie skarbcze naprawd się spotyka?

- Skarbiec, pułapka na diamenty, diamentowy deszcz; nazwij to jak chcesz. To takie miejsce, gdzie czas, woda i siła cięcia wykonały za ciebie ciężką pracę wydobycia kamieni. Skruszyły mi ciężkie skały, usunęły odpady i zebrały diamenty w jednym punkcie.

- Nie rozumiem.

Cole zdusił w sobie zniecierpliwienie i tłumaczył dalej:

- Diamenty są cięższe i wiele twardsze niż większość minerałów, więc w spokojnych miejscach opadają na dno rzeki, zbierają się pod kamieniami albo w korzeniach drzew, niekiedy gromadzą się w zagłębieniach. Złoto zachowuje się podobnie z tych samych powodów. Jest ciężkie. Wielkie diamenty najczęściej znajdowali poszukiwacze złota aluwialnych złota.

- Co się stało z Merenskim?

- Napełnił pół tuzina blaszanych pudełek po cukierkach diamentami, wśród których zdarzały się nawet osiemdziesiątciokaratowe. Wszystkie były klasy jubilerskiej. Sprzedał swój działek za milion funtów, co w tamtych czasach było królewską fortuną.

- Kto je kupił?

- Daj spokój, Wing. Wiesz równie dobrze jak ja. - Chi czyż skrzywił się i zaklął przez Ciebie. - To jest twoje zdanie o Conklinie. Akcjonariusze mają o nim jak najlepszą opinię.

- Słuchaj, te diamenty należą do kartelu? - zapytał Wing, zerkając na rozłożone na biurku kamienie.

- Nie.

- Taka szybka odpowiedź? Skąd ta pewność?

- Straciłbyś więcej niż dwoje ludzi, gdyby chciał odebrać kartelowi kamienie tej klasy - oznajmił sucho Cole. - Ale kartel byłby nimi zainteresowany? Amerykanin za nią się drwił.

- Jeśli te diamenty pochodzą z jednego miejsca, które w dodatku jest nowym znaleziskiem, kartel zrobi wszystko, co w jego mocy, aby przejąć nad nim kontrolę. Archimedes powiedział, że poruszyliby Ziemię, gdyby dostał odpowiednio długą dźwignię. Kopalnia, która dostarcza takich diamentów, jest właśnie tak dźwignią.

Wing pokręcił głowę.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tych kamieniach? Zależy mi na każdej informacji, nawet błahej.

- Mam przecucie, że nie pochodzą z Afryki. Przede wszystkim ich barwa jest inna. Zbyt wiele tu różnic. Nie widzę różnic, charakterystycznych dla południa Afryki.

Niektóre z tych białych to kryształy bli niacze. Australia z nich słynie. Ten zielony na pewno nie pochodzi z Afryki, mo e z Brazylii, ale jego odcie jest intensywniejszy i bardziej ognisty ni Angielskiego Diamentu Dresden, który jest jednym z najlepszych kamieni brazylijskich. Ogólnie rzecz bior c, mo na powiedzie , e ten zbiór to reprezentatywna próbka znaleziska jakiego poszukiwacza i w tpi , eby pochodziła z Afryki. Zwi zek Radziecki jest drugim powa nym dostawc Conklinu, ale Rosjanie nie słyn z produkcji diamentów jubilerskich, nie mówi c ju o niebieskawobiałych. Ich kamienie maj lekko zielonkawy odcie .

- Wi c te pochodz st d, z Australii?

- Mo liwe. W Ellendale trafiły si zielone diamenty klasy jubilerskiej, ale oczywi cie nie tak du e i pi kne jak ten, bo w takim wypadku rz d australijski rozbudowałyby raczej t kopalni , a nie Argyle.

- Chcesz powiedzie , e wszystkie te kamienie pochodz z jakiego jednego znaleziska w Australii?

Szybkie spojrzenie na twarz Winga upewniło Cole'a, e nie mo e ju ufa Chi czykowi, poniewa w gr wchodziło co wi cej ni tylko korzy finansowa. Nie raz widział ju byłego wspólnika w pogoni za zyskiem. Teraz nie dostrzegał w nim nic z jowialnego przedsi biorcy; Wing był skupiony, zaci ty i gotowy do skoku niczym drapie ne zwierz .

- Jak bardzo zale y ci na tej informacji? -zapytał spokojnie Amerykanin.

- Nie mnie. Nam. Tobie i mnie.

Wyraz twarzy Cole'a zmienił si ledwie dostrzegalnie. Stał si twardszy.

- Nam? Nie jeste my ju wspólnikami. Pi lat temu sprzedali my Blackwing Resources Ltd. Twojemu wujowi.

- My l , e byłoby rozs dnie, gdyby my znowu zawi zali spółk -oparł Wing. Si gn ł do szuflady i wyj ł plik papierów. - To jest umowa spółki, bardzo podobna do tej, któr podpisali my tworzc Blackwing.

Cole spojrział na papiery, ale nie sięgnął po nie.

- Zbyt wolno czytam -skłamał cicho. -Przełóć mi ten argon na ludzki język, ale nie zasypuj mnie niezrozumiałymi prawniczymi terminami, bo zaraz stąd wyjdę i pierwszym samolotem wrócę do Brazylii.

Wing bez wahania położył umowę na biurku. Czubkami palców prawej dłoni niemal pieszczotliwie pogładził kosztowny, chropowaty papier. Przemówił wolno, głosem człowieka, który ostro nie dobiera słowa.

- Dziesięć lat temu stworzyli my Blackwing Resources opierając się na twojej doskonałej znajomości geologii i moich zdolnościach do prowadzenia interesów. To była dobra spółka, przynosiła dochody, dlatego i kiedyś z nas zrobił dla niej to, co umiał najlepiej.

- Nasza współpraca szła dobrze, bo zatrudniałem geologów, żeby sprawdzali moje raporty, a ja wynajmowałem księgowych, którzy sprawdzali twoje -zauważył ironicznie Cole.

Wing skinął głową

- Nasza spółka opierała się przynajmniej w takim stopniu na inteligencji, jak na zaufaniu. Rodzina Chen znowu potrzebuje twojej inteligencji. Jesteś nam potrzebny.

- Do czego?

- Podejrzewamy, że by może jesteś współwłaścicielem złota, z którego wydobyto te diamenty.

Przez długi czas jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu był szum klimatyzacji. Cole przyglądał się uważnie Wingowi.

- Nie raz w życiu kupowałem, sprzedawałem i zamieniałem działki, na których znajdowały się złota i diamentów -odezwał się w końcu Amerykanin. -Chcesz powiedzieć, że przeoczyłem coś tak niezwykłego?

- Podpisz tę umowę, a odpowiem na twoje pytania. Jeśli nie podpiszesz, niczego więcej się nie dowiesz.

Wing zebrał diamenty i po jednym zaczął wkładać do zniszczonej welwetowej sakiewki. Cole obserwował go, dopóki w jej wnętrzu nie zniknął zielony kamień. Wtedy wziął papiery i

zaczłczyta .

Rozdział drugi

Gwiazda Polarna jednakowym blaskiem oświetlała tundra , rzek i góry. Była połyskliwym centralnym punktem, wokół którego w lodowatym przepychu krążyła noc. Księżyc znaczył srebrem wody rzeki. Wiatr było nieziemskie i zimne jak nieg. Czarny wiatr z nieznanego przyszedł ci szumiał w długiej dolinie, szepcząc opowieści o niedawnych lodowcach i nadchodzącej północy, która nie zna wiatru.

Właśnie to chciała uchwycić Erin Shane Windsor, subtelnie i chłodnie wiecznym ciemnym wiatrem księżycem na powierzchni rzeki, która z wolna zmieniała się w lodową taflę. Nie zważając na mróz i samotność na rozległych przestrzeniach Alaski, Erin dokonała ostatnich poprawek w ustawieniu aparatu i odstąpiła o krok od statywu. Naciśnięta gruszkowaty wyzwalacz palcami zbyt zeszywniałymi od zimna, aby czuć jego dotyk. Migawka otworzyła się i zamknęła z wyczuwalnym oporem, odmierzając czas ekspozycji, który wybrała Erin. Na wszelki wypadek zrobiła jeszcze kilka zdjęć. Długi, jedwabisty cień szeleszczący dźwiękiem mechanizmu przewijającego tego filmu wydawał się głośniejszy na tle arktycznej ciszy.

Wykonawszy ostatnie ujęcie natychmiast zaczęła na nowo przygotowywać aparat. Kiedy ustawiła ostatnie parametry, zakłama pod nosem, a jej oddech zmienił się w połyskujący obłoczek srebrzystej pary. Traciła cierpliwie; zostało jej niewiele czasu na wykonanie zamierzonego zdjęcia. W tej chwili księżyc wiecił pod odpowiednim kątem i oświetlał trzy kręte zakola rzeki, którym jakby echem odpowiadały faliste kształty gór.

Niestety, kula ziemską wciąż obracała, a wiatr zbijał chmury w jednolitą masę. Każda chwila nieodwołalnie zmieniała najważniejszy element całej sceny - wiatr.

Zegarek Erin zapiszczał ostrzegawczo. Nie zwróciła na niego uwagi. Był to dopiero pierwszy z sygnałów alarmowych, jakie zaprogramowała. Cz sto tak post powała, poniewa kiedy robiła zdj cia, reszta wiata przestawała dla niej istnie . Jej zdolno koncentracji miała swoje dobre i złe strony. Oddalała j od cywilizacji, gdzie czas trzeba dzieli na małe odcinki, nie maj ce znaczenia poza murami wielkich miast.

- Cholerne r ce! Cały czas si trz s -wymamrotała. Zesztywniały mi od mrozu palcami starała si ustawi na aparacie odpowiedni czas i przesłon .

Zegarek znów si odezwał.

Chocia Erin odsuwała od siebie ten d wi k, cz jej wiadomo ci niech tnie przyznawała; e istnieje wiat poza obiektywem aparatu i w tym innym wiecie musi zd y na samolot i wróci do cywilizacji, której przez ostatnie siedem lat . Starala si unika . Jak dzikie g si i ptaki przybrze ne, które fotografowała w tundrze; jak wieloryby fotografowane z łodzi tubylców, Erin wyruszała na południe. Jednak w przeciwie stwie do ptaków i wielorybów ona miała przed sob dni podzielone na godziny, minuty i sekundy, bez chwili swobody

I zapomnienia.

Nacisn ła wyzwalacz, przesun ła film i znów nacisn ła, uruchamiaj c aparat. Wsłuchiwała si w cichy trzask migawki, która zapisywała ulotne chwile, uwalniaj c je spod władzy zegara i czasu odmierzanego biciem serca.

Skupiona, cierpliwa, dr c z zimna, którego nie czuła, Erin jeszcze raz ustawiła aparat, zauroczona surowo ci czarno-srebrnego krajobrazu. To zdj cie było jej po egnaniem z ukochan krain . Tutaj odnalazła jakie mityczne pi kno, które od pierwszej chwili j przyci gało. To pi kno odciskało si na yciu ludzi, mi dzy którymi mieszkała, Eskimosów i Aleutów, poluj cych, eby prze y .

Razem z tubylcami, płyn c w skórzanym canoe mi dzy polarn kr , polowała na wieloryby. W tych chybotliwych

łodziach dowiedziała się, że ludzie prymitywni boją się, kochają i czczą zwierzę, na które polują. Człowiek cywilizowany po prostu zabija nowoczesną broń, nie ryzykuje i niczego się nie dowiaduje ani o sobie, ani o zwierzęciu, ani o życiu, miłości i sprawach transcendentnych. Erin знаła takich ludzi, ludzi nowoczesnych. Wolała bezosobowy chłód Arktyki.

Sygnał zegarka odzywał się coraz częściej, a wreszcie przeszedł w jednostajny pisk, przypominający Erin o pilnym telegramie, który tego ranka przeczytano jej przez krótkofalówkę.

MUSISZ NATYCHMIAST WRACA STOP PILNA SPRAWA RODZINNA STOP DALSZY INSTRUKCJE NADEJD STOP JAMES ROSEN

- Siedź cicho -wymamrotała. -Po prostu siedź cicho. Zesztywniałym palcem wskazywała, czym nacisnąć na przycisk alarmu i uciszyła zegarek. Wiedziała jednak, że jest za późno. Jej skupienie rozproszyło się, ponieważ nie mogła wyrzucić z myśli Jamesa Rosena z taką łatwością, jak wyłczyła sygnał alarmowy.

MUSISZ NATYCHMIAST WRACA STOP

Erin odpychała od siebie to polecenie. Na siedem lat zapomniała o cywilizacji. Może o niej nie pamięta jeszcze przez siedem minut.

W ogóle nie zwróciłyby uwagi na to wezwanie, gdyby sama nie przeczuwała, że jej arktyczny epizod dobiega końca. Rzeczywiście tak było. Zrobiła tu już wszystkie możliwe zdjęcia i wchłonęła w siebie potrzebne jej obrazy. Wewnętrzny nakaz, który siedem lat temu przygnał ją w te dzikie strony, nie odzywał się już tak głośno. Nie była tym samym człowiekiem co wtedy. Zadawała sobie teraz pytania, na które na Alasce nie

Znajdowała odpowiedzi.

Pomyślała, że Jeffrey będzie zachwycony jej powrotem, i szukała, że nie było to dla niej wystarczającym pociechem. Jeffrey Fisher, jej nowojorski redaktor, nie rozumiał, dlaczego tak długie lata spędziła w tej dzicy. Nie rozumiał tego niepokoju,

który gnał j w strony rzadko odwiedzane przez innych. Podziwiał technik jej zdj i artystyczne spojrzenie, ale ci gle j namawiał, eby zaj ła si "cywilizowan " fotografi i uwieczniała angielskie farmy, francuskie winnice, staro ytne pos gi greckie i nowoczesne kurorty nad Morzem ródziennym,

Z pocz tku Erin próbowała wytłumaczy Fisherowi, dlaczego nie chce si zaj zleceniami w Europie. Starła si mu wyja ni , e chocia cywilizacja chroni przed straszliwym fizycznym niedostatkiem, to jednocze nie uniemo liwia wspaniałe psychiczne doznania, jakich si do wiadcza wałcz c o przetrwanie. Fisher nic z tego nie rozumiał. Ulubione przez Erin wybrze e Oceanu Spokojnego i obce kultury były zbyt odległe od Manhattanu i za bardzo si od niego ró niły, eby mógł co zrozumie . Wschodnie Wybrze e spogl dało ku wschodowi, Europie i ku przeszło ci. Zachodnie Wybrze e kłoniło si ku zachodowi, dzikim wyspom na oceanie i ku przyszło ci. .

Niestety, Erin zabrakło ju wymówek, dlaczego nie chce przyj zlecenia na prac w Europie i odmawia fotografowania farm, piwniczek z winami i srebrnych sztu ców w wietle wiec. Skrupulatnie tak uło yła swoje plany na przyszło , eby nikomu nie sprawi zawodu, je li wyjedzie na kilka miesi cy lub nawet na rok. Poczyła wszystkie przygotowania, tylko nie udało si jej wykrzesa z siebie entuzjazmu dla starannie aran owanych zdj w Europie. Ka de inne zadanie bardziej by jej odpowiadało.

Wiele razy odwiedzała stary kontynent i za ka dym razem bardziej j przygn biał, ni zachwycał. Cz ciowo by mo e dlatego, e jej były narzeczony stamt d pochodził, a przynajmniej tak utrzymywał.

PILNA SPRAWA RODZINNA STOP

Europa kojarzyła jej si te z prac ojca, dyplomacj , tajemnicami, spiskiem i zdrad , której ofiary do ko ca ycia nosiły blizny; oczywi cie, je li udało im si prze y .

DALSZE INSTRUKCJE NADEJD STOP

Instrukcje, ale nie prawdziwe wyjaśnienie. Człowiek wynalazł cywilizację, aby unikać naturalnej prawdy, wymyślił czas, aby ludzkie kłamstwa stały się bardziej wiarygodne.

PILNA SPRAWA RODZINNA

Erin stała bez ruchu, otoczona jasnym, srebrzystym wiatrem i przenikającym wszystkim niezmiernie ciszą, wieczną ciemnością w jednym skrzypie siły, w której tracą znaczenie takie ludzkie pojęcia jak prawda i kłamstwo, życie i śmierć, sprawiedliwość i krzywda.

MUSISZ NATYCHMIAST WRACAĆ

Los nie jest ani sprawiedliwy, ani niesprawiedliwy. Po prostu trudny do przewidzenia. Czasami niespodzianki, jakie niesie ze sobą życie, są tak wspaniałe, że zapierają dech w piersiach, jak piśknienie Arktyki. Czasem są nad wyraz okrutne, jak Hans. Jednak niespodzianki to podstawowa materia życia, a Erin zdecydowała się na nią.

Ostatni raz uciszyła zegarek i zaczęła pakować sprzęt na długą podróż do Los Angeles.

Rozdział trzeci

- Kiedy zginęli tych dwoje chińskich zabójców?

W głosie, nieco zniekształconym przez satelitarne i urządzenie szyfrujące, pobrzmiewał akcent, jakiego nabywa się w ekskluzywnych angielskich szkołach; pogardliwy ton drań Jasona Streeta. Hugo van Luik był potężnie zbudowanym Holendrem z czupryną grzastych siwych włosów, ale jego sposób mówienia kojarzył się Australijczykowi z mydlakowatym Anglikiem. Street pociągnął potężny łyk piwa i odstawił duży puszek na biurko, zanim znowu odezwał się do słuchawki.

- Dwanaście godzin temu, może trochę wcześniej.

- Dlaczego tak późno składasz raport?

- Chciałbym, abym gadał o naszych sprawach przez zwykły telefon? - odparł zaczepnie Street. - Pamiętaj, że to jest

cholerna Australia. Ka dy, kto ma słuchawk , mo e podsluchiwa rozmowy przez radiotelefon. Zakopałem Chi czyków, przeszukałem dom Abe'a, wróciłem do Perth i dopiero st d do ciebie zadzwoniłem.

Szesna cie tysi cy kilometrów od Perth, na pi tym pi trze szarego, bezosobowego budynku przy Pelikanstraat, głównej ulicy antwepkiego centrum handlu diamentami, Hugo van Luik zmru ył oczy, staraj c si odegna o lepiaj cy ból głowy. W tej chwili był w biurze sam, wi c pozwolił sobie niedbale wyci gn si w fotelu. Mdło ci cisl ły mu oł dek, potem ust piły. Gł boko, z ulg wci gn ł powietrze. Van Luik był pot nym człowiekiem, zarówno fizycznie, jak i na polu zawodowym, ale za swój pot g musiał słono płaci . Ostatnio cena wydawała mu si coraz wy sza.

- Bardzo dobrze -odezwał si Holender. -Reasumuj c, spisany r cznie testament, welwetowa sakiewka i blaszane pudełko znikn ły, zanim ty przyjechałe . Dziesi lat pracy poszło na marne.

- Wła nie. Powiniene pozwoli mi, ebym si zabrał za Abe'a Windsora na swój sposób. Zaraz by wszystko wy piewał. -Mo e. Ale jest jeszcze bardziej prawdopodobne, e człowiek w jego wieku zmarłby w czasie tortur i zostawił tajemnic spadkobiercy. To było zbyt ryzykowne.

-Za to teraz, kole , nie ma adnego ryzyka.

-Twoja trze wa ocena minionych wydarze jest godna podziwu.

Street nie odpowiedział. Nie znosił precyzyjnego Holendra, którego władza ukrywała si za niewiele mówi cym tytułem dyrektora do spraw operacji specjalnych w Dziale Handlu Diamentami. Jason Street nienawidził van Luika, ale jednocze nie si go bał.

- Doskonale -rzucił Holender. -Teraz opowiedz wszystko jeszcze raz od samego pocz tku.

To była jego ulubiona taktyka post powania z takimi krn brnymi osobnikami jak Jason Street. Zmuszanie do

powtórek podkreślało ni sz pozycj podwładnego i jednocześnie odsłaniało wszystkie drobne nie cisto ci, które wiadczyły o tym, e cz informacji została zatajona lub zafałszowana.

Street znał t taktyk równie dobrze jak van Luik. Poci gn ł kolejny łyk piwa i bekn ł w słuchawk .

- Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Abe pił od kilku dni.

Był ju kompletnie zalany. To nic nadzwyczajnego. Jakie trzy dni temu co mu odbiło, chwycił łopat i pobiegł do buszu, wrzeszcz c co o kopaniu sobie grobu.

- Czy jego zachowanie było niezwykle?

- Ale sk d, kole . Zdarzało mu si to regularnie co miesi c, jak babskie krwawienie. Tylko e tym razem powiedział prawd . Chyba umarł tam, w buszu. Jego ciało wygl dało tak, jakby si powoli piekło na ro nie. Był martwy jak puszkowana ryba, tylko mierdział trzy razy gorzej.

Van Luik poczuł, e mdło ci znowu nadchodz , chocia nie wywołały ich słowa Streeta. mier i rozkład nie były dla Holendra niczym wa nym. oł dek ciskała mu wiadomo własnej bezsilno ci.

-Jak zwłoki Windsora znalazły si z powrotem na farmie? - zapytał.

- ółtki musiały go znale .

- ółtki?

- No, Chi czycy -wyja nił niecierpliwie Street. Holender znał cztery j zyki, ale nie potrafił -albo nie chciał -zapami ta znaczenia potocznych australijskich wyra e , których ci gle u ywał Street. -Przywie li go ci arówk .

- Sk d to wiesz? Czy twoja informatorka z farmy ci to powiedziała?

- Sara? Ju dawno wyruszyła na włócz g ze swoimi czarnymi bachorami. Jak zwykle piła z Abe'em i straciła przytomno . Kiedy wytrze wiała i stwierdziła, e jeszcze nie wrócił, zawiadomiła mnie, a potem wyruszyła gdzie na koniec

wiata.

- Dlaczego?

- Wiedziała, że je li Abe nie yje, to j zabij .

- W takim razie sk d wiesz, że to Chi czycy znale li Windsora? -Na stacj nie prowadziły adne nowe lady opon. Kiedy Abe nie wracał, kucharz pewnie wezwał helikopter. Chyba że poszedł za starym, przywi zał go do drzewa gdzie w pełnym sło cu i odbył z nim pogaw dk na temat tajemniczych kopal . -Milczenie van Luika obiegło pół globu ziemskiego. Street mówił dalej: Ten cholerny kucharz musiał by wtyczk , tak samo jak Sara. Wielu ludzi wiedziało, że Abe trzyma w tym woreczku bardzo ładne kamyki. Nie tylko my mieli my go na oku.

Van Luik pomasaował nasad nosa.

- Mów dalej -poleciał.

- To pewnie ółtki znalazły starego w buszu, przywiozły go do domu, a potem przeszukały stacj . A to znaczy, że Abe przed mierci nic nie powiedział.

- Mam wielk nadzieję , że tak rzeczywi cie było. Niestety, " ółtki" wiedziały wystarczaj co du o, eby zabra nie tylko diamenty, ale również blaszane pudełko, prawda?

Jason Street poci gn ł łyk piwa i nic nie odpowiedział.

Liczył, że Holender tak szybko nie zrozumie, co oznacza brak starego pudełka.

- Prawda? -powtórzył dyrektor z wi kszym naciskiem.

- No tak, zabrali to cholerne pudełko.

- Musimy wi c. Załó y , że s co najmniej tak dobrze poinformowani jak my. Z pewno ci zdaj sobie spraw , że zawarto sakiewki to tylko drobny ułamek ostatecznej warto ci tego, co znajduje si w pudełku.

Kodowana linia satelitarna szumiała zach caj co, czekaj c, a Street zgodzi si z tym oczywistym wnioskiem. .

- Chyba tak -przynął niech tnie.

Van Luik spojrział na mokre szare dachy domów, w których pracowali najlepiej wyszkoleni szlifierze diamentów i

najbezwzględniejsi handlarze drogimi kamieniami. Czasami, kiedy patrzył w dal, ból głowy nieco ustawał. Czsto jednak po prostu musiał wycierpieć go do końca.

Zamknął oczy i cierpiał w milczeniu, starając się nie zwracać uwagi na fale o lepij tego bólu, które odmierzały bicie serca, pulsując w naczyniach krwionośnych pod gałkami ocznymi. Dziesiat lat temu Jason Street, wówczas niespełna trzydziestoletni, zgłosił się do Conminu z doskonałą rekomendacją. Przez następnepne lata nie wydarzyło się nic, co dałoby van Luikowi powód do zwątpienia w jego zdolności i lojalność wobec firmy.

Do tej pory. Teraz coś się nie zgadzało. Street grał na zwłok, kłamał albo nie ujawniał jakichś ważnych informacji. Van Luik nie wiedział, czy Australijczyk coś kręci, aby uniknąć gniewu Conminu, czy ma inne, mniej oczywiste powody.

- Czy udało ci się dowiedzieć czegoś na temat helikoptera? -zapytał łagodnie.

- Sprawdziłem wszystkie firmy wynajmujące helikoptery w Australii Zachodniej i na, Terytorium Północnym. adnego zapisu tego lotu w kontroli ruchu powietrznego. To musiała być prywatna maszyna.

- Znajdź ten helikopter! -Van Luik niemal się zakrztusił, kiedy poczuł nagły, przeszywający ból, wywołany wybuchem złości. Przez chwilę oddychał płytko przez rozchylone usta. Kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał cicho i spokojnie. - Musimy się dowiedzieć, kto ma te wiersze i kamienie.

- Pracuj nad tym, kole.

Holender przełożył słuchawkę do lewej dłoni i pomasażował prawą skroś długimi palcami o starannie wypielęgnowanych paznokciach. Na małym palcu prawej ręki połyskiwał piociokratowy brylant o kwadratowym kroju, klasy D, czystej wody. Kamień był osadzony w matowej patynie. Był to jedyny klejnot, jaki nosił van Luik. Więcej nie potrzebował. W Antwerpii taki kamień jest jak wizytówka, która natychmiast

zawiadania wtajemniczonych, a jej właściciel należał do międzynarodowego bractwa ludzi zajmujących się diamentami.

- Oczywiście, masz przy sobie kopie "Pawia z Antypodów"? -zapytał Holender.

- Sara sprawdziła te wiersze tydzień przed śmiercią Abe'a. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy przysłałem ci ostatnią wersję.

- Przypuszczam, że nie udało się jej skopiować testamentu? -Van Luik mówił cicho, niemal oskarżycielsko. Kiedy Street nie odpowiedział, dodał: -Czy chociaż widziała ten dokument?

Australijczyk wciągnął głębiej powietrze i oznajmił Holendrowi to, co ten i tak już wiedział.

- Abe zostawiał "Pawia" na stoliku przy łóżku, ale testament zachowywał w tajemnicy. Strzegł go jeszcze pilniej niż diamentów w woreczku.

Van Luik wymamrotał coś pod nosem. Otworzył lewą na biurku teczkę i wyjął z niej plik fotografii. Były to ziarniste powiększenia z miniaturowego filmu aparatu Minox. Widniały na nich kartki grubego, liniowanego papieru, zapisane jakimś, staromodnym charakterem pisma -chaotyczne wierszydła bez żadnego znaczenia albo sprytnie zaszyfrowane wskazówki dotyczące położenia tajemniczej kopalni. Wciąż nie udawało się rozwiązać tej zagadki.

- Masz przed sobą kopie, prawda? -powiedział van Luik. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Street zdusił przekleństwo.

- Tak -odparł.

- Zaczynaj.

- Odczeczysz, van Luik. Tyle razy już to robiliśmy, a ...

- Zaczynaj -powtórzył chłodno Holender.

Zapadła cisza, po której rozległ się cichy szelest papieru, kiedy Street przekładał kartki z dziwnymi wierszami Szalonego Abe'a.

- Czyżbyś sobie usłyszeł jak konkretnie strofy? -zapytał

prowokuj co Australijczyk. Wiedział, że dyrektor nie znosi "Pawia" nie tylko dlatego, że nie potrafi go rozszyfrować.

- Tym razem zaczniemy od czwartej.
- Dobrze.

Street zaczął czytać głośno i monotonicznie.

*Znajdź je, jeśli potrafisz, jeśli masz odwagę i
Tam, gdzie czarny łabędź ci
Nad martwego morza kości,
Gdzie kałdy człowiek to Percy, a skała to lady Jane.*

Skończył czytać i czekał.

Van Luik również się nie odzywał.

Z cichym przekleństwem Street zaczął tłumaczyć fragment, który czytał i omawiał już tak często, że słowa powoli traciły dla niego wszelkie znaczenie.

- Pierwsza linijka ...
- Jej znaczenie jest oczywiste - przerwał mu Holender. - Tak samo jak drugiej. Zaczynaj od trzeciej.
- Dobra. Czarne łabędzie w interiorze bardzo pospolite, jak kiedyś koala na wschodnim wybrzeżu. Był może i Abe mówił o jakimś żółciu nad Billabongiem.

- Wyjaśnij.
- Billabong to głąbokie zakole rzeki, które w porze suchej zamienia się w sadzawkę, kiedy płytsze partie wysychają - tłumaczył mechanicznie Street.

- Dalej.

Australijczyk mocniej zacisnął dłoń na słuchawce. Ze wszystkich sztuczek van Luika najbardziej upokarzała go właśnie ta, kiedy zmuszał go, aby w nieskończoność powtarzał to samo. Była to jednocześnie nie bardzo skuteczna metoda wykrywania kłamstw, co Street rozumiał i sam wykorzystywał wobec swoich podwładnych.

- Abe mógł natrafić na żółcia w pobliżu Billabongu, tylko że ani na dzierżawionych przez niego terenach, ani na stacji nie ma sadzawki wystarczająco dużej, aby jej nazwa Billabongiem - mówił monotonicznie. - Jedynym punktem, w którym przez cały

rok utrzymuje się woda, jest studnia przy domu.

Van Luik wydał z siebie jakiś krótki odgłos, który mógł oznaczać wszystko. Street wiedział, że to ponaglenie do dalszych wyjazdów.

- Zostaj nam te cholerne "kości martwego morza" - cięgnij beznamiennie. - Ponieważ nie znaleźliśmy żadnego billabongu, po którym pływałyby łabędzie, nic dziwnego, że nie natrafiliśmy również na żadnego zbiornik wodny na podłożu ze skał morskich, który wskazywałby drogę do kopalni.

- Dalej.

Street uśmiechnął się blade. Podejrzewał, że van Luik, w przeciwieństwie do Abe'a, brzydzi się seksem. Stary wariat odrywał się od baby tylko wtedy, kiedy wypił za dużo piwa i był do niczego.

- Abe mówi nam, żebyśmy znaleźli kopalnię, jeśli mamy odwagę iść tam, "Gdzieś tam człowiek to Percy, a skała to Lady Jane". - Street przeciągał słowa. - Australijczycy mówią na fiutę Percy. Zgadnij, co oznacza lady Jane.

Van Luik skinął głową. Nie musiał zgadywać. Wszystko to słyszał już przedtem, i to nie raz.

- Tak więc Abe każe nam iść tam, gdzie może być fiuta, a kobiety kamienne cipki - strzeż się Street. - Witamy w australijskim interiorze. To zawłoka pole naszych poszukiwań do kilku tysięcy kilometrów kwadratowych niezamieszkałych terenów. - Van Luik chciał coś powiedzieć, ale Australijczyk nie dopuścił go do głosu. - W następnym zwrocie "bursztynowa rzeka" oznacza chyba piwo, tak? Jeśli wystarczy ci trochę piwa, wypijesz, "wysikasz ółte morze". Potem jest...

- Przejdź do następnego zwrotki - przerwał mu van Luik.

- Dobra.

*Wejść do mego łóżka, tam czeka mój Percy,
Brygida i Ingrid, miła Diano i Mercy, Kewpie i Daisy i
Kelly,*

*Puszczacie się jak co o miło ci. Królowe zdrady,
Przeklinam wasze gorące uściski.*

Street wziął głębi oddech i cisnął drzwi co:

- Już rozszyfrowali my Percy'ego, pozostaj nam te eskie imiona. To nie są miasta, wsie, osady, skrzyżowania dróg, szlaki, cieki, farmy ani nic innego, tylko po prostu inne nazwy cipi w australijskiej gwarze.

Van Luik mruknął co z odrazą.

- Co to znaczy puszcza się, wiadomo - uparcie kontynuował Street. - Może ten stary wariat postrzegał drzenie szybów jako do wiadczenie seksualne, a może nie. Tak czy owak, ten wiersz prawie w całości jest o tych sprawach, a przy tym ma nam powiedzieć, gdzie szuka tych cholernych diamentów.

- Przeczytaj dziewięć zwrotek - polecił van Luik.

- Sam przeczytaj. Ja mam dosyć.

- Zaczynaj od czwartej linijki.

Street cisnął słuchawkę tak mocno, że zabolęła go ręką, ale upomniał się w duchu, że nie pora teraz tracić nad sobą panowanie. Chociaż to nie jego wina, tajemnica Kopalni czego Psa przełiznęła mu się między palcami. Jeśli wielokrotne czytanie "Pawia" miało by za to jedyną karę, to i tak ma szczęście.

Kamienne łono daje mi nadzieję,

Sekrety czarniejsze niż mierz

I prawdę, za którą mogł zginąć.

Street przerwał, ale van Luik się nie odezwał.

- "Kamienne łono" to kopalnia, tak? Czy nie do takiego wniosku doszli my... Kiedy to było? Chyba sześć czy siedem lat temu, kiedy stary zmienił "kobiet" na "łono".

Van Luik zignorował ironię w jego głosie.

- Tak. Mów dalej.

- Łono, kobieta i kopalnia to wszystko są mroczne miejsca. Wyjawienie prawdy oznaczałoby dla Abe'a mierz, i stary dobrze o tym wiedział.

Ale do ciebie przemówię,

Posłuchaj mnie, dziecko smutku.

Street nic nie powiedział, zaskoczony nagłą zmianą ról i tym, że van Luik sam czytał kiepskie rymy, które obaj już znieawidzili.

Niech sekret spoczywa u pionów,

Niech czeka na owoc miłości cięj zdradzonej

Kiedy roos skaczą po ziemi,

Błazniane pudełko

Grzechocze pod nimi.

Cisza narastała w słuchawce, a Street odczuwał coraz większą smutność .

- On mówi o swoim spadkobiercy, prawda? - spytał. - Nie o jakiegoś przypadkowego czytelnika "Pawia", ale o tym swoim cholernym spadkobiercy!

- Masz rację . Nie możemy tu twierdzić , że "dziecko smutku" to dla Abe'a jakiegoś nieszczęśliwego, chociaż żyje na tej ziemi.

- Niech to szlag! Czy ten jego spadkobierca znajdzie w tych wariackich rymach, czego my nie potrafimy dostrzec?

Ból mi dźwignymi Holendra narastał z każdym uderzeniem serca. Byłoby mu łatwiej, gdyby człowiek na drugim końcu kabli chociażby nie zdradził się z jakimś krętactwem, dał mu jakiś namacalny dowód nieuczciwości. Jednak niczego takiego nie zauważył, co znaczyło, że jakieś nieznane i przez to trudne do przewidzenia siły chcą naruszyć delikatną równowagę , w Dziale Handlu Diamentami Conminu, równowagę , nad którą Hugo van Luik pracował całe życie i którą osiągnął kosztem wielu zasad, ideałów i istniejących ludzkich.

Holender wyobraził sobie, co zaszło w odległej Australii. Zastanawiał się , czy Abe Windsor w końcu wyszeptał swój sekret w korzenie traw, kiedy umierał leżąc na ziemi. Te spekulacje i tak były bezużyteczne, ponieważ trawy nie mają uszu, żeby to usłyszeć , i ust, żeby to powtórzyć . Van Luik wiedział tylko, że Jason Street słyszał o spisanej własnoręcznie testamentie Abe'a i znał długie wierszydło zwariowanego starca. Wiedział też , że Windsor po pijanemu opowiadał o diamentach tak zielonych, jak głębi boki billaboong ocieniony

akacjami, i tak ró owych, jak sutki białej dziewczyny; o diamentach barwy i przejrysto ci destylowanej wody.

Poniewczasie ałował, e wiele lat temu nie dał Streetowi wolnej r ki i nie pozwolił mu wykorzysta jego zdolno ci do okrucie stwa. Australijczyk otworzyłby starego jak jesiotra i wydobył z niego połyskliwy kawior prawdy. A mo e, co byłoby nawet lepsze, u mierciłby go prosto i szybko, przez co na zawsze pogrzebałby tajemnic kopalni...

- Nikt nie jest w stanie udowodni , e ta kopalnia naprawd istnieje -odezwał si mi kko van Luik, nie zdaj c sobie sprawy, e mówi na głos. -Przecie ten starzec nie był całkiem zdrowy na umy le.

- Nie oszukuj si , kole -odparował Street. -Kopalnia istnieje. Nazywali go Szalony Abe, i słusznie, ale je li chodzi o diamenty, to nie znam zdrowszego faceta. One były jego dzie mi, kobietami, ojczyzn i bogiem. Przez te lata usłyszałem wiele kłamstw i bardzo mało prawdy. Ale kiedy Abe opowiadał o diamentach, to tak szczerze, jak na spowiedzi. To była prawda, chocia zupełnie niewiarygodna. Nigdy nie trzymałem w r ku tych diamentów z woreczka, ale zało si o wszystko, e były prawdziwe.

Cisza.

- Szesnasta zwrotka. Czytaj -odezwał si w ko cu van Luik. Tym razem Street si nie sprzeciwiał. Przedtem tylko si obawiał, e Abe Windsor wyjawi tajemnic kopalni komu innemu. Teraz miał ju pewno , e tak si stanie. Zaklinał si , e ten wiersz nie powie mu ju nic nowego. Mylił si .

Mo esz to wszystko mie .

Tylko po egnaj star kłódk

A powitaj moj królow .

Przejd tyle metrów, ile lat mnie okłamywano,

Obró si raz. Czy widzisz, co ci dano?

Głupi osioł

Nie znalazłby piasku na pustyni, tak samo jak ty

Van Luik czekał.

- Stara kłódka w rymowanym slangu oznacza prostytutkę - oznajmił Street zmierzonym głosem. W tej linijce tekstu nie znajdował nic nowego. -Nie nazywa się tak adna mapa ani adna działka czy dzierżawa starego Abe'a. "Królowa" to chyba kopalnia, prawda? -Holender się kni ci ko. -Jeśli chodzi o resztę zwrotki, to skoro nie wiemy, w jakim miejscu stanął ani ile lat okłamywano Abe'a, to te informacje na nic się nam nie przydadzą. Tak samo jak dalszy ciąg.

We map Tasmanii,

Znajdź dziewczynkę w łódce.

Dalej, wiostuj przed siebie.

- Mapa Tasmanii to tyle co cipek, a dziewczynkę w łódce to...

- Tak, tak, tak -przerwał mu niecierpliwie van Luik. -Czy to, co Abe zwraca się do swojego spadkobiercy, nasuwa ci jak nową interpretację wiersza?

Street zawahał się i westchnął.

- Nic podobnego, koleś. Absolutnie nic. Ale w tym, czy ółki by miały więcej szczęścia w rozszyfrowywaniu tych rymów. Szukali pewnie map albo próbek rud, czego, co naprowadziłyby ich na właściwy trop. To wielka stacja, a w dodatku Abe dzierżawił działki również w innych okolicach.

- Ale ten wiersz musi coś dla kogoś znaczyć. Spadkobierca Windsora może być w stanie go rozszyfrować -powiedział Holender. -To jest możliwe, do której nie wolno nam dopuścić.

- Wiecie, kto jest tym spadkobiercą?

- Jeszcze nie. Wkrótce go poznamy.

- Znajdźcie go -nakazał Street. -Ja się nim zajmę. Spokojna głowa, koleś. Kiedy spadkobierca zginie, kopalnie zostaną opuszczone i przejdą na własność państwa. Wtedy ja wystąpię o dzierżawę, wyzlecicie prawdziwe badania geologiczne i w końcu znajdziemy to złoto. Zdobędziemy nad nim kontrolę. Spokojna głowa.

- Nawet mając prawa do tych terenów, nie znajdziemy się

o krok bliżej do rozwiania zagadki, niż jesteście teraz.

- Spokojnie. Znajdźcie cholerny dziur. Potrzebuję tylko czasu i pieniędzy na sprzątnięcie.

Van Luik uśmiechnął się blade. Gdyby tylko to było takie proste. Ale nie było. Wszystko, co dotyczyło Kopalni piasku, okazało się skomplikowane. Wszystko. Diamenty stały się zarówno syrenim pieśnią, jak i śmiertelnym zagrożeniem od chwili, kiedy ujrzały światło dzienne.

Syreni pieśń okazała się fałszywą. Zagrożenie było nazbyt realne.

- Zastanowimy się nad twoją propozycją - oznajmił van Luik.

- Nie zastanawiajcie się zbyt długo. Ta operacja i tak jest już spóźniona.

W słuchawce zaszumiało, van Luik się rozłączył.

Rozdział czwarty

Mimo zawilości języka Cole'owi Blackburnowi wystarczyło jednokrotne przeczytanie umowy spółki. Miał niemal doskonałą pamięć. Była to szczególna właściwość umysłu, która czasami mu pomagała, ale jeszcze częściej przyczyniała się do cierpienia. W jego życiu zdarzyło się zbyt wiele rzeczy, o których wolałby zapomnieć.

Sama umowa była całkiem jasna. Zezwalała Cole'owi na zakupienie połowy udziałów w Blackwing Resources za sumę jednego dolara amerykańskiego. W zamian zobowiązywał się przekazać w posiadanie Blackwing połowę udziałów we wszelkich australijskich złóżach czy prawach do nich, które znalazłyby się w jego posiadaniu. W chwili obecnej Blackburn nie miał w Australii żadnych własności ani dzierżaw. Z drugiej strony, pięć lat temu, kiedy Cole sprzedał swoją połowę rodzinie Chen, wartość Blackwing wynosiła dziesięć milionów dolarów. Od tego czasu wartość spółki co najmniej się podwoiła.

Tre skomplikowanych prawniczych sformułowa dokumentu sprowadzała si do tego, e Cole'owi oferowano dziesi milionów dolarów w akcjach spółki w zamian za jednego dolara i uprawnienia wydobywcze, których nie posiadał. Umowa nabierała mocy prawnej w chwili, gdy Blackburn zło y pod ni podpis.

Wszystko było jasne, oprócz przyczyny, dla której składano mu tak ofert . Dlatego wła nie Cole przez ostatnie dziesi tna cie minut usiłował doj do tego, co si kryje mi dzy wierszami dokumentu. Oczywi cie, okoliczno ci rozwi zania spółki z Wingiem były niezwykle. Chenowie zapłacili mu pi milionów dolarów niejako w formie odszkodowania za utrat ukochanej, która nale ała do rodziny i była siostr Winga. Teraz klan Chenów, który kontrolował du cz Hongkongu i Macao, postanowił naprawi swój bł d.

Cole nie był prawnikiem, ale wystarczaj co znał si na takich sprawach, by zrozumie , e w umowie nie ma niedomówie , pułapek ani oczywistych czy ukrytych mo liwo ci, eby rodzina Chen odzyskała swoje 9 999 999 dolarów.

Cole odło ył nie podpisany dokument na biurko.

- Za wcze nie na prezenty gwiazdkowe.

Wing wzruszył ramionami.

- To nie jest prezent. Geolodzy współpracuj cy z Blackwing s zbyt nieudolni albo zbyt skorumpowani, eby znale to, na czym nam zale y.

- A co to takiego?

- Kopalnie diamentów -odparł zwi le Wing.

- Po co wam one? Macie z pół tuzina spółek w rejonie Pacyfiku, z których ka da osi ga wi ksze dochody, ni daje przeci tna kopalnia diamentów.

Wing ostro nie zatarł dłonie i potrz sn ł głów .

- Widziałe ostatnio ceny ropy? A złota? Miedzi? elaza? Uranu? Lec na łeb, jak mawiacie wy, Amerykanie. - U miechn ł si lekko, jakby upłyn ło du o czasu, odk d ostatni

raz u ywał ameryka skich wyra e .

- Diamenty te przechodziły trudny okres -odparował Cole. -To, co w osiemdziesi tym roku kosztowało sze dziesi t dwa tysi ce dolarów za karat, w tej chwili jest warte około dwudziestu tysi cy.

- Tak, ale spójrz na to z dalszej perspektywy. Przypomnij sobie, e w siedemdziesi tym czwartym te same diamenty kosztowały tylko cztery tysi ce trzysta za karat. Zaufaj mi, przyjacielu. Dokładnie zbadałem ten problem. Diamenty to jedyny towar, którego realna warto wzrosła w ci gu ostatnich pi dziesi ciu lat.

- Dzi ki kartelowi.

Wing westchn ł.

- Pracuj tam jacy cholerni geniusze, prawda? Na konferencjach Narodów Zjednoczonych kraje tylko si kłóc i nic nie robi . Na zebraniach Consolidated Minerals kraje dochodz do porozumienia i zarabiaj pieni dze. Conmin to jedyny monopol w historii, który ukierunkował wrodzon chciwo człowieka, zamiast j rozj trzy . Ceny rosn , ale wolno. Długoterminowa stabilno , a nie szybki zysk. Conmin w niemal chi ski sposób pojmuje czas.

- I władz .

- To te -zgodził si łagodnie Wing. -Przede wszystkim władz .

- Tak wi c rodzina Chen chce zdoby poszukiwacza diamentów, który nie ma adnych zobowi za wobec Conminu.

Wing przez chwil wygl dał na zaskoczonego. Od kiedy jego siostra Lai zerwała zar czyny z Cole'em, rzadko widywał geologa. Zd ył ju zapomnie , e umysł Amerykanina działa równie sprawnie, jak wysportowane ciało.

- Tak, wła nie tego chcemy -przyznał.

Cole usiadł wygodniej w skórzanym fotelu i słucał, co podpowiada mu instynkt. Od dawna polegał na jego głosie w sytuacjach i miejscach, gdzie w gr wchodziło co wi cej ni pieni dze. To instynkt nakazał mu odpowiednie na tajemniczy

telefon Winga i przyjecha do Darwin.

Instynkt... Albo niespokojny duch.

Cokolwiek to było, Cole chciał wysłucha swojego wewn trznego głosu. Wci do ko ca nie wiedział, o co chodzi Wingowi. ci le mówi c, nie wiedział, o co chodzi rodzinie Chen. Zauwa ył jednak, e dotkni cie zielonego kamienia dostarczyło mu najsilniejszych emocji od kilku lat.

Nasłuchiwał głosu wewn trznego, staraj c si wyłowi szept przestrzegaj cy go przed ukryt pułapk . Odczekał jeszcze minut . Nic nie usłyszał, oprócz przy pieszzonego bicia własnego serca. Znajdował diamenty i kopalnie na terenie całego wiata. Zyskiwał i tracił małe fortuny i wielkie maj tki. Jednak nigdy jeszcze nie znalazł diamentów, które dorównałyby zielonemu kamieniowi Winga.

Teraz dawano mu szans odnalezienia kopalni pełnej takich okazji, skarbca samego Pana Boga.

Cole wyj ł pióro z kieszeni i szybkimi, zamaszystymi ruchami nakre lił swoje nazwisko na umowie. Nic nie mówi c, zło ył papier i schował go do kieszeni na piersi. Potem z portfela wyj ł banknot dolarowy, przypi ł go do drugiej kopii umowy i poło ył z powrotem papiery na mahoniowym biurku.

- W porz dku, współniku -oznajmił. -Opowiedz mi teraz o tej kopalni, któr tak bardzo chcesz odnale .

Wing u miechn ł si z rozbawieniem.

- Rodzina Chen nie zatrudniła ci tylko dlatego, e jeste doskonałym poszukiwaczem, chocia niew tpliwie doceniamy twoje umiej tno ci. Wł czyli my ci w nasze zamierzenia, poniewa dostałe słowne przyrzeczenie od Abelarda Windsora, e dostaniesz pi dziesi t procent udziałów w Kopalniach pi cego Psa, jako pełn spłat długu, który zaci gn ł wobec ciebie w czasie całonocnej gry w karty.

Cole na chwil zaniemówił.

Nikły u mieszek Winga zamienił si w szeroki u miech triumfu. Pierwszy raz widział wyraz zaskoczenia na twarzy Cole'a.

- To było dwanaście lat temu -odezwał się Amerykanin. -
Chryste, przecie wtedy nawet się nie znali my!

Wing lekceważył co machnął ręką.

- Czy Windsor spłacił ten dług?

Cole wydał z siebie dźwięk zbyt szorstki jak na miech.

- To były czasy, kiedy Szalony Abe nie pamiętał, co robił
poprzedniego dnia. Był na to zbyt pijany. Ja też sporo piłem, tak
jak wszyscy na farmie.

- Czy wydał ci skrypt długu?

- Stary Abe nie był takim wariatem -o wiadczył sucho
Cole. -Poza tym, to nie była gra na serio. Po prostu zabijali my
czas w baraku na jego stacji, przeczekując pierwszą burzę pory
Deszczowej.

- To znaleziono w jego domu -powiedział Wing.

Ze słodkiej szuflady biurka wyjął kawałek zniszczonego,
postrzępionego papieru. Trzymał papier bardzo ostro nie za sam
róg, jakby bał się, że go pobrudzi... Albo nie chciał zostawić na
nim odcisków palców.

Cole nachylił się i odczytał wyblakłe pismo.

*Jestem winien Cole'owi Blackburnowi połowę udziałów w
Kopalniach piaseczki, ponieważ o jeden raz za duży
przegrałem z nim w karty.*

Podpis Abe'a Windsora i data widniały u dołu strony,
wypisane starannym, formalnym wiktoriańskim charakterem
pisma.

- Rodzina Chen pozwoliła sobie potwierdzić autentyczność
tego dokumentu u dwóch specjalistów grafologów, więc nie
musisz obawiać się kompromitacji -oznajmił cicho Wing. -
Nawet bez pisemnego za wiadczenia dług karciany byłby
ważny. Kiedy przedstawiś ten dokument, władze Australii
natychmiast uznają twoje roszczenia do kopalni.

- Tylko że ja tego nie zrobię -łagodnie, ale stanowczo
powiadomił go geolog. -Szalony Abe jest chytry i podstępny jak
osaczona miś, ale nigdy mnie nie oszukał. Nakarmił mnie, dał
mi schronienie przed deszczem i tyle piwa, że mogłem się w

nim k pa . -Ton Cole'a zmienił si na bardziej zasadniczy. - Widziałem Kopalni pi cego Psa numer jeden. Z tej dziury nigdy nie wydob dzie si nic oprócz burtu, przemysłowego miecia. Je li stary Abe znalazł ten skarbiec w którym z innych psów, to niech go sobie zatrzyma. Na pewno nie b d próbował pozbawi go połowy znaleziska całego ycia w imi jakiego długu karcianego, którego i tak nigdy nie brałem powa nie.

- Szalony Abe ju nie potrzebuje swoich kopal . Wczoraj znaleziono w buszu jego zwłoki.

Cole na chwil odwrócił wzrok. Kiedy znów spojrzął na Chi czyka, jego oczy miały kolor zimowego deszczu.

- Niech ten stary dra spoczywa w pokoju. Kiedy z nim w drowałem, miałem wra enie, e cofam si w czasie, co najmniej o sto lat, a nieraz nawet o kilka wieków. To był prawdziwie pierwotny człowiek, mimo kontynentalnego wykształcenia.

- S dz c po jego poezjach, taki wła nie był. Napisał mnóstwo wierszy, a wszystkie kiepskie.

Wing wyj ł zniszczone blaszane pudełko z gł bokiej szuflady biurka. Wewn trz znajdowało si kilka zapisanych kartek i cały blok czystego grubego papieru. Chi czyk wyj ł jedn z kartek i wolno przejrzał.

Cole u miechn ł si krzywo.

- Pisał poezje na metry. Który to wiersz?

- Co o tytule "Paw z Antypodów". Powiedziano mi, e wi tej pami ci Windsor uwa ał te dziwaczne strofy za co w rodzaju rymowanej mapy, przewodnika, który doprowadzi jego spadkobierc do zło a diamentów.

- Co takiego?

- Klucz do rozwi zania zagadki tajemniczej kopalni jest ukryty gdzie mi dzy tymi okropnymi rymami -oznajmił Wing i podał papiery Amerykaninowi.

Cole popatrzył na zapisane drobnym pismem linijki. Przeczytał wybran przypadkowo zwrotek :

Kiedy roos skacz po ziemi,

Blaszane pudełko Grzechocze pod nimi.

Podniósł wzrok znad papieru.

- "Blaszane pudełko" to interesuj ca przeno nia, ale ten wiersz jako mapa okre laj ca poło enie skarbu pozostawia wiele do yczenia.

- Jest tego wi cej -powiedział Wing, na pró no staraj c si stłumi nadziei pobrzmiwaj c w jego głosie. -Obawiam si jednak, e reszta jest równie niezrozumiała i zawiła.

- Mo e to po prostu brednie wariata. Nie dlatego nazwali Abe'a Szalonym, e nie potrafili wymy li trafniejszego przydomka. Staremu brakowało nie tylko pi tej klepki, on dawno stracił wszystkie.

Wing westchn ł ci ko.

- To wła nie podejrzewali my. Mieli my nadziei , e te wiersze co ci powiedz .

- A je li odnajd kopalnie, to według kontraktu, który wła nie podpisałem, połowa moich udziałów nale y do ciebie, jako współwła ciciela Blackwing Resources. Krótko mówi c, rodzina Chen liczy, e znajd dla ciebie skarbiec Szalonego Abe'a. -Wing skin ł głow . -W takim razie wła nie stracił dziesi milionów dolarów, które na mnie postawił -ci gn ł spokojnie Cole. -By mo e ten skarbiec istnieje, ale jestem absolutnie pewny, e nie jest nim pi cy Pies numer jeden. To komin kimberlitowy, nie zło e wtórne. Diamenty z tej kopalni nie zostały wymyte ze skały przez wod . Trzeba wydobywa całe odłamy skalne i kruszy je, eby si dosta do diamentów. Surowiec to małe diamenty o ostrych kraw dziach. W dziesi dziesi ciu pi ciu procentach klasy przemysłowej.

Wing nie reagował. Cole chrz kn ł zniecierpliwiony. Jego nowy współnik nie rozumiał, na czym polega ró nica mi dzy nadzwyczajnymi, wspaniałymi kamieniami z tej zniszczonej welwetowej sakiewki i przewa nie bezwarto ciowym mieciem, który Szalony Abe wydobywał ze swoich Kopal pi cego Psa. Jak dla wi kszo ci ludzi, dla Winga diamenty to były po prostu diamenty -najpi kniejsze z klejnotów, najbardziej warto ciowe

kamienie pod sło cem.

- Wing, najwi kszy diament, jaki Abe wydobył z Psa numer jeden, wa ył mo e czterna cie karatów, miał skazy, p kni cia, barw i czysto lurowatej kawy.

Chi czyk nie odpowiadał. Cole pochylił si do przodu.

- Nie słuchasz mnie. -Wyj ł umow z kieszeni na piersi i rzucił na biurko. -Podrzyj to, a przy okazji spal ten podrobiony rewers. Nie zamierzam nabiera rodziny Chen na dziesi milionów dolarów.

- Uwa amy je za inwestycj .

- Inwestujecie w przemysłowe diamenty? -zapytał ironicznie Amerykanin.

- Nie, w przyszło .

Cole zdał sobie spraw , e Chi czyk mówi powa nie, co znaczyło, e rodzina Chen jest gotowa na zainwestowanie milionów w nadziei na zyski w odległej przyszło ci. Mogła by tylko jedna przyczyna, dla której decydowali si na tak wielkie ryzyko. Kto był przekonany, e ten skarbiec naprawd gdzie istnieje.

- Dlaczego wierzysz, e ja potrafi odnale t kopalni , skoro nie udało si to rodzinie i jej współpracownikom? zapytał Amerykanin.

- Sk d wiesz, e nam si nie udało?

Cole spogl dał na niego ironicznie i z rozbawieniem.

- Gdyby istniała najmniejsza szansa, e sami dacie sobie rad , nie wzywaliby cie mnie. Byli my współnikami, ale nigdy nie robili my sobie prezentów wartych miliony dolarów. Znasz mnie i ja znam ciebie. Przesta wygadywa bzdury i powiedz mi, o co tu chodzi.

-Spadkobierc Windsora jest dziewczyna. Kobieta.

- Jest wielka ró nica mi dzy dziewczyn a kobiet - zauwa ył chłodno Cole.

- Tylko dla Amerykanina. -Wing wzruszył ramionami. - Dla mnie to tylko nie spełniona istota płci e skiej.

- Czego jej brakuje?

- M czyzny.
- Nie słyzała , e nowoczesnej kobiecie m czyzna jest potrzebny jak w owi narty?

Wing roze miał si cicho.

- Ona nie nale y do tych chłodnych kobiet, którym zale y tylko na władzy. Kiedy była zar czona. Najprawdopodobniej ma normalne potrzeby, chocia w tej chwili je tłumi.

- Co si wydarzyło?

- Według oficjalnej wersji narzeczony doszedł do wniosku, e nie jest jeszcze gotowy do mał e stwa.

- A mniej oficjalnie? .

- Był szpiegiem, agentem sowieckiego wywiadu i próbował wykorzysta dziewczyn , eby zdoby doj cie do tajnych informacji. Jej ojciec i brat pracuj dla CIA. To si zdarzyło prawie siedem lat temu. Miała wtedy dwadzie cia lat. Od tego czasu trzyma si z dala od m czyzn.

- M dra kobieta.

- Z przeszło ci mo na si wiele nauczy . -Wing zawahał si i dodał łagodnym tonem: -Ta młoda istota prawdopodobnie stała si zbyt ostro na. To samo mo na by powiedzie o tobie.

Cole zacisn ł wargi w cienk lini . Obaj z Wingiem rozumieli, e ta uwaga odnosi si do Chen Lai, siostry Winga, kobiety wyj tkowo pi knej i niesko czenie zdradzieckiej.

- Ju dawno si nauczyłem, e diamenty s bardziej stałe ni kobiety.

- I bardziej kusz ce? -podpowiedział Chi czyk.

Cole nie zareagował.

- Gdyby kobieta stan ła mi dzy tob a tym skarbcem Pana Boga, to co by zrobił?

Przez chwil Cole my łał o połyskliwym zielonym kamieniu.

Był tak niezwykle pi kny i rzadki, e jego warto przekraczała ka d cen w dolarach.

Nie czekaj c na odpowied , Wing si gn ł do kieszeni i wyj ł fotografi wielko ci dłoni. Poło ył błyszcz ce kolorowe zdj cie

przed Cole'em, tu obok diamentów. Amerykanin spojrział na nie jak pokerzysta spogląda na ostatni kart -jednym uważnym, pozbawionym wszelkiego wyrazu rzutem oka.

Kobieta na zdjęciu miała długie, lśniące włosy o barwie mahoni. Tam, gdzie wypływały od słoneczka, paliły się kasztanowate błyski. Jej skóra nie była ani jasna, ani ogorzała. Miała złotawy odcień, który świadczył raczej o aktywnym życiu niż o wielogodzinnym wylegiwaniu się na plaży. Usta były miękko zarysowane, pełne i uśmiechnięte. Oczy jaśniały zielonkawo, która przypominała Cole'owi barwę diamentu.

Przypomniawszy sobie, co Wing powiedział o dziewczynie i niespełnionej kobiecie. .

- To ma być nie spełniona istota płci żeńskiej? W tym - oznajmił. - Wygląda mi na prawdziwą kobietę. Spójrz tylko na te delikatne napięte rysy twarzy, jak pierwotna, zwierzęca czujność, która wyłazi z jej oczu. Widam w nich tę niewinność, jak nieskażona czystość, pozostał jeszcze z czasów, kiedy nie znała języka prawdy i kłamstwa.

Wing w zdziwieniu uniósł brwi.

- To dobra fotografia, ale chyba nie mówiła tyle?

- Znam ją - wyjątkowo otwarcie Cole.

- Skąd? Jak?

- Osobiście nigdy jej nie spotkałem, ale widziałem jej prace. Rozpoznałem ją ze zdjęcia na okładce jej albumu fotograficznego "Arktyczna Odyseja". Ale autorką tych zdjęć jest niejaka Shane, nie Windsor.

- To jest Erin Shane Windsor - powiedział Wing. - Wnuczka brata Abelarda Windsora.

Cole na chwilę zamarł w bezruchu, przypominając sobie niektóre z jej zdjęć. Jednocześnie nie brzmiało mu w uszach niesamowite, harmonijne wycie wilków nad zlodowiałą tundrą. W wilczej pieśni zawierała się prawda, którą znajdywały tylko dzikie zwierzęta i może nie o niespokojnym duchu. I kilka kobiet. Bardzo niewiele. Erin Shane Windsor był jedną z nich.

Wyczuł to z jej fotografii. Przyci gały go, przykuwały uwagę i wstrząsały nim.

Odkrycie "Arktycznej Odysei" było jednym z niewielu przyjemności Cole'a w ostatnich latach. Nawet teraz intensywna zmysłowość tych zdjęć pozostawała w jego pamięci wyrażona, a obrazy lodu, niegu, aksamitnych cieni i barw niemal wołały, aby ich dotknąć. Jeszcze coś uderzyło go w tych fotografiach. Autorka miała nieomyślnie wycucie równowagi między miernictwem a wyciem, ciemnością a światłem, lodem a ogniem. Jej prace robiły mocne wrażenie, nie odwołując się do sentymentalizmu, przemawiała przez nie inteligencja, a nie chęć przypodobania się oglądającym.

- Nie stawiałbym dziesięciu milionów dolarów na to, że uda mi się uwieść Erin Shane Windsor -oznajmił Cole. -Jej fotografie sugerują, że nie jest ani głupia, ani naiwna. W dodatku to bardzo atrakcyjna kobieta, która na pewno się nie nudzi.

- Czy już uwieździesz, czy nie, to już twoja sprawa. Masz już ostrzec przed miernictwem do czasu, kiedy rozwiśnie zagadkę Szalonego Abe'a. Dopóki ty sam nie znajdziesz tej kopalni. Potem panna Windsor nie ma dla nas żadnego znaczenia. Tylko kopalnia się liczy i za wszelką cenę musi być chroniona.

- Nawet kosztem życia Erin Windsor?

- Jej życie, twoje, mojego własnego też. W porównaniu z nimi wszystko inne to błahostka.

Cole zmierzył Winga wzrokiem. Te słowa nie pasowały do starannie wykształconego absolwenta Harvardu, a raczej do Chen Li-tsao, wuja Winga. Chen senior był zdolny do umniejszania wartości ludzkiego życia, jeśli w grę wchodziła władza. Wing dawniej taki nie był. Wydawał się łagodniejszy, zmierzony przez zachodnią edukację. Cole słyszał raz, jak wuj Li na to narzekał.

Widocznie przez ostatnie pięć lat Wing się zmienił.

- Rodzina Chen pracuje nad tymi sprawami od wielu lat, prawda? -zapytał spokojnie geolog.

- Od kiedy upewnili my się, że Brytyjczycy chcą rzucić Hongkong na pastwę chińskich ideologów. Jeden z moich wujów mieszkał z Abelardem Windsorem długo, więc go znałem.

Cole poszukał w zachowanych w pamięci obrazach.

- Kucharz. Ten, którego Abe zawsze nazywał "wyjtkowo paskudnym ółtkiem". Był tam tej nocy, kiedy się razem upili my. To od niego dowiedziały się o karcianym długu.

Wing nie odpowiedział.

Cole w milczeniu porządkował fakty i ogarniał sytuację.

Nasuwał się jeden, zapierający dech w piersiach wniosek.

- Niech to szlag! -zaklął cicho, patrząc na Winga z rosnącym podziwem. -Chcecie wysadzić z siodła kartel diamentowy. Wiedziałem, że rodzina Chen jest ambitna, ale nie przypuszczałem, że odważy się sięgnąć po władzę nad wiatem.

- Nie nad wiatem, tylko nad Consolidated Minerals.

- Na jedno wychodzi. Kartel, który trzyma na krótkiej smyczy Wuję Sama i Sowietów, potrafi roznieść w pył klan z Hongkongu.

- Kartel ma tak władzę dzięki diamentom -oznajmił spokojnie Chińczyk. -Według niego, w obecnej chwili dla międzynarodowej równowagi sił diamenty mają takie samo podstawowe znaczenie, jak bomba atomowa, którą zdetonowano w Alamogordo niemal pół wieku temu. Jednak w przeciwieństwie do bomby diamenty są narzędziem subtelnym. Pozwalają wywierać delikatny wpływ, a nie grozić zagładą.

Cole uśmiechnął się blade.

- Znana teoria władzy. Nie ważne, co posiadasz, tylko co możesz kontrolować.

- Właśnie -potwierdził zaskoczony Wing. -Raczej dyplomacja niż wojna. Pośredni wpływ, a nie atak. Diamenty dają władzę, nie wzbudzają nienawiści. Jak można nienawidzić władcy, którego nie słycha, nie widzi ani nie można go nazwać?

- Ja potrafię go nazwać. To diamentowy tygrys. Uwaga,

Wing. Mo esz spa z jego grzbietu a wtedy zostaniesz po arty.

- Mog te go uje dzi i zosta władc -odparł Chi czyk.

- To zawsze kusi, prawda?

- Sam powiniene to wiedzie . Ju go kiedy dosiadałe .

- Niezupełnie. -Cole wzruszył ramionami. -Przynajmniej nie tak, jak ty zamierzasz. Mi dzynarodowe rozgrywki o władz zupełnie mnie nie interesuj .

- Ale kiedy si w nie anga owałe i gra szła ci doskonale.

- Dopóki nie nauczyłem si , jak zmusi ludzi, eby zostawili mnie w spokoju -odparł Blackburn.

Wing u miechn ł si .

- Tylko Amerykanie wierz , e s wolni. To ich wyró nia spo ród innych nacji.

Cole nie zwracał uwagi na jego słowa. Patrzył na zdj cie Erin Shane Windsor. Zanim kazano mu wybiera , powiedziała by bez wahania, e tajemnicza kopalnia diamentów warta jest ka dej ceny.

Teraz miał dokona wyboru, a odpowied okazała si równie zaskakuj ca, jak pi kno zielonego kamienia. ycie kobiety, która stworzyła "Arktyczn Odysej ", było warte o wiele wi cej, ni s dził Wing. Cole zdał sobie z tego spraw i zaraz przyszła mu do głowy kolejna my l. Je li Erin Shane Windsor, spadkobierczyni Szalonego Abe'a, ma uj z tej przygody z yciem, to potrzebuje wszelkiej mo liwej pomocy.

Cole znał rodzin Chen. Je li on odrzuci ofert wuja Li, klan podrobi nowy skrypt dłu ny i przedstawi go jako przyn t nast pnemu poszukiwaczowi z ich listy, człowiekowi, który najprawdopodobniej nie doceni tych fotografii dzikiej przyrody, docieraj cych do samego dna duszy.

Cole bez słowa wzi ł rewers i zdj cie Erin z biurka. Wło ył je do kieszeni, uwa aj c, eby nie patrze na fotografi . Nie chciał znów dostrzec niewinno ci, utrwalonej tak mocno w charakterze dziewczyny, jak jej ostro ne podej cie do wiata. Czy o tym wiedziała czy nie, zarezerwowano dla niej miejsce na grzbiecie diamentowego tygrysa, gdzie obowi zywała tylko

jedna zasada: nie spadnij, bo ci, którzy spadaj , zostaj po arci.

A niewinni zawsze spadaj pierwsi.

- W porz dku, Wing. Powiedz wujowi Li, e znalazłe mu odpowiedniego człowieka.

Rozdział pi ty

Z powodu wiatru wiej cego przez nieck Los Angeles od Santa Ana samolot linii Quantas, którym leciał Cole Blackburn, był zmuszony podej do l dowania od zachodu. Teraz, cztery godziny pó niej, wiatr nieco osłabł. Góry San Gabriel, na wschodnim kra cu doliny, wci były dobrze widoczne, ale zepchni ty nad morze smog zacz ł znowu napływa w gł bokie kaniony centralnych ulic, mi dzy wysokie domy. Ska one powietrze nadawało niebu wyj tkowo nieprzyjemny pomara czowy kolor.

Cole przetał oczy, usiłuj c usun zm czenie wywołane dwoma lotami transoceanicznymi. Z okna trzydziestego ósmego pi tra przygl dał si Los Angeles. Królewskie miasto wybrze a Pacyfiku rozpo cierało si wokół niego jak makieta architektoniczna. W pobli u znajdowały si siedziby połowy głównych banków południowego zachodu Stanów i biurowce, na których widniały znaki najpot niejszych z "siedmiu sióstr". W przeciwie stwie do kartelu diamentowego, władcy handlu rop naftow byli mile widziani w Stanach Zjednoczonych. Cole wiedział, e te dwa kartele działaj w sposób niemal identyczny; ró nica polegała jedynie na tym, e ropa to surowiec niezb dny, a diamenty s luksusem.

Tu za wie owcami, przy Hill Street, na długo ci czterech przecznic znajdował si Jewelry Mart, na którym stały stare budynki biurowe i błyszcz ce nowo ci drapacze chmur. Jewelry Mart to po Manhattanie najwa niejszy o rodek handlu złotem i drogimi kamieniami.

Gar diamentów w teczce Cole'a podziiała jak granat

wrzucony w rodek tej dzielnicy.

Umiechaj c si na myl o takiej perspektywie, geolog opu cił długie metalowe aluzje, eby odci si od miejskiego zgiełku, i si gn ł po kubek z kaw w nadziei, e kofeina pomo e mu si skupi . Czuł si troch zdezorientowany, jakby zostawił jak cz umysłu gdzie nad pustym Oceanem Spokojnym.

Zwin ł mapy, które le ały na szerokim drewnianym stole, po kolei chował je do tub i odkładał na półk . Niemal całe ostatnie dwie godziny sp dził na studiowaniu najlepszych w Blackwing map Australii Zachodniej. Szukał cho by cienia jakiej wskazówki, najmniejszego tropu, który podpowiedziałyby mu, gdzie mo e si znajdowa tajemnicza kopalnia Szalonego Abe'a. Poszukiwania sp eżyły na niczym. Mapy Blackwing miały przede wszystkim wskazywa położenie złó rud metali - elaza i niklu, uranu i złota. Było na nich bardzo mało danych geologicznych pozwalaj cych na zlokalizowanie diamentów.

Cole zerkn ł na zegarek, ale jego wzrok przyci gn ł egzemplarz "Arktycznej Odysei", który le ał otwarty na biurku. W ci gu ostatniej doby ci gle przegl dał ten album, jakby był w stanie jako pomóc mu zrozumie kobiet , z któr za chwil miał si spotka . Najbardziej przykuwała jego uwag jedna fotografia, zajmuj ca dwie strony. Przedstawiała wit i tundr , lód i dzikie g si na gnie dzie. "Niepewna wiosna" mogłaby by banalnym obrazkiem, przedstawiaj cym odradzanie si przyrody wraz z wiosn , ale autorce udało si tego unikn . Zdjęcie ukazywało arktyczny poranek i wisz ce na włosku ycie.

I Cole wolno przesun ł palcami po fotografii, jakby chciał nie tylko j zobaczyć , ale i wyczu kształty. Zdjęcie uchwycił9 mro ny wit u progu lata. W tle, widoczne poprzez smugi niesionego wiatrem niegu, przypominaj ce bardziej cienie duchów ni ywe stworzenia, dorosłe g si rozplaszczaly si na ziemi, chroni c własnym ciałem swoje gniazda.

Na pierwszym planie, pod lodowym całunem, le ało piskl , które miało nigdy nie poczu ciepła wschodz cego sła ca.

mier tego małego stworzenia wywoływała ból, tak samo jak

pi kno budz cego si dnia i determinacja g si, z jak chroniły pozostałe piskl ta.

Patrz c na fotografi , Cole czuł, e Erin Windsor poznała prawd o ulotno ci i absurdzie ycia. Miał tylko nadziei , e dowiedziała si te czego o warto ci ycia, wł cznie ze swoim własnym. Je li tak si stało, powinna z wdzi czno ci przyjąć ofert Blackwing -trzy miliony dolarów w zamian za udział w australijskiej kopalni diamentów, która by mo e nawet nie istnieje.

Zastanawiał si , czy Erin zrozumie, jakie niebezpiecze stwo wynika z wej cia w posiadanie unikalnej kopalni diamentów, której wydobywania Conmin nie mógłby ani kontrolowa , ani przebić zapasami swojego londy skiego skarbcza. Z pewno ci Matthew Windsor zda sobie spraw z sytuacji, w jakiej znalazła si jego córka. Ka dy zawodowy analityk słu b specjalnych potrafiłby oszacowa gro ce jej niebezpiecze stwo z dokładno ci do ostatniego dolara, najmniejszej kropli adrenaliny i krwi.

Geolog miał nadziei , e Erin, nawet w wieku dwudziestu siedmiu lat, wci jeszcze słuca rad ojca. Je li tak, to z zadowoleniem przyjmie ofert Blackwing. Je li nie, zapłaci za to strasz n cen .

Zerkn ł na swojego Rolexa, a potem na tanie blaszane pudełko, w którym spoczywały bezcenne klejnoty i bezwarto ciowa poezja. Włó ył pudełko do teczki zaopatrzonej w zamek szyfrowy i kajdanki. Z kwa nym u miechem zapi ł stalow bransoletk wokół lewego nadgarstka. Wiedział, e to raczej on jest wi niem teczki, a nie odwrotnie. Potem wyszedł z biura, zamykaj c za sob drzwi na klucz.

Na trzydziestym ósmym pi trze wie owca Blackwing mie ciły si biura dyrektorskie. Budynek był ekskluzywny i dyskretny, jak sama firma. Cole zjechał wind na parter i znów wtopił si w codzienny ruch centralnego Los Angeles. Inne biura w gmachu wypuszczały codzienn porcj pracowników. W holu roiło si od urz dników, ekspertów ró nych dziedzin i

brokerów.

Blackburn z przypiętymi do ręki teczkami nie zwracał niczyjej uwagi. Oprócz biur Blackwing w budynku miało swoje siedziby. Kilkanaście firm handlujących drogimi kamieniami i biuteriami.

Ludzie wielu narodowości i wszystkich ras co chwila przechodzili przez drzwi wejściowe, niosąc podobne teuczki. Był to jeszcze jeden dowód tego, że Chen Li-tsoo starannie wybrał pozycję, z której jego firma zaatakuje diamentowego tygrysa.

Czarna limuzyna marki Mercedes czekała przy krawężniku.

Kierowca opierał się o wypolerowany przedni błotnik, czekając z profesjonalnym obojętnym wyrazem twarzy na pasażera. Kiedy Cole wyłonił się z gmachu, kierowca wyprostował się i otworzył tylne drzwi limuzyny.

- Dzień dobry, panie Blackburn. Tak jak zaplanowane, jedziemy do Beverly Hills?

- Tak.

Kierowca był młodym, atletycznie zbudowanym Chińczykiem o dłoniach stwardniałych od uprawiania sztuk walki. Mówił z niedbałym akcentem charakterystycznym dla południowej Kalifornii. Bez zagłębienia do jego prawa jazdy Cole wiedział, że nazwisko młodego człowieka brzmi Chen. Jedną z gałęzi tej rodziny osiadła w Ameryce w czterdziestym dziewięćciu roku.

Kierowca ominął autostradę do Santa Monica, gdzie popołudniowy strumień samochodów już zaczynał się zagęszczać. Trzymając się miejskich dróg, limuzyna w dwadzieścia minut dotarła do Beverly Hills. Właśnie zaczynały się zapalać światła w wysokich wieżach wzdłuż Wilshire Boulevard i w butikach przy Rodeo Drive, kiedy Mercedes zatrzymał się pod markizą hotelu Beverly Wilshire; szwajcar w uniformie otworzył drzwi samochodu.

- To może chwilę potrwa - oznajmił Cole kierowcy.

- Jestem do pana usług. Kiedy pan skończy, będzie tu czekał.

Cole nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Chenowie nie

mogli spuścić z oka konia, na którego postawili dziesięć milionów dolarów.

Rozdział szósty

Niezadowolona Erin Windsor siedziała na obitym brokatem fotelu w kcię zafalowanego holu, obserwując, jak ludzie z eleganckiego towarzystwa i ci, którzy się zawsze wokół nich kręcili, wlewają się do wspaniałego hotelu. Wolałaby jakiś mniej ekskluzywny hotel niż Beverly Wilshire i mniej pretensjonalne okolice niż Beverly Hills, ale pokój zarezerwowała dla niej firma prawnicza. Widocznie chciała zrobić na niej wrażenie. Tammy I rozbawiła Erin. Chociaż zdecydowała się opuścić Arktykę, wystawno cywilizacji nadal jej nie bawiła: nudziła ją, a nawet irytowała.

Chyba żeby szybciej upłynął czas oczekiwania, próbowała sobie wyobrazić siebie w roli właścicielki jakiegoś odległego rancza w Australii. Chociaż fascynował ją rejon Oceanu Spokojnego, nigdy nie odwiedziła tego kontynentu. A teraz James Rosen, prawnik rodzinny, który prowadził bardzo dochodową praktykę w gmachu Century City, powiadomił ją, że została właścicielką "stacji" i kilku działek, na których znajdują się złoża mineralne. Wszystko to było spadkiem po Abelardzie Windsorze, stryjecznym dziadku, o którym nigdy przedtem nie słyszała. Rosen pokazał jej na mapie, gdzie znajdują się tereny Windsora, a nawet udało mu się zdobyć kilka fotografii stanu Zachodnia Australia.

Ze zdjęć jasno wynikało, że wyznana Kimberley nie jest miejscem gościnnym. Tam żyje chuderlawe bydło krótkorogiej rasy Kimberley i egzotyczna fauna, w skład której wchodzi kangury, drapieżne kanię o długich ogonach i niezwykle jadowite węże i mulga. Erin z przyjemnością zauważyła, że nie ma tam cywilizacji.

Podobało się jej to, szczególnie teraz, kiedy miała się

po wi ci długotrwałej pracy nad zleceniami w Europie.

Jednak informacje Rosena były bardzo pobieżne. Kiedy znużyły go jej pytania, oznajmił, że Cole Blackburn, kurier, który dostarczy jej testament Abelarda Windsora, rozwieje wszystkie w twój sposób.

Erin znów bezwiednie zaczęła obserwować tłum. Zastanawiała się, jak wygląda Blackburn. Rosen niewiele o nim wiedział, oprócz tego, że jest geologiem reprezentującym firmę prawniczą, zajmującą się nadzorem nad posiadłościami Windsora, która posiada biura w Australii i Hongkongu. Naciskany przyznał, że ta sytuacja jest niezwykła, ale nie ma powodu do niepokoju. Ta firma ma doskonałą opinię.

Mimo to Erin specjalnie wybrała dobry punkt obserwacyjny, oddzielony od tłumu w holu tak, że mogła rozpoznać Cole'a, zanim on ją dostrzeże. Ta decyzja nie została podjęta w pełni świadomie. Erin zawsze starała się tak urządzić spotkania z nieznanymi mężczyznami, żeby nie mogli jej zaskoczyć. Wynikało to z ciężej z wrodzonej powściągliwości, a nie z ostrożności, której nauczyła się kosztem wielkiego cierpienia.

W holu roiło się od podróżnych z bagażami i ludźmi biznesu, niosących skórzane aktówki. Wielu mężczyzn było opalonych i wyglądało zamożnie, ale żaden z nich nie patrzył badawczo na twarze przechodzących, jak ktoś, kto ma tutaj spotkanie z nieznajomym. Przez chwilę Erin zdawało się, że sportowo ubrany blondyn z dużym skórzanym plecakiem może być Blackburnem. Długowłose i ogorzałe, przypominał jej geologów z Alaski spędzających większość dnia pod gołym niebem. Był przystojny, miał subtelne rysy twarzy i łagodny uśmiech. Wyglądał na nowoczesnego mężczyznę, który nie obnosi się ostentacyjnie ze swoim majątkiem. W towarzystwie takich mężczyzn najczęściej przebywała, kiedy znajdowała się w Nowym Jorku czy w Europie.

Młody człowiek przez kilka minut stał przy recepcji i wyraźnie wypatrywał kogoś w tłumie. Erin już miała opuścić

swoje schronienie i mu si przedstawi , kiedy jaka oszałamiają ca kobieta w rednim wieku, ubrana w wieczorow sukni , rzuciła si w ramiona młodzie ca. Erin rzadko ogl dała telewizj na Alasce, ale natychmiast rozpoznała w nowo przybyłej gwiazd najpopularniejszego cotygodniowego serialu, która grała w nim czarny charakter. Z bliska wygl dała na co najmniej dziesi lat starsz ni jej towarzyszy.

Para gaw dziła przez chwil , a potem rami w rami poszła do baru, gdzie ju trwało przyj cie. Erin wydało si , e aktorka trzyma młodzie ca pod rami w wyj tkowo władczy sposób, jakby si nim chwaliła niczym małym rasowym pieskiem. Nawet je li chłopakowi to nie odpowiadało, nie dawał tego po sobie pozna .

Ale przecie pieski kanapowe rzadko pokazuj kły. Krytyczne my li Erin nie odzwierciedlały si na jej twarzy.

Kiedy para j mijała, zauwa yła, e opalenizna młodego człowieka jest zbyt równa i musi pochodzi z salonu kosmetycznego, a na jego gładkiej twarzy nie ma ani jednej mimicznej zmarszczki. Skórzany plecak równie był tylko cz ci stroju, obliczon na efekt; drogiej skóry nie znaczyła adna wypukło ani zadrapanie. Młodzieniec szedł krokiem człowieka, który podró uje głównie taksówkami.

Kiedy tylko para znikn ła, wzrok Erin przyci gn ła ciemna plama na tle jaskrawo ubranego tłumu. Był to kruczowłosy m czyzna w czarnej jedwabnej marynarce i białej rozpi tej pod szyj koszuli. Jego skóra nabrała br zowego odcienia raczej od sło ca i wiatru ni od wylegiwania si w solarium. Szedł z nie wiadomym wdzi kiem dzikiego zwierz cia. Do nadgarstka miał przypi t czarn skórzan teczk .

Spogl dał prosto na ni .

Przez chwil Erin reagowała na jego widok przy pieszonym biciem serca, w typowo kobiecy sposób. Potem instynktowna reakcja ust piła irytacji i zło ci zabarwionej odcieniem strachu. Ten swobodnie kroczy w jej stron nieznamy o przenikliwym spojrzeniu i pot nej sylwetce nale ał do typu

m czyzn, którym nie ufała. Był drapie nikiem, jak jej ojciec i brat.

Jak Hans.

Erin starała si , eby nie spostrzegł, jakie uczucia w niej budzi, poniewa wiedziała, e s irracjonalne. Spotyka si z nim wył cznie w interesach, on jest tylko kurierem, chłopcem na posyłki.

Szedł w ten k t holu, gdzie skryła si za zielonymi li mi przed gwarem tłumu. Jednak przed nim nie zdołała si ukry .

Bez wahania podszedł do niej, kiedy wstała, eby go powita . Ju w drzwiach bez trudu wyłowił j z tłumu. Jej naturalne kasztanowe włosy l niły jak płomie ogniska w ród bladych wiec na tle farbowanych i tlenionych fryzur eleganckich dam z towarzystwa. Miała na sobie czarn bawełnian bluzk i spodnie, które wygl dały jak przed chwil wyj te z walizki. Kontrast mi dzy ciemnym strojem, rudawymi włosami i jasn , gładk skór przykuwał uwag , ale Cole podejrzewał, e ubranie dziewczyny zostało wybrane przez wzgl d na wygod w podró y, a nie dla efektu.

Erin zrobiła krok do przodu i skin ła głow , jakby potwierdzaj c, e jest wła nie t osob , z któr Cole ma si spotka . Kiedy si poruszyła, skl ł si w duchu. Miał wra enie, e wpadł w zasadzk .

Martwa fotografia oddawała tylko niewielk cz prawdy.

W ruchach dziewczyny było co , co pobudziło zmysły Cole'a. Nie czuł nic podobnego od czasu, kiedy spotkał Chen Lai, z jej czarnymi oczami, złot skór i tajemniczym u miechem. Chen Lai, słodka pułapka, z której cudem uszedł z yciem, poniewa dał tej dziewczynie z siebie wi cej, ni powinien. Pomylił zwykłe po danie ze skomplikowanym uczuciem miłoci. Popenił bł d, ale nigdy wi cej go nie powtórzy.

Zbli aj c si do Erin, Cole uwa nie si jej przygl dał, sprawdzaj c, czy dziewczyna jest wiadoma zmysłowej gracji,

kryj cej si w jej ruchach. Je li nawet tak było, nie zdradzała si z tym. Nie zerkała na boki, eby si upewni , czy m czy ni wokół reaguj na jej widok. Nie dostrzegł na jej twarzy ladu makija u ani czerwonego lakieru na paznokciach. Nie odrzucała kokieteryjnie włosów, a wszystkie guziki bluzki były zapi te. Zmysłowo Lai była starannie wypracowana. U Erin była całkiem naturalna, co jeszcze dodawało jej powabu.

W dodatku jej oczy miały ten sam niewiarygodny odcie zieleni co diament, za który dwoje ludzi oddało ju ycie i bez w tpienia w przyszło ci jeszcze si to powtórzy.

Na t my l Cole u miechn ł si krzywo. Widział, jak ludzie umieraj za rzeczy o wiele mniej konkretne ni diament o barwie kwintesencji lata. Ideologia, teologia, polityka ... adnego z tych poj nie dało si poci , oszlifowa i poło y na dłoni człowieka, eby tam połyskiwał zielonkawo i pobudzał do marze .

- Erin Windsor? Jestem Cole Blackburn.

Oczy Erin rozszerzyły si ze zdumienia, kiedy geolog stan ł tu przed ni . Nie spodziewała si , e jest a tak pot nie zbudowany. Cole nie był zaskoczony tak reakcj . Czekał z wyci gni t dłoni , a dziewczyna si ocknie.

- Witam, panie Blackburn -powiedziała i natychmiast wy- pu ciła jego dło . -Spodziewałam si ... e b dzie pan wygl dał inaczej. James Rosen, mój prawnik, powiedział mi, e jest pan kurierem.

- Nazywano mnie ju gorzej. Czy mo emy gdzie porozmawia na osobno ci?

- Czy to konieczne?

W zruszył ramionami.

- Nie dla mnie. Pomy lałem sobie jednak, e wolalaby pani by sama, kiedy b d pani wr czał ponad milion dolarów w diamentach.

- Pan artuje -odparła zaskoczona.

- Czy wygl dam na komika? -Cole podniósł r k , w której trzymał teczk , i pokazał zabezpieczaj ce j kajdanki. -Je li pani

chce, mogłaby pokazać te diamenty tutaj, ale doradzałbym bardziej ustronne miejsce.

Erin szybko podjęła decyzję, kierując się instynktem przetrwania, który mocno się w niej wyrobił w Arktyce. Zaproszenie Cole'a Blackburna do hotelowego pokoju wydawało się mniej ryzykowne, niż przejmowanie milionowej fortuny w diamentach w tłoczonym holu.

- Mój pokój jest na dziesiątym piątym - oznajmiła i ruszyła do windy.

Cole podął za nią. Powtarzał sobie, że dawno wyrósł już z wieku, w którym widok czegoś tak trywialnego jak linia kobiecych bioder może wywołać podniecenie. Jego ciało przeczyło temu dyskretnie, ale stanowczo. Drzwi zamknęły się z cichym szmerem i oddzieliły ich od stłumionego gwaru głosów. Erin nacisnęła guzik. Winda natychmiast ruszyła.

- Co powiedział pani prawnik? - zapytał Cole.

- Zawiadomił mnie, że skontaktuje się ze mną znana mi międzynarodowa firma prawnicza, od której dowiedział się, że jestem jedyną spadkobierczynią niezanego mi stryjecznego dziadka. Dowiedziałam się, że niejaki Cole Blackburn przyjdzie o siedemnastej do holu hotelu Beverly Wilshire i dostarczy mi odpowiedzi na wszystkie moje pytania oraz testament.

- Pani prawnik miał rację tylko w połowie.

- To znaczy?

- Oddam pani testament, ale na pewno nie znam odpowiedzi na wszystkie pani pytania.

- Skąd pan wie?

- Kobieta, która jest autorką dzieł takich jak "Niepewna wiosna", na pewno zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi.

W zielonych oczach wyraźnie widać było zaskoczenie.

- Zwrócił się pan do mnie nazwiskiem Windsor. Skąd pan wiedział, że nazywam się Erin Shane?

- Widziałem fotografię na okładce "Arktycznej Odysei".

Winda się zatrzymała i drzwi się rozsunęły. Erin spojrzała czujnie na Cole'a, jakby chciała zmienić decyzję i nie wpuszcza

go do pokoju.

- W pierwszym odruchu doszła pani do słusznego wniosku -odezwał się spokojnie geolog. -Nie dotknij pani, chyba nie sama mnie pani o to wyrażenie nie poprosi. -Drzwi windy zaczęły się automatycznie zamykać. Cole chwycił jej wielką dłoń i przytrzymał. Patrzcie Erin prosto w oczy dodał: -A pani z reguły nie prosi o takie rzeczy, prawda?

- Nie -potwierdziła bez emocji. -A czy pan zawsze jest taki bezpo?

- To oszczędza czas. Ma pani cztery sekundy, zanim drzwi znowu się zamkną. Pani pokój, moja limuzyna czy jakie inne neutralne miejsce?

Erin spoglądała na mężczyznę, którego szare oczy były czyste jak lód, ale o wiele cieplejsze. Miała wrażenie, że musi podjąć decyzję, chociaż jej skutków nie jest w stanie przewidzieć. Kilka lat temu nie wybrałaby żadnej z propozycji, tylko wróciłaby do znajomych niebezpieczeństw czekających na Alasce.

Ale wtedy nie doznawała tego niepokoju, nie miała wrażenia, że w jej życiu brakuje czegoś bardzo ważnego. Rok temu człowiek taki jak Cole przeraziłby ją. Teraz się go nie bała, przynajmniej nie bardzo. Kiedy sobie to uświadomiła, poczuła się, jakby wypuszczono ją z klatki, w której się sama zamknęła. Podobnych emocji doznawała patrząc na witał po długiej arktycznej nocy.

- Mój pokój -zadecydowała i minęła Cole'a.

Kiedy weszli do mieszkania, zamknęła drzwi i rzuciła torebkę na krzesło. Cole patrzył na nią przez chwilę, a potem pochylił się i odpowiednio ustawiał zamek szyfrowy teczeki, a udało mu się ją otworzyć. Kluczykiem, który spoczywał wewnątrz, otworzył kajdanki. Chwilę później wydobyl blaszane pudełko, wyjął z niego woreczek, a resztę podał Erin.

- Abe spisał testament własnoręcznie -powiedział. -To ta kartka na samym wierzchu. Stryjeczny dziadek zostawił pani wszystko. Reszta kartek to nieudolne rymy.

Erin zamrugnęła powiekami.

- Poezja?
- Ja bym tego tak nie nazwał.

Ton jego głosu wywołał u niego na twarzy Erin.

- Niezbyt dobra, co?
- Nie chc pani do niej le nastawia . Mo e si pani spodoba. W ko cu niektórym ludziom smakuje goanna pieczona w cało ci w ognisku.

- Goanna?
- Taka jaszczurka.

Erin u niego n ła si cierpko na wspomnienie niektórych potraw, które jadła na Alasce. Wzi ła testament i zacz ła czyta , marszcz c brwi nad paj czym, wyblakłym pismem.

Ja, Abelard Jackson Windsor, b d c zdrowym na ciełe i umy le, niniejszym zapisuj wszystkie swoje dobra doczesne Erin Shane Windsor, córce Matthew Mcqueen Windsora, który według prawa jest synem mojego brata, Nathana Josepha Windsora.

Z wyj tkiem trzynastu diamentów i papierów w tym pudełku, wszystkie moje dobra i dzierawy maj zosta po mojej mierci przekazane Erin Shane Windsor pod warunkiem, 1. e b dzie fizycznie obecna na mojej stacji przez co najmniej jedna cie miesi cy w roku przez kolejne pi lat, albo 2. Znajdzie kopalni , z której pochodz te diamenty.

Je li aden z tych warunków nie zostanie spełniony, moje dobra zostan przekazane na cele dobroczynne (z wyj tkiem trzynastu diamentów, które w ka dych okoliczno ciach przechodz na Erin Windsor), a dzierawy przepadaj .

Podpisano:

Abelard Jackson Windsor

wiadek:

Ojciec Michael Conroy

Erin: Nie ufaj nikomu, kto słu y Conminowi,

Dla niego gar błyskotek wa niejsza od twojej głowy.

Twój spadek to istny skarbiec

Zamkni ty przez skaln piecz .

*Jak tam dotrze ? Powiedz ci te rymy.
Królowo Kłamstwa, ju si egnamy.
A ja jestem Królem.*

Erin jeszcze raz przeczytała dokument i spojrzała ze zdziwieniem na Cole'a.

- Jakie pytania? .

-Czy Conmin to to, co podejrzewam? -To skrót Consolidated Minerals Inc.

- A wi c diamenty -odparła zwi le.

Jej wzrok na chwil zatrzymał si na teczce geologa.

- To najbardziej znany aspekt działalności ci Conminu - zgodził si . -Ale to tylko cz ich operacji. Zajmuj si wieloma surowcami, od rud elaza do rzadkich pierwiastków. Ich specjalno to minerały strategiczne. Conmin to najpot niejszy, najbardziej dochodowy i najdyskretniejszy kartel na wiecie.

Erin szybko przerzuciła kartki z wierszami i wróciła do testamentu.

- "Nie ufaj nikomu, kto słu y Conminowi" -przeczytała gło no. -"Dla niego gar błyskotek wa niejsza od twojej głowy." -Cole nie reagował.

- Czy pan pracuje dla Conminu? -zapytała.

- Nie. Wol pracowa dla samego siebie.

Erin zastanawiała si nad t odpowiedzi przez kilka sekund, a potem u miechn ła si lekko. Ona te wołała by niezale na.

- Czy to dlatego Abe pana tu przysłał?

- To nie pani stryjeczny dziadek mnie tu przysłał. Ostatni raz widziałem go wiele lat temu.

Zapadła cisza. Potem rozległ si szelest papieru, kiedy Erin znów zacz ła przegl da zapisane rymami kartki.

- Jest pan prawnikiem? -zapytała nie podnosz c wzroku znad papierów.

- Jestem poszukiwaczem diamentów. Czy pani wie co o diamentach, pani Windsor?

- S twarde, drogie i rzadkie.

- A niektóre z nich są wręcz unikalne -dodał cicho Cole.
- Dla niektórych warto zabić .

Erin w milczeniu przypatrywała mu się badawczo przez długi czas .

- Czy diamenty mojego dziadka są unikalne?
- Wszystkie kamienie, które u niego widziałem, to brylanty, czyli najniższa klasa diamentów przemysłowych.
- Bez wartości?
- Maj swój cen . Ale nie wywołuj u mnie przy pieszego bicia serca.

Erin zastanowiła się , czy cokolwiek jest w stanie przy pieszym biciu serca tego nieznanego człowieka o wywołanie zimnej krwi.

- Wynika z tego, że diamenty mojego stryjecznego dziadka wcale nie są nadzwyczajne, tak?
- Proszę wyćgnąć rękę .
- Co takiego?
- Proszę wyćgnąć rękę .
- Dlaczego?
- Niech pani to zrobi.
- Idź pan do diabła, panie Blackburn.

Wyraz twarzy Cole'a się nie zmienił.

Erin miała wrażenie, że poddał ją jakiemuś egzaminowi, którego w ogóle nie rozumiała. Nie wiedziała, czy zdała czy nie i czy będzie musiała zdawać jeszcze raz.

Zręcznymi ruchami, zaskakującymi i tak potnie zbudowanego człowieka, Cole otworzył zniszczony sakiewkę i wysypał jej zawartość na swój dłoń . Erin patrzyła, jak wiatło załamuje się i opływa spore kulki ołówek, jakby mokrej lub naoliwionej powierzchni. Wiskamieni była bezbarwna. Kilka połyskiwało gładkimi różowymi błyskami. Jeden, zielony, był tak czysty, że wyglądał jak zagłębione wiatło.

Erin automatycznie sięgnęła po zielony kamień i zatrzymała się w połowie drogi. Spojrzała na Blackburna w oczy. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę , że nie są banalnie szare. Wokół

renic widniały jasnoniebieskie, zielone i srebrne kreseczki, znacz c t czówki subtelnym, urzekaj cym kolorem.

- Prosz wyci gn r k -powiedział łagodnie.

Tym razem si nie wahała.

Cole uj ł jej drobn , rozpostart wyczekuj co dło i przesypał na ni kamienie. Rozległ si przytłumiony, krystaliczny d wi k, kiedy otarły si o siebie.

- To chyba nie s diamenty -wyszeptała.

- Owszem, s . Nie ci te, nie polerowane, niezwykle. Prawdziwe diamenty. Nale do ciebie, Erin, na dobre i na złe.

W milczeniu dotykała po kolei diamentów, jakby chciała si upewni , e s prawdziwe. Ogl dała je podsuwaj c pod lamp . Kamienie okazały si całkiem przezroczyste. Przyci gały wiatło jak magnes opiłki elaza.

- Prawie wszystkie s kategorii F -oznajmił Cole.

- Co to oznacza?

- Najwy sza klasa czysto ci. Niektóre maj bardzo niewielkie skazy.

- Nie szukałam w nich skaz. Zafascynował mnie ich kolor -odpada Erin, zdziwiona. -My lałam, e takie barwy miewa tylko t cza i promie lasera. S takie czyste, niewiarygodne.

- Powinna cz ciejspogl da w lustro.

- Dlaczego?

- Ta ziele ma dokładnie taki sam odcie jak twoje oczy.

Erin uniosła głow na d wi k tak osobistej uwagi. Nagle zdała sobie spraw , e stoi tu obok nieznanego m czyzny, jego r ka obejmuje jej dło , a ich oddechy si miesza . Taka intymno powinna j przera a . Czekwała, kiedy strach ogarnie jej ciało. Siedem lat temu poznała ten strach.

Tymczasem do wiadczyła tylko przy pieszonoego bicia serca, które nie było rezultatem strachu, ale innej, równie instynktownej reakcji na blisko atrakcyjnego m czyzny. Zrozumiała, e znów jest w stanie reagowa w ten sposób, i ta wiadomo przeszła jej umysł jak promie wschodz cego sło ca rozpraszaj cy mroki nocy.

- Z której kopalni Abe'a pochodzą te diamenty? -zapytała niskim, niemal rozmarzonym głosem.

- Nie wiem.

- Czy jest ich więcej?

- Nie wiem.

- Czy ktoś potrafi odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie wiem.

Erin spojrzała na silnego, opanowanego mężczyznę, który nadal stał bardzo blisko.

- W takim razie, co pan wie, panie Blackburn?

- To, czego bym chciał, żeby mówiła do mnie Cole.

Wycofała się w przeciwny koniec pokoju, rozsunęła zasłony i spojrzała na migoczące światła miasta, które zapalały się pod ciemniejszym niebem.

- Co możesz mi powiedzieć o tych diamentach, Cole?

- Najprawdopodobniej pochodzą z Australii, chociaż z jakiej zupełnie nieznaną kopalnią. Dawno, dawno temu zostały wymyte z pierwotnego złota. Ten zielony to okaz unikalny. Różne są wyjątkowe. Wszystkie, oprócz jednego białego, należą do najwyższej kategorii. -Zamilkł na chwilę i dodał cicho: -Wiem też, że jeśli zdecydujesz się zatrzymać spadek, musisz się nauczyć, że nie należy stawać przy oknie.

Erin szybko się odwróciła.

- Dlaczego?

- Zapytaj swojego ojca.

- Bardzo trudno się z nim skontaktować. Ty jesteś na miejscu, więc pytam ciebie.

- Jeśli ja ci powiem, będziesz miała tysiąc pytań i w tympliwo ci. Jeśli dowiesz się tego od ojca, uwierzysz mi. To oszczędzi wiele czasu.

- Będzie jeszcze szybciej, jeśli od razu mi wszystko wyjasnisz.

- Ten, kto wejdzie w posiadanie Kopalni Psa, stanie się ruchomym celem -oświadczył bez ogródek. -W tym wypadku oznacza to ciebie.

- Dlaczego?
- Barwne diamenty to rzadko . Conmin nie ma takich w swoich skarbcach.
- I co z tego?
- Je li istnieje kopalnia pełna takich diamentów jak twoje, Conmin musi przejść nad nią kontrolę , bo inaczej straci monopol, czyli władzę . W tej chwili Conmin ma tyle władzy, e mo e ustalać warunki umów z zachodnim światem, kontrolowa duć krajów zza elaznej kurtyny i wykupi wszystkie kraje Trzeciego świata. Kopalnie pi cego Psa zagra aj monopolowi Conminu -powiedział cicho Cole. -W ten sposób mog zagrozić interesom wielu pa stw, które inwestuj w diamentowego tygrysa. Tego, kto dosiada tygrysa, nie obowi zuj adne zasady, oprócz jednej: prze y . Conmin utrzymuje się na jego grzbiecie od ponad stu lat.

Erin spojrzała na błyszczące, połyskliwe kamienie.

- Z twoich słów wynika, e mój spadek to bardziej przekleństwo niż dar.

- Bo tak jest. -Cole spojrzał na zegarek. -Zadzwo do ojca. Pierwsza rzecz, jak zechce zrobić , to odda diamenty do ekspertyzy. Upewnij się , e ekspert nie ma adnych powi za z Conminem. Inaczej jego opinia b dzie bezwartościowa. Polecilibym ci godnego zaufania specjalistę , ale twój ojciec podejrzewałby zmyślenie .

- Wygl da na to, e dobrze znasz mojego ojca.

- Nie spotkałem go osobiście, ale miałem do czynienia z takimi ludźmi. Sam do nich nale .

- Pracujesz dla CIA? -zapytała spokojnie.

- Nie. Ale wiele razy udawało mi się uniknąć śmierci.

Kiedy Cole podniósł wzrok znad zegarka, Erin zamarła. Jego wewnętrzne skupienie było niemal namacalne. Całą uwagę skoncentrował na Erin, tak jak ona na swoich fotografiach, kiedy stała za aparatem. W tej chwili na całym świecie istniała dla niego tylko ona. Znalezienie się w centrum czyjejś tak wyjątkowej uwagi było jednocześnie nie deprimujące i wspaniałe.

- Nie lubisz słucha rozkazów -stwierdził Cole łagodnie. -
A ja nie lubi rozkazywa . Ale wiem, o co toczy si gra. Co
najmniej dwoje ludzi zgin ło, eby te diamenty trafiły w twoje
r ce. Zało si , e jeste wystarczaj co inteligentna, eby mi
si nie przeciwstawia z czystej przekory. Nawet je li si myl ,
nie przypłac tego yciem. Ale ty tak. Masz wybór. Zaufaj
swojemu ojcu, zaufaj mnie, albo módl si , eby nast pnym
go ciem w tym pokoju nie był człowiek z pistoletem w jednej
r ce i z podrobionym testamentem Abe'a Windsora w drugiej.

- Zastanowi si nad tym.

- Zrób to, Erin. Zastanów si gł boko. Nie zapominaj przy
okazji o "Niepewnej wio nie" i piskl ciu, które zamarzyło na
mier w niespodziewanej nie ycy.

Na mgnienie oka Erin przypomniała sobie okrutny, pi kny
poranek, kiedy zobaczyła zeszywniałe piskl ta pod skrz cym
si całunem. Płakała patrz c na małe ptaszki uwi zione w
łodzie. Jednak zanim jeszcze ły zamarzyły jej na policzkach,
wyj ła aparat, eby uchwyci brutaln doskonało czasu,
miejsca i witu, nie stworzonego r k człowieka.

- mier zawsze okre la ycie, a ycie mier -powiedział
Cole, uwa nie przypatruj c si dziewczynie. -Ka dy, kto
pojmuje to tak jasno jak ty, powinien by w stanie oceni , ile
jest warta kopalnia, by mo e nawet nie istnieje ca. Czy ta
kopalnia istnieje, czy nie, jej posiadanie mo esz przypłaci
yciem. Kiedy to zrozumiesz, sprzedasz spadek komu , kto zna
reguły gry z diamentowym tygrysem.

- Komu takiemu jak ty? "

- Tak.

- Ile by mi zapłacił za t mityczn kopalni ?

- Wi cej, ni potrzebujesz. Mniej ni jest warte twoje
ycie. -Cole odwrócił si i podszedł do drzwi. -Zadzwo ni do
ciebie pod koniec tygodnia -powiedział naciskaj c klamk . -Je li
przedtem zechcesz si ze mn skontaktowa , zadzwo do Black
Wing. Numer jest w pudełku razem z reszt twojego spadku.

Drzwi si zamkn ły i Erin została sama z gar ci

niezwykłych diamentów.

Przez długi czas stała bez ruchu, patrząc na surowe kamienie leżące na jej dłoni. Wiatr drgał i połykiwało w ich tajemniczych kryształowych sercach. Erin nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak nierealnego.

Zaciekawiona, dotknęła zielonego kamienia czubkiem języka. Był chłodny, czysty, trochę słony. Dla porównania polizała własną skórę. Okazała się mniej słona. Lizała jeden z białych kamieni. Nie wyczuła żadnego smaku.

Nagle Erin domyśliła się, że Cole Blackburn nie raz trzymał ten zielony kamień w rękę, gładził go kciukiem, patrzył na tę zieloną, jak błyszcząca i migocząca na jego dłoni. Dziwne uczucie zacisnęło jej oko, kiedy zdała sobie sprawę, że nieokreślony słonawy smak diamentu pochodzi ze skóry Cole'a. Jeszcze bardziej wzburzyło ją to, że ma ochotę posmakować kamienia jeszcze raz. Poczucie smaku skóry Cole'a.

Gwałtownymi ruchami schowała diamenty do welwetowej sakiewki. Wzięła pierwszą kartkę zapisaną wierszami i zaczęła szukać w nich wskazówek. Przebiegała wzrokiem stronice, najpierw szybko, potem wolno, ze zmarszczonymi brwiami. Kiedy skończyła, przeczytała wszystko jeszcze raz, potrząsnęła głową. Nie dostrzegła w tych wierszach żadnego sensu. Choć diamenty pojawiały się w nich często, o wiele częściej znajdowała słowa takie jak piasek, sika czy pieprz. O kopalni nie było żadnej wzmianki.

Mamrocząc coś o zwariowanych starcach, Erin włożyła papiery z powrotem do blaszanego pudełka i zaczęła studiować testament. Kiedy skończyła czytać całość, wścieknie zerknęła na przestrogi, wcale nie poczuła się lepiej. Wspomnienie rozmowy z Cole'em Blackburnem tętno nie dodawało jej otuchy.

Ten, kto wejdzie w posiadanie Kopalni piasku, stanie się ruchomym celem.

Z twoich słów wynika, że mój spadek to bardziej przekleństwo niż dar.

Bo tak jest. Zaufaj swojemu ojcu, zaufaj mnie, albo módl się,

eby nast pnym go ciem w tym pokoju nie był człowiek z pistoletem w jednej ręce i z podrobionym testamentem Abe'a Windsora w drugiej.

Słowa Cole'a i jej własne odbijały się niepokojącym echem w pamięci, kiedy tak stała bez ruchu w cichym pokoju. Tajemnice to chleb powszedni jej ojca. Był w wiecie, gdzie analizowano każdy ruch, dzielono na małe kawałki, oglądano przez elektronowy mikroskop, a rezultaty tych badań omawiano na najwyższych szczeblach rządowych. To wiat, gdzie człowiek rzuca w ciebie jeden dzień, gdzie nazwiska zmieniają się z ciebie niemiecka, a zdrada jest jedyną pewną rzeczą. Wiat ojca. Wiat brata, Phila. Wiat byłego narzeczonego.

Erin zdecydowanie pokręciła głowę, a kosmyki włosów omiotły policzki. Odruchowo odsunęła je z czoła. Równie odruchowo odepchnęła od siebie wspomnienia, które niczego nowego nie mogły jej już nauczyć. Podstęp i zdrada istnieją. Pogodziła się z tym. Ale nie chciała mieć z nimi nic do czynienia.

Siedem lat temu padła ofiarą nie wypowiedzianej wojny. Nie chciała dłużej być ofiarą. Nauczyła się, jak chronić swoje ciało, zarówno z pomocą starych sztuczek, jak i najnowszych. Wiedziała już, jak ochroni swój umysł. Odkryła inne, niewiarygodne światy, miejsca, gdzie lodowce ożywają, a góry promieniają światłem; miejsca, gdzie ludzie mijają się wspólnie i dzielą się ostatnim kłosem po wywienieniu z głodnym nieznajomym; miejsca w których śmierć istnieje, ale jest naturalnym rozwinięciem procesów życiowych, a nie skutkiem czyjegoś okrutnego aktu lub rozgrywek politycznych.

Może nawet istnieje gdzieś miejsce, w którym niewiarygodny zielony kamień jest prawdziwy, gdzie niepokój jej ciała uciszyłby się i gdzie mogłaby znowu zaufać ludziom.

Jeśli nie wszystkim, to chociaż jednemu człowiekowi.

- To jest pytanie, prawda? - powiedziała na głos. - Sama na nie nie odpowiesz. Liczy się przyszłość, a nie przeszłość.

Erin wyczuła delikatną skórę dłoni chłodną gładko słuchawki. To najbardziej uderzało ją w cywilizowanym świecie. Wszystko tu było wygładzone a do złudnej doskonałości, fałszywej doskonałości, ponieważ pod nią były straszliwe monstra, szukajcie jakiej szczeliny, przez którą mogłyby wydobyć się na powierzchnię. W świecie prymitywnym było odwrotnie, pod szorstkimi powierzchniami kryły się jasne uczucia, równie złudne i na swój sposób fałszywe. W obu tych światach sprawdzała się jedna zasada: mier zawsze czyha na nieostrożnych, pechowców i głupców.

Ale równie czeka na nich życie, jak płomień pod lodem. Erin wybiła na klawiaturze telefonu numer, który zawsze pozostawał ten sam, bez względu na to, gdzie stacjonował jej ojciec. Kiedy uzyskała połączenie, cichym, wyraźnym głosem przekazała wiadomość i odłożyła słuchawkę.

Potem usiadła na łóżku, patrzyła na garstkę kulek, które mogły okazać się diamentami albo szkłem, i czekała, a pager wezwie Matthew Windsora, żeby odpowiedział na telefon córki.

Rozdział siódmy

Nie zdarza się, żeby nieznajomy człowiek tak po prostu dawał komuś milion dolarów w blaszanym pudełku, chyba że w bajkach. To się nie zdarza nawet w hotelu Beverly Wilshire. To tylko błyszcząca szkiełka, dziecko. Kiedy ten Blackburn pojawi się znowu, pewnie będzie chciał ci sprzedać mapę pokazującą drogę do kopalni.

Erin patrzyła na słuchawkę, którą właśnie odłożyła, a echo spokojnego głosu Matthew Windsora wciąż brzmiało jej w uszach. Słowa ojca ją zirytowały. Jakaż jej wiadomość zgadzała się z nimi. Innaż wierzyła, że kamienie nie są fałszywe, bo przecież Cole Blackburn wydawał się taki prawdziwy.

Aż nazbyt prawdziwy.

Kln c stłumionym głosem, Erin odwróciła si od telefonu.

Windsor wypowiedział jeszcze kilka zda poba liwym, ojcowskim tonem i w ko cu obiecał, e "przeprowadzi dyskretny wywiad w Waszyngtonie", eby zaspokoi ciekawo Erin. Kiedy -a raczej je li -si czego ciekawego dowie, zadzwoni. Nie spierała si z nim; jako starszy oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej, ojciec miał dost p do wszystkich rz dowych baz danych, pocz wszy od FBI, a sko czywszy na Departamencie Bada Geologicznych.

Telefon zadzwonił dwadzie cia minut pó niej. Kiedy tylko Erin podniosła słuchawk , Windsor zacz ł mówi po piesznie i zwi le.

- Opisz Cole'a Blackburna -polecił.

- Du y -zacz ła Erin, przypominaj c sobie okre lenia, jakie jej si nasuwały, kiedy patrzyła na geologa. -Wi kszy nawet ni Phil. Ale nie otyły. Mocno zbudowany. Muskularny. Rasa biała. Ameryka ski akcent. Inteligentny. Pewny siebie. Sprawnie si porusza. Czarne włosy. Szare oczy. Wyra nie zarysowane usta, u miech troch krzywy. Ledwo widoczna blizna po lewej stronie podbródka. Małe blizny na dłoniach. Aha, dłonie du e. Długie palce. Nie nosi obr czki ani sygnetu. Ubranie drogie, ale nie wyszukane. W ogóle nie ma w nim nic wyszukanego. W sumie, podejrzewam, e byłby gro nym przeciwnikiem.

Windsor mrukn ł co pod nosem.

- Masz dobre oko. Doskonale opisała Blackburna.

- Nie zapominaj, e jestem fotografikiem. Musz umie patrze , bo tak zarabiam na ycie. -Erin zamilkła i czekała. Odpowiedziało jej milczenie. -Co si dzieje, tato? Czy Cole Blackburn to oszust?

- Nie mog o tym mówi przez telefon, dziecinko.

Erin poczuła ukłucie zło ci. Wynikało ono cz ciowo z tego, e le si czuła w wiecie, którego unikała przez siedem lat, ale przede wszystkim wynikało z jeszcze dawniejszych wspomnie o tym, jak ojciec nie dopuszczał jej do swojego wiata,

tajemniczego wiata wywiadu i kontrwywiadu.

- Czy Blackburn pokazał ci jakiś dokument?
- Tylko siebie. Jak sam stwierdziła, do dokładnie go obejrzałam. Czy mam uwierzyć w to, co mi powiedział?
- Dziecinko, nie mog ...
- Tak czy nie? -przerwała mu Erin. -Jedno słowo.
- To nie takie proste. Jutro przyjad do Los Angeles.

Wtedy o tym porozmawiamy.

Erin spojrzała na telefon, jakby nagle wyrosły mu rogi.

- Przyjedziesz do Los Angeles?
- Nie dziw się tak. Nie widziałem ci od prawie roku. - Jego głos się zmienił, stał się twardszy. - eby my się nie mineli, czekaj na mnie w pokoju hotelowym. Niech przynosisz ci posiłki na gór. Odpocznij sobie. Słyszysz mnie, dziecinko?

- Tak. -Erin zrozumiała, że ojciec nie chce, eby opuszczała pokój. -Ale wcale mi się to nie podoba.

- Ja też nie jestem tym zachwycony -odparł sucho.

Minęła długa chwila, zanim Erin znowu się odezwała.

- Dobrze. Kiedy przyjedziesz, zastaniesz mnie na miejscu.
- W pokoju.
- W pokoju -potwierdziła przez zaciśnięte zęby.

Rozległ się syk powietrza, jakby Windsor odetchnął głęboko i z ulgą.

- Dzięki. To bardzo wiele dla mnie znaczy. Kocham cię, dziecinko.

Zanim Erin zdążyła odpowiedzieć, połączenie przerwano.

Ojciec wiele razy powtarzał, że ją kocha, ale przez ostatnie siedem lat nigdy nie czekał, eby usłyszeć, czy ona odwzajemnia to uczucie.

Wolno odłożyła słuchawkę i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Zapaliła światło, odcinając się od ciemności za zaciśniętymi zasłonami. Zastanawiała się, dlaczego ojcu tak bardzo zależy, eby została w hotelowym apartamencie. Może jutro jej to wyjdzie. A może nie. Całe życie spędzała w gabinetach luster, które budowała, eby wprowadzać się

nawzajem w bł d. Ostro no stała si jego drug natur .
Wi kszo czasu sp dzał w niewiadomych miejscach. Do tego,
gdzie przebywa, nie mógł si przyzna ani onie, ani córce, ani
nawet synowi, który te został pracownikiem CIA.

Erin rozumiała wymogi pracy ojca, ale bardzo jej nie lubiła,
nie tylko dlatego, e przez ni doznała tylu krzywdd, ale te ze
wzgl du na efekt, jaki to zaj cie wywierało na inteligentnym,
troskliwym i ludzkim m czy nie, wła nie takim jak on.
Prowadzenie sekretnych wojen oznaczało sekretne ycie, które
niszczy zaufanie mi dzy lud mi. Erin pragn ła ufa ojcu, tak jak
chciała ufa całemu wiatu.

Ale taka ufno nie jest najinteligentniejszym sposobem na
ycie i mo na przez ni zgin , i to okrutn mierci . Ona miała
szcz cie. Nast pnym razem mo e nie prze y .

Rozdział ósmy

wiatło pó nego popołudnia wpadało przez wychodz ce na
zachód okno apartamentu hotelowego. Gdy promienie sło ca
padały na drewniany stół, trzyna cie przejrzystych kulek budziło
si do ycia. Erin stała tu przy stole, pochylona nad sprz tem
fotograficznym, całkowicie skupiona na diamentach. Pochłon ły
j czyste barwy, urzekły całkiem nowe wiaty, jakie ujrzała
przez maksymalnie zbli aj cy obiektyw aparatu. Poprzedni
dzie sp dziła w całkowitym skupieniu nad tajemniczymi,
nieczułyymi bryłkami kamienia.

Nie raz starała si uchwyci subteln gr wiatła i niezwykle
czystych kolorów, połyskliwy blask i cieniste gł bie, drobne
t cze uwi zione w zagł bieniach, które wielokrotne
powi kszenie wydobywało na powierzchni kamieni. Gdy
troch zmieniała k t ich ustawienia, wiatło rozpraszało si na
powierzchni stołu. Lekko przesuwiała kamienie w inn stron ,
wiatło zbierało si i błyszczało, jakby kryształ y o yły i
zaczynały oddycha . Gdy ustawiała je jeszcze inaczej, blask

wydobywał się z ich wnętrza, jak ogień płonący w lodowej bryle.

- Naprawdę jesteście diamentami? - zapytała Erin, jednocześnie rozdrażniona i zaciekawiona.

Kiedy tak przyglądała się kamieniom, popołudniowe wiatło zmieniło się, pogłębiło i przypominało teraz strumień płynnego złota. Kryształy zapłonęły ogniem. Erin na chwilę zamarła nad aparatem, oczarowana zmianą w ich wyglądzie. Były jak milcząca pieśń, nieludzkie w swoim pięknie, niby przejrzyste tęczy bogactwa.

Nagle Erin zrobiło się wszystko jedno, czy to są naturalne brylanty, syntetyczne kamienie, cyrkonie czy kwarc. Pracowała jak operator, naciskała wyzwalacz, ustawiała kamienie, komponowała ujęcia, zmieniała film. Napędzało ją dzikie piękno kamieni i gwałtowna potrzeba schwytania tej chwili, kiedy kryształy i wiatło łączą się niczym w miłosnym związku, zmieniając się nawzajem.

Dopiero kiedy wiatło we wnętrzu kryształów zgasło i kamienie znów usnęły, Erin wyprostowała się i odeszła od aparatu. Odruchowo położyła rękę na karku i przeciągnęła się, żeby rozluźnić mięśnie, napięte przez długie godziny, które spędziła pochylona nad sprzętem fotograficznym. Czuła jednocześnie wyczerpanie i radosne uniesienie, jak badacz wracający z nowo odkrytej krainy. Wciąż widziała piękno kamieni i cięgle nie miała go dość.

Niechętnie odwróciła wzrok od diamentów i spojrzała na zegarek. Zastanowiła się, czy nie zrobić kilku zdjęć przy sztucznym świetle. Może wkrótce zjawi się ojciec, przynosząc ze sobą pytania bez odpowiedzi, pochodzące z przeszłości, o której nie chciała rozmawiać? A może da jej odpowiedzi dotyczącej przyszłości, których będzie mogła wysłuchać bez gniewu i poczucia krzywdy.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi.

- Dziecinko, to ja. Otwórz.

Z początku Erin nie mogła dać sobie rady ze

skomplikowanymi zamkami i zasuwkami. Potem przypomniała sobie, jak si je ustawia, i drzwi si otworzyły. Ojciec stał w korytarzu, wysoki i przystojny jak zwykle. Miał na sobie szary garnitur, biały koszul i jedwabny krawat, mundur m czyzn pracuj cych w wiecie biznesu i dyplomacji.

- Nie pogniewałbym si , gdyby mnie u ciskała -odezwał si Windsor. U miechał si , ale oczy miał powa ne.

Erin bez wahania zrobiła krok w przód i otoczyła ojca ramionami. Zamkn ł oczy i równie j obj ł, unosz c lekko do góry.

- U ciski ju ci nie przera aj , co? -zapytał łagodnie. Zdziwienie przemkn ło po twarzy Erin. Nagle zdała sobie spraw , e to prawda. Nie bała si ju obj silnych m czyzn.

- Nawet o tym nie my lałam, ale masz racj -przyznała z zadowoleniem w głosie.

- To dlatego wyjechała z Alaski, prawda? Wreszcie doszła do siebie po przej ciach z tym draniem Hansem. Dzi ki Bogu, dziecinko.

Zanim Erin zd ła odpowiedzie , pu cił j i odst pił na bok. Z cienia wyłoniła si kobieta, która cierpliwie czekała, a ojciec i córka zako cz powitanie.

- Witaj, Erin. Nazywam si Nan Faulkner.

Zaskoczona Erin uj ła kwadratow , szerok , ciemnoskór dło o mocnych palcach, któr wyci gn ła do niej nieznajoma. Tak jak sama kobieta, u cisk r ki był energiczny, opanowany i zasadniczy. Faulkner miała na sobie szary kostium z w sk spódnic , o ton ciemniejszy ni garnitur Windsora. No i nie nosiła krawata. Była dorodn , dobrze zbudowan , ale nie t g kobiet . W jej lewej dłoni dymiła cienka czarna cygaretk. W tej samej r ce trzymała czarne pudełko z tarcz wska nika na pokryw i pałeczk zatkn t z boku.

Windsor wszedł do pokoju ostatni. Sprawnie zamkn ł wszystkie zamki. Faulkner spojrzła na kamienie połyskuj ce na stoliku i zakl ła.

- Chryste Panie!

Opanowanym, ale po pieszonym krokiem podeszła do stołu. Wrzuciła pal c si cygaretk do na w pól opró nionej fili anki z kaw , odsun ła zasłony, eby wykorzysta bledn ce wiatło, i wł czyła czarne pudełko. Szybkimi ruchami przytykała czubek pałeczki do wszystkich kamieni po kolei, zaczynaj c od najmniejszego, a ko cz c na najwi kszym.

- O Jezu! -poj kiwała, kiedy ka da bryłka wykazywała opór cieplny wła ciwy. dla diamentów. Na ko cu dotkn ła zielonej bryłki. Ona równie okazała si naturalnym diamentem. -Słodki Jezu Chryste!

Kiedy sko czyła testowanie kamieni, był czyła urz dzenie, i wyj ła z kieszeni akietu lup . Obejrzała ka dy diament z osobna, zanim zwróciła si do Windsora.

- Wszystkie białe, z wyj tkiem jednego, s nieskazitelne, D, zero plus, najczystszej wody, Blanc Exceptionel, nazwij to jak chcesz -oznajmiła. -To s najdoskonalsze diamenty, jakie w yciu miałam przyjemno ogl da .

- Cholera -wymamrotał Windsor.

- Te kolorowe mog by sztucznie napromieniowane, ale w tpi w to -ci gn ła Faulkner. -Napromieniowanie łatwo wykry . Stosuje si je, eby ukry skazy lub nieczyste barwy, ale u tych licznotek nie widz takich problemów. Mam natur hazardzistki, wi c si zało , e to zupełnie unikalne błyskotki.

Windsor powiedział co stłumionym głosem.

- Czy to bardzo le? -zapytał.

- Nie mo e by gorzej. Przy takich barwnych kamieniach białe kruki to zwierz ta tak cz sto spotykane jak piasek na Saharze.

- Nie rozumiem -wtr ciła Erin.

Faulkner odło yła na bok wszystkie diamenty, oprócz zielonego.

- We my przeci tn kopalni diamentów. Tylko dwadzie cia procent jej wydobycia to surowiec klasy jubilerskiej. Z tego tylko jeden procent po ci ciu i szlifowaniu b dzie wa ył wi cej ni jeden karat. Innymi słowy, mniej ni

dwie dziesiąte procenta całkowitego wydobycia takiej kopalni to diamenty powyżej jednego karata, klasy jubilerskiej. Wśród nich tylko niewielka część jest klasy D, bez skazy.

Erin zamrugnęła i spojrzała na diamenty. Każda ważyła o wiele więcej niż jeden karat.

- Jestem już za stara, żeby być ekspertem od barw - mówiła dalej Faulkner - ale przysięgam na głowę mojego syna, że z wyjątkiem jednego, wszystkie te białe diamenty są klasy D. W każdym razie są nieskazitelne. To bardzo rzadkie kamienie. Wyjątkowo rzadkie. - Windsor jak mówił. - Zgadzam się z tobą - powiedziała. - Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Jeśli zechcemy opisać te kolorowe, słowo "rzadki" nam nie wystarczy. Właśnie dlatego ta garstka diamentów jest tak niebezpieczna. Gdyby po prostu były duże i czyste, Conmin byłby w stanie ci przeliczyć diamentami z Namibii. Ale w Namibii nie znajduje się takich barw. W zasadzie nigdy czego takiego nie widziałam. Ta ziemia jest absolutnie unikalna. - Po chwili milczenia Faulkner odwróciła się od piwnych, niebezpiecznych kamieni i spojrzała na Windsora. - Powinniśmy przyjąć tu w towarzystwie paru żołnierzy piechoty morskiej. Sytuacja jest gorsza, niż ktokolwiek przypuszczał. A jednocześnie nie lepsza. - Uśmiechnęła się chłodno. - Bardzo długo czekałam, żeby chwycić Van Luika za gardło.

- Czy jesteś ekspertem od kamieni szlachetnych? - zapytała Erin.

Faulkner zawahała się i wzruszyła ramionami.

- Matt powiedział, że może na cię zaufa. Mam nadzieję, że się nie myli. W tej chwili jestem rzecznikiem konsultantem przy najważniejszym amerykańskim stowarzyszeniu firm zajmujących się drogimi kamieniami. Ta pozycja wymaga ode mnie współpracy z firmą, która nie może bezpośrednio działać na terenie Stanów Zjednoczonych, ponieważ monopol jest u nas nielegalny.

Erin poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Znowu została wciągnięta do gabinetu luster, w którym wiat

mi dzynarodowych rozgrywek o władz . wiat ojca, który kiedy niemal jej nie zniszczył.

- Dawala je komu do wyceny? -zapytala Faulkner, ruchem glowy wskazuj c diamenty.

Erin potrz sn la glow .

- Dobrze -pochwalila Faulkner. -W rod handlarzy diamentow nie uchowa si adna tajemnica. Gdyby pokazala te kamienie w du ej firmie w Santa Monica czy w jakim malym kantorze wyceny gdzie na Hill Street, powstaloby takie zamieszanie, e za kilka godzin wiadomo o nich dotarlaby do Londynu i Antwerpii. Conmin prowadzi komputerow kartotek wszystkich wartych uwagi diamentow, jakie pojawiaj si na wiecie. Rejestruj nawet te, ktore do nich nie nale . A wierz mi, twoje diamenty s jak najbardziej godne uwagi.

- Dlaczego interesuje si tym Agencja? -zapytala bez ogródek Erin.

- W gospodarce wielu pa stw diamenty zajmuj bardzo wa ne miejsce. Bylaby zaskoczona, gdyby wiedziala, do czego s zdolne niektore kraje dla ameryka skiego dolara albo japo skiego jena, szczegolnie kraje, ktore opieraj swoj ideologi na naukach Marksa, a nie Adama Smitha. Kiedy mój poprzednik odchodzil, powiedzial mi, e wiat si kr ci na diamentowej osi. To nie zawsze okazuje si prawd , ale wystarczaj co cz sto, eby wzbudzi strach nawet w takiej prostacze jak ja.

- Wla nie dlatego chc , eby mi pozwolila zaj si swoim spadkiem -wtr cil Windsor. -Nie chc , eby znowu spotkalo ci co zlego.

Erin spojrzala na ojca. Po raz pierwszy zauwala zmarszczki na jego twarzy, coraz wyra niejsze srebrne pasma w dawniej ciemnych wlosach i kr gi pod oczami. Wida bylo, e jest zm czony i zdenerwowany, jakby rozdarty mi dzy ojcowskimi uczuciami a obowi zkami zaprzysi onego oficera agencji wywiadowczej.

- Czy do diamentow byla dol czona jaka wiadomo albo

mapa? -zapytał. -Mo e jaki rejestr albo faktura sprzeda y? Co , co wskazywałoby na ich pochodzenie?

- Wszystko, co dostałam, jest w tym blaszanym pudełku. Nie znalazłam tam adnych wskazówek.

- Dostarczył to Blackburn?

Skin ła głow .

- Powiedział mi, eby m oddała diamenty do ekspertyzy komu nie zwi zanemu z Conminem. -Zerkn ła na Faulkner. - Nie wiem, czy to mi si całkiem udało, ale przynajmniej mam pewno , e twoim głównym pracodawc nie jest kartel.

- Czy Blackburn mówił ci jeszcze co o tych diamentach?

- Tylko tyle, e nale ały do Abe' a i e dwoje ludzi zgin ło, eby ten spadek do mnie dotarł. Ostrzegł mnie, e ja te mog zgin , je li nie b d ostro na. Potem powiedział mi, eby m si z tob skontaktowała.

- Mam wobec niego dług wdzi czno ci. Ty te . Najprawdopodobniej ocalił ci ycie. Pozwól mi si tym zaj , Erin.

- Nie chc tego, a nawet gdybym chciała, to nie mog . Testament wymaga, eby m mieszkała na stacji przez pi lat. Dopiero wtedy wszystko b dzie moje. Chyba e najpierw odnajd kopalni .

- Nie ma ceny na ludzkie ycie ..

- Nie chodzi o pieni dze -odparła cicho Erin. -Prawd mówi c, nie mam adnej gwarancji, e znajd cho by jeden diament. Zdaje si , e Abe był jedynym, który wiedział, gdzie znajduje si ta mityczna kopalnia. Przed mierci nikomu nic nie zdradził. Nie zostawił te adnej mapy.

Windsor nie dał si odwie od tematu.

- Je li nie chodzi ci o pieni dze, to po co jedziesz do Australii?

- To dla mnie całkiem nowy kontynent. Nieznany wiat. Chc go pow cha , posmakowa , zobaczy i sfotografowa . Chc tam troch po y .

- Wła nie o to chodzi, dziecinko. By mo e zamiast ycia

znajdziesz tam mier .

- To samo mówiono mi o Arktyce. -Erin chciała uniknąć sporu i zmieniła temat rozmowy. -Wiesz co o Abelardzie Windsorze?

Ojciec potrząsnął głową .

- Twój dziadek nigdy o nim nie wspominał.
- O swoim własnym bracie?
- Zdarzają się różne rzeczy. Po niektórych przejściach rodziny się rozpadają .

Na przykład po takich przejściach, jak jej znajomość z Hansem, agentem obcego wywiadu?

Ani ojciec, ani córka nie wypowiedzieli tej myśli głośno. Erin wstała, wyjęła blaszane pudełko ze swojej dużej torby i pokazała ojcu papiery.

- Dopóki się nie przekonałam, że diamenty są prawdziwe, miałam wątpliwość, czy cały ten spadek to nie jakieś jedno wielkie oszustwo. Szczerze mówiąc, po przeczytaniu "Pawia z Antypodów" pomyślałam sobie, że stryjeczny dziadek Abe wymyślił sobie to wszystko w jakimś australijskim szpitalu dla wariatów. Proszę . Sam zobacz. Podobno są tutaj wskazówki, jak odnaleźć kopalnię .

Przez kilka minut jedynym dźwiękiem w pokoju był suchy szelest papieru, kiedy Windsor szybko przejrzał kartki i podawał je współpracownicy. Przeczytawszy pięć stron podniósł wzrok.

- Czy reszta jest taka sama? -zapytał córka .

- Inne słowa, ale styl ten sam.

Westchnął, przerzucił pozostałe strony i wziął od Faulknera pierwszą kartkę .

- Kiedy się to czyta drugi raz, wydaje się jeszcze gorsze ostrzegła Erin. -Czytałam to już wiele razy, używając wszelkich technik i sztuczek, jakich nauczyłam się jako piątkowa studentka literatury angielskiej.

- I co? -zapytał Windsor.

- Nie znalazłam żadnych ukrytych znaczeń . Bohater jej

surow w trob krokodyla, pije, rozprawia o czarnych łab dziach, pije, sika, pije, ugania si za wszystkim, co si rusza, i... Nie, znów je surowe mi so krokodyla i sika. Aha, jeszcze pije. Czy ju o tym wspominałam?

- To mo e by jaki szyfr albo kod -zasugerowała Faulkner.

- Zgodzisz si , eby my to przepisali i wysłali do Waszyngtonu, do analizy?

- Podejrzewam, e przydałby si jaki Australijczyk jako ekspert -powiedziała Erin. -Na przykład, dlaczego w tytule jest paw? Czy to cz ste ptaki w Australii?

- Nic nie wiem na ten temat -odparł Windsor. -Moi rodzice byli Australijczykami, ale nigdy nie opowiadali o swoim yciu na tym kontynencie.

- To troch dziwne, nie s dzisz?

Windsor wzruszył ramionami.

- Takie drobne rodzinne dziwactwa. Jak uganianie si za kopalni diamentów, która by mo e wcale nie istnieje, ale i tak mo na zapłaci za ni yciem.

Erin wzruszyła ramionami równie energicznie jak ojciec.

- Dziecinko, dlaczego to robisz? Co takiego znajdziesz w Australii, czego tutaj nie ma? Mityczn kopalni jakiego zwariowanego starca? Tego wła nie chcesz od ycia?

- To byłby niezły pocz tek - odparowała. Potem westchn ła i postarała si ubra w słowa to, czego nie potrafiła sformułowa nawet w my lach. -Po "Arktycznej Odysei" nie przychodziło mi do głowy nic, co naprawd pragn łąbym robi . Odnalazłam troch spokoju w Arktyce, ale ju nie wierz , e moja przyszło jest z ni zwi zana. Mo e znajd sens ycia w Australii. Mo e nie. Nie dowiem si tego, dopóki tam nie pojed .

- A tutaj, w Ameryce?

- Gdybym tu została, i tak nie widywaliby my si cz cieji ni wtedy, kiedy wyjechałam na Alask

- Dziecinko ...

- Właśnie o to chodzi -przerwała mu spokojnie. -Nie jestem dzieciną. Od siedmiu lat sama decyduję o wszystkim, co mnie dotyczy.

Windsor na chwilę zamknął oczy, ale zaraz je otworzył i spojrzał na córkę. Była taka podobna do kobiety, którą kochał i utracił, kiedy pijany kierowca zjechał ze swojego pasa jadąc z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę.

- Spróbuj ty, Nan -odezwał się w końcu. -Mówiłem ci, że nie pozwoli mi zrobić spadkiem.

Stanął przy oknie, plecami do pokoju, wyraźnie odcinając się od tego, co miało tu za chwilę nastąpić.

- Sama mam dziecko -zaczęła Faulkner, zapalając cienką cygaretkę. -Gdyby to jemu przytrafiła się podobna sytuacja, to stanąłby przy oknie i pozwoliła twojemu ojcu tłumaczyć mu podstawowe prawdy o świecie. Twój ojciec to dobry człowiek, ale jest osobą zaangażowaną w tę sprawę, więc nie on reprezentuje tu interesy agencji, tylko ja.

Erin czekała bez ruchu, kiedy Faulkner zacięła sobie cygaretkę i wydmuchnęła smug dymu.

- Zastanówmy się nad kilkoma scenariuszami tej historii, cięgnęła Faulkner. -Jeśli załamy, że Abe był po prostu szalony i na jego stacji nie ma nic oprócz bydła i much, to nie ma problemu. Pojedziesz do Australii, zamieszkaś tam albo wrócisz do domu. Nic wielkiego. Zgadza się? -Erin skinęła głową. -Bardzo ładny scenariusz -stwierdziła kobieta, wyglądając przez okno. -Dobrze by było, gdyby okazał się prawdziwy. Ale co mi mówi, że tak nie będzie.

- Dlaczego? To, że mój ojciec zdecydował się na wyśledzenie wieszaków, zdrady i kłamstw, nie oznacza, że ja też muszę w nim zamieszkać.

- Dopóki nie została spadkobierczynią Abe'a, miała wybór. Teraz już go nie masz. Rozważ taki scenariusz. Może te diamenty są prawdziwe, ale nie zostały znalezione w Australii. Może liwe, że ukradli je w Namibii rebelianci, żeby zakupić za nie broń.

- W takim razie, skąd się wzięły u Abe'a?

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Najczęściej droga przemytu diamentów prowadzi przez Egipt do europejskich lub amerykańskich centrów obróbki. Niewykluczone, że niektórzy przyjaciele Abe'a byli przemytnikami. A może okradali przemytników albo znali kogoś, kto to robił. Może Abe sam był przemytnikiem? Co ty na to, Matt?

- Mam nadzieję, że tak było, bo wtedy Erin nie groziłoby w Australii wielkie niebezpieczeństwo. Przemytnicy z pewnością ci nie szukaliby z nim kontaktu, żeby kupić, sprzedać czy przechować swój towar. Nielegalne pochodzenie diamentów wyjaśniałoby to, dlaczego Erin ostrzeżono przed kontaktami z Conminem. Kartel prawdopodobnie okazałby się prawowitym właścicielem diamentów.

Erin nie podobały się te teorie, ale układały się w logiczną całość, a była za inteligentna, żeby je zbyć machnąć rękami.

- Ale ten scenariusz wciąż nie rozwiązuje zagadki "skarbcza" Abe'a - cięgnął Windsor. - Czy to jest po prostu skrytka, w której przechowywał kradzione namibijskie kamienie? Jeśli tak, to jednak Erin naraziłaby się w Australii na pewne niebezpieczeństwo, ponieważ przemytnicy byliby w stanie wiedzieć o tej kryjówce.

- Twój ojciec ma rację - powiedziała Faulkner, patrząc na Erin. - Niebezpieczeństwo byłoby mniejsze, gdyby Abe był tylko przemytnikiem albo łowcą szajki. Mogłaby pojechać do Australii w obstawie doborowych goryli i demonstracyjnie udawać, że szuka diamentów na terenie stacji. Nic by nie znalazła. Wyjechałaby do interioru robić zdjęcia i zniknęłaby wszystkim z oczu. Potem nikt już by ci nie niepokoił. Długi pióropusz dymu wydobył się z wydatnych ust Faulkner. - Oto jeszcze jeden scenariusz. Powiedzmy, że Abe był kompletnie stuknięty. Załóżmy, że naprawdę odkrył kopalnię diamentów gdzieś na swoich terenach, kopalnię, z której można uzyskać dziesiątki, a nawet setki kilogramów diamentów takich jak te tutaj. - Faulkner widziała, jak na twarzy Erin maluje się najpierw

niedowierzenie, potem zastanowienie i wreszcie troska. -No, właśnie -mówiła dalej. -Wchodziłyby tu w grę sumy pieniędzy, które dają władzę i wpływy polityczne. Za taką władzę ludzie, korporacje i narody zdolne się zabijają.

- Ja tego nie chcę -powiedziała Erin.

- To, czego chcesz, i to, co dostaniesz, to są dwie zupełnie różne rzeczy -odparła Faulkner i ciągnęła nieubłaganie: Scenariusz numer cztery. Czy masz pojęcie, ile w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat uruchomiono kopalni diamentów klasy jubilerskiej?

- Nie.

- A ja wiem. Przeprowadziłam analizy, których wyniki leżą teraz zamknięte w skarbcu w Wirginii. Nowe kopalnie uruchomiono w Związku Radzieckim, w Australii, w kilku afrykańskich republikach, które słuchajcie dego gwizdnięcia kartelu. Rosjanie się z tym kryją i wymyślają jakieś ideologiczne historyjki, ale oni też słuchajcie Conminu, bo kartel kontroluje wypływ ich kamieni w świat. Australia postąpiła tak samo. Uruchamia się bardzo niewiele nowych kopalni, może jedną na dziesięć lat.

- Nic dziwnego. Diamenty to rzadkość.

- To przy każdej okazji powtarza nam Conmin -odparła Faulkner. -Kartel diamentowy zatrudnia setki geologów, którzy prowadzą badania na całym świecie. To najlepsi specjaliści, elita fachowców. I nigdy, powtarzam, nigdy, nie znaleźli nowej kopalni. Ani razu. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat jedyne nowe kopalnie zostały odkryte przez badaczy niezwierzanych z Conminem, którzy pracowali na terenach dokładnie już przebadanych przez kartel. Czy to ci coś sugeruje?

- Może geolodzy Conminu nie są tacy dobrzy albo po prostu nie mają szczęścia. Istnieje też możliwość, że kartel nie chce odkryć nowych kopalni -odparła Erin.

- Odpowiedź szybka, zwiastująca i celna. Szkoda, że tak nie znosisz pracy swojego ojca. Przydałaby się nam, ale tylko je li

zdecydowałyby się u ywa swoich szarych komórek. Pomył o tych tajemniczych diamentach i o ostrze eniach, o Conminie i skarbcu Szalonego Abe'a. Conmin trzyma r k na ka dej nowej kopalni, w dowolnym miejscu na wiecie, je li kopalnia dostarcza znacz cej ilo ci diamentów jubilerskich. Ten monopol ma znaczenie polityczne i ekonomiczne.

- Masz na my li t diamentow o ? -Erin nie chciała wierzy w te słowa, ale w tpliwo ci stawały si coraz mniej usprawiedliwione.

- Wła nie -potwierdziła Faulkner. -Równowaga sił to delikatne ustawianie szalek. Kiedy co jest a tak delikatne, nie trudno to zburzy . W tej chwili Stany Zjednoczone bardzo by chciały zyska kontrol nad kopalni diamentów, która dałaby mocn pozycj przetargow w rozmowach z kartelem. Inne kraje te wiele by za to dały.

- Rozumiesz teraz? -zapytał cicho Windsor. -Je li Szalony Abe rzeczywi cie miał kopalni diamentów, jej obecny wła ciciel zostanie ruchomym celem. Obawiam si , e ty nie potrafiłaby wystarczaj co szybko pa na ziemi i zej z linii strzału. Ja to umiem. Dziecinko, pozwól mi załatwi t spraw .

Erin w milczeniu podeszła do okna. Chocia nie wiadomie, stan ła tu przy cianie, eby widzie , pozostaj c w ukryciu. wiatła miasta jak fale jeziora omywały podnó e czarnych gór.

- Spodobałby si wam Cole Blackburn -odezwała si w ko cu. -On te chce, ebym si wycofała z tej gry. Mam si z nim jutro spotka i odpowiedzie na jego ofert wykupienia spadku.

- Ile ci oferuje?

- Trzy miliony dolarów.

- Taka suma i te trzyna cie diamentów zrobiłyby z ciebie bardzo bogat kobiet -zauwa ył szybko Windsor. -Nigdy ju nie musiałaby robi niczego, na co nie masz ochoty. A ile pieni dzy chciałaby dosta ?

- Je li wi cej ni trzy miliony, to znam inwestorów, którzy przelicytuj Blackburna -wtr ciła gładko Faulkner. -Wszyscy

byliby my bardziej zadowoleni, gdyby spadek trafił w ręce amerykańskiego inwestora, a nie takiego wolnego strzelca jak Blackburn.

W pokoju na chwilę zaległa cisza. Erin spojrzała na leżące na stole diamenty. Nawet w mrocznym pokoju wyływało z nich światło jak sekretny szept. Znikało, kiedy odwracała głowę, błyszczało na załamaniach powierzchni i znów mignęło. Kryształowy zafascynowały ją jak nic przedtem. Nawet arktyczny lód nie zrobił na niej takiego wrażenia.

- Dziękuję, nie - powiedziała łagodnie. - Zachowam spadek. Co do ostatniego nieodkrytego diamentu.

Rozdział dziewięć

Cole Blackburn siedział z nogami na stole do map i spojrzał ponad Los Angeles na ciemność w odległości dwudziestu kilometrów czarnego Oceanu Spokojnego. Starł się skupić nad wpisywaniem nowego zestawu danych komputerowych na sporządzonych przez Landsat map Australii Zachodniej, która leżała przed nim. Zapisał do pracy gasiła myśl, że ten wysiłek na nic się nie przyda. Szalony Abe należał do dinozaurów: Nie pasował do dwudziestego wieku i jego tajemnicę nie sposób było odgadnąć za pomocą nowoczesnych metod.

Z drugiej strony, Cole nie miał nic innego do roboty, jak tylko przeglądać mapy satelitarne, do czasu kiedy Erin zdecyduje się sprzedać spadek. Jeśli się zdecyduje. Jeśli nie, będzie się musiał uciec do pomocy skrypty dłu nego, w który przezornie zaopatrzył go Wing. Cole'owi nie podobało się takie wyjście, ponieważ nie wyłazało Erin z gry. Wolałby wykupić jej prawo do spadku i zakończyć sprawę.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze wolnych godzin do czasu, kiedy Erin z ojcem stawi się na spotkanie w Blackwing. Pojawienie się Matthew Windsora nie zaskoczyło

go, ale nieco komplikowało bieg wydarzeń. Miał nadzieję, że Windsor namówi córkę do sprzedaży i odwiedzie ją od rozgrywek z diamentowym tygrysem.

Cole wiedział też, że ojciec Erin pracuje dla CIA, a CIA jest bardzo zainteresowane kartelem diamentowym. Korporacje, klany i instytucje rzadko w jednym się do siebie podobnie kładą, z nich wymaga od swoich pracowników całkowitej lojalności, poświęcenia dzieci, poświęcenia prywatnego życia dla większej chwały całej zbiorowości. Każdego niezależnego człowieka trzeba było dla zasady uwieść, zastraszyć, przekupić lub usunąć. Niezależność jest jak klątwa dla Conminu, Centralnej Agencji Wywiadowczej i rodziny Chen.

Jeśli Matthew Windsor jest oddanym oficerem CIA, bez wahania użyje spadku córki jako narzędzia w jakiej politycznej rozgrywce Stanów Zjednoczonych. Jeśli zaś jest wyjątkowo zdemoralizowanym graczem, wykorzystają córkę, nie jej o tym nie mówią.

Zapadający mrok zmieniał szyby w oknach na trzydziestym ósmym piętrze w półprzezroczyste lustro. Wciąż było widać miasto, ale odbłaski z pokoju migotały na szklanej tafli, ilekroć Cole się poruszył.

A nawet kiedy trwał nieruchomo.

Zaledwie jego mózg zarejestrował to zjawisko, jednym ruchem wyskoczył zza biurka. W jego dłoni załapał ostrze noża. Szybko, bezgło nie podszedł do drzwi łączących dwa pomieszczenia biura.

- To robi wrażenie - odezwał się głos w sąsiednim pokoju. - Ale pistolet ma większą zasięg. A tak przy okazji, nazywam się Matthew Windsor. Mogę to udowodnić, jeśli tylko pozwolisz mi sięgnąć do kieszeni.

Cole popatrzył na wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który stał w drzwiach wychodzących na korytarz. Nieznajomy miał chłodny i pewny siebie wyraz twarzy. Jego oczy były tego samego kształtu i koloru co oczy córki.

- Przyszedłem wcześniej, niż było umówione - odezwał się

Cole i płynnym ruchem schował nóg do ukrytej w rękawie pochwy.

- Nikt nie wie, że tu jestem, i chciałbym, żeby tak zostało.

Strumyk adrenaliny popłynął w żyłach Cole'a, pobudzając każdy nerw ciała.

- Co zrobiłeś ze strażnikiem?

- Nie martw się. Nie ukryłem żadnych zwłok w schowku. Strażnik dyuruji przy windzie był bardzo miły. Właśnie poszedł po szklankę wody, abym mógł zażyć swoje lekarstwo na serce.

- Dopilnuj, żeby jeszcze raz go przeszkolono. Może znajdziemy mu pracę w szpitalu. - Cole ruchem ręki wskazał na korytarz. - Proszę przodem.

- Ostro nów z siebie człowiek.

- Chcemy wystarczyć co długo, żeby zażyć lekarstwa na serce.

Windsor rozejmiał się cicho i wyszedł na korytarz. Cole zamknął drzwi i skinął kciukiem w prawo.

- Te drzwi po lewej to sala konferencyjna.

Kiedy mijali kolejne biura, Windsor się rozglądał. Zatrzymał się przed tymi drzwiami po lewej, nacisnął klamkę i cofnął się.

- Zamknij te.

- Przedtem ci to nie przeszkadzało - odparł Cole, otwierając kluczem drzwi.

Kiedy zapalił światło, znalazł kremowo-rdzawą okładzinę z egzotycznego australijskiego drewna jarrah.

Windsor bez żadnych wstępów zwrócił się do geologa:

- Gdybym wiedział, kto ci rozkazuje, mógłbym zdecydować, czy nie zwraca na ciebie uwagi, czy wyeliminować cię z gry.

Cole nie pocieszał się myślą, że Windsor blefuje. Mimo siwych włosów, ojciec Erin miał mocne ciało i sprawny umysł. Poza tym uprawiał się w brudnych grach przez dwadzieścia lat dłużej niż Cole Blackburn.

- Nikt mi nie rozkazuje -odparł zwi le geolog. -Tylko tak lubi pracowa i nie b d tego zmieniał.

- Nikt nie jest niezale ny.

- I kto to mówi, Windsor? Tajny agent czy ojciec Erin?

- Tymczasem załó my, e tajny agent, który widzi wiele ciemnych kart w teczce opatrzonej nazwiskiem Blackburn. Przede wszystkim, jeste zabójc . Masz na ten temat co do powiedzenia?

- Konkretnie o który przypadek ci chodzi?

- Zacznijmy od tego, co si zdarzyło, kiedy miałe osiemna cie lat i zaci gn ę si do piechoty morskiej, eby unikn wi zienia za zamordowanie człowieka.

Cole podszedł do skórzanego fotela ustawionego u szczytu stołu konferencyjnego i usiadł. Zastanawiał si , dlaczego Windsor stara si wyprowadzi go z równowagi -i dlaczego mu si to udaje.

- To było zabójstwo, a nie morderstwo -wyja nił. - Nieszcz liwie zako czona bójka w barze.

- Martwy człowiek to martwy człowiek.

- Je li chodzi o wst pienie do piechoty morskiej, to tam, sk d pochodz , był to cz sty sposób na unikni cie wi zienia.

- Zostałe wi c zwiadowc w piechocie morskiej - podsumował chłodno Windsor. -Dobre miejsce dla morderców.

- Sko cz z tymi bzdurami. Nie b dziesz mi wypominał przelanej krwi. Sam niejednego wyprawile na tamten wiat.

- Niektórzy lubi widok krwi. Inni s na ni oboj tni. Do których ty nale ysz?

- Ani do jednych, ani do drugich.

Po chwili Windsor skin ł głow , jakby taka odpowied go zadowoliła.

- Uzupełnijmy luki w twojej kartotece. Jak ci si udało z ołnierza zmieni si w geologa bez uko czenia college'u?

Zapadła cisza, w czasie której Cole zastanawiał si , czy odpowiada na to pytanie. W ko cu wzruszył ramionami. Przecie to nie miało znaczenia ..

- Mój sierant służył w wielu krajach i w każdym uczył się czegoś nowego o kamieniach i geologii. Opowiadał o tym każdemu, ale tylko ja naprawdę go słuchałem. To on kupił mi pierwszy kompas firmy Brunton i pomógł mi zrozumieć podstawowe podręczniki do geologii. To był wspaniały gość.

Windsor znów skinął głową.

- Nazywał się Marcel Arthur Knudsen, tak?

Po raz pierwszy Cole był zaskoczony.

- A więc to oznaczała litera M przed nazwiskiem. Nigdy mi tego nie powiedział.

- Stara się to ukryć.

- Skąd, u diabła, go znasz.

- Mamy wspólnych znajomych - odparł Windsor. - Wciąż jeszcze są w Pentagonie ludzie, którzy uważają go za ósmy cud świata. Od czasu służby wojskowej dużo podróżował. Na przykład po Zairze.

- Tak, byłem tam. - Cole uśmiechnął się niewyraźnie. - Ile kosztowało twoich ludzi wykupienie Thompsona z więzienia w Kinszasie?

- W przeciwieństwie do ciebie, Agencja nie uznała tego za zabawne. Gdyby policja polityczna dowiedziała się, kim naprawdę jest Thompson, zostałby rozstrzelany. O mały włos twoja sztuczka by go wykończyła.

Uśmiech Cole'a stał się tak samo zimny jak spojrzenie.

- Serce mi puka, kiedy ci słucham. Thompson chciał mnie zabić. I prawie mu się to udało. Jeśli jeszcze raz by się próbował, dobiłby mu się do skóry tak, e popami tam.

Windsor mruknął coś pod nosem.

- Musz przyznać, że sprawiedliwie rozdzielasz ciosy powiedział. - Tak samo potraktował tego agenta KGB w Kairze. Kiedy to było? Chyba w osiemdziesiątym drugim, co?

- Wiem, że Schmelling rzeczywiście pracował dla KGB? Myślałem, że jest tylko wyjątkowo wrednym typkiem zajmującym się handlem przemycającym towarami.

- Był pułkownikiem wywiadu.

- Gdybym to wtedy wiedział, skończyłby jako jedno z tych zwłok, którymi tak się przejmujesz.

- To nie byłoby słuszne pociągnięcie cie. Był podwójnym szpiegiem, pracował równie dla nas. Schmelling był dla nas wiele ważniejszy, niż Thompson mógł sobie zamarzyć.

- Ale nie dla mnie. Był mi tak samo przydatny jak mój brazylijski wspólnik.

- Ten, którego zabiłeś?

- Ten, który wbił mi nóż w plecy, ale nie udało mu się trafić w adenoidalny narząd. Potem miał tego gorzko po łowca.

- Długo nie pożył.

- Dwa miesiące. Wystarczy.

- Wydaje ci się, że straszny z siebie twarzą, co?

Cole wolno przysnął głową.

- Jestem po prostu człowiekiem, który chce, żeby go zostawiono w spokoju. To niektórych drażni, i to bardzo. Zaczynają mi wchodzić na kark, a ja tego nie lubię i atmosfera z miłą robi się napiętą. A dlaczego ty chcesz mi wejść na kark, Windsor? Czy CIA chce mnie usunąć z tej rozgrywki? Czy by Agencja rościła sobie prawo pierwokupu do spadku Erin?

- Nie wiem. Wiem tylko, że bardzo mi się nie spodobało to, co zobaczyłem w twojej kartotece. Jesteś niebezpieczny i nie można ci ufać. Jeszcze nikomu nie udało się wziąć ci w ryzyko, może oprócz tego starego, zgorzkniałego sieranta w piechocie morskiej. Nie ryzykuj sobie, żeby się krzywił w pobliżu mojej córki.

- Nie staram się przecie o jej rękę. Próbuje tylko kupić spadek po jej stryjecznym dziadku.

Windsor zawałał się i głębiej nabrał powietrza.

- Właśnie nie w tym problem, Blackburn. Zdaje ci się, że Erin nie zamierza nic sprzedawać. Nie chce przyjąć mojej rady i pomocy ani odsprzedać swoich praw inwestorom wskazanym przez Agencję. Uparła się jak osioł i nic na to nie poradzę.

Przez chwilę Cole nie wiedział, czy klęcze ze złości czy

wiwatowa . Domy lał si , e Erin to kobieta, która sama podejmuje decyzje i bierze za nie odpowiedzialno , i e równie niech tnie poddaje si wszelkim ograniczeniom jak on. Jednak chocia niezale ny duch Cole'a cieszył si , e znalazł pokrewn istot , to pragmatyczna cz jego osobowo ci reagowała gniewem. Umiłowanie wolno ci Erin mogła przyplaci yciem.

Nie mówi c ju o yciu Blackburna.

- Cholera -powiedział gło no. W jego zmrz onych oczach zal nił gniew i podziw, który go zaskoczył.

- No, wła nie -zgodził si Windsor. -Cholera. Moja córka jest liczna, utalentowana i bystra, ale nie ma poj cia o rozgrywkach z obcymi pa stwami i korporacjami. W zasadzie do tej pory robiła wszystko, eby zachowa przywatno i unika ludzi.

- Dziwisz si ?

- Nie. Czasami sam chciałbym uciec od wiata. Ale to nie ja odziedziczyłem Kopalnie pi cego Psa, tylko Erin. Je li nie zechce sprzeda spadku, b dzie musiała y w prawdziwym wiecie.

- Albo umrze .

- Tego chc unikn . Jakie jest twoje zdanie?

- Kobieta, która stworzyła "Arktyczn Odysej ", jest warta wi cej ni jej waga w diamentach.

Przez chwil Windsor milczał zdziwiony, a potem wybuchn ł miechem.

- Oni mieli racj . Trudno przewidzie , jak zareagujesz.

- Jacy "oni"? -zapytał chłодно Cole. -Faceci od tajnych zada , dla których pracujecie?

- Mi dzy innymi. -Windsor zawahał si , ale mówił dalej. Pracuj dla CIA od trzydziestu dwóch lat. W tym czasie musiałem robi wiele trudnych rzeczy, ale jestem dumny z agencji, ze swoich zasług dla niej i z mojego kraju. -Cole mrukn ł co niezobowijuj co. -Po raz pierwszy w swojej karierze przedkładał interes rodziny nad interesy agencji - oznajmił z prostot .

Cole podejrzewał, że ojciec Erin nie kłamie. Jednak wiedział, że to doskonale wyszkolony, do wiadczony i wprawny agent, specjalista od tajnych zadań i manipulacji.

- To brzmi budująco - odparł z ironicznym uprzejmości. Ale nie zapomnij, że wiem, jak zarabiasz na życie.

Windsor uśmiechnął się ponuro.

- Ostatniej nocy długo przeglądałem twoje kartoteki. Pod wieloma względami, i to tymi znaczącymi, jesteście do siebie podobni. Nigdy nie zdradziłeś przyjaciela ani nie zapomniałeś wroga. Chcę, żeby Erin została twoją przyjaciółką. Chcę, żeby jej pomagał, nawet jeśli nie sprzeda ci działek Abe'a. W zamian zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Nie zdradzę Agencji, ale postaram się ułatwić ci zadanie tak długo, jak będzie mógł. Dostarcz ci informacje, danych logistycznych, czego tylko będzie ci trzeba. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas i Erin zdecyduje się na coś innego, zapewni ci informacje o tym, w czyje ręce trafi kopalnia. Tylko dopilnuj, żeby przeżyła.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Windsor na chwilę ogarnął w ciemności. Nagle, patrząc w czyste, jasne oczy, zdał sobie sprawę, że Blackburn mówi szczerze. Zrobię wszystko, co w jego mocy.

- Dobrze - odparł cicho agent. - Jest jeszcze kilka szczegółów, których nie rozumiem.

- Czy to ma znaczenie?

- Być może. Jak testament Abe'a trafił w twoje ręce?

Cole pokręcił odmownie głową.

- Tego się spodziewałem - odparł chłodno Windsor. - Wiem, co mi wyjdzie, dlaczego człowiek, który tak sobie ceni niezależność, zaprzedał się jednemu z najbezwzględniejszych klanów Azji?

- To proste. Nie zaprzedałem się rodzinie Chen.

- Ale czy oni o tym wiedzą?

- To nie mój problem.

- Ale to będzie twój problem, jeśli zrobisz błędny wybór i uznasz, że interesy Erin pokrywają się z interesami Chenów.

- Mam gdzie interesy wuja Li -odparł zwi le Cole.

Po chwili Windsor szorstko skin ł głow .

- Dobrze. Dzi ki temu nie b d musiał zadawa sobie kłopotu, eby usun ci z tej rozgrywki i wyszuka kogo innego, kto znalazłby diamenty dla Erin; kogo , kogo bym kontrolował. W agencji mamy z pół tuzina znakomitych geologów.

- Dobry jest jedynie Baker. Reszta nie dostrzegłaby gówna na białym obrusie. A on jest wypo yczony z Conminu. Je li CIA b dzie kiedy rzeczywi cie chciała znale jak kopalni diamentów, skontaktuj si ze mn .

- Przecie wła nie to zrobiłem -odparł Windsor z łagodnym u miechem.

Drzwi otworzyły si , zamkn ły i Cole został sam w sali konferencyjnej. Wci gn ł gł boko powietrze i wypu cił je bezgło nie. Zastanawiał si , sk d wiele od niego młodsza Erin wzi ła tyle odwagi, eby przeciwstawi si swojemu staremu.

Rozdział dziesi ty

Erin wychodziła wła nie z pokoju hotelowego, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała, spodziewaj c si , e to ojciec albo Nan Faulkner, która spokojnie, ale stanowczo nalegała, eby uczestniczy w spotkaniu z Cole'em Blackburnem. Słysz c dziwny pogłos w słuchawce Erin domy liła si , e to rozmowa mi dziwniastowa, zanim jeszcze rozległ si głos Jeffreya Fishera, jej redaktora z Nowego Jorku. Jeff był w jej wieku i uchodził za wschodz c gwiazd w ród ludzi zajmuj cych si wydawnictwami artystycznymi. Był tak podniecony, e ledwie mógł mówi .

- Jak ty to robisz? -zapytał. -Jeste chyba czarownic . Rzucasz na ludzi uroki z za koła polarnego. Na pewno. Jeste wied m . My lałem, e tylko ja czuj przed tob respekt, ale teraz widz , e do ciebie nale y cały wiat. Wszyscy dobijaj si

do twoich drzwi, gotowi rzucić ci do stóp sław i pieniądze.

- Jeff, na miłość boską, co ty bredzisz? Zwolnij trochę.

- Mam zwolnić? Nie ma mowy, nie mogę. Zresztą nie mam powodu. Jak się dowiesz, co się stało, te bzdury skakała z radości. To była szansa. Ten album zrobi z ciebie najslawniejszego fotografa pod słońcem. To fantastyczne, niewiarygodne. To ... -Zamilkł, szukaj odpowiedniego słowa.

- Jeff, wydumasz wreszcie, o co tu chodzi.

- O diamenty - wyszeptał.

Erin przebiegł zimny dreszcz.

- Co takiego?

- Diamenty. Zaproponowano ci właśnie, żeby zrobiła album... Nie album, wielki księgi o tych najwspanialszych kamieniach na ziemi.

- Zaproponowano? - Odchrząknęła. - Naprawdę? Kto? Kiedy?

- Ludzie, do których należą wszystkie diamenty świata. Właśnie oni. Consolidated Minerals, spółka kontrolująca wydobycie kopalni diamentów. Conmin zdecydował się na współpracę przy tworzeniu najobszerniejszego i najdroższego studium swojego produktu, jakie dotychczas powstało. Chcąc do tego zadania tylko jednego fotografa. Erin Shane. Zdaje się, że ktoś widział twój "Arktyczna Odyseja" i doszedł do wniosku, że jeśli potrafisz wyczarować takie zdjęcie lodu, to a trudno sobie wyobrazić, co zrobisz z najprawdziwszymi diamentami.

Erin zamknęła oczy i zastanawiała się nad tym zadziwiającym zbiegiem okoliczności.

Fisher zdał sobie sprawę, że jego rozmówcy wcale nie jest tak przejęta jak on.

- Słuchaj, kochana - odezwał się. - Zbyt długo przebywała na mrozie. Mózg ci zamarł. Harry Conner oszalał na punkcie tego pomysłu, zwłaszcza że Conmin sfinansuje całe przedsięwzięcie. Zapowiada, że wezmie cię do zaliczki, sześciocyfrową, a nawet więcej. Jeśli dobrze to rozegrasz, twój

agent może wyciągnąć dla ciebie siedmiocyfrowy numer. I mówi ci o cyfrach przed przecinkiem. Rzecz jasna, wchodzi w grę prawa autorskie na cały świat.

Erin wydała z siebie dźwięk, który mógł oznaczać zarówno radość, jak i rozpacz.

- Jeff...
- Tak, wiem, ale to wydaje się zbyt piękne ...
- Kiedy oni zadzwonili? -przerwała mu szorstko.
- Kto?
- Conmin.
- Pierwszy telefon dostałem mniej więcej godzinę temu.

Dzwonił jakiś gość z holenderskim nazwiskiem, Hugh van Louk czy coś takiego. Właśnie w tej chwili omawia z Harrym szczegóły.

- Rozumiem.
- Nic nie rozumiesz, bo inaczej skakałaby z radości jak ja -odparował Fisher. -Pamiętasz, co chciała robić kilka lat temu. Przecież to właśnie nie to. "Od diamentu do brylantu". Tym razem Conmin wpuścił ci na swój londyński przegląd. Teraz zgodzi się na wszystko, co zechcesz, i w dodatku zapłaci ci fortunę. To nie mogło się zdarzyć w lepszym momencie. Trzeba będzie przełożyć twój wyjazd do Europy, ale i tak miałem wrażenie, że wcale się tam nie wrywasz.

Erin jeszcze kilka minut słuchała jego wynurzeń, zadała kilka pytań i zakończyła rozmowę. Chciała uwierzyć, że to zbieg okoliczności, ale nie mogła. Zastanawiała się, w jaki sposób Conmin tak szybko wpadł na jej trop.

Może ojciec będzie wiedział. Albo Cole. Jedna z tych myśli nie dodawała jej otuchy.

Przybyła do budynku Blackwing zdecydowana za wszelką cenę uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. Cole czekał na nią przy drzwiach windy. Kiedy na niego spojrzała, zauważyła, że oboje mają na sobie ten sam strój co poprzedniego dnia. Widać było, że jego koszula i jej bluzka zostały wyprane i wysuszone w hotelowej pralni. Domyślała się, że oboje lubi podróżować z

minimaln ilo ci бага u. To dziwnie poprawiło jej humor.

- Czy mój ojciec ju jest? -zapytała.

- Stra nik jeszcze mnie nie powiadomił o jego przyj ciu -
odparł Cole. Nie skłamał, ale te nie powiedział całej prawdy.
Zmru ył oczy widz c wywołane napi ciem wyra ne bruzdki
wokół jej oczu i ust. -Co si stało?

- Nie wiem. I nie dowiem si , dopóki nie otrzymam kilku
odpowiedzi.

Zanim Cole zd ył si odezwa , zadzwonił telefon.
Blackburn wysłuchał wiadomo ci i odło ył słuchawk .

- Twój ojciec wła nie jedzie na gór . Towarzyszy mu jaka
kobieta.

- Nan Faulkner. Zajmuje si diamentami.

Po chwili zjawił si stra nik, prowadz c za sob Matthew
Windsora i jego współpracownic . M czy ni przywitali si
oboj tnie, u cisl li sobie dłonie i zaj li miejsca w sali
konferencyjnej. Faulkner równie usiadła, tylko Erin nadal stała.
Spojrzała na pozostał trójk .

- Który z graczy najbardziej skorzysta na ujawnieniu
wiadomo ci, e to ja jestem spadkobierczyni Abe'a? -zapytała.

- O co ci chodzi? -zdziwiła si Faulkner.

- Dokładnie o to, o co pytałam. Kto odniesie korzy ?
Agencja? Conmin? Cole? Ja?

- Conmin -odparł Cole.

Faulkner i Windsor spojrzeli po sobie.

- Conmin -potwierdziła kobieta.

Erin zwróciła si do Cole'a:

- Oferuj mi milion. Ile tobie zapłacili?

- Ani centa.

- Erin, o co ci, u diabła, chodzi? -zapytał ostro jej ojciec.

Odpowiedziała mu, nie odrywaj c wzroku od Cole'a.

- Conmin zadzwonił do mojego wydawcy z propozycj ,
dla której wi kszo fotografików gotowa by była kogo
zamordowa . Kartel proponuje mi wykonanie zdj do albumu o
diamentach. W zasadzie ma to by co w rodzaju

najdogł bniejszej na wiecie wielkiej księgi diamentów. I wszystko to dlatego, jak twierdzę, że jestem wspaniałym fotografikiem i robię niepowtarzalne zdjęcia. Tylko ja się do tego nadaję. Conmin jest tak urzeczony tym pomysłem, że wyraził chęć przeznaczenia na ten projekt około pięciu milionów dolarów.

- Chryste -wymamrotał Windsor.

- On chyba nie ma z tym nic wspólnego -zauważył Cole.

- Kto do ciebie dzwonił?

- Jeff Fisher, redaktor, który zajmuje się moimi pracami.

Harry Conner, wydawca, właśnie ustala szczegóły. Harry nie posiada się z radości, a Jeff myśli, że przejdzie do historii sztuki edytorskiej.

- A co ty o tym sądzisz? -zapytał Blackburn.

Erin machnęła ręką.

- To dobry pomysł. Kilka lat temu starałam się zainteresować Jeffa albumem przedstawiającym drogę diamentu od wydobycia z ziemi do zamiany w dzieło sztuki jubilerskiej. Nie mógł załatwić mi wstępu do Conminu. Nie chodziło o nic osobistego. Odmawiali wszystkim innym fotografikom i wydawcom z Nowego Jorku. Tak mieli zasady. -Nabrała głębooko powietrza. -Dlaczego więc teraz zmienili zdanie?

- Proste -odparł Cole. -Odkryli, że jesteście spadkobierczyni Abe'a.

- Błyskotliwy wniosek, Watsonie -kpiła Erin.

- Kto z naszej czwórki przekazał wiadomość Conminowi?

Nan Faulkner parsknęła cichym, niemal bezgłośnie miechem. Erin spojrzała na nią ostro.

- Matt, niepotrzebnie się martwisz o swoją małą córeczkę -oznajmiła kobieta. -Jest wystarczająco bystra, aby uniknąć kłopotów. Pociesz się, Erin, że przeciek nie pochodzi z Agencji. Tylko Matt i ja wiedzieliśmy o tobie, a żadne z nas nie otworzyło ust.

- Ja też nie -odezwał się Cole.

- Udowodnij -zaświadczyła Faulkner.

Wzruszył ramionami.

- Ja wiedziałem, gdzie jest Erin. Conmin stracił co najmniej dwa dni, eby do niej dotrze przez wydawc , co oznacza, e nie wiedzieli, gdzie jej szuka . Gdyby było inaczej, nie zwracaliby si przez po redników, tylko osobi cie zło yliby jej ofert . Poza tym, ja te chc kupi prawa do wydobywania, które odziedziczyła, wi c na pewno nie ułatwiałbym Conminowi zadania .

Erin zastanawiała si przez chwil , a potem skin ła głow .

- W porz dku. W takim razie, kto to zrobił?

- Nie wiem. -Cole spojrział na Faulkner i znowu na Erin. - Kto dzwonił do wydawnictwa?

- Jaki Hugh van Louk.

Faulkner ze wistem wypu ciła powietrze.

- To Hugo van Luik, najtwardsza sztuka w całym Conminie. Dyrektor do spraw operacji specjalnych w Dziale Handlu Diamentami -OHO. Ma jeszcze z pół tuzina równie tajemniczych tytułów, ale jego praca sprowadza si do jednego. Je li Conmin ma jakie problemy, van Luik je rozwi zuje.

- Znasz go? -zaciekawiała si Erin.

- Widujemy si przez okr gły rok, co pi ty poniedziałek. Szczerze mówi c prosto st d lec do Londynu.

Cole spojrział na Windsora.

- Od jak dawna pani Faulkner pracuje dla Conminu?

- Nigdy dla nich nie pracowałam, skarbie -odparowała kobieta. -Na szczeblu doradczym reprezentuj interesy amerykańskiego przemysłu diamentowego, a nie Conminu. Cholernie du o ludzi w tym interesie chciałoby zaj miejsce kartelu na grzbiecie diamentowego tygrysa. Tylko nie udało si nam jeszcze wymy li , jak to zrobi .

- Co pi ty poniedziałek -powtórzyła Erin, przypominaj c sobie, czego si dowiedziała, kiedy pi lat temu przygotowywała si do opracowania albumu o diamentach, którego nie chciał jej wyda Harry Conner. -Chodzi o przegł dy, tak?

Wyra nie nakre lone czarnym ołówkiem brwi Faulkner uniosły si .

- Tak. -Zapaliła zapark i przytkn ła płomie do w skiej cygaretki. -Dziesi razy w roku, zawsze w poniedziałek, spotykaj si w Londynie przedstawiciele biznesu diamentowego z całego wiata i otrzymuj od Conminu przydział. -Wydmuchn ła kł b gryz cego dymu. -Doradcy rz dowi, tacy jak ja, s informowani, jakie potrzeby ma DHD i ile surowca zakupi. Z drugiej strony, szlifierzom i handlarzom - kiedy było ich trzystu, teraz zostało tylko stu pi dziesi ciu - pokazuje si ofert i oznajmia cen .

- Opowiedz jej o negocjacjach -polecił kpi co Cole.

- O jakich negocjacjach?

- Wła nie o to mi chodziło. -Spojrzał na Erin. -Nie ma tam adnych negocjacji. Kontrahenci Conminu mog tylko przyjąć ofert albo j odrzuci . Producenci diamentów dowiaduj si , ile surowca zakupi kartel i jak cen zapłaci. Szlifierze i handlarze dostaj okre lon ilo diamentów po z góry wyznaczonej cenie. Je li decyduj si na zakup, musz zapłaci gotówk . Je li odmówi wi cej ni raz, nigdy wi cej nie s zapraszani, co w praktyce oznacza całkowite wyeliminowanie z rynku diamentów.

- I Conmin chce, ebym to fotografowała? -zdziwiła si Erin. -Je li tak prowadz interesy, to pewnie lepiej byłoby zachowa to w tajemnicy, a nie opisywa w ksi ce.

Faulkner machn ła lekcewa co r k .

- Kartel jest pot ny, wi c nie musi si tłumaczy ani ukrywa . Jak długo działaj poza Stanami Zjednoczonymi, wi c poza zasi giem ustawy anty trustowej Shermana, nic im nie grozi i mog robi , co zech .

- To zupełnie jak OPEC -stwierdziła Erin.

- Prawie. -Kobieta skin ła głow . -Conmin jest równie pot ny jak kiedy OPEC. Ró nica polega na tym, e wiat mo e si obej bez diamentów o wiele dłu ej ni bez ropy. Musieli my złama OPEC, nie było wyboru. Kartel diamentowy

to zupełnie inna sprawa. Diamenty to luksus, nie koniecznie . Inaczej ju dawno rozprawiliby my si z Conminem, tak jak to zrobili my z ukochanym tworem szejka Yamani. To byłoby jedyne wyj cie.

- Je li Conmin jest tak pot ny, to dlaczego bawi si w te podchody z albumem o diamentach?

- eby móc si wszystkiego wyprze -wyja niła szybko Faulkner. -Ludzie stoj cy na czele kartelu nie s głupi. Gdyby była jak anonimow Jane Smith, a nie córka Matta, podejrzewam, e zgin łaby , zanim jeszcze udałoby ci si przeliczy te trzyna cie diamentów starego Abe'a. Ale jeste córka Matta, wi c Conmin musi st pa ostro nie. Pozornie sponsoruj artystyczne przedsi wzi cie, a nie przeszkadzaj Ci w odkryciu nowej kopalni. Wcale nie chc ci ukr ci licznej główki, tylko zrzucaj ci na ni deszcz pieni dzy. -Zaci gn ła si g ł boko cygaretk . -Do diabła, dziecino! B d ci zaprasza na wystawne kolacje, kusi olbrzymimi sumami i ani si obejrzysz, jak z własnej woli oddasz im swój spadek i jeszcze ucałujesz z wdzi czno ci w oba policzki. Przecie nawet nie wiesz, czy ta kopalnia rzeczywi cie istnieje, zgadza si ? -Erin przytakn ła. -Nawet je li istnieje, nie masz gwarancji, e j znajdziesz. Wi c Conmin wchodzi do gry oferuj c ci pewny milion i wydanie albumu, który przyniesie ci sław . Tym chc przebi ofert Blackburna.

- Trzy miliony -przypomniał Cole.

- Zakładaj c, e sta ci na tyle -pogardliwie odparła Faulkner. -Na twoim miejscu, Erin, wynaj łabym jak dobr firm , jak Dun i Bradstreet, eby sprawdzi tego typu. On nie budzi mojego zaufania, mimo tej jedwabnej marynarki, która le y na nim jak ulał. Pozwól sobie na mały romans z Conminem. Co ci to szkodzi? W ten sposób ja i twój ojciec mieliby my troch czasu, eby zebra zespół ludzi i przetrz sn stacj Szalonego Abe'a. -Przygwo dziła Erin spojrzeniem czarnych oczu. -Co o tym s dzisz? Wszyscy byliby zadowoleni, mo e z wyj tkiem Blackburna.

W sali zapadła tak głą boka cisza, e Erin słyszała odległy huk samolotu startuj cego z lotniska za miastem. Spojrzała na ojca, a potem na Nan Faulkner. Motywy ich działań były jasne i zrozumiałe, chocia nie podzielała ich całkowicie. Popatrzyła na Cole'a, równie tajemniczego jak diamenty, które jej dostarczył. Potem jeszcze raz spojzała na ojca.

- Czy Cole to człowiek Conminu?
- Nie mam pewno ci -ostro nie odparł Windsor.
- A jaki jest najbardziej prawdopodobny wniosek na podstawie dost pnych ci danych? -zapytała chłodno, u ywaj c sformułowa doskonale dla niego zrozumiałych.

- Nie pracuje dla kartelu.
- Czy jest poszukiwaczem diamentów?
- Tak.
- Dobrym?

Windsor skin ł głow .

W ciszy, która zapadła, Erin szybko rozwa yła mo liwo ci, jakie proponował jej ojciec. adna z nich jej nie odpowiadała.

Zdecydowała si na inne rozwi zanie.

Si gn ła do torebki, wyj ła zniszczony woreczek, delikatnie otworzyła i wysypała kamienie na r k . Przez chwil podziwiała ich tajemnicze, dr ce błyski, potem schowała do sakiewki wszystkie, oprócz zielonego. W milczeniu spogl dała to na diament, to na człowieka, który trzymał go w dłoniach tak długo, e zostawił na jego wygładzonej przez czas powierzchni smak swojej skóry.

- Nie sprzedam ci praw do eksploatacji moich złó oznajmiła Cole'owi. -Dam ci za to połow wydobycia ka dej kopalni, któr ...

- Erin! Na lito ... -zacz ł Windsor.

- ... Któr pomo esz mi odkry na moich terenach - ci gn ła uparcie, nie zwracaj c uwagi na słowa ojca. -Nikt nie zło y ci lepszej propozycji, poniewa nikt nie zechce odda połowy władzy, jak zapewnia taka kopalnia. Dla przypiecz towania umowy daj ci to.

Wyci gn ła przed siebie diament, który błyszczał i migotał na jej dłoni. Cole gwizdn ł cicho przez z by. Wpatrywał si w Erin z niemal namacalnym skupieniem.

- "Je li pomog ci odkry kopalni " -powtórzył. -To znaczy, e chcesz jecha ze mn .

Erin przytakn ła.

- Testament tego wymaga.

- Czy potrafisz słuca rozkazów?

Za odpowied wystarczył wszystkim miech Matthew Windsora.

- Tak wła nie my lałem -odparł Cole. -To b dzie musiało si zmieni , Erin. Nie raz si zdarzy, e wydam ci rozkaz, i to tylko raz, bo zabraknie czasu na tłumaczenia.

- Jako to prze yj .

Geolog lekko si u miechn ł.

- W takim razie przygotuj si na podró do Londynu.

- Dlaczego?

- To troch uspokoi Conmin. -Cole nie dodał, e to uspokoi równie Faulkner i Agencj . -Je li kartel nabierze przekonania, e uda si ciebie nakłoni do współpracy, nie od razu si gnie po drastyczniejsze metody.

- Dobrze -zgodziła si Erin, chocia było wida , e nie podoba si jej taki plan.

- Drugi rozkaz. Od tej chwili a do czasu, kiedy znajdziemy kopalni albo sprzedasz spadek, b dziemy dzielili jeden pokój.

Zapadła elektryzuj ca cisza. Erin mierzyła wzrokiem pot nego m czyn , który równie si jej przygl dał.

- Zgód si -stanowczo polecił córce Windsor. -Skoro jeste tak nierozs dna, e chcesz si w to wszystko bawi , to kto taki jak Blackburn powinien by zawsze blisko ciebie.

- B dziemy mieszka w jednym apartamencie -zgodziła si krótko Erin.

- Tylko je li drzwi ł cz ce nasze pokoje b d zawsze otwarte -zastrzegł Cole. -Cały czas, Erin. W ka dej chwili.

Skin ła chłодно głow i bez ostrze enia rzuciła Cole'owi kamie . Chwycił go szybkim, wr cz niezauwa alnym ruchem r ki.

- Umowa stoi -powiedział.

Faulkner spojrziała na niego z ukosa ponurym, rozw cieczonym wzrokiem.

- Mazel und broche, skarbie. Mam nadziej , e skr cisz sobie kark.

Rozdział jedenasty

Erin siedziała przy oknie nowego pokoju hotelowego i spogl dała w ciemno ci zapadaj ce nad Los Angeles. Miała wra enie, e zatłoczone jezdnie i chodniki przygniataj j ci kim brzemieniem. Apartament składał si z dwóch sypialni i wygodnego salonu, ale mimo to czuła si jak w wi zieniu. Nie była przyzwyczajona do dzielenia mieszkania z innym człowiekiem, szczególnie tak du ym i niew tpliwie m skim jak Cole Blackburn. Jego obecno w s siednim pokoju jednocze nie wabiła j i odpychała.

Nagle Erin wstała. Rozsadzał j jaki wewn trzny niepokój.

Kr yła po pokoju, nawet nie dostrzegaj c eleganckich obi we wzory w stylu króla Jakuba I i mi kkiego dywanu w kolorze indygo. Chodzenie w ród czterech cian jej nie wystarczało. Miała wra enie, e siedzi w tym budynku cał wieczno . T skniła za bezkresnymi, pustymi połaciami Alaski. Wystarczyłyby jej nawet widok horyzontu za Oceanem Spokojnym.

Kiedy pojawiła si w otwartych drzwiach sypialni Cole'a, podniósł wzrok znad biurka, za którym przegl dał przywiezione z Blackwing mapy.

- Mogliby my ... ? -zacz ła Erin, ale głos jej zamarł.

Jej matowy kontrakt pobudził ka dy nerw w ciele Cole'a.

Takim głosem mówi kobiety, które maj ochot na miło ,

jednak Erin stała w progu, jakby gotowa do ucieczki przy pierwszej oznace zainteresowania z jego strony. Zachowywała się tak od samego początku. Wysyłała sprzeczne sygnały, przez co nie mógł przestać o niej myśleć.

Właściwe działanie z jej strony nie było konieczne.

I tak nie potrafił wyrzucić Erin ze wiadomości. Jego ciało od pierwszego spojrzenia zdecydowało, że chce być jak najbliżej Erin Shane Windsor. Zrobiłby wszystko, aby tak się stało, gdyby nie to, że dziewczyna z wyraźnym niechęcią zdecydowała się dzielić z nim apartament. Nie zachowywała się jak kobieta, która pragnie mieć czynny.

A jednak czasami patrzyła na niego, jakby tak było.

- Moglibyśmy...? -powtórzył zachęcająco.

- Muszę się wyśmiać. Na spacer, na plażę. Wiem, że jest ciemno, i powiesz mi, że to niebezpieczne, ale muszę się trochę wyśmiać i zrobić to. Z tobą albo bez ciebie.

Z po pieszego rytmu jej słów można było poznać, że nie artuje. Przez chwilę Cole rozważał wszystkie możliwości. Gdyby miał niezbyt pewno, że Erin zagrała bezpośrednio niebezpieczeństwo, przywiłałby ją do łóżka. Jednak takiej pewności nie miał. Conmin to firma prowadząca poważne interesy, a nie rzeka jakiego kraju albo organizacja przestępcza. Kartel z pewnością spróbuje nakłonić Erin do współpracy, zanim zdecyduje się ją zabić.

Musiał też przyznać, że blisko dziewczyny wytręcała go z równowagi. Jeśli zostanie dłużej w jednym pomieszczeniu, a ona nadal będzie wysyłała te niepokojące sygnały, to może mieć trudno z utrzymaniem ręki przy sobie. Próba zbliżenia się do niej nie byłaby rozsądnym posunięciem. Jeśli Erin go pragnie, musi sama to okazać, i to bardzo wyraźnie.

Na razie nic takiego nie zrobiła.

- Mnie też przyda się łyk świeżego powietrza -odparł.

- Daj mi trzy minuty. -Erin odwróciła się na pięcie i szybko pobiegła do swojego pokoju.

Wróciła szybciej, niż zapowiadała, właśnie gdy Cole

wyjmował z szafy czarną kurtkę. Nie czekając na niego ruszyła do drzwi na korytarz.

- Erin!

Była jej tak pieszo, że nawet się nie zatrzymała. Cole szybko i bezszelestnie przebiegł przez pokój. Kiedy uchyliła drzwi na kilka centymetrów, położył jej ręce na ramionach i unieruchomił w miejscu. Krzyknęła przestraszona. Obejmował ją silnymi ramionami, był blisko, otaczał ją, zamykał w pułapce.

Erin zamarła, przypomniawszy sobie inny czas, inne drzwi i innego mężczyznę, który ją osaczył. Wspomnienia napłynęły jak duszka czarna chmura i odebrały jej kontrolę nad własnymi czynami.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? -zapytał ostro Cole. -Nie możesz tak po prostu otworzyć drzwi i wyjść na korytarz, jakby

...

Z nieartykułowanym okrzykiem Erin odwróciła się i ruszyła do ataku. Kantem dłoni wycelowała w szyję Cole'a. Z trudem udało mu się uniknąć ciosu. Zablokował udem kolano Erin, ale udało się jej uderzyć go głową w podbródek i stracić równowagę. Uważając, aby jej nie zranić, schylił się, podciął jej nogi i pociągnął w dół, a padła płasko na dywan.

Walczyła zaciekle i w milczeniu, stosując wszelkie chwyt, jakich się nauczyła w ciągu ostatnich siedmiu lat. Na darmo. Cole unikał ciosów z większą siłą i wprawą, starając się nie zrobić dziewczynie krzywdy. Szybko zdała sobie sprawę, że tylko marnuje energię. Znieruchomiała i czekała, a w jej bezruchu za poddanie się.

Cole spojrzał z bliska w zielone oczy i zimny dreszcz przebiegł mu po skórze.

- Posłuchaj mnie, Erin, nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Nie mogę pozwolić, abyś beztrąsko wychodziła na korytarz, zanim nie sprawdzę, czy kogoś tam nie ma. Nic ci nie zrobię. Jestem po twojej stronie.

Powtarzał jej to raz po raz, a Erin przyglądała mu się dzikim wzrokiem. Stopniowo jego słowa zaczęły przebijać się przez

strach, który tłumiał cały rozs dek.

- Rozumiem - wyszeptała. - Mo esz mnie ju pu ci .
- Nie ma mowy - odparł szybko. Jego głos nie brzmiał teraz uspokajaj co. - Nie puszcz ci , dopóki mi nie powiesz, dlaczego przed chwil chciała mnie zabi .

- Przepraszam. Wpadłam w popłoch.
- Zauwa yłem. Dlaczego?

Erin nie mogła wydoby z siebie głosu. Zdała sobie spraw , e Cole ma j w swojej mocy, przygniata j do podłogi ci kim ciałem. Powinna by przera ona, ale nie była. Bardziej ni łagodne słowa koilo j jego opanowanie. Zaatakowała go, a on tylko si bronił. Nawet teraz, mimo e krew płyn ła mu z rozci tej wargi, a siniak na brodzie, tam gdzie go uderzyła, powoli ciemniał, Cole dbał tylko o ni .

- Nie skrzywdziłe mnie - stwierdziła zdziwiona. - Nawet teraz nie sprawiasz mi bólu.

Zdziwienie w głosie Erin zaskoczyło Cole'a, ale zanim zd ył j o to zapyta , sama próbowała mu wszystko wytłumaczy .

- Kiedy przyparłe mnie do drzwi, wydawało mi si , e znów dopadł mnie Hans. Biegłam do drzwi, on mnie złapał, potem pu cił, ja uciekłam, znowu mnie złapał i tak bez ko ca ...

- Hans? - zapytał łagodnie Cole, chocia jego oczy spogl dały twardo. Przez chwil nie odpowiadała. - Mów do mnie, Erin. Przez najbli szy czas nie b dziemy odst powa siebie ani na krok. Nie chc znowu nast pi na jak min .

Zamkn ła oczy. Cole miał racj .

- Hans to mój narzeczony sprzed siedmiu lat. Był taki du y jak ty, i taki silny. Bo e, taki silny. - Erin zadr ała. Po chwili mówiła dalej, dziwnym, bezbarwnym głosem. - Zaskoczyłam go, kiedy przegl dał zawarto sejfu mojego ojca. Fotografował ka dy dokument. Odwróciłam si i zacz łam ucieka , ale za pó no. On był taki szybki. Jak ty.

Cole czekał. renice miał równie rozszerzone jak Erin.

- Kiedy próbowałam krzycze , uderzył mnie w szyj -

wyszeptała. -Potem bił mnie po ramionach. Nie mogłam wołać o pomoc, oddychałam z trudnością, straciłam czucie w rękach, nie mogłam poruszać palcami.. Udało mi się podbiec do drzwi, ale nie potrafiłam ich otworzyć. Ramiona nie chciały się poruszać, palce się nie zaciskały. Kiedy zmoczyło go moje kopanie, wybił mi kolana ze stawów. Nie byłam w stanie się ruszyć, ale nadal czułam i widziałam. Kiedy tylko zamykałam oczy, zaczynał mnie bić.

Głos uwił zł Erin w gardle, ale zaraz znowu zaczęła mówić, przerażającym, pozbawionym emocji tonem. Cole słuchał, mimo że czuł nieodparty przymus, aby przerwać jej opowieść. Nie chciał słuchać niskiego głosu, którym opisywała, jak bardzo jej byłemu narzeczonemu seks kojarzył się z krwawym, okrutnym sportem.

Cole z trudnością hamował mdłość podchodząc do gardła. Zadziwiła go własna gwałtowna reakcja. Słyszał już potworniejsze historie, widział gorsze rzeczy, zwyrodniałe czyny zwane niehumanitarnymi, ponieważ zdrowi ludzie nie chcą uwierzyć, że człowiek może upaść tak nisko. Wiedział, że po tylu doświadczeniach to, co wyrzadzono Erin, nie powinno go zaskoczyć ani oburzyć, a tym bardziej wprowadzić w cień.

Jednak włą nie to czuł.

Słuchał z zaciśniętymi zębami, starając się opanować szarpnięcia nim gwałtowne emocje, poćwiczenie rozpacz i morderczej furii. Podobnie się czuł, kiedy Lai beznamiennie usunęła się i na rozkaz rodziny wyszła za niego za innego mężczyznę.

Słowa Erin powoli cichły. Zauważyła, że Cole już dawno odsunął się na bok, nie przygwałdał jej do podłogi i tylko wolno głaskał jej włosy. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich smutek i gniew. Na ten widok łzy zakłuły ją pod powiekami. Bez namysłu zwinęła się w kłębek i przytuliła do niego. Potrzebowała ukojenia płynącego z jego ciepłego ciała. Zastanawiała się, czy i on kiedy doznał takiego uczucia.

- Nic ci nie jest? -zapytał wkońcu.

Potrzeba głowa .

- Siedziałam, a już zapomniałam. Ale nie zapomniałam. Nie do końca. Teraz czuję się lepiej. Jestem lepsza. Jakbym unosiła się na wodzie. -Otarła się policzkiem o jego pierś i westchnęła przeciągle. -Dziękuję, a było takie... Delikatny.

- Jesteś pierwszą osobą, która mi to zarzuca -odparł z dziwnym uśmiechem.

Po chwili Erin podniosła wzrok i zobaczyła kroplę krwi wolno wzbierającą na dolnej wardze Cole'a. Dotknęła niewielkiej rany czubkami palców.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi.

Jej palce zsunęły się niżej. Wyczuła lekkie wzniesienie tam, gdzie uderzyła go głowa .

- Tutaj te ci zraniłam.

Cole starał się zduś wywołaną reakcją na dotyk Erin.

Dziewczyna ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na siniec. Dotknęła go jeszcze delikatniej, niemal pieszczotliwie. Zamknęła oczy i powtarzał sobie, że Erin robi to nie wiadomie.

- Przepraszam. Nie pomyślałam, co robi -powiedziała odsuwając rękę, kiedy dotarło do niej, jak bardzo napięte jest jego ciało. -Pewnie ci boli, jak dotykam.

Cole wydał z siebie dźwięk, który mógłby być zduszonym jękiem lub stłumionym przekleństwem.

- Nic mnie nie boli. To bardzo przyjemne. A to bardzo -odparł wprost.

- Co takiego?

-Twoje palce. Moja skóra. Podoba mi się to pościznienie. A tobie?

Erin zawahała się, a potem znowu dotknęła Cole'a. Milcząc przyznała, że to są raczej pieszczoty, nie poszukiwanie ładów po walce. Wolno odwrócił się na bok i znów zaczął gładzić jej włosy. Po chwili obwiodł palcami kości policzkowe i zarys ust. Westchnęła dziwnie i spojrzała na niego. Zamknęła oczy i ze skupionym wyrazem twarzy, jakby całkowicie koncentrował się

na doznaniach płyn cych z czubków jego palców, ponownie badał zarys jej warg.

- U mniechasz się - powiedział nie otwierając oczu.

- Bo to łaskocze.

- Naprawdę? - zapytał i jeszcze raz przesunął palcem po pełnej dolnej wardze Erin. - Czy dlatego wstrzymujesz oddech? - Poczuł, że jej ciało sztywnieje, kiedy się nad nim pochylał. - Nie bój się, kochana - wyszeptał omiatając oddechem jej usta. - To nie boli, uwierz mi. Nawet ci nie obejmę. Chcę ci tylko przekonać, czy smakujesz tak wspaniale, jak walczysz. Dobrze?

Zaskoczona połączeniem humoru i pościelenia, które pobrzmiewało w głosie Cole'a, Erin czekała, a strach znowu sparaliżował jej ciało. Nic takiego nie nastąpiło. Czowała tylko delikatny, budzący ciekawość ciepły oddech na ustach. Od stóp aż do czubka głowy przeszło jej dziwne uczucie. Zadrżała.

- Boisz się? - zapytał.

- Ja ...

Czekał cierpliwie.

- Po Hansie ... - zaczęła i wzięła głęboki oddech. - Psychiatrzy mi mówili, że dziewczęta, które przeszły to co ja, prawie zawsze zostają zakonnicami albo prostytutkami. Przez siedem lat nie pozwoliłam nikomu, czy nie, żeby się do mnie zbliżył. Nawet teraz nie wiem, czy jestem do tego zdolna. Znowu mogą wpaść w popłoch.

- Jeśli tylko chcesz, możemy zaryzykować - odparł Cole.

- Czy będzie ... Delikatny?

- A jak myślisz?

Erin spojrzała w szare oczy, które patrzyły na nią z bliska, i zdziwiła się, że kiedy wydawały jej się zimne.

- Tak - wyszeptała.

Cole przesunął czubkiem języka po wewnętrznej stronie tuż nad górną wargę dziewczyny. Przy pierwszym dotknięciu jej kciukiem cichutko. Ta delikatna pieszczota była tak nieoczekiwana i wspaniała, nie podobna do niczego, co przedtem spotkało ją od

m czynny. Wolno jej ciało rozluźniało się i mi kłó. Przysuwała się do Cole'a, pragnąc jego ciepła. Nadal dotykał jej lekko, obwodził ją zukiem całe usta, ciesząc się tym niewinną pieśczoć tak bardzo, że sam był tym zaskoczony.

Kiedy Erin poczuła jego język na dolnej wardze, zadrżała i instynktownie zamknęła oczy. Chciała się skupić na doznaniach wywołanych dotykiem. Kiedy Cole jeszcze raz wolno badał jej usta, zatrzymując się we wrażliwych kącikach, które unosił w górę i w dół, wszystko wokół niej drgnęło, strach zniknął i nie istniało już nic oprócz ciepłej pieśczoć. Nawet czując na dłoniach ciepło jego sprężystych bicepsów, nie zdawała sobie sprawy, że go objęła.

- Cole ...

- Tak, właśnie nie tak - powiedział. Jego język wsunął się między rozchylone wargi i dotknął jej języka. - Chcę poczuć twój smak, tylko smak, kochana. Nie zrani cię. Wiesz o tym, prawda?

Kiedy to powiedział, znów zaczął pieścić jej usta, nie obejmując jej, nie przymuszając. Dotykał ją tylko czubkiem języka i ciepłem oddechu.

Wszystkie jego zmysły skupiły się w tym jednym punkcie ciała. Czując ciepło i gładkość jej ust tak dojmująco intensywnie, jakby dla niego było to również zupełnie nowe doznanie. Ta intensywna reakcja intrygowała go. Znów odszukał jej język, próbując ukrytego pod nim ciepła i miękkości. Nie pieścił tak jeszcze wyciu żadnej kobiety. Cieszył się jej smakiem i bliskością, jakby każdy nerw jego ciała miał zakotwiczenie na czubku języka.

W końcu z wysiłkiem woli nakazał sobie przestać. Odsunął się od niej i wstał jednym zdecydowanym ruchem. Bał się, że jeśli dłużej zostanie blisko Erin, nie oprze się pokusie i zechce nasycić głód swojego ciała. Nigdy nie zdarzyło mu się zakotwiczyć pieśczoć na pocałunkach. To było dla niego również nowe doznanie, jak odkrycie zadziwiającej wrażliwości języka.

Erin wolno otworzyła oczy. Bez ciepła dotyku Cole'a jej

dłonie wydawały się zimne. Nie tylko dłonie, również wargi, usta, język.

- Cole? - odezwała się matowym głosem.

- Czas na spacer, kochanie.

Spojrzała na wyciągnięty ku sobie dłoń; ujęła ją. Podciągnął Erin do góry i postawił na nogi. Ich palce splótły się ciasno. Ręka Cole'a była ciepła i twarda. Wewnętrzna powierzchnia palców była gładka i gorąca. Erin głębiej wciągnęła powietrze, czując mrowienie dreszcz w ramieniu, kiedy Cole uciszył jej palce. Kiedy chciał ją puścić, zaprotestowała.

- Zaczekaj.

Cole zamarł.

Erin dotknęła lekko drżącymi palcami rozcięcia na jego wardze. Kiedy obwodziła kontury jego ust, szorstki szelest zarostu podkreślał miękkość warg. Cisza się przedłużyła, a ona dotykała jego czarnych brwi, policzków, podbródka i znowu ust. Zamknął oczy, pozwalając na te słodkie, niewinne tortury, dopóki nie zwłóknął własnej zdolności samokontroli.

- Wystarczy - odezwał w końcu.

Otworzył oczy, a ona dostrzegła w nich jasne błyski i odruchowo się cofnęła. Nie wypuszczała jej dłoni.

- Przepraszam - powiedziała szybko. - Myślałam, że ci się to podoba.

- Na tym właśnie polega problem. Podoba mi się naprawdę bardzo. - Spojrzał na nią, nie starając się ukryć podania. - Zapragnęłam cię już w chwili, kiedy ci pierwszy raz zobaczyłem. Od tego czasu nic się nie zmieniło. Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się poprzestać na pocałunkach, nawet kiedy miałem czternaście lat, więc ...

- Czternaście lat? - przerwała mu Erin. Zrozumiała. - Nigdy?

- Ona miała dziewiętnaście i dobrze wiedziała, co robi. Kiedy skończyła, ja też się dowiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi. - Cole uśmiechnął się i podparł palcem brodę.

Erin, zamykaj c jej rozchylone ze zdziwienia usta. -Nie oburzaj si tak. Tam, sk d pochodz , chłopcy przewa nie zaczynaj wcz niej. Ale szybko nadrobiłem opó nienie. Nie chciałem si eni , wi c nie szukałem dziewczyn, które godziły si na pocałunki, a potem mówiły nie. Dziewczyny, z którymi si spotykałem, nie znały tego słowa. Kolacja, kino, a potem tylne siedzenie samochodu.

- Podejrzewam, e kino nie było obowi zkowe?

U miechn ł si rozbawiony i znów potarł dłoni o dło Erin, bezwiednie przyci gaj c j do siebie.

- Kolacja te zwykle nie była wymagana -przyznał.

- Chwalisz si czy narzekasz?

- Ani jedno, ani drugie -odparł, przysuwaj c r k Erin do swoich ust. Delikatnie chwycił jej wskazuj cy palec mi dzy z by, polizał i szybko uwolnił. -Próbuj ci wyja ni , e w pewien sposób ta gra jest dla mnie równie nowa, jak dla ciebie. A mo e kiedy była nastolatka , te widziała wiele kiepskich filmów w kinie samochodowym przez zaparowane szyby?

Erin chciała si roze mia , ale była zbyt napi ta.

- Nie. Psychicznie w dniu swoich dziewi tnastych urodzin byłam jeszcze trzynastolatka . Niezdarny, wystraszony, brzydki podlotek. Phil, mój brat, wcale mi nie pomógł. Okropnie si zakochałam w trzy lata starszym chłopaku. Chodził do ostatniej klasy. Kiedy zaprosił mnie na randk , Phil zadzwonił do niego i powiedział, e je li cho by tylko mnie pocałuje, to koniec z nim. Przyszła sobota, a chłopak si nie zjawił. Potem si dowiedziałam, e miał bzika na punkcie dziewic. Kolekcjonował je jak znaczki.

- To zabawne, jak ró ni s m czy ni. Mnie nigdy nie poci gały dziewice, dopóki nie spotkałem ciebie.

Erin zamkn ła oczy.

- Wcale nie s tacy ró ni. Nie jestem dziewic .

- Nigdy dobrowolnie nie oddała si m czy nie -odparł trze wo Cole. -W moim rozumieniu nadal jeste dziewic . Pu cił r k Erin. -Zosta tu, a ja sprawdz korytarz.

Na zewnątrz nie było nikogo. Hol na parterze też wiecił pustkami. Chłopiec hotelowy przyprowadził wypoczynony samochód. Cole prowadził nie równo, najpierw wolno, potem szybko, cały czas wypatrując we wstecznym lusterku samochodów, które zmieniały szybko tak samo jak on. Kiedy dojechali do Pacific Coast Highway, przejechał przez kilka pustych parkingów, wciąż sprawdzając, czy nikt ich nie łodzi. W końcu zatrzymał się przy miejskiej plaży Willa Rogersa.

Erin sięgnęła do klamki i zaraz spojrzała na Cole'a. Wpatrywał się w boczne i wsteczne lusterko. Mimo tego bardzo chciała znaleźć się na piasku plaży i mieć przed sobą tylko jedną setkę kilometrów wody, nadal nie otwierała drzwi.

- Szybko się uczysz - pochwalił Cole.
- Ból jest dobrym nauczycielem.
- Przepraszam. Nie chciałem cię skrzywdzić.
- Nie skrzywdziłem mnie - wyjaśniła po piesznie. - Właśnie dlatego przestałam walczyć. Spodziewałam się bólu, a nic takiego nie nastąpiło. Ale musisz powiedzieć, że jesteś strasznie cięki.

Cole uśmiechnął się lekko.

- Następnym razem ty będziesz na górze.

Zaskoczona Erin spojrzała na niego z ukosa i na jej twarzy wykwitł niemal nie miały uśmiech, który mówił, że ta propozycja ją zaintrygowała.

- Wybieraj, kochanie. Albo idziemy na spacer, albo odbędzie przy piasku kurs oglądania świata przez zaparowane szyby samochodu.

- Nie ku mnie - odparła ze smutnym uśmiechem.
- Dlaczego nie?

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza. Erin odwróciła się i spojrzała na człowieka, który w kilka minut nauczył ją więcej o przyjemnościach zmysłowych niż inni przez całe życie. Co ważniejsze, dowiedziała się, jaka jest natura niepokoju, który wywabił ją z Arktyki. To odkrycie własnej zmysłowości było

równie niespodziewane jak delikatne zachowanie Cole'a.

- Interesuje mnie twoja propozycja -powiedziała. -Ale na razie nie wiem, jak gł boko. I nie dowiem si , dopóki co mi dzy nami si nie zdarzy. To nie jest wobec ciebie sprawiedliwe.

- Kochanie, gdyby ycie było sprawiedliwe, kto wyprułby z Hansa wszystkie flaki, zanim przyszła mu do głowy pierwsza zбочzona my l.

Erin patrzyła, ze zdziwieniem. Chocia Cole mówił lekkim tonem, jego oczy l niły jak lodowate srebro.

- Ale ycie nie jest sprawiedliwe -mówił dalej. -Jest po prostu zaskakuj ce. Tam, w hotelu, nauczyła mnie czego nowego o przyjemno ci, a my lałem, e to ju nie jest mo liwe. By mo e umrzemy za chwil , a by mo e b dziemy y na tyle długo, eby si dowiedzie czego nowego o sobie. Ja przyjmuj , co mnie w yciu spotyka. I nie martwi si tym, co mnie omija. A ty?

- Ja ... Nie wiem.

- Zastanów si . A przy okazji pomy l te o tym. M czyzna, który nie mo e si kontrolowa , nale y do kogo , kto umie to robi . Ja nale wył cznie do siebie samego. Nawet gdyby my oboje byli nadzy i ty uwodziłaby mnie wszelkimi sposobami, ale potem zmieniałaby zdanie, wstałbym, ubrałbym si i na tym koniec. -Cole mówił, ale wci spogl dał to w jedno, to w drugie lustro. -Pomy lisz o tym podczas spaceru. Oboje zbyt długo przebywali my w tym ciasnym pokoju. Nie jeste my do tego przyzwyczajeni.

Erin zaczekała, a Cole obejdzie samochód i otworzy przed ni drzwi. Kierowała ni raczej ostro no ni wymogi etykiety. Kiedy ich palce znowu si splotły, u miechn ła si bezwiednie. Dostrzegł jasny błysk jej z bów w wietle ksi yca i te si u miechn ł.

- Lubisz przebywa na otwartej przestrzeni. Co? -odezwał si .

- Tak. Ale nie dlatego si u miecham. Czuj si tak,

jakbym znowu miała szesnaście lat i chodziła na spacer w chłodnym wietle księżyca. -Spojrzała na niego spod oka. -Ty pewnie miałeś okołoko sześciu. Kiedy zaczął umawiać się z dziewczynami.

Roze miał się cicho.

- Ciesz się naszym spacerem. Kiedy znajdziemy się w Australii, nie będziesz miała ochoty nawet stanąć w pobliżu drugiej osoby. Ani w wietle słońca, ani księżyca.

- Dlaczego?

- Przez ten cholerny upał. Kimberley znajduje się w północnej części kontynentu. W tropikach.

- W tropikach? Na zdjęciach Kimberley bardzo przypominało pustynię.

- Owszem. Przez większość roku jest tam sucho. Potem zaczyna się pora przebiegu. Wielkie ciężkie chmury nadpływają z Oceanu Indyjskiego. Pocisz się, a potem zostaje na skórze. Jest ci jeszcze bardziej gorąco, bo wilgoć nie może wyparować w maksymalnie nasyconym powietrzu. Ciało się nie chłodzi, a promienie słoneczne tną skórę jak brzytwa. Temperatura przekracza czterdzieści stopni. A w powietrzu jest tyle wilgoci, jakby padał deszcz. Trwa to tygodniami, a ludzie załamują się i dosłownie wariują.

Erin mruknęła coś z niedowierzaniem.

- To prawda. Australijczycy wymyślili nawet nazwę dla tej choroby. Nazywają ją troppo. Kilka razy sam byłem jej blisko. To dało mi nauczkę. Teraz unikam pory przebiegu.

- Twój opis nie brzmi zbyt zachęcająco.

- Och, to jeszcze nie jest najgorsze. -Cole wciąż gnęł boko słonawe powietrze. -Kiedy w końcu nadchodzi pora deszczowa, cały kraj staje się nieprzejezdny. Przez całe miesiące można się przemieszczać tylko samolotem.

- A samochodem z napędem na cztery koła?

- Tylko jeśli może równie pływać.

- Nie ma mostów?

- Są tylko na głównej drodze -odparł Cole. -Kiedy

naprawd si rozpada, mosty zwykle zalewa woda. Widzisz, tam buduje si niskie mosty, ze zdejmowanymi barierami, eby nie wpl tywały si w nie niesione przez nurt przedmioty i nie tworzyły tamy. Mimo to cz sto porywa je pr d. -Spojrzał na Erin. -Wła nie dlatego Conmin proponuje, e obwiezie ci po całym wiecie, eby mogła fotografowa diamenty. Kartel wie, e je li w ci gu nast pnych paru tygodni nie dotrzesz na tereny Szalonego Abe'a, to pewnie nie uda ci si tam dosta a do lata, kiedy teren wyschnie. Ja powinienem ju teraz by na wy ynie Kimberley i prowadzi badania, zanim temperatura wzro nie do pi dziesi ciu stopni i b dzie zbyt wilgotno, eby oddycha .

- W takim razie wcale nie powinni my jecha do Londynu.

- To uspokoi Faulkner i van Luika. Nie b d nam siedzieli na karku. Tymczasem Wing przygotowuje wszystko, co trzeba.

- Kto to jest Wing?

- Mój wspólnik.

- Ach, prawda. Blackwing. Tata co mi o tym mówił.

- Nie w tpi . -Cole popatrzył na dziewczyn . -Nie martw si , kochanie. Je li t kopalni w ogóle da si znale , to ja j dla ciebie znajd .

- Wiem. Tata powiedział mi i to.

Cole szedł jaki czas w milczeniu, a potem zatrzymał si i łagodnie przyci gn ł Erin do siebie. Nie opierała si , wi c pochylił głow i lekko dotkn ł wargami jej ust.

- Nie jed do Australii. B dziesz bezpieczniejsza przy swoim ojcu. Mo e ju osiwiął, ale to nadal twardy sukinsyn.

Erin chciała zaprotestowa , ale rozproszyła j delikatna pieśczota j zyka Cole'a i ciepło jego oddechu.

- Ta ziemia i klimat zabiły ju nie jednego silniejszego i bardziej do wiadczonego od ciebie człowieka. Wy yna Kimberley to nie miejsce dla białej kobiety.

- To samo mi mówiono o Arktyce -odparła w roztargnieniu Erin. Zaciekawiona dotkn ła j zykiem jego szyi, tak jak kiedy zielonego diamentu. -Słona. M ska. Ciepła. Wspaniale smakujesz, Cole.

Oddychał urywanie. Nagle wziął twarz Erin w obie ręce.

- Lubisz ryzykować, co? -zapytał.

- Ryzykować? -Spojrzała na niego tajemniczymi, pociemniałymi w świetle księżyca oczami. -W jaki sposób?

- Mogłbym zatrzymać cię w hotelu i tak kusić pieścizotami, ale nie wiedziałabyś, gdzie się ukryć.

Erin znieruchomiała, wypatrując goręco, srebrnego błysku jego oczu. Westchnęła i uśmiechnęła się trochę smutno.

- Wczoraj mogłabyś to zrobić, wtedy jeszcze cię nie znałam. Ale nie dzisiaj. Teraz wiem, że jesteś silny, ale nie okrutny. Zupełnie inny niż Hans.

- Jest całe mnóstwo ludzi, którzy by się z tobą nie zgodzili -odparł stanowczo Cole.

- Ja do nich nie należę. Obezwładniła mnie i powaliła jak jagnię na rzeźnię, ale tylko głaskała mnie po włosach, żeby ukojzić mój płacz, a potem całowała mnie tak czule, że znowu miałam ochotę się rozplakać. Kiedy byłam przekonana, że po przejściu z Hansem nigdy nie zaufam mu czy nie. Myliłam się. Dotknęła palcami jego ust. -Już za pół godziny. Nie boj się ciebie, Cole. Pojadę do Australii i nie odstąpię ci ani na krok.

Cole powtarzał sobie, jaka to szkoda, że nie może jej zastraszyć Erin, że dziewczyna jest taka ufna w jego ramionach, tuli się do niego, a jej ciepły oddech owiewa mu skórę. Powtarzał to sobie, ale nie wierzył w ani jedno słowo.

Przez długi czas po prostu trzymał Erin w objęciach, słuchając szumu fal i śmiechu, że nie wyolbrzymił trudno cię, jakie czekają cię w Kimberley. Ale już przepadło. Pora przejść ciowa to niszczycielski czas, szarpie ludzkie nerwy, doprowadza do gwałtownych czynów. Pora deszczowa wcale nie jest lepsza. Kiedy zaczyna padać, woda zmienia Kimberley w krainę z epoki kamiennej, gdzie najprostsze rzeczy okazują się trudne, nawet przetrwanie.

Zwłaszcza przetrwanie.

Rozdział dwunasty

- Ostatnio brałem udział w dwóch pogrzebach. -Głos Chena Winga brzmiał głucho nie tylko z powodu satelitarnego łącznika, po którym biegł do Cole'a. -Takie ceremonie wytrącają mnie z równowagi.

Cole uśmiechnął się ponuro.

- Nie liczyłeś chyba na to, że wojna z Conminem obędzie się bez ofiar?

Wing przez chwilę milczał.

- Dokonałeś jakiego postępu? -zapytał zmieniając temat.

- Jeśli chodzi o samą sprawę, nie.

Wing zaklął pod nosem po kantonsku.

- Uspokój się -upomniął go Cole. -Na tym etapie to jest najlepsza wiadomość, na jaką możesz liczyć. Ostatnie trzy dni spędziłem na studiowaniu map i zbiorów Blackwing.

- I?

- I nic. To dobra wiadomość. Gdybym znalazł skarbiec Windsora po kilku godzinach przeglądania istniejących map, to samo mogliby zrobić inni geolodzy, włącznie z tymi, których zatrudniasz. Powiedziały mi, że nic nie znalazły, zgadza się?

- Owszem.

- Teraz mogą cię uspokoić, że najprawdopodobniej nie kłamali. Z map niczego się nie dowiedzieli. Istnieje teoretycznie złóżko, ale mapy przemówiły, ale twoi geolodzy zatrzymali dla siebie tę wiadomość, żeby ją sprzedać komuś innemu. Jeśli tak było, nie wiem, jaka to była wiadomość.

- Jeśli ty nic nie znalazłeś, to oni też nie. Byłeś i jesteś najlepszy. Masz szczęście w kopalni, ale nie masz w miłośnicy.

- Po pierwsze, to powiedzenie brzmi inaczej. A po drugie, moje życie prywatne to nie twój cholerny interes.

Nastąpiła krótka cisza, a po niej westchnienie Winga.

- Przepraszam -odezwał się Chi czystym i łagodnym głosem, niemal szepcąc. -Pogrzeby nie wpływają na mój zdrowy rozsądek. Na

jednym z tych pogrzebów pochowali my mojego dalekiego kuzyna i szwagra, Chena Zeong-Li.

Cole ujrzał oczyma duszy obraz nami tnej czarnookiej kobiety, siostry Winga, która, jak si w ko cu okazało, bardziej kochała rodzin i władz ni jakiegokolwiek m czynn , wł cznie z Cole'em Blackburnem.

- Zeong to był przyzwoity człowiek -powiedział wreszcie geolog. -Przykro mi, e nie yje.

- Doprawdy? Pami tam czasy, kiedy z przyjemno ci by go zabił i zata czył na jego grobie.

Cole nic nie odpowiedział.

- Je li zechcesz odnowi swój zwi zek z Chen Lai -ci gn ł Wing -tym razem rodzina Chen nie b dzie si wtr ca .

Tym razem.

Słowa odbijały si echem w głowie Cole'a, przypominaj c mu o sprawach, które wolały zapomnie . Krótco po tym, jak podpisał pierwsz umow z Blackwing, Lai porzuciła go, poniewa rodzina nie zgadzała si , eby po lubiła cudzoziemca. Tolerowano go jako sekretnego kochanka, kiedy Cole był im potrzebny do rozwijania interesów firmy, ale gdy tylko przyszło do mał e stwa i dzieci, dla Chenów okazało si wa niejsze umacnianie pozycji i zwi zków rodzinnych w Kowloon.

Teraz Zeong-Li nie ył, Lai została wdow , a rodzina Chen proponowała Cole'owi t sam kobiet , któr kiedy mu odebrała.

- Nie, dzi kuj -odparł spokojnie. -Rozs dny człowiek, jak si raz sparzy, nie wkłada wi cej r ki do ognia.

Po drugiej stronie linii zapadła nabrzmiała cisza. Wreszcie Wing roze miał si szorstko i bez wesoło ci.

- Zmieniłe si .

- Stwardniałem i zrobiłem si jeszcze sprytniejszy. Na tym polega zmiana. I tylko taka zmiana si liczy. Prze yłem.

- Czego b dziesz potrzebował na stacji Abe'a?

Cole nie dał si zaskoczy nagł zmian tematu rozmowy.

- Potrzebuj helikoptera do fotograficznych, radarowych,

magnetycznych i scyntylacyjnych bada działek mineralnych starego. Najlepiej by było wyniki tych ostatnich dwóch badań nanosić na oddzielne przezrocza, które można by nakładać na poprzednie dwa odczyty, a potem integrować z danymi, które umieszczamy na mapach topograficznych i geologicznych. Nie mam jednak czasu, żeby samemu to wszystko zaprogramować.

- Główny program mamy tutaj, na miejscu.

- Nie podoba mi się to. W ten sposób zwiększa się niebezpieczeństwo przecieku.

Wing nie odpowiedział. Cole wzruszył ramionami.

- Czy mógłby uruchomić stację bazową w domu Windsora, z modemem, i czemś satelitarnym i drukarkami, żeby mógł odbierać dane od ciebie?

- Potrzebuję na to kilku dni - odpowiedział Wing po krótkiej przerwie.

- Dobrze. A co z przyjmowaniem danych po twojej stronie?

- Sam się tym zajmę.

- Będę transmitował wyniki, kiedy tylko je zbiorę. Załóż zabezpieczony plik w głównym komputerze Blackwing, na hasło "paw".

- "Paw" - powtórzył Chi cicho. - W ciągu godziny na to hasło otrzymasz wydruk z każdego z naszych centrów informatycznych na całym świecie.

- Wietnie. Co z resztą potrzebnych przezroczy? Kto je przygotowuje?

- Moi ludzie.

- Upewnij się, że są godni zaufania.

- Wszyscy należą do rodziny, a poza tym nie będą wiedzieli, gdzie w rzeczywistości znajdują się opracowywane przez nich fragmenty terenu. Dostaną tylko siatkę. Jedyne, ja będę znał długości i szerokości geograficzne.

Cole rozebrał się cicho. Wiedział, jakiego rodzaju zaufaniem darzy ludzi Wing - tylko takim, które można zweryfikować i zmierzyć.

- Zostaje nam jeszcze jeden problem. Helikopter. Przepu ciem nazwy pobliskich firm wydobywczych przez wasz komputer.

- Widziałem wydruk.

- W takim razie wiesz, e wszystkie s w ten czy inny sposób zwi zane z Conminem. Tylko wtedy mamy szans wygra z kartelem, je li uprzedzimy ka dy ich ruch i podziałamy przez zaskoczenie. To znaczy, e musimy działa tak szybko i dyskretnie, jak to tylko mo liwe. Je li trzeba b dzie sprowadzi maszyn z Nowej Południowej Walii albo z Nullarbor, to trudno b dzie wszystko zgra i zapewni dostawy paliwa. Je li wypo yczymy maszyn gdzie bli ej, Conmin uzyska bezpo redni informacj o naszej operacji. Co wybierasz, Wing?

- Ju wybrałem. Jeszcze raz przeanalizowałem dane i wybrałem pi firm, które s najmniej zwi zane z Conminem. Kilka z nich ma długi wobec Pacific Enterprises, Inc., Pan-Asian Resources Ltd. Albo Pacific Rim Development and Resources Ltd.

Cole znał te firmy. Miały bardzo siln pozycj w ród firm zajmuj cych si handlem pomi dzy krajami rejonu Oceanu Spokojnego. Widocznie wszystkie w mniejszym lub wi kszym stopniu znajdowały si pod kontrol rodziny Chen.

- Któr z nich uznał na najlepsz ? Pan-Asian Resources?

- Owszem, od wielu lat ł cz nas przyjazne stosunki - odparł Wing.

- Któr z australijskich spółek kontroluje ta firma?

- Która kontroluje? Ale adn . Wszystko opiera si wył cznie na doradztwie.

- Jasne. Conmin te tak działa.

Wing nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Je li chodzi o helikopter, według mnie najlepsza b dzie spółka Metalworks and Mines Ltd. Nie wykluczam te Zachodnioaustralijskiego Stowarzyszenia Poszukiwaczy elaza i Złota. Jeszcze dzi przeprowadz wywiad.

- Co zrobisz, je li adna nie b dzie w stanie nam pomóc?
 - Wiem z cał pewno ci , e w Metalworks maj helikopter, który mog wypo yczy na krótki termin. Osobi cie si tym zajm . Potrzebujesz pilota?
 - Sam b d pilotował. A co z list sprz tu, któr ci przefaksowałem?
 - Kiedy dotrzesz na stacj , wszystko b dzie na ciebie czekało - zapewnił Wing.
 - Dobrze by było, gdyby wysłał tam kogo , kto by to zmontował i miał na wszystko oko. Jestem badaczem, a nie ekspertem od elektroniki, a w dodatku wi kszo czasu b d sp dzał w terenie.
 - Zanotowałem. Co jeszcze?
 - Mo e troch mebli i sprz tów domowych. Dla Abe'a wystarczaj cym umeblowaniem pokoju było gołe klepisko.
 - Zanotowałem. Wolisz łó ko pojedyncze czy podwójne?
- Cole przerwał poł czenie nie udzielaj c odpowiedzi. Natychmiast wykr cił numer Matthew Windsora.
- Przyszedł czas, eby si dowiedzie , co ojciec Erin jest skłonny zrobi dla swojej córki.

Rozdział trzynasty

- Czy po to spakowałam swoje ubrania i aparaty i wysłałam je do Londynu, eby tu siedzie i nic nie robi ? - zapytała z niesmakiem Erin.
 - Nie -odparł Cole, nie podnosz c wzroku znad map. Zrobiła to, eby Conmin pomy lał, e dała si nabra na ich sztuczki . Wprowadzaj zamieszanie, twórz pozory, myl tropy. Tylko w ten sposób prze yjesz.
 - Jeszcze raz przeczytam tego "Pawia", i w ogóle odechce mi si y -odparowała.
- Odrzuciła kartki z rymami Abe'a. Siedziała przy oknie w hotelu w Darwin, czytaj c wiersze i spogl daj c na bujni

tropikaln ziele na zewn trz, ale adna z tych rzeczy nie przykuwała na dłu ej jej uwagi.

Cole spojrział na ni znad biurka ustawionego w saloniku apartamentu. Transparentne topograficzne i geologiczne mapy Australii le ały przed nim na blacie. Były tam równie mapy pokazuj ce rozmieszczenie aktywnych i rezerwowych złó mineralnych Australii Zachodniej i Terytorium Północnego. Na samym wierzchu znajdowały si prze rocza wy yny Kimberley. Kompas, linijka i ołówek le ały tu pod r k , tak samo jak notatnik.

Cole nie spodziewał si , e rozwi e tajemnic Kopal pi cego Psa studiuj c mapy, ale w ten sposób mógł zaj czym my li i nie wspomina cały czas ciepłego j zyka i matowego głosu Erin.

- Nie dziwi ci si -powiedział. -Paw w slangu australijskim oznacza wymioty.

- Cudownie -wymamrotała dziewczyna. -Od razu wida , e dziadek Abe był wybitnie utalentowanym poet .

W odpowiedzi Cole u miechn ł si lekko. Paw to było najbardziej eleganckie z potocznych słów, które zawierał wiersz Abe'a. Gdyby Erin miała poj cie, co oznaczaj niektóre słowa, odczytywane przez ni na głos, zarumieniaby si po uszy. Abe był starym rozpustnikiem a do ostatniego dnia ycia.

- Która godzina? -zapytała Erin.

- Za wcze nie, eby kła si spa .

- Cholera.

Ziewaj c wstała z wygodnego, mi kkiego fotela. Podeszła do Cole'a i spojrziała mu przez rami na mapy.

- Mo e jeszcze raz spróbujesz mi wytłumaczy , co oznaczaj symbole na tych mapach. -Oparła si na jego ramieniu i pochyliła. -Tym razem postaram si nie ziewa ci do ucha.

- Usi d , bo zaraz si przewrócisz -powiedział i posadził j sobie na kolanach.

Erin natychmiast zeszywniała. Cole zacz ł spokojnie obja nia symbole na pierwszej mapie. Kiedy mówił,

dziewczyna powoli uspokajała się i ufniej opierała całym ciężarem na silnych nogach i piersi Cole'a. Czuli, jak jego ciepło dociera do jej skóry. Choć Cole doskonale czuł każde poruszenie rozluźniającej się dziewczyny, cały czas mówił o mapach.

- Potrafi czytać mapy topograficzne -przerwała mu. -Ale z tej nie rozumiem.

Erin przesunęła się na kolanach Cole'a. Poczuli ucisk jej bioder i zaczął szybciej oddychać. W myślach przeklinał nieposłuszne ciało. Z wysiłkiem skoncentrował się na leżącym przed nim przezroczym. Przezroczysty plastik miał rozmiar metr na metr. Sporządzona na nim mapa była w tej samej skali co mapa topograficzna. Pokrywały ją pozornie chaotyczne wzorki we wszystkich kolorach tęczowych.

Wiedział, że sięgnie przed siebie, otaczając Erin ramionami z obu stron, i ułożył przezroczycę na mapie topograficznej. Przy tym ruchu otarł się o piersi dziewczyny, która wciągnęła nerwowo powietrze, ale się nie odsunęła. Znowu poruszył ramionami, powtarzając ten sam manewr. Zaczął mówić, wskazując po liniach mapy palcem o stwardniałej skórze.

- Niebieskie linie oznaczają piaskowce. Bardzo często występują w Kimberley. Brązowe krzyżki to wapień. Czerwone linie to skały wulkaniczne. Różowe kropki to żłobki naniesione przez wodę. Białe kropki to żłobki naniesione przez wiatr. Ma to dla nas duże znaczenie, ponieważ diamenty występują tylko w żłobkach naniesionych przez wodę.

Kiedy Erin przyzwyczaiła się do patrzenia jednocześnie na przezroczycę i przez nią, dostrzegła, że żłobki naniesione przez wodę prawie zawsze sąsiadują z rzekami, jeziorami albo zagłębieniami w terenie na mapie topograficznej. W niektórych miejscach różowe kropki pojawiały się z dala od rzek, jezior i oceanu.

- Czy to te żłobki naniesione przez wodę? -zapytała.

- Nigdzie w pobliżu nie widzisz wody.

Cole spojrzał na jej szczupły palec z czystym, nie lakierowanym paznokciem. Spostrzegł miejsce, na które

wskazywała, i zadziwiła go jej spostrzegawczo .

- Takie co geologowie nazywają paleozoicznym rozlewiskiem. To miejsce, gdzie wezbrana rzeka wylewała i nanosiła kamienie i muł. Rzeki dawno już nie ma, ale charakterystyczne osady zostały.

- Czy to oznacza, że tam mogły być diamenty?

- Tak, jeżeli ta pradawna rzeka przepływała przez skały, w których występowały diamenty.

- A przepływała?

- Prawdopodobnie nie. Ta rzeka nie płynęła przez skały wulkaniczne.

Erin zmarszczyła brwi.

- Nie wiedziałam, że na wybrzeżu Kimberley są wulkany.

- Wulkany były tu kiedyś. Już dawno zerodowały, stały się zupełnie płaskie. Czasem nastąpiła nawet głęboka erozja, a do komory magmowej. Nic nie zostało, oprócz nagich kości czegoś, co kiedyś było wspaniałym, wyjątkowym natury. Kiedy szukamy diamentów, skarbie, rozkopujemy groby.

- Urocza perspektywa - wymamrotała.

Sięgnęła po kolejne przejrzenie i ułożyła je na innych mapach.

Tym razem Erin nie drgnęła, kiedy ramieniem Cole'a otarło się o jej piersi.

- Ponieważ na powierzchni nie widać żadnych tworów wulkanicznych, musimy zajrzeć głębiej - mówił dalej, nadal otaczając ją ramionami.

- W jaki sposób?

- Ta mapa pokazuje stacje i działki ze złóżami mineralnymi w Kimberley. Stacje są oznaczone na zielono, działki, na których prowadzone jest wydobywanie, i działki rezerwowe na czerwono, a działki, do których prawa wygasły, na niebiesko.

Erin jęknęła z przerażeniem, widząc plan tanin zachodzących na siebie linii.

- W Kimberley nic już nie zostało. Każdego metra ziemi został dokładnie przeszukany!

- Ludzie wykupywali działki, a potem o nich zapominali. To wcale nie oznacza, że je dokładnie badali. -Rami Cole'a zacie niło się wokół Erin. Lekko przysunął do siebie dziewczynę, tak że mógł dotykać ustami jej włosów. -Wcale nie potrzebuję dziewiczych terenów, żeby znaleźć coś warto ciowego, bo większość ludzi nie zna się na tej robocie.

Czując ciepły oddech na szyi, Erin zadrżała. Mrowienie przebiegające po jej skórze wywołało przyjemność, a nie strach, więc przysunęła się bliżej Cole'a. Uśmiechnął się, przytulił ją i znów zaczął mówić, niskim, spokojnym głosem, jakby nic więcej oprócz map go nie obchodziło.

- Większość działek Abe'a została zbadana w latach dwudziestych przez ludzi szukających złota. Nie znaleźli nic godnego uwagi, więc opuścili te tereny. Od tego czasu nikt tam nie bywa, oprócz przypadkowych robotników najemnych albo w drużynie aborygenów.

Erin patrzyła na stos map. Widziała linie i wzory we wszelkich możliwych kolorach, zagmatwany plątanin symboli, w których nie znajdowała odpowiedzi.

- Problem nie polega na tym, że wyznacznik jest zbyt dokładnie poznany -oznajmił Cole, wyjmując jeszcze jedną przezroczystą plastikową płachtę i układając ją na stosie map. Przy każdym ruchu delikatnie dotykał Erin. -Cały problem w tym, że wiemy zbyt mało.

Erin chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu. Otaczały ją silne masywne ramiona, ciepło ciała i oddech. Chciała być jeszcze bliżej Cole'a.

- To przez rok pokazuje, jak rolinno występuje na tych terenach -powiedział i na chwilę zatrzymał usta na szyi Erin. -Rocznica zmienia się w zależności od położenia nad poziomem morza, opadów i gleby. Mówi nam, czy pod warstwą gleby znajduje się wapień, piaskowiec czy skała wulkaniczna.

Położył na stosie map kolejne przez rok. Układał je bardzo starannie, a przy każdym ruchu jego ramiona dotykały innej części ciała Erin.

- Tutaj mamy drogi, linie kolejowe, tamy, pasy startowe, miasta, domy, wiatraki, wie e przeka nikowe i wszystko inne, co człowiek dodał do naturalnego terenu. Spójrz na to. Patrz uważnie.

Mówi c to, wyswobodził Erin z obj . Patrzyła na ostatnie prze rocze, staraj c si zebra my li, rozproszone przez przyjemne doznania, które wywołał dotyk ciała Cole'a. Stopniowo docierało do niej, e ostatnia mapa ma mniej znaków ni wszystkie poprzednie.

R ka ludzka zmieniła Australi Zachodni w bardzo niewielkim stopniu, a prawie nie tkn ła wy yny Kimberley.

- Na tych mapach zawarte jest wszystko, co wiemy o Kimberley -o wiadczył Cole. -Połó dło na którymkolwiek fragmencie mapy. Gdzie zechcesz.

Zaintrygowana Erin spełniła jego polecenie.

- Przykryła dłoni obszar kilku tysi cy kilometrów kwadratowych. Podnie j i powiedz mi, co wiemy o tym terenie.

Odsun ła r k , spojrzwała na map i na legend zamieszczon na jej marginesie.

- Nie ma tu dróg asfaltowych -zacz ła. -Jedna szosa utwardzana, kilka go ci ców prowadz cych na stacje, niewiele lepszych od cie ek wydeptanych przez dzikie zwierz ta. Pi skupisk budynków farmerskich. -Pochyliła si ni ej. -Trzy z nich s opuszczone. Kilka wiatraków. -Nachyliła si jeszcze bardziej, wpatruj c si przez wierzchni map w t pod spodem. Znów popatrzyła na kolorow legend na marginesie. Trawy nizinne, spinifeks, karłowate akacje.

Cole usun ł dwie górne przezroczyste płachty i Erin mogła obejrze mapy znajduj ce si pod spodem.

- Fragmenty trzech stacji -ci gn ła. -Okolo siedmiu działek ze zło ami mineralnymi. Tworz jakby jeden ci g. Pochyliła si . -Wszystkie poło one s wzdu rzeki -stwierdziła, wpatruj c si w map topograficzn . -No, mo na to nazwa rzek tylko przez cz roku. W ci gu pozostałych miesi cy

koryto wysycha. Przerzywana linia, zgadza si ?

- Tak. Mów dalej.

Erin spojrziała ze zmarszczon brwi na kolejn map .

- Teren jest niemal płaski. Piachy i piaskowiec. adnych stałych zbiorników wodnych.

- Co jeszcze?

Erin w ciszy ponownie przejrzała mapy. W ko cu podniosła wzrok na Cole'a.

- To wszystko.

- Pomy l tylko, Erin. Tysi ce kilometrów kwadratowych, a ty w ci gu mniej ni trzech minut stre ciła wszystko, co wie o nich człowiek.

Erin przytakn ła zdziwiona.

- Mo na nazwa wła cicieli tych odległych stacji pionierami. I słusznie. Dwudziesty wiek nie dotarł jeszcze do Kimberley. Australia Zachodnia to zupełnie inny kraj, inne czasy. Tam jedyn cywilizacj jest to, co przyniesiesz ze sob .

- Ile lat miał Abe? -zapytała po chwili Erin.

- Kiedy zmarł, musiał mie co najmniej osiemdziesi t.

- W jakiej był formie?

- Mógł maszerowa dłu ej ni wi kszo młodszych od niego -odparł Cole. -A umiał pi lepiej od wszystkich, wł cznie ze mn .

Zmarszczyła brwi.

- W takim razie nie ma pewnie na jego stacji takiej działki, której nie zd ył zbada ze wzgl du na podeszły wiek?

- Raczej nie. Na pewno był w stanie to zrobi , kiedy go. Znałem, a odkrył swój skarbiec o wiele wcze niej.

- No, dobrze, a co ze pi cym Psem numer jeden, pi cym Psem numer dwa i cał reszt ? Dlaczego jeste taki pewny, e w tych kopalniach nie ma nic warto ciowego?

- Widziałem Psa numer jeden. To zwykle zło e pierwotne, cylindryczne, i to niezbyt bogate. Zwykle wydobywa si stamt d bort. Diamenty z tego pudełka pochodz ze zło a okrucowego, o du ej zawarto ci kamieni jubilerskich.

- Co to jest bort?
- Diamenty klasy przemysłowej -wyja nił. -Przydaj si tylko do produkcji materiałów ciernych i wiertel.
- Nie znaleziono tam lepszych kamieni?
- Nie takie, jak twoje diamenty. Tamte miały ostre kraw dzie, skazy i ółt albo br zowaw barw .
- Czy wszystkie kopalnie Abe'a s takie jak ta pierwsza?

Cole u miechn ł si słysz c nut rozczarowania w głosie Erin.

- Obawiam si , e tak. adna z nich nie jest poło ona w korycie lub w poblbi u współczesnej rzeki, co oznacza, e prawdopodobie stwo znalezienia takich diamentów jak twoje jest tam prawie adne.

Erin spojrziała ponuro na mapy.

- Co miałe na my li mówi c "współczesna rzeka"? Czy s tu jakie inne rzeki?

Cole bezwiednie gładził dłoni papier, my l c o tym, jak bieg czasu odciska swoje pi tno na powierzchni ziemi, zmienia wszystko, czego dotknie, kruszy stare góry i wypi trza nowe.

- Rzeki paleozoiczne -odezwał si w ko cu. -Niemal tak stare, jak wiat.

- Nie rozumiem.

- Wy yna Kimberley od półtora miliarda lat wznosi si nad poziomem morza. Przez to jest najstarsz połącaci l du na ziemi. Reszta kontynentu australijskiego, tak samo jak inne kontynenty, na przestrzeni tych lat nie raz całkowicie si zmieniała, i to na ró ne sposoby. Ale nie Kimberley. -Cole na chwil odsun ł si od Erin, wyj ł spod spodu du map Australii i poło ył j na wierzchu. -Popatrz. Australia to najbardziej płaski zamieszkaný kontynent na ziemi. Jest te najbardziej suchy. Wy yna Kimberley to jedyny obszar na zachód od Ayers Rock, który ma wystarczaj co wysokie wzniesienia, eby je nazwa wzgórzami. -Erin z okrzykiem zdumienia spojrziała na map . -W rodku Australii teren jest tak płaski, e woda zbiera si w okr głych zbiornikach, niby krople

rosy na jakim olbrzymim stole ogrodowym. -Długim palcem wskazał na niskie wybrzuszenie Kimberley. -Te tereny zawsze były nad powierzchnię wody, ale reszta Australii, ten płaski rodek i jeszcze bardziej równinne tereny na południowym wschodzie, czy też znajdowały się pod linią wody niż nad nią. Dowódz tego rozległe warstwy wapienia i piaskowca. -Cole podniósł wzrok i zobaczył, że Erin z zadziwiającym skupieniem wpatruje się w mapę. -Na skraju Kimberley teren jest lekko falisty. Miejscowi ludzie nazywają to górami, my pewnie uznalibyśmy je za wzgórze. To pozostało ci wapiennej rafy, która została pogrzebana, a potem wypiętrzona przez erozję.

- "Ko ci martwego morza" -zacytowała w zamyśleniu Erin, przypomniałszy sobie wiersz Abe'a.

Cole zmrużył powieki. Odsunął mapę kontynentu i wyjął bardziej szczegółową mapę Kimberley. Przesunął palcami po linii Napier Range i po innych wzniesieniach wapiennych, które dzisiaj otaczają wyżynę, tak jak dawno temu otaczały ją rafa koralowa. Siedem z działek Abe'a leżało na terenach, gdzie odsłaniały się pokłady wapienia. Trzy z nich znajdowały się w obrębie samej stacji. Jedna nie siodowała z istniejącej kopalni.

- Cole?

Nie odpowiedział, tylko chwycił następną mapę, pokazując współczesne ciekły wodne. Nie było tam rzek stałych, ale w porze deszczowej opady były tak duże, że nawet wysuszone, spłukana ziemia nie mogła ich całkowicie wchłonąć. W rezultacie na tym terenie pojawiały się i znikwały rzeki, które w zasadzie były szerokimi na kilka kilometrów rozlewiskami.

Erin obserwowała Cole'a, jak w skupieniu mierzył odległość i zastanawiał się nad możliwymi wnioskami. Pracował szybko i zdecydowanie, dowodząc tym, że umysł ma równie sprawny jak ciało.

Kiedy tak mu się przyglądała, rósł w niej wewnętrzny niepokój. Musiała przyznać, że czuje do Cole'a wielki podziw, szczególnie teraz, kiedy jego inteligencja i samodyscyplina tak

bardzo rzucały się w oczy. Wiedziała, że nie powinna nawet rozważać możliwości zostania jego kochanką, ponieważ należała do osób, które nic nie robi połowicznie. Jeśli odda mu się fizycznie, nie będzie potrafiła zatrzymać dla siebie duszy. Nie miała pewności, czy Cole, pragnie czegoś więcej niż jej ciała. Jednak pokusa stawała się coraz większa i narastała z każdą minutą przebywania w jego towarzystwie.

Cole bez ostrzeżenia podniósł głowę i zobaczył wietliste oczy Erin, wpatrując się w niego z uwielbieniem. Kiedy to spostrzegła, po piesznie odwróciła wzrok.

- No i co? -zapytała, wskazując na mapę. Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej dwie trzecie powierzchni Australii ma na nazwę cmentarzyskiem kości martwego morza.

- Och! -jakoś zawiedzioną.

- Z drugiej strony, kiedy zaczniemy badać działki Abe'a, możemy się na początku skoncentrować na tych, które leżą na wapiennym podłożu.

Uśmiech rozświetlił twarz Erin.

- W takim razie trochę pomogłam, prawda?

- Mam nadzieję -odparł z uśmiechem. -I tak zostaje nam jeszcze olbrzymi teren do zbadania.

- Czy jest tam jakaś rzeka?

- Nie taka, jak masz na myśli. Jednak w paleozoiku płynęły tam rzeki. Wpadały do płytkiego morza, w którym formowały się rafy. Musiały być byłe, może takie jak w Namibii, gdzie kopiec w piasku wyściągają się diamenty pełnymi garściami.

- Gdzie na działkach Abe'a znajdują się te pradawne rzeki?

- Nigdy nie spotkałem po nich żadnych ładów, ale na pewno tam są. Muszą być.

- Z powodu diamentów?

- Nie. Dlatego, że wyłyna Kimberley istnieje tam od dawna, morze też przeważnie było blisko, a woda zawsze spływa do morza.

Erin nie wiadomie zagryzła dolną wargę. Czemu to robiła w zdenerwowaniu lub zamyśleniu.

- A mapy? Nie pokazuj tych starych rzek?
- Nie - odparł Cole. - Mam do dyspozycji tylko mapy tektoniczne. Jeśli szukamy czegoś o powierzchni mniejszej niż kilkaset kilometrów kwadratowych, są bezużyteczne.
- Jak dużej są złoża diamentów?
- Wiąksza ma na powierzchni najwyżej kilkaset hektarów. Wiele jest mniejszych. Niektóre są bardzo rozległe.
- Można powiedzieć, że szukamy igły w stogu siana.
- Wolalibyśmy szukać igły. - Mógłbym wtedy sprowadzić jakiś przemysłowy magnes i w parę minut odnaleźć ten kawałek metalu.

Znowu wpatrzył się w mapy. Praca natychmiast go pochłonęła. Erin mogła zobaczyć tylko dachy domów, nad czym się teraz zastanawia. Obserwowała go otwarcie i uważnie, ale jej aparaty były na krzesłach przy łóżku, a nie na stole, tuż pod ręką. Rzadko robiła portrety, ponieważ przedkładała wieczne piękno dzikiej przyrody nad przemijającą urodę ludzkich twarzy. Teraz jednak zapragnęła sfotografować Cole'a. Tak jak w przypadku surowych krajobrazów, pod surową zewnętrzną powłoką jego twarzy kryło się coś więcej.

Wciąż o tym rozmyślała, kiedy zapadła w sen na jego kolanach, zaciskając palce na wyimaginowanym aparacie i wtulając twarz w szyję Cole'a.

Rozdział czternasty

Hugo van Luik siedział długim korytarzem tak cicho jak duch. Puszysty zielony dywan, obicia i ciężkie zasłony pochłaniały każdy szmer. Kamera wewnętrznej telewizji, zamontowana na wykładanej drewnianym cianie, ledziła każdy jego ruch. W tym biurze przechowywano diamenty o wartości od dwóch do trzech miliardów dolarów, w zależności od dnia miesiąca.

Kiedy dotarł do ci kich, r cznie rze bionych drewnianych drzwi w ko cu korytarza, zatrzymał si i wystukał czterocyfrowy kod na klawiaturze zamka szyfrowego. Zasuwa si odsun ła, pchn ł drzwi i wszedł do kolejnego długiego holu, gdzie otworzył nast pny elektroniczny zamek i wreszcie znalazł si w sali konferencyjnej.

Chocia spotkania "komitetu steruj cego" Działu Handlu Diamentami Conminu były "nieoficjalne", spełniały "funkcj doradczy " i urz dzano je w pełnej dyskrekcji, miały podstawowe znaczenie dla planów ekonomicznych i oczekiwa pa stw, które brały w nich udział. Indywidualni uczestnicy przegl dów zawsze zawiadamiali OHO o swoich potrzebach kanałami oficjalnymi, ale to; co miało si sta dzisiaj w tym, pokoju, decydowało, jak i czy te oczekiwania zostaną spełnione. W stopniu zadziwiają cym dla postronnego obserwatora, DHD mógł polepszy lub pogorszy sytuacje ekonomiczne wielu krajów.

Van Luik spojrział na zegarek. Gdyby miał wybór, odłó yłby to spotkanie na pi tygodni, a do nast pnego przegl du. Wtedy pora monsunowa w Australii Zachodniej ju by si rozpocz ła i sprawa niebezpiecznego spadku po Abelardzie Windsorze zostałyby zamro na nast pne sze miesi cy. Jednak przeło enie spotkania nie było mo liwe.

Gwałtownie odwrócił si do kr cego przy półotwartych drzwiach wo nego.

- Wprowad ich -polecił.

Pierwszy wkroczył przedstawiciel Izraela. Moshe Aram był szczupły, ylasty i wysportowany. Nale ał do izraelskich tajnych słu b, Mossadu. Przemysł diamentowy stanowił zbyt wa n cz gospodarki izraelskiej, eby go zostawi w r kach przedsiorców czy polityków. Wła nie taki b ł d zapoczątkował problemy w latach siedemdziesiątych.

Reprezentantka Stanów Zjednoczonych, Nan Faulkner, pojawiła si tu za Aramem. Usiadła, napełniła szklank wod z lodem, wypła i znów sobie nalaa. Zapaliła cygaretk i odłó yła j na brzeg ci kiej kryształowej popielnicy.

Van Luik skin 1 g1ow kobiecie, ale nie odezwał si ani słowem. Chocia Faulkner od dawna brała udział w spotkaniach OHO, Holender zawsze trzymał si od niej na dystans. Uwa ał j raczej za figurantk ni prawdziwego uczestnika mi dzynarodowych rozgrywek o władz .

Podszedł do swojego fotela u szczytu stołu i spokojnie obserwował, jak inni zajmuj miejsca. Słyszało si tu niewiele towarzyskich pogaw dek. Uczestnicy spotkania przyszli, eby si upewni , e potrzeby ich krajów, dotycz ce handlu diamentami, s kartelowi znane.

Borys Jarakow, reprezentant Zwi zku Radzieckiego, zachowywał si dzisiaj wyj tkowo opryskliwie. W przeciwie stwie do niego, Attar Singh, przedstawiciel Indii, był bardzo uprzejmy. Nie miał innego wyboru. Indie nie wydobywały ju diamentów, wi c nie budziły takiego respektu jak kiedy . Pod koniec dwudziestego wieku Indie wniosły do Conminu i OHO niewyczerpane ródło taniej siły roboczej, która niszczy c wzrok po wi cała wiele godzin na ci cie i szlifowanie diamentów tak małych, e dawniej przeznaczono by je na cele przemysłowe i sprzedano za wier ceny, któr zyskiwały po obróbce.

Europejski rynek diamentów reprezentował Nathaniel Feinberg. Tak samo jak w przypadku Indii, Europa zajmowała si głównie obróbk surowca, a nie wydobyciem. Przez to miała mniej do powiedzenia w kartelu diamentowym ni wła ciele kopal , z których uzyskiwano diamenty jubilerskie. Takie kopalnie były skarbem i zmor Conminu, poniewa istniało ich wi cej, ni było to konieczne dla zaspokojenia potrzeb.

Australia korzystała z usług własnych geologów, a nie Conminu, eby zbada rozległe przestrzenie wy yny Kimberley. Rezultatem było odkrycie zła a w Argyle. Poniewa odległa kopalnia w Argyle okazała si przera aj co drogim przedsi wzi ciem, Australia zaczę ła szuka zagranicznego kapitału. Kiedy banki dowiedziały si , e ten kraj nie jest członkiem kartelu diamentowego, a wi c nie ma

zagwarantowanego zbytu na surowiec z Argyle, wycofały się z interesu.

Gra na tym się nie zakończyła. Indie, niezadowolone z decyzji kartelu, podjęły się zagwarantowania rynku dla australijskich drobnych diamentów. Australia znów zwróciła się do banków, tym razem mając w rękach pewny rynek zbytu. Zanim udzielono pożyczki, rząd Indii został nieoficjalnie poinformowany, że OHO zaniżył ceny na rynku indyjskim, zalewając go sprzedawanymi po dumpingowych cenach kamieniami tej samej wielkości, jakości i takiego samego szlif, jakie Indie wyprodukują z australijskich dostaw. Conmin jest wystarczająco zamożny, aby w nieskończoność pokrywać wynikające z tego straty. Indie nie mogły sobie na to pozwolić.

Indijski kraj wydobywający diamenty nie przebiję zawartości londyńskiego skarbcza kartelu. Indie wycofały swoją ofertę, a Australia zrobiła to, co zrobiłby każdy inny kraj lub indywidualny producent diamentów. Zawarła umowę z Conminem.

Lan McLaren reprezentował Australię w OHO. Spoglądał czujnie na van Luika i miał ku temu powody.

Van Luik otworzył lecie przed nim teczkę z marokańskiej skóry, dając znak, że sesja się rozpoczęła. Wszyscy zgromadzeni zaczęli natychmiast podawać w górę stołu kartki papieru. Co miesiąc kraje produkujące diamenty przedstawiały przewidywane wydobycie, a firmy szlifierskie określały zapotrzebowanie na surowiec. Zadaniem van Luika było pogodzenie tych dwóch stron diamentowego równania.

Zebrał "modlitwy" każdego członka kartelu, chociaż była to tylko formalność. Te same liczby przesłano mu faksem poprzedniego dnia. Zresztą "modlitwy" i tak nie miały być wysłuchane. Van Luik od wielu tygodni wiedział, jak przez następne trzy miesiące rozdzieli pulę diamentów OHO.

Szybko ułożył kartki od producentów surowca obok kartek firm zajmujących się obróbką i w myślach porównał wymienione tam liczby z własnymi obliczeniami. Dzisiaj wyjdzie z tego budynku wielu zmartwionych ludzi. Zdarzy się

to nie pierwszy raz i, jak dobrze wiedział Holender, nie ostatni.

- Panie McLaren -zacz ła ostro dyrektor. -OHO tym razem nie mo e zapewni rynku zbytu dla nie wykorzystanych jeszcze złó w Eliendale. Jak pan wie, zawarto kamieni jubilerskich w surowcu z tych złó jest bardzo wysoka, jak na zło e pierwotne. O ile si nie myl , okoła sze dziesi ciu do osiemdziesi ciu procent, tak?

- Tak, ale ...

- Czy by pan nie wiedzia ła -przerwa ła mu van Luik - e rynek jeszcze si w pełni nie otrz sn ła z katastrofy, która nast piła w osiemdziesi tym roku? To stanowczo nie jest odpowiednia pora na uruchomienie nowej kopalni, dostarczaj cej kamienie jubilerskie.

- W takim razie, czy mo emy oczekiwa wzrostu ceny naszych diamentó w przemysłowych? -zapyta ła zwi le Australijczyk.

- a ła , ale nie. Je li cena surowca przemysłowego jeszcze bardziej wzro nie, Japo czycy mog zacz masowo produkowa syntetyki w swoich laboratoriach, a wtedy Australia zostanie bez rodkó w na spła cenie kosztó w budowy swojej bardzo drogiej i wysoce nie dochodowej kopalni.

- Ale...

- Wkró tce odwiedz kopalni w Argyle i przedyskutuj długofalowy plan wydobywania. Zapewniam, e interes Australii jest równie interesem DHD. W tej chwili nowa kopalnia jubilerskich diamentó w jest ostatni rzec , jakiej nam wszystkim potrzeba.

Nie czekaj c na odpowied wsun ła "modlitw " mclarena na sam spód. Wzi ła do r ki nast pn kartk .

- Panie Singh, otrzyma pan dwie trzecie drobnicy, o któr pan si ubiega.

- Nasze firmy szlifiarskie by łyby bardzo zobowi zane, gdyby przydzielona nam partia surowca zawiera ła wi cej du ych kamieni, a nie same drobne sztuki, których nikt inny nie chcia łyby naby .

- Jedynie wasi szlifierze s w stanie uzyska dochód z najmniejszych kamieni -odparł van Luik. -Jednak e skoro Indie chc zmniejszy swój przydział, DHD wyrazi zgod . Ostatnio Chiny dowiadywały si o mo liwo ci zakupu drobnicy. Oznajmili my, e W obecnej chwili cały nasz surowiec został ju rozdzielony. Oczywi cie, zapewnili my te Chi czyków, e nie zapomnimy o ich potrzebach, je li sytuacja si zmieni.

Twarz Singha pociemniała pod nie nobiałym turbanem. Jednak kiedy si odezwał, mówił spokojnym i beznami tnym tonem: -Indie nie maj zastrze e co do rodzaju i ilo ci diamentów, jakie w ci gu najbli szych trzech miesi cy otrzymaj od DHD.

- Doskonale. Nie zapomnimy o pana gotowo ci do współpracy. Panie Feinberg, zapotrzebowanie zgłoszone przez pa skich współpracowników zostanie spełnione w całej rozci gło ci.

Feinberg skin ł głow .

- Panie Jarakow, rynek du ych kamieni jubilerskich dopiero wraca do równowagi po katastrofie wywołanej spekulacjami w roku osiemdziesi tym pierwszym -ci gn ł Holender. -Bardzo nam przykro, ale nie mo emy naby wi kszej ilo ci waszego surowca.

Jarakow zrobił rozw cieczon min , ale nic nie powiedział. Van Luik na chwil zamilkł, wyra nie spodziewaj c si protestów. Kiedy nic takiego nie nast piło, mówił dalej:

- Panie Aram, pa skie dania s nierozs dne. Gdyby my przydzielili wam tyle drobnicy, Indie i Zwi zek Radziecki nie mogłyby zapewni pracy wszystkim swoim szlifierzom.

Chłodny, cichy głos dyrektora niósł si swobodnie po wielkim pokoju, poniewa nikt ze zgromadzonych nie poruszył si ani nie wymienił adnych uwag z s siadami. Nawet Moshe Aram nic nie powiedział. W latach siedemdziesi tych do obróbki w Izraelu trafiało osiemdziesi t procent drobnicy. Jednak na pocz tku lat osiemdziesi tych Izrael odegrał kluczow rol w spekulacjach diamentami, które niemal

zniszczyły kontrol DHD nad rynkiem. Conmin tego nie zapomniał ani nie wybaczył. Wymierzył za to niezwykle karę, cofając zaproszenia na przeglądysty pięćdziesiąty przedsi biorstwom handlu i obróbki diamentów, a tym samym w dużym stopniu rujnując interesy Tel Avivu. Wskazując drobnicę przejął rynek indyjski i radziecki.

- Otrzyma pan trzydzieści siedem procent swojej zapotrzebowania na drobnicę -oznajmił van Luik. Związek Radziecki dostanie osiemdziesiąt dziewięć procent ogłoszonego zapotrzebowania. Te ilości zostaną rozdzielone w równych częściach podczas trzech następnych przeglądów. Jak panowie to rozdzielimy między swoje firmy szlifierskie, zależy wyłącznie od panów decyzji.

- Już wystarczająco długo nas karzecie -odezwał się szorstko Aram. -Postąpiliśmy zgodnie z waszymi życzeniami. Zmieniliśmy przepisy bankowe i podnieśliśmy minimalne stawki opłat na surowiec. Nasi szlifierze nie mogą już spekulować. Czego jeszcze chcecie? Mamy zburzyć Ramat Gan? Jakie macie prawo niszczyć gospodarkę małego, walczącego o przetrwanie demokratycznego kraju, wspierając naszym kosztem antysemitów w Związku Radzieckim?

- DHD zajmuje się diamentami, nie ideologią -odparł spokojnie van Luik, wkładając pro bib Izraela pod inne kartki. -Moście, rzecz jasna, ubiega się o zwieszenie przydziału na następnym spotkaniu naszej grupy.

- Ale ...

- Neutralność OHO jest szeroko znana -oświadczyła sucho Nan Faulkner, przerywając kolejny wybuch złości Ararna. Podczas drugiej wojny wiatowej obustronnie walczyły strony, udawało się jakoś nabywać diamenty przemysłowe. Od tamtych czasów nic się nie zmieniło. -Zdusiła papierosa i spojrzała Holendrowi prosto w oczy. -Jest równie powszechnie wiadome, że to, co dzieje się na tych spotkaniach, ma po równy wpływ nie tylko na rynek diamentów. Być może nie zajmujecie się ideologią, ale robi to wszystko państwa, których

przedstawiciele zgromadzili się przy tym stole. Jeśli ograniczenia sprzedaży surowca do Izraela zostaną utrzymane, będzie zmuszona zasugerować naszym amerykańskim uczestnikom przeglądów, aby znacznie zmniejszyli swoje zamówienia.

Van Luik był zaskoczony, ale nie dał nic po sobie poznać.

- Naturalnie, może pani postąpić, jak pani uważa. Jednak amerykańscy uczestnicy przeglądów nie są zobowiązani postąpić według rekomendacji rządowych. Oczywiście DHD spełnia wymagania swoich bezpośrednich kontrahentów, czyli w tym przypadku amerykańskich firm jubilerskich.

Uśmiech Faulkner był równie lodowaty, jak woda, którą wypijała, zanim zaczęła mówić dalej.

- Tak, na tym polegają problemy z prawdziwą demokracją - stwierdziła, zapalając następną cygaretkę. - Jednak mogę pana zapewnić, że nie trzeba wiele wysiłku, aby podnieść podatki na brylanty na każdym etapie produkcji, od podatku za sprowadzanie surowca, przez podatki na szlifowane kamienie aż do gotowej biuterii. Za rok lub dwa cena biuterii z brylantami wzrosłaby na rynku amerykańskim o jakieś dziesięć procent. Luksus to jest tylko luksus. Jeśli jest zbyt drogi, ludzie mogą się bez niego obejść. Jeśli chodzi o sentymentalne zakupy spowodowane modą - ciągnęła Faulkner, spodziewając się, co za chwilę odpowie Van Luik - wielu Amerykanów weźmie za wzór księżną Dianę i kupi swoim narzeczonym zaręczynowe pierścienie z kolorowymi kamieniami, zwłaszcza jeśli firmy jubilerskie rozpoczną kampanie reklamowe pod hasłem: "Potraktuj swój ukochany jak księżną". Może liweł, że w tym samym czasie powstanie oddolny ruch na rzecz bojkotu diamentów pochodzących z kraju stosującego apartheid.

- Conmin w żadnym aspekcie swojej działalności nie popiera apartheidu - zaprotestował oschle dyrektor. - Dotyczy to również DHD.

- Nic nie szkodzi. Ludzie kojarzą diamenty z Republiką Południowej Afryki. W ciągu najbliższych pięciu lat amerykański

rynek skurczy się o połowę. Może nawet o siedemdziesiąt procent.

Faulkner zacięgnęła się papierosem i nic więcej nie mówiła.

Nie musiała. Sprzedaż diamentów jubilerskich w Stanach Zjednoczonych stanowiła więcej niż jedną trzecią wiatowego obrotu, i to był najbardziej dochodowy.

- Zostaje jeszcze Japonia - zauważył van Luik.

- Niewątpliwie - zgodziła się energicznie Faulkner. Wzięła dzbanek i zaczęła nalewać wody do szklanki. - Japończycy, za przykładem Amerykanów, zaczęli kupować nieruchomości z brylantami. Mogą przestać to robić również za naszym przykładem. W ten sposób zostanie wam połowa dawnego rynku, co oznacza, że dochody tego kraju reprezentowanego przy tym stole również zmniejszą się o połowę. Czy warto tak ryzykować tylko po to, aby jeszcze raz wymierzył klapsa Izraelowi?

- Przypominam pani, pani Faulkner, że Conmin zajmuje się nie tylko diamentami.

- I właśnie dlatego dotychczas nie powstał jeszcze w Stanach ruch nawołujący do bojkotu brylantów - odparowała Amerykanka, z hukiem odstawiając dzbanek na miejsce. - Wy potrzebujecie naszego rynku zbytu, my potrzebujemy waszych strategicznych minerałów. Wić przejdźmy do rzeczy i znajdźmy jakiś łagodniejszy kompromis niż ten, który pan przedtem proponował.

Van Luik mógł odliczyć uderzenia swojego serca według rytmu pulsującego bólu głowy. Ostrzegając zwierzchników, że Stany Zjednoczone będą się sprzeciwiać zbyt silnym naciskom na Izrael. Nie chcieli go słuchać. Teraz nie będą mieli wyboru.

- Byłoby może dać się zrekompensować spadek zatrudnienia i obrotów w handlu zagranicznym Izraela w jakiś inny sposób - odezwał się zerkając w stronę Singha.

- Nie ma mowy - powiedziała Faulkner. - Izrael nie chce żadnych przysług kosztem Indii. Dlaczego nie dobra się do skóry staremu syberyjskiemu niedźwiedziowi? Od dziewięciu

lat radziecki udział w zakupach drobnicy wzrasta co sze
miesi cy o dziesi procent.

Jarakow spojrzal na Faulkner i zacz ł mowi , nie
dopuszczaj c dyrektora do głosu.

- W rezultacie ostatnich zmian politycznych w moim kraju
stopa zatrudnienia si obni yła, a handel zagraniczny prze ywa
trudno ci. Wasz kraj oficjalnie popiera glosnost, ale nadal
musimy płaci za ameryka skie zbo e ameryka skimi dolarami.

- Wprowad cie dalej id ce zmiany -poradził twardym
głosem Aram. -Sprywatyzujcie rolnictwo. Wtedy nie b dziecie.
wiedzieli, co robi ze zbo em, tak jak Amerykanie.

- Panowie! -wtr cił ostro van Luik, masuj c sobie nasad
nosa. -Wydaje mi si , e mamy szans na osi gni cie
kompromisu. Rosja nadal b dzie szlifowała coraz wi ksze ilo ci
lepszego rodzaju drobnicy, poniewa robi to lepiej ni inne kraje
za t sam cen . -Aram nie wygl dał na uszcz liwionego, ale
milczał. To, co powiedział dyrektor, było prawd , chocia
niezbyt dla niego mił . -Zwi zek Radziecki zagwarantuje
godziw cen oszlifowanej drobnicy, któr dostarczy izraelskim
jubilerom -ci gn ł van Luik, bez drgnienia powiek spogl daj c
na Jarakowa. -Z kolei Izrael zgodzi si przeszkoli pewn liczb
radzieckich rzemie lników i nauczy ich sztuki wytwarzania
luksusowej bi uterii. -Zwrócił si do Nan Faulkner: Czy taki
kompromis wydaje si pani zadowolaj cy?

- Niech pan zapyta Moshego. To jego kraj -odparła
Amerykanka, wydmuchuj c smug jasnego dymu. -Stany
Zjednoczone nie maj nic przeciwko temu, je li ostateczny
rezultat nie zaszkodzi pozycji Izraela w wiatowym systemie
gospodarczym.

Van Luik z ulg skin ł głow . Opinia Faulkner była
decyduj ca. Jej nie wypowiedziana zgoda na takie rozwi zanie
oznaczała, e na tej sali znów zaczn rzdzi prawa rynku, a nie
ideologia. -Panie Aram? -Van Luik zwrócił si do Izraelczyka.

- Musieliby my zawrze na nast pne dwadzie cia lat
umow o zaniechaniu konkurencji -o wiadczył stanowczo

Aram. -Nauczyli my Rosjan szlifowa drobnic , i prosz , co si stało.

Wypieraj nas z rynku.

- Pi lat -odezwał si Jarakow. Unikaj c wzroku Arama wpatrywał si w swoje du e dłonie.

- Pi tna cie.

- Pi .

- Trzyna ...

- Pi ! -przerwał mu zniecierpliwiony Rosjanin. -To moja ostateczna propozycja.

- To mo e by pana ostateczna propozycja, ale czy mo e pan zawrze tak znacz c umow bez aprobaty Moskwy? - zapytała Faulkner. Kołysała szklank na boki, a obijaj ce si o siebie kostki lodu podzwaniały cicho. Kiedy Jarakow nie odpowiedział, zwróciła si do Arama: -Co pan powie na dwana cie lat?

Chocia głos Amerykanki brzmiał beztrosko, Aram wiedział, e z jej propozycj nale y si liczy . Po krótkim wahaniu skin ł głow . Jarakow równie nie wygl dał na uszcz liwionego, ale przytakn ł, piecz tuj c umow .

- Pani Faulkner, zapotrzebowanie pani kraju jest zaskakuj co małe.

- Rynek si kurczy.

- Nie zgadzam si z t opini . Badania przeprowadzone przez DHD wskazuj , e popyt na luksusow bi uteri wzrasta na całym wiecie. Dodali my pani dwadzie cia procent do danej ilo ci. Jeste my pewni, e rynek ameryka ski to wchłonie, zwłaszcza e wkrótce wasze firmy jubilerskie rozpocz n now kampani reklamow .

Faulkner strz sn ła popiół z cygaretki i spojrziała na niego z pow tpiewaniem.

- Główne hasło kampanii brzmi: "Udowodnij jej swoje uczucie. Kup brylant tak wielki jak twoja miło ." B dziecie reklamowa przede wszystkim brylanty o wadze powy ej jednego karata -oznajmił van Luik.

Faulkner potrząsnęła głową. Przy tym ruchu zamigotały w jej uszach kolczyki z brylantami wysokiej jakości.

- To trochę potrwa, zanim taka kampania wywoła pożądaną efekt. Tymczasem rynek zaleje droga biuteria. Dajcie nam rok zwłoki.

Van Luik zanotował coś na kartce.

- Trzy miesiące zwłoki, pani Faulkner. Jeśli Ameryka skłoni uczestnikom przegłodu nie spodoba się zawartość ich kopert, zawsze mogą odmówić zakupu.

Faulkner zdusiła cygaretkę w popielnicy i nic nie odrzekła.

- Czy doszliśmy do porozumienia? -zapytał dyrektor, patrząc na zebranych. Nikt nie zaprotestował.

- Mazel und broche.

- Mazel und broche -odpowiedział mu chór stłumionych głosów.

Nawet Nan Faulkner wypowiedziała to tradycyjne pozdrowienie handlarzy diamentów, zanim odsunęła krzesło i wyszła z sali. W myślach układała już raport dla ministra obrony narodowej. Jednego była pewna. Raport musi się zakończyć następującym wnioskiem: "Należy niezwłocznie znaleźć kopalnię diamentów jubilerskich, kontrolowaną przez rząd Stanów Zjednoczonych, a nie przez Conmin."

Rozdział piątnasty

Erin podniosła głowę nad talerz z resztkami kolacji, kiedy zauważyła nadchodzącego Cole'a. Wokół nich rozbrzmiewał gwar zatłoczonej restauracji. Prawie go nie słyszała. W nieświadomym skupieniu patrzyła na spryśnięte ruchy Blackburna. Z takim samym skupieniem słuchała jego słów, spoglądała mu w oczy i wdychała jego zapach. Zeszłej nocy usnęła na ramieniu Cole'a czując, że jej bliskość go podnieca. Rano obudziła się sama w łóżku, kompletnie ubrana. On potrafił kontrolować zmysłowo, chociaż niewątpliwie był bardzo

wa n cz ci jego osobowo ci.

wiadomo tego faktu wracała do Erin w najdziwniejszych chwilach, zmieniaj c jej nastrój. Uspokajała j , ale równie napełniała szczególnym uczuciem wyczekiwania.

Jednocze nie Erin podejrzewała, e pow ci gliwo Cole'a wynika z zupełnie innych pobudek. Pragn ł jej, ale był wystarczaj co inteligentny, eby wiedzie , e ka da próba nacisku odniesie wr cz przeciwny skutek do zamierzonego. Ona coraz bardziej skłaniała si ku niemu, ale zdawała sobie spraw , jakie ryzyko emocjonalne si z tym wi e. Cole Blackburn wydawał si jej człowiekiem uodpornionym na miło . A ona nie nale ała do kobiet, które oddaj si m czy nie bez miło ci.

- Gotowa? -zapytał wyci gaj c r k . Erin wstała i uj ła jego dło .

- Masz je? -zapytała.

- Ukryte w pasie pod ubraniem. Wynaj łem pokój w innym hotelu i zostawiłem tam nasze rzeczy.

- A moja torba ze sprz tem?

U miechn ł si lekko.

- Jest bezpieczna w pokoju. Nie, jeszcze nie wolno ci fotografowa . Kto , kto zobaczy, jak si koncentrujesz na robieniu zdj , nie we mie ci za turystk .

Westchn ła. U cism ł jej r k .

- Wynajmiemy samochód na te nowe paszporty i wyjedziemy jutro z rana. Kiedy opu cimy miasto, b dziesz mogła fotografowa , ile dusza zapragnie.

- To pochopna obietnica. Trzymam ci za słowo.

Ze miechem wyszli z restauracji, trzymaj c si za r ce.

Wygl dali jak para zakochanych, sp dzaj ca beztroski wieczór w mie cie. Na zewn trz było ciepło i wilgotno. Miasto pachniało, jakby je kto zamkn ł pod szklan kopuł .

Kiedy wyszli z kr gu wiatła latarni, rozpl yn li si w ciemno ciach. Cole miał na sobie lekkie bawełniane spodnie, koszul i buty -wszystko czarne. Erin była ubrana tak samo. Cole nalegał, eby wieczorem wkładali wył cznie czarne

ubrania, a w dzie w kolorze khaki. Erin nie narzekała, ponieważ Cole sam kupił wszystkie ich rzeczy, włącznie z nylonowymi torbami. Z bagażu, który miała w Stanach, został jej tylko jeden aparat fotograficzny i diamenty, ukryte w pasku pod ubraniem.

Wiała lekka bryza, niosła ze sobą zapach morza.

- Czy teraz pozwolisz mi zobaczyć Ocean Indyjski? - zapytała Erin.

- To jest w zasadzie morze Timor.

- Niech będzie.

Roze miał się i spojrzał na kobietę, która wdzianym krokiem szła obok niego. Co się w niej zmieniło od czasu, kiedy usnęła na jego kolanach. W jego obecności była teraz rozluźniona i artobliwie się z nim przekomarzała, co tylko pobudzało jego podanie. Tak samo jak szczerzy podziw w jej oczach, gdy na niego patrzyła.

- Chodźmy - powiedział. - Tam jest cieka nad morze. Nie oświetlona, kręta alejka prowadziła przez tunel z bujnej roślinności nad wodę. Byli kilka metrów od grubego piachu plaży, kiedy Blackburn stanął w miejscu, oparł Erin o pie drzewa i przycisnął ją ciałem, jakby byli niecierpliwymi kochankami, którzy nie mogli się doczekać samotności. Po chwili instynktownego strachu, spowodowanego nagłym bliskości mężczyzny, Erin się uspokoiła. Dławiła uwagę Cole'a nie skupiała się na niej. Wpatrywał się w odcinek cieki prowadzący z powrotem do miasta.

- Wydawało mi się, że ktoś za nami idzie - wyszeptał do ucha dziewczyny.

Przy każdym oddechu czuła się blisko jego ciała. Ogarniały ją tylko resztki dawnego strachu. Przede wszystkim opanowała zupełnie nowe uczucie - podanie.

Zamglony księżyc dawał niewiele światła, ale Erin dostrzegała napięte mięśnie na szyi Cole'a, ład czarnego zarostu pod skórą i wyraźne, równe bicie tętna. Nacisk jego ciała był raczej bezosobowy niż zmysłowy, miał chronić, a nie uwodzić.

Erin bez przekonania powtarzała sobie, że tak jest lepiej.

- Idziemy - powiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Dalej na plażę znajdziemy inne wyjście na ulicę.

Ich buty chrząkały głucho na grubym piasku. Po prawej morze łagodnie omywało plażę. Chmury o niewyraźnych kształtach zasnuwały niebo jak zsiadłe mleko, zakrywając księżyc i gwiazdy, a ich blask zamienił się w mgłę po wiatrze, rozptylając się na dźwięcznych falach. Głęboki szum napływał od strony lądu, gdzie gałęzie drzew zwisały nad plażą. Głęboka cisza i cienia fascynowała Erin. Nie przypominała jej żadnego połączenia jasnych i ciemnych barw, jakie dotychczas spotkała.

- Zaczekaj tu - odezwał się cicho Cole. - Jeśli zobaczysz, e przed tobą coś się porusza, zawołaj mnie i uciekaj.

- Dokąd idziesz?

Odpowiedział jej tylko szelest stalowego ostrza wyjmowanego ze skórzanej pochwy, przytroczonej do przedramienia. Cole jakby oddalił się bezgłośnie w kierunku, z którego nadeszli. Erin uważnie wpatrywała się w noc, usiłując zobaczyć, gdzie poszedł.

Nagle z ciemności wyłoniły się jakieś ręce i mocno ją chwyciły. Zanim zdążyła się przestraszyć, zaczęła się bronić według zasad samoobrony, które wpajano jej tak długo, a stała się przeciwko niej samej, tak jak wspomnienie o Hansie.

Napastnik wydał triumfalny okrzyk, który natychmiast zmienił się w jęk bólu, kiedy pięta Erin trafiła go w kolano. Odskoczył na bok, trzymając jedną ręką, a drugą masując obolałe miejsce. Wołał o Cole'a, dziewczyna próbowała kantem dłoni sparaliżować nadgarstek przeciwnika, ale marnie, gdyż upadając szarpnął ją i straciła równowagę. Przewróciła się tak, jak jej uczono, nie napinając mięśni; przetoczyła się i natychmiast stanęła na nogach, gotowa do ucieczki, która zawsze jest najlepszą obroną. Napastnik błyskawicznie wyścignął ją i złapał ją za kostkę. Odruchowo kopnęła go prosto w twarz. Zawył z bólu.

Nagle inni napastnicy rzucili się na nią, chwytając ją za ręce i

nogi. Wykorzystała wszystkie ciosy, jakich si nauczyła, chocia wiedziała, e jej walka nic nie pomo e, bo m czyzn było za du o, w dodatku okazali si wyszkolonymi wojownikami. Pierwszego napastnika pokonała przez zaskoczenie, poniewa nie spodziewał si , e Erin potrafi tak wprawnie si broni . Innych nie mogła ju zaskoczy . Widzieli, co si stało z ich towarzyszem, i postanowili pokona j przewag liczebn .

Erin biła si w milczeniu i za arcie, poniewa siedem lat temu obiecała sobie, e pr dzej zabije lub sama zginie, ni da si jeszcze raz zgwałci jakiemu m czy nie. Nagle dostała cios w przepon , który dosłownie j sparali ował i zaparł dech w piersi. Niewyra nie usłyszała, jak jeden z atakuj cych wysokim głosem krzykn ł z bólu, odskoczył od niej i padł na piach. Znów wyczuła obok siebie poruszenie i drugi m czyzna został uniesiony w powietrze i odrzucony na bok. Wyl dował z głuchym hukiem na ziemi i ci ko dyszał.

Trzech pozostałych odst piło od Erin i rozgl dało si gor czkowo, próbuj c dostrzec niewidocznego wroga.

- Uciekaj! -rozkazał Cole.

W pierwszej chwili Erin nie rozpoznała jego głosu. Nigdy jeszcze nie słyszała, eby brzmiał tak szorstko. Wyczuła jaki ruch po lewej i odwróciła głow . .

- Uciekaj, do cholery!

W mrocznej po wiacie Cole wydawał si jeszcze wi ksy.

Jego ciało i dłonie wykonywały jakie w owe, niemal hipnotyczne ruchy w oczekiwaniu na atak. Przy ka dym płynnym poruszeniu starannie kontrolował utrzymanie równowagi ciała, Zawsze gotowy do zadania lub odparowania ciosów ze wszystkich stron. Trudno si było domy li , jaki b dzie jego nast pny manewr. W r ce trzymał nó , który połyskiwał blade jak rt . Cofał si wolno, odci gaj c przeciwników od Erin, która jeszcze nie wstała z ziemi.

M czy ni ruszyli na Cole'a w nierównym szyku. Erin dostrzegła krótki błysk stali, kiedy dwóch z nich wyci gn ło

no e. Chciała krzyknąć i ostrzec Cole'a, ale nie miała powietrza w płucach. Walczyła z własnym ciałem, tak jak przed chwilą z napastnikami. Starła się nabrać powietrza, żeby wreszcie odzyskać siły i nie leżeć już bezwładnie na zimnym piasku.

Cole obserwował nadchodzących morderców, ustalając w myślach kolejność ciosów z precyzją człowieka przyzwyczajonego do bójek, w których napastnicy mają nad nim przewagę. Wiedział, że dwie rzeczy działają na jego korzyść. Po pierwsze, nie musiał się martwić, że w walce przez pomyłek zrani przyjaciela. Po drugie, mordercy czy nie spodziewali się, że raczej będzie się bronił, a nie ruszy do ataku.

Dwóch napastników uzbrojonych w noże rzuciło się na niego z wściekłością, zachowując między sobą taką odległość, aby Cole mógł w danej chwili walczyć tylko z jednym. Blackburn już wybrał pierwszy cel ataku - większego z dwóch napastników, tego który poruszał się jak zawodowy wojownik. Zamarkował ruch w stronę mniejszego, odwrócił się błyskawicznie i skoczył na większego. Lewą ręką wytrącił mu nóż. Jednocześnie kantem prawej wymierzył mu między oczy cios w gardło. Morderca charcząc osunął się na ziemi. Nie był już niebezpieczny.

Wykorzystując rozpad, jaki nadał mu obrót, wymierzył kopniaka w głowę większego. Głuchy odgłos upewnił go, że trafił w cel. Mniejszy napastnik upadł twarzą na piasek i znieruchomiał.

Nie opodal stał jeszcze jeden morderca. Dwóch pozostałych z trudem dźwigało się na nogi. Znowu zaczęli go otaczać.

- Erin! -zawołał Cole.

Próbowała odpowiedzieć, ale nie mogła. Wciąż brakowało jej powietrza.

- Erin! -Odpowiedziała mu cisza. Spojrzał na trzech morderców. -Już po was -wycodził.

Z nieartykułowanym okrzykiem jeden z nich sięgnął pod kurtkę i wyjął długi pistolet o dziwnym kształcie.

Nagle Cole płynnym, błyskawicznym ruchem schylił się, wyprostował i z półobrotu cisnął mu garść piachu prosto w oczy. W tej samej chwili dwaj nie uzbrojeni napastnicy skoczyli na niego. Cole pochylił się i pozwolił im się zbliżyć, aby uzyskać możliwość wyeliminowania przynajmniej jednego, zanim mógł czynna z pistoletem znów być w stanie coś zobaczyć.

Erin z wysiłkiem dwignęła się na kolana, dysząc i z wysiłkiem wciągając cienki strumień powietrza w płuca. Zobaczyła, jak Cole pada pod naporem dwóch atakujących. Słyszała, jak mężczyzna z pistoletem klnie w londyńskiej gwarze. Chwilowo olepiony, klęczał i złorzecząc tarł oczy. Nie miała siły wstać, więc zrobiła jedyną rzecz, na jaką starczyło jej energii. Podczołgała się bliżej, nabrała w obie ręce piachu i rzuciła nim w twarz zbira. Rozwścieczony, jeszcze silniej wcierał nową porcję ostrych ziaren w oczy. Głośno przeklinając, wstał i zaczął wymachiwać pistoletem na wszystkie strony.

Erin zastanawiała się, czy nie rzuci się na niego i nie odebra mu broni, ale była na to jeszcze za słaba. Nabrała więcej piasku i rzuciła nim w mężczyznę. Z ciemności dobiegły jęki postkiwania, przekleństwa i charakterystyczny trzask łamanej kości. W nagłej ciszy odgłos przeładowywanego pistoletu zabrzmiał jak grzmot.

- Padnij!

Słyszając rozkaz Cole'a, Erin rozpląszczyła się na ziemi, przetoczyła kilka razy i przywarła do piasku. Olepiony mężczyzna strzelał chaotycznie w kierunku, z którego rzuciła w niego piachem. Spodziewała się głośnego huku wystrzałów, tymczasem słyszała tylko głuche kłapania.

Cole również uskokzył na bok, spodziewając się, że strzały padną tam, skąd rozległ się jego okrzyk. Sekund później dwie kule przeszły piasek w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Najwyraźniej napastnik, chociaż olepiony, nie był ani głuchy, ani tupy.

Erin leżała bez ruchu, starając się nie oddychać. Wiedziała,

e je li wyda jaki d wi k, ci gnie na siebie kul . Wokół panowała cisza, wi c dziewczyna miała wra enie, e Cole równie znieruchomiał. Nagle k tem oka zauwa yła jaki ruch. Ostro nie odwróciła głow . Wyt yła cał sił woli, eby nie krzykn na widok rozgrywaj cej si przed ni sceny.

Wolno, uparcie, synchronizuj c ruchy z lekkim szumem fal omywaj cych pla , Cole zbli ał si do człowieka z broni .

Erin zalał zimny strach. Je li Blackburn popełni jeden bł d, zginie od kuli, zanim zd y jakkolwiek zareagowa . To samo czekało Erin w tej potwornej ciuciubabce, w której stawk było ycie. Tylko pozostaj c w absolutnym bezruchu, byli bezpieczni. Z drugiej strony, tylko podejmuj c jakie działanie w ostatecznym rachunku ujd z yciem, bo o lepiony m czyzna za chwil odzyska wzrok.

Erin gł biej wbiła palce w szorstki piasek, eby jeszcze raz rzuci nim napastnikowi w oczy. Spogl dała to na m czyzn z broni , to na Cole'a, szacuj c odległo , jaka ich dzieli. Cole stanowczym ruchem pokr cił przez co głow . Dostrzegł jej dłonie białe w piach. Nie chciał, eby wykonała gwałtowny ruch i ci gn ła na siebie kul , zanim zd y uskoczy .

St pał ostro nie, staraj c si zbli y do uzbrojonego napastnika na tyle, eby móc go obezwładni . M czyzna stał mi dzy nim a Erin. Istniało niebezpiecze stwo, e je li Cole rzuci w niego no em, albo skoczy, eby powali go na ziemi , napastnik trac c równowag strzeli prosto w ni . eby tego unikn , Cole musiał podej do niego na odległo ramienia, tak blisko, e szum fal nie mógł ju zagłuszy szmeru jego ruchów i nawet oddech go zdradzał.

Erin z tak sił i zaciskała piach w dłoniach, e a bolały j palce. Wolno zacz ła podnosi si z ziemi. Serce Cole'a zamarło, a potem zacz ło mocniej bi , pobudzone now dawk adrenaliny. Je li zbir wyczuje ruch Erin, odwróci si i strzeli, zanim on zdoła temu przeszkodzi . Dziewczyna b dzie bezpieczna, je li pozostanie nieruchoma. Ale ona si poruszała. Chciała przysun si bli ej i cisn piachem w oczy

m czynny.

Bandyta stał do niej bokiem i odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, w każdej chwili gotów do obrotu. Starannie kontrolował oddech i nasłuchiwał jak kot przy mysiej dziurze.

Zakreślał pistoletem krąg wokół siebie, żeby uzyskać jak największe pole strzału.

Erin dostrzegła w jego oczach odbite światło księżyca, kiedy zwrócił się w stronę morza. Bała się, że zaraz powróci mu wzrok. Sylwetka Cole'a rysowała się wyraźnie na połyskliwym tle fal. Był tak duży i ciemny, że nawet niewyraźnie widzący człowiek mógł go z łatwością trafić.

Gwałtownym ruchem rzuciła się na bok: Napastnik zwrócił się do niej i strzelił na olep. Kula przeszła ziemię, wzbijając fontannę drobnych grudek. Choć Cole nie zrobił żadnego hałasu, bandyta znów stanął. Twarz do morza, instynktownie wyczuwając nadchodzący atak. Pistolet wystrzelił jeszcze raz.

Cole był głuchy, ale już po chwili nasadził dłoń z dołu uderzył w nos napastnika. Głowa mężczyzny odskoczyła w tył, a z nosa wytrysnęła czarna w świetle księżyca krew. Bandyta bez jednego słowa osunął się na ziemię.

- Erin! Nic ci nie jest?
- Nic. Jestem tylko trochę wystraszona.
- Obserwujcie ich, którzy tu przyszli my.

Cole podniósł pistolet i szybko sprawdził magazynek. Potem schował nóż. Spokojnie upewniał się, czy pozostali napastnicy nie wracają do przytomności.

- Nikt nie idzie? -zapytał. Pochylił się nad pierwszym mężczyzną i wykonał szybki, zdecydowany ruch prawą ręką. Napastnik nie zareagował.

- Nikt nie idzie. Co ty robisz?
- Sprawdzam, czy któryś nie udaje.

Metoda Cole'a była brutalna i skuteczna -wbijał wyprostowane sztywno palce w krocze ślepego. Napastnik przytomny mężczyzna nie zniesie takiego bólu bez

odruchowego jku lub obronnego ruchu. Erin patrzyła w odrzwieniu. Drąła, poniewa opu ciło j napi cie, ale była wr cz nienaturalnie spokojna. Kiedy ju prze yła niespodziewany okrutny atak, uszła z yciem i potrafiła na nowo przystosowa si do rzeczywisto ci, chocia wiedziała, e wiat ju nigdy nie b dzie si jej wydawał bezpieczny jak dawniej. Tym razem łatwiej jej było doj do siebie po brutalnych przej ciach. Zdołała si obroni . Walczyła i nawet nie dała si zrani . Zachowała te równowag umysłu. Po napadzie nie utraciła naiwnego przekonania, e nic si jej nie mo e sta . T lekcj dostała ju dawniej. Pó niej by mo e si rozplacze i dostanie dreszczy, ale nie teraz. Teraz nic nie czuła. Prze yła.

Czwarty napastnik jkn ł i skulił si po uderzeniu Cole'a.

Erin drgn ła.

- Nadal nikt nie nadchodzi? -zapytał Blackburn.
- Nie. Powinni my chyba wezwa policj .
- To wyeliminowałoby nas z gry, dokładnie tak, jak chcieli to zrobi ci dranie. -Cole posadził przytomnego napastnika na ziemi. -Je li mnie słyszysz, otwórz oczy, bo inaczej znowu uszkodz ci jaja.

M czyzna uniósł powieki.

- Kto był celem, ja czy dziewczyna? -zapytał Cole.
- Ty -wyj czał napastnik.

Cole poczuł ulg . Na dłu sz met nie potrafiłby uchroni Erin przed otwart prób zabójstwa. Z takimi atakami da sobie rad . Wrzucił pistolet do morza.

- Mieli cie mnie zabi ?

M czyzna jkn ł głucho.

- Tylko zmia d y ci kolana.

Erin ze wistem wci gn ła powietrze, kiedy zrozumiała, e napastnicy chcieli nieodwracalnie okaleczy Cole'a na całe ycie.

- Kto was wynaj ł? -zapytał Blackburn.

- Nie wiem.

Cole uwierzył. Najemni bandyci zwykle maj tylko

nazwisko obiektu napadu i miejsce, gdzie mo na go znale .
Wcisn ł kciuki w szyj m czynny, a zamkn ły si t nlice.
Utrata przytomno ci szybko nast piła. Cole pu cił napastnika.

- Nikt nie idzie? -upewnił si jeszcze raz.

- Nie.

- Mimo to wrócimy inn drog . Na tamtej cie ce kto był,
 chocia nie wł czył si do walki.

- Dlaczego?

- Mo e wła nie wzywa policj . Idziemy.

Cole wyprostował si i pomógł wsta Erin. Zwykle poruszał
si płynnie i spr y cie, ale teraz lekko utykał. Dziewczynie
przez chwil wydawało si , e nad jego kolanem, po
wewn trznej stronie uda, widzi na ciemnym materiale
połyskuj c plam krwi.

- Jeste ranny?

Mrukn ł co w odpowiedzi.

- Cole? -nalegała Erin.

- Dzi ki tobie nie strzelił mi w kolano. B d kulał przez
dzie czy dwa, ale nie przez całe ycie.

- Czy ...

- Pó niej. Szok to dobry rodek znieczulaj cy, ale jego
działanie szybko słabnie. Chc , eby my dotarli w bezpieczne
miejsce, zanim całkiem przestanie działa .

- A jest takie miejsce?

Cole odwrócił si bez słowa, co i tak powiedziało Erin
wi cej ni pragn ła usłysze .

Rozdział szesnasty

- Nadal uwa am, e powiniene mi pozwoli zaprowadzi
si do lekarza -powiedziała zmartwiona Erin.

Blackburn w milczeniu wszedł do pokoju hotelowego. Noga
go bolała i krwawiła, ale wiedział, e to niewiele wi cej ni
dra ni cie.

Erin zamknęła za sobą drzwi na klucz. Pokój był mały i skromnie umeblowany. Jej torba ze sprzętem fotograficznym i dwie nowe nylonowe torby, zakupione przez Cole'a, leżały na łóżku.

- Pomog ci... -Spojrzała na jego udo. -O, Boże!

- Tylko mi się tu nie rozklejaj, bo nie będzie z ciebie pożytku -upomniął ją Cole. -To tylko krew.

Ciemna, wilgotna plama leżała na spodniach. Gdyby materiał nie był czarny, nie dałoby się ukryć, że Cole jest ranny. Erin spojrzała z przerażeniem, jak czerwone strumyczki wypływają spod nogawki i ciekają do buta.

- Jeśli nie chcesz zostawić śladów na całym dywanie, to lepiej wejdź do łazienki -powiedziała głosem ciszszym niż słabszym niż zwykle.

Cole chwiejnie przeszedł do łazienki, opuszczył kłopotliwy sedes i usiadł, aby zdjąć buty i skarpetki. Erin bez słowa opadła przed nim na kolana odepchnęła jego ręce i zaczęła mu pomagać. Krew spływała jej na palce. Jęknęła ze zdenerwowania i zaczęła szybciej pracować.

- Odepnij się, kochanie -odezwał się. -To nic groźnego.

- Tylko zadrapanie, tak? -odparła szybko. Była zła, ponieważ Cole został ranny, a ona nie mogła tego zmienić. -Co ci powiem, twardzielu. Zadrapania tak nie krwawią.

- Krew nie wypływa w rytmie uderzenia serca, a to znaczy, że kula nie uszkodziła niczego ważnego. Nie wygląda to ładnie, ale przecież sto widzisz krew.

- Tylko raz polowałam na wieloryby.

- Miałem na myśli krew miesięczną.

Erin spojrzała na Cole'a z błyskiem w oku. Uśmiechnął się.

Rozluźniona wypuściła powietrze z płuc i potrzebowała głową.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś niemożliwa? -zapytała, pochylając się nad jego stopami.

- Nie. Chcesz być pierwsza?

Mruknęła coś pod nosem, co mogło być wyrażeniem zniecierpliwienia albo rozbawienia. Jej ruchy były teraz bardziej

opanowane. Miał rację. Krew nie była dla niej niczym nowym.

Kiedy zdjęła buty i skarpetki, Blackburn rozpiął koszulę i odrzucił ją od siebie, aby się nie pobrudziła krwią, która zdawała się wszystko zalewać. Sprawnymi ruchami rozpiął spodnie i zaczął je ściągać. Kiedy materiał otarł się o ranę, Cole ze wstęsem wypuścił powietrze przez zęby.

- Sprawiasz sobie ból. Daj, odetchnąć nogawkę ..

- Nie. Nie chcę tracić czasu na zakupy. W samolocie musisz mieć na sobie spodnie.

Erin podniosła wzrok.

- Czy to znaczy, że wracamy do Kalifornii?

- Ale skąd. Lecimy do Derby. Jeśli dopisze nam szczęście, zmarnujemy mnóstwo czasu, szukając nas miłośnicy Darwin'a na stacji Abe'a. My natomiast zjawimy się z przeciwnej strony. Weź poszewkę na poduszkę. Podróżuj na bandaż.

- W torbie ze sprzętem mam apteczkę.

Kiedy wróciła do łazienki, Cole stał rozebrany do spodenek. Opierał się biodrem o umywalkę i próbował się przyjrzeć czerwonej ranie po wewnętrznej stronie uda. Dla Erin, pobudzonej nagłym przyływem adrenaliny, jego nagie, mocne ciało nagle stało się niezwykle pociągające. Przypomniała sobie, jaki owładnął nią gniew i poczucie bezradności, kiedy Cole padł pod naporem atakujących napastników. Potem usłyszała jego głos, obiecujący im zemstę, i już wiedziała, miała niezbitą pewność, że tym razem nie walczy sama. Teraz musiała być czysta, chciała użyć swojej siły, aby jej bronić, a nie torturować.

Cole odwrócił się do Erin. Wiatło padło na niego pod innym kątem, zmieniając układ cieni. Przez jedną niedorzeczną chwilę dziewczyna miała ochotę wziąć aparat i uchwycić obraz silnego, umięśnionego ciała mężczyzny. Był taki... Piękny.

Tamta ją uderzyła jak obuchem w głowę.

- Siadaj - powiedziała matowo. - Pomogę ci.

Cole zmrużył oczy słysząc zmianę w głosie Erin. Przed chwilę mówiła, ze zniecierpliwieniem, a nawet gniewem, wywołanym niedawnymi przejściami. Teraz w jej tonie

pojawiły si ę łagodne nuty. Patrzyła na niego, jakby widziała go pierwszy raz. Szeroko rozwarte, czyste zielone oczy spoglądały na niego z tak pełnym uczucia skupieniem, że serce zaczęło mu mocno bić.

Usiadł bez słowa. Erin zmoczyła mały ręcznik w zimnej wodzie i schyliła się nad nim. Przymusowa intymność tego kontaktu sprawiła, że zmięknęły jej kolana. Starła się myśleć o Cole'u jak o rannym, potrzebującym pomocy człowieka, a nie silnym, półnagim wojowniku, przed którym klęczała.

Kiedy zobaczyła ranę, zapomniała, że Cole siedzi przed nią niemal całkiem rozebrany.

- Takie rany nigdy nie są tak groźne, jak się na pierwszy rzut oka wydaje - uspokoił ją, widząc jej pobladłe policzki.

- Ale krew...

- Widziałem twoje zdjęcie z polowania na wieloryby. Aby je zrobić, musiałaś brodzić po kolana we krwi.

Erin przypomniała sobie, jak zmieniała film za filmem, a potem gwałtownie z wymiotowała. Kiedy doszła do siebie, włożyła do aparatu nową rolkę i wróciła do pracy.

- Zabrudziłam wszystko dokoła - wyznała, przytykając zimny ręcznik do rany, aby zahamować krwawienie.

- Jeśli teraz to zrobisz, będziesz musiała sama po sobie posprzątać. Taka jest pierwsza zasada Blackburna, jeśli chodzi o utrzymanie domu w czystości.

Podniosła wzrok i zobaczyła rozbawienie w jego szarych oczach. Nie wierzyła, że kiedyś wydawały się jej ponure i zimne.

- Dobrze - zgodziła się. - Adnych mdło ci. Poza tym jesteś mniejszy od wieloryba. Niewiele, ale mniejszy.

Kiedy ten okład dostrzegła błysk jego uśmiechu. Znowu pochyliła się nad ranę.

- Boli? - zapytała przyciskając mocniej.

- A jak myślisz?

Kiedy ciki jej ust opadły.

- To znaczy, że boli.

Lekko dotkn 1 jej policzka wierzchem dłoni.

- Zdarzało mi si ju by w gorszym stanie. -Kiedy poruszyła r cznikiem, na chwil wstrzymał oddech. -W lepszym te -dodał sucho. -Takie rany zawsze najbardziej bol .

R ce Erin, które niedawno jeszcze si trz sły ze zdenerwowania, teraz si uspokoily. Cole przytrzymał kompres na ranie, a ona oczy ciła jego zakrwawion nog .

- Nikt nie mógłby ci zarzuci , e nie jeste pełnokrwistym ameryka skim samcem -wymamrotała, po raz pi ty płucz c r cznik w chłodnej wodzie. -W dodatku bardzo owłosionym.

Roze miał si .

Erin te si starała przywoła u miech, ale na pró no.

Wkrótce b dzie musiała oczy ci sam ran . Nawet je li zrobi to jak najdelikatniej, i tak sprawi mu ból.

- Tak jak my lałem -odezwał si Cole, unosz c kompres. - Rana wygl da paskudnie, ale jest płytka. Nic wielkiego.

- Sk d wiesz? -zapytała przez zaci ni te z by. -Nawet jej dobrze nie widzisz.

- Wiem, co si czuje, kiedy kula rozerwie mi nie i otrze si o ko . Ta nie doszła tak gł boko. Ale je li boisz si dotkn rany, to wejd pod prysznic i sam j oczyszcz .

Erin, która wła nie napuszczala gor cej wody do umywalki, zamarła w pół gestu. Zerkn ła na Cole'a. wiatło łazienkowej lampy podkre lało ka dy jego mi sie , zarys ci gien i ko ci. Swoj postaci dosłownie wypełniał mał toalet .

- To niemo liwe, eby kula, która cho by ci drasn ła, nie uszkodziła mi ni -stwierdziła, wy ymaj c szybkimi, niecierpliwymi ruchami mały r cznik, zmoczony w gor cej wodzie. Na my l o tym, co za chwil b dzie musiała zrobi , ciarki przebiegały jej po plecach.

- Je li mnie teraz uderzysz tym mokrym r cznikiem, to przeło ci przez kolano -ostrzegł Cole.

- Spróbuj tylko, twardzielu, a sko czysz rozci gni ty na podłodze.

- Jeste dzisiaj w wojowniczym nastroju.

Erin na chwilę znieruchomiła. Uzmysłowała sobie, że Cole ma rację. wiadomo, że bez szwanku wyszła z niebezpiecznej sytuacji, docierała do niej powoli, przebijając się przez lata strachu, zmieniając jej wspomnienia, zmieniając ją samą. Chwilami wierzyła, że mogłaby wyzwać do walki prawie każdego mężczyznę i wygrać z nim. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że nawet takie myślenie szaleństwem. Westchnęła głębiej.

- Pierwszy raz jesteś po zwycięskiej stronie? - domyślił się Cole.

Skinęła głowę.

- Niech ci to tylko nie zawróci w głowie, skarbie - powiedział z krzywym uśmiechem. - Gdyby tamci chcieli nas zabić, już grylibyśmy piach. Powinna uciekać, kiedy ci kazałem.

Nic nie mówiła, potrzebowała głębiej. Uklękała między jego nogami. Kiedy się poruszała, na jej włosach igrały mahoniowe, miedziane i złote błyski. Lekko, niemal czule, dotknęła ciepłym rękawiczkiem rany, a Cole z sykaniem wciągnął powietrze. Ręce Erin pracowały wolno, delikatnie i starannie, oczyszczając ranę.

- Mówiła ci, skarbie. Powinna uciec - ciągnęła półgłosem, gładząc ją po błyszczących włosach. - To jest pierwsza zasada samoobrony.

- Sam powinieneś posłuchać własnej rady.

- To się do mnie nie stosuje. Ja nie broniłem siebie.

- Wiem. - Westchnęła. - Bronię mnie.

Cole wyczuł, że głowa Erin pod jego dłońmi zwróciła się ku niemu. Dziewczyna pocałowała go lekko w rękę i zaraz wstała, aby jeszcze raz zmoczyć rękawiczkę pod kranem. Chciała podziękować Cole'owi, ale bała się, że to zabrzmiałoby beznadziejnie naiwnie albo głupio. Bił się za nią, kiedy ona leżała bez sił. Nie znajdowała słów, aby mu powiedzieć, ile to dla niej znaczy. Sama jeszcze sobie w pełni tego nie uzmysłowiła.

Jednego była pewna: nie mogłaby zostawić Cole'a na pewnym miejscu, a sama uciec, ratując własną skórę.

Jeszcze raz przyklękła i zaczęła przemywać ranę. Piekielnie żywe brzośki jej pod powiekami, kiedy usłyszała, jak Cole szczyrzy z bólu i cicho przeklina.

- Przepraszam - wyszeptła. Nie chciała sprawiać mu bólu.

Tak delikatnie, jak tylko mogła, sprawdzała, jak głęboka jest rana i czy do ciała nie przywarły strzępy materiału.

- Może odwróci się trochę w lewo?

Cole zgłębował nogami i oparł stopami o umywalkę. Zastanawiał się, czy Erin choćby się domyśliła, co on czuje, kiedy jej włosy przesuwają się po jego zdrowym udzie, ręce opierają o nagie ciało, a oddech omiwa wrażliwą skórę. Przynajmniej te nie wiadome uwodzicielskie gesty odciągały jego uwagę od dojmującego, palącego bólu. Miał wielkie szczęście, że udało mu się wyjść z tej przygody tylko z niegroźnym obrażeniem.

- Teraz dobrze? - zapytał, ustawiając się tak, aby światło padało prosto na wewnętrzną część uda.

- Tak.

Erin oparła rękę na nodze Cole'a, aby ją unieruchomić.

Wysiłkiem woli skoncentrowała się na ranie, jakby oglądała ją przez obiektyw aparatu. Nachyliła się bardziej i spojrzała uważnie na czerwony brzdęk. Jakkolwiek się ustawiała, ciałko wciąż padało na ranę i nie pozwalało dokładnie zobaczyć, jak jest głęboka. Erin, uwiąziona między nogami Cole'a, zmieniła pozycję i niemal opierając się o jego tors popatrzyła na ranę pod innym kątem. Przy tym ruchu znów otarła się ramionami i włosami o jego nagą skórę.

Ciało Cole'a napięło się w jednej sekundzie, kiedy poczuł ukłucie pośladka.

- Boli? - zapytała Erin z niepokojem.

- Nie ... Zupełnie - odparł niskim głosem wpatrując się w jej włosy, a nie pracując sprawnie ręce. Zastanawiał się, czy jedwab, satyna albo ogień mają czasami taki niezwykły kolor. Włosy Erin przypominały mu wszystkie te trzy rzeczy, kiedy delikatnie muskały jego ciało. Ich kosmyki były miękkie i chłodne, a jednocześnie nie gorące.

- Je li mo esz, podnie nog troch wy ej -poprosiła, naciskaj c obur cz na jego udo. -Teraz lepiej. -Spojrzała na ran i westchn ła z ulg . -Miałe racj . To nic powa nego. Ale na pewno boli.

Cole nie zaprzeczył.

- Masz jakie banda e w swojej apteczce?

- Na pewno nie w twoim rozmiarze -odparła z powa n , min i zacz ła si podnosi .

- Nie wstawaj -powiedział i delikatnie powstrzymał j ruchem dłoni. -Podam ci.

Kiedy si pochylił, niemal całkowicie przykrył Erin swoim ciałem. Czuła silnie mi nie pod dłoni , dotyk skóry i m skie ciepło. Od piersi do kolan przebiegł j dreszcz, a zacz ła szybciej oddycha . Starala si oddycha powoli, mówi c sobie, e z pewno ci si myli. Na pewno tylko si jej wydawało. Przecie to niemo liwe, eby Cole był pobudzony.

Zobaczyła przed sob tubk ma ci z antybiotykiem. Wzi ła j , starannie osuszyła ran i zacz ła rozsmarowywa ma na zranionym ciele. Cole wysyczał kilka słów w jakim obcym j zyku. Cieszyła si , e nie zna ich znaczenia.

Z ka dym lekkim dotykiem palca Erin serce Cole'a zaczynało bi coraz szybciej. Ostry ból w nodze nie mógł si nawet równa z pal cym uczuciem podniecenia. Nie mógł nic zaradzi na adne z tych dozna , wi c tylko kl ł w odmianie portugalskiego, jakiej u ywa si w brazylijskich kopalniach diamentów, rzucaj c przekle stwami, od których nawet kamie by si zarumienił.

Powtarzał sobie, e działa na niego najstarszy afrodyzjak wiata -adrenalina. Nie raz ju tak si czuł, kiedy udało mu si cało uj z zasadzki. Znał ten przyptyw nieopisanej rado ci, e udało si ocali ycie. Potem zwykle ogarniał go głód seksualny, bo wła nie tak ciało wi tuje rado ycia. Gdyby to nie Erin, ale jaka inna kobieta stała przy nim, przyci gn łby j do siebie, eby nasyci wygłodniałe zmysły i rozlu ni napi cie. Ale to nie była inna kobieta. Ta została kiedy tak brutalnie

potraktowana, e by mo e nie pozwoli adnemu m czy nie pozna swojego gorcego ciała.

Cole z uporem starał si nie my le o delikatnych r kach, których dotyk dra nił jego ciało. Tak samo jak ciepły, słodki oddech Erin, jej piersi, dotykaj ce go, kiedy przysuwała si bli ej, si gaj c do zranionego uda. Ich mi kka i j drna wypukło paliła go jak rozgrzane do czerwono ci elazo. Skrzywił si i zakł ł. Nie potrafił wytłumaczy , dlaczego wła nie ta kobieta podnieca go a do bólu.

- Gdzie si podział ten silny, milcz cy m czyzna? - zapytała Erin zn kanym głosem i zagryzła doln warg .

- Jeste ju za du a, eby wierzy , e tacy istniej . -Znów wysyczał przekle stwo przez z by.

Kiedy Erin sko czyła, na jej dolnej wardze widniały g ł bokie lady z bów. Jednak wokół rany nie pojawiała si ju wie a krew. Cole podsun ł jej dwa kwadratowe opatrunki z plastrem.

- Nie wierz temu, co pisz na opakowaniu -odezwała si dziewczyna. -Te przywieraj tak samo bole nie jak ka de inne.

Kiedy si przysuwała, eby przyklei pierwszy opatrunek, otarła si o Cole'a. Gwałtownie wci gn ł powietrze. Erin zamarła my l c, e znowu sprawiła mu ból.

- Powiniene sam zało y sobie opatrunek -powiedziała zmartwiona. -Ja jestem zbyt niezdarna. Nie chc , eby wi cej cierpiał.

Cole spojrział na skulon przy nim dziewczyn . Jej przera one oczy były tak pi kne, e patrz c na nie, za ka dym razem odczuwał równie wielk przyjemno .

- Wcale nie jeste niezdarna. -Poło ył jej opatrunek na kolanach. -I lubi , jak mnie dotykasz. -Gwałtownie podniosła głow . -A ty, Erin? -zapytał, wpatruj c si w ni uwa nie. -Lubisz mnie dotyka ?

- Nie chciałam sprawia ci bólu. -Łzy nabiegły jej do oczu, jeszcze bardziej podkre laj c ich pi kno. -Przepraszam. Naprawd nie chciałam.

Pogłaskał j po policzku.

- Takie delikatne stworzenie, a takie dzielne.
- Nie jestem dzielna. Trz słam si ze strachu.
- A jak my lisz, co to znaczy by dzielnym? Zrobi to, co nale y, mimo strachu. Reszta to tylko przechwałki. Zupełnie nieprawdziwe.

Stwardniałym palcem otarł łz , która wła nie miała stoczy si po jej twarzy. Przysun ł dło do ust i dotkn ł j zykiem przejrzystej jak diament kropli.

- Słona i bardzo słodka. Nikt jeszcze nade mn nie płakał. Nikt na całym wiecie.

Zamkn ła oczy, nie mog c znie skupionego na niej wzroku. Kiedy je otworzyła, spojrzała prosto na ran . Wyglądziła opatrunek, staraj c si nie sprawia Cole'owi bólu. Nie było to łatwe. Jej koncentracj rozpraszały słowa, które przed chwil usłyszała, i blisko półnagiego m czyzny, podnieconego, a jednak nie próbuj cego jej dotkn .

Ale najbardziej oszołomiło j to, e wcale si nie bała.

Blisko i pobudzenie m czyzny powinny j przera a . Nic takiego nie nast piło. Była niespokojna, zdenerwowana, podniecona, ale si nie bała.

- To powinno wystarczy -odezwała si mi kkim, niskim głosem.

Szybko wstała i poszła do sypialni. Nie słyszała, eby Cole poszedł za ni , ale wiedziała, e to zrobił. Poło ył jej r ce na ramionach i u cisn ł j lekko.

- Dzi ki. -Jego głos si zmienił, stał si twardszy. - Ale kochanie, nast pnym razem, kiedy ka ci ucieka , to lepiej uciekaj.

- Nie mogłabym ucieka , nawet gdybym chciała -odparła Erin niecierpliwie i ze zło ci . -Ten dra uderzył mnie tak mocno, e nie mogłam oddycha przez ...

- Uderzył ci ? -Wielkie r ce odwróciły Erin, przerywaj c jej w pół słowa. -Gdzie?

- Tutaj -odparła, wskazuj c na miejsce tu pod mostkiem.

Cole bez słowa zaczął rozpinać jej bluzkę .

- Cole! Co ty robisz! -zawołała, bezskutecznie odpychając jego dłoń.

- Nie ruszaj się .

Takim samym bezbarwnym głosem Cole mówił do napastników. Erin natychmiast usłuchała, bardziej z zaskoczenia niż ze strachu. Z niedowierzaniem patrzyła, jak z czynie palce Cole'a rozchylają jej bluzkę . Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Czy to boli? -zapytał bezosobowo.

Erin poczuła, jak lekkimi ruchami dotyka jej nędr. Dziwne dreszcze przebiegły jej ciałem, zostawiając po sobie gęste skórki .

- Boli? -dopytywał się Cole, patrząc w jej zaskoczone oczy.

Nie mogła nawet wciągnąć powietrza. Potrzebowała głębi .

- A tutaj?

Ciepłe, trochę szorstkie palce przesuwają się wzdłuż nędr do mostka.

- Trochę -wyszeptała.

Zobaczyła, że Cole zmarszczył brew, i poczuła silniejszy ucisk jego palców.

- A teraz?

- Boli trochę bardziej, ale wciągnięcie nieczytelnie.

Erin patrzyła na twarz Cole'a. Miał bardzo gęste czarne rzęsy, pod którymi jego oczy wyglądały jak przejrzyste kryształy zabarwione niebieskimi i zielonymi kreseczkami. Włosy miały mahoniowy odcień , taki sam jak ciemniejszy tu pod skórą zarost.

- Odetchnij głębiej -poleciał Blackburn.

Erin wciągnęła powietrze.

- Jeszcze raz. Głębiej. -Obserwował uważnie jej twarz, sprawdzając, czy nie pojawi się na niej grymas bólu. Wtedy Erin unosiły się sprężyste pod jego dłońmi, więc miał pewność , że płuca prawidłowo napełniają się powietrzem. -Teraz boli?

- Trochę , ale nie na tyle, żeby nie mogła oddychać .

Naprawdę. Nieraz już uderzyłam się mocniej, kiedy się potknęłam o statyw.

Cole uśmiechnął się, lekko, ale nadal badawczo przesunął palce po jej ciele.

- ebra w porządku?

Skin na głowie.

- A tu?

- Auu!

- Tak właśnie nie myślałam. ebra się cała, ale dostała w przeponę. -Dotknął dłoni miejsca, które już zaczynało ciemnieć. -Przez kilka dni będziesz tu miała siniacze we wszystkich kolorach tęczy. -Odwrócił ją plecami do siebie. -Czy jeszcze gdzieś ci boli? -pytał, wolno przesuwając dłonie po jej plecach. -Może kręgosłup albo nerki?

- Nie.

- Na pewno? -zapytał, lekko ugniatając dołki kręgosłupa. Sprawdzał, czy Erin nie próbuje uniknąć jego dotyku, co wiadcząłoby, że czuje ból.

- Na pewno.

- Powiedz mi, gdyby coś poczuła.

Odwrócił Erin jeszcze raz i spokojnie zaczął zapinać jej bluzkę, starając się ze wszystkich sił nie zwracać uwagi na spryśnięte wypukło jej piersi pod stanikiem i na ciepło skóry. Kiedy jego dłonie znalazły się między piersiami, dziewczyna bezwiednie szybko nabrała powietrza, przez co ręce Cole'a zetknęły się z jej ciałem.

Wyczuła ten przypadkowy dotyk i wstrzymała oddech, spodziewając się, że Cole wykorzysta okazję. Nie wzięła, że jej pragnie. Nie mógł przecież ukryć narastającego podniecenia, ponieważ stał przed nią ubrany tylko w spodenki.

Bez chwili wahania zapinał jej bluzkę do samej góry. Zamknęła oczy i powtarzała sobie, że taki obrót sprawy jej cieszy, a nie rozczarowuje. Przeszło Cole'a by może jest ciemna jak dno łańcuch w nocy, ale jego najgłębsze odruchy pozostały szlachetne. Instynkt nakazywał mu bronić, a nie

atakowa . Jednak nie było w tliwo ci, e kiedy zaszła potrzeba, potrafił si bi z w ciekło ci pełn samodyscypliny.

Erin zdała sobie spraw , e to słowo jest kluczem do osobowo ci Cole'a. Dyscyplina wewn trzna. Lepiej ni ktokolwiek jej znany, nawet lepiej ni jej ojciec, Cole umiał panowa nad swoim' umysłem, ciałem i instynktami -nad samym sob . Erin u wiadomiwszy to sobie, poczuła dziwne ciepło.

- Gdyby ci zacz ło bole , koniecznie mi o tym powiedz - jeszcze raz poprosił Blackburn. -Pójd teraz sprą krew ze spodni.

- Cole?

Głos uwi zł jej w gardle, kiedy odwrócił si do niej jeszcze raz. Był o tyle od niej wi kszy i silniejszy. Stał przed ni półnagi i spogl dał płon cym wzrokiem.

- Lepiej si połó , kochanie. Wida , e jeste zm czona. Przez chwil nie reagowała. Potem połó yła si na łó ku.

Kiedy zamkn ła oczy, z łazienki dobiegł szum lec cej z kranu wody.

Rozdział siedemnasty

Szybkimi, mocnymi ruchami Cole splukiwał krew ze spodni. Kiedy spływaj ca z nich woda nie barwiła si ju na ró owo, wy ł je, zawin ł w r cznik i mocno wykr cił, eby usun wi cej wody. Strzepn ł spodnie jednym ruchem nadgarstka i rzucił na wieszak przy prysznicu, eby wyschły. Podniósł koszul i powoli wło ył. Nie pieszył si . Czekał, a ust pi podniecenie.

Kiedy wyszedł z łazienki, Erin le ała z szeroko rozwartymi oczami, wpatruj c si w sufit, bo kiedy tylko je zamykała, widziała sylwetk Cole'a, nag pier z czarnym meszkiem, który zbiegał w dół, zw aj c si w w sk lini tu przy białych spodenkach, i zaraz musiała je otworzy .

- Nie mog spa -powiedziała. -Jak zamykam oczy, widz ... -Nie doko czyła.

- Bójk ? -zapytał.

Potrz sn ła głow .

- Ciebie.

K ciki ust Cole'a opadły.

- I ten widok ci przera a.

- Nie ... Zupełnie.

Cole zauwa ył, e powtórzyła słowa, które on wypowiedział wcz e niej tego wieczora. Podszedł do łó ka i w skupieniu popatrzył na Erin.

- Chcesz mi co powiedzie ? -zapytał.

Odwróciła głow . Zobaczył jej cudownie zielone oczy i niepewny u miech, który w ka dej chwili mógł znikn .

- Bez koszuli bardziej mi si podobałe .

- Naprawd ? Miałem wra enie, e mój widok ci peszył.

- Jeste taki wielki -powiedziała patrz c na niego przez g ste, spuszczone rz sy.

- Wi c zauwa yła -zapytał z kamienn min .

Erin u wiadomiła sobie, gdzie spogl da, i zarumieniła si po czubek głowy.

- Przy tobie nie wiem, jak si zachowa .

- To raczej ty tak na mnie działasz. I to ju drugi raz.

- Zauwa yłam -wyszeptała.

Cole roze miał si , jak zwykle zaskoczony niewinno ci Erin, poł czon z umiej tno ci radzenia sobie z nieoczekiwanymi sytuacjami. miech zamarł mu na ustach, kiedy Erin wyci gn ła r k i przesun ła palcami po skórze wokół opatrunku.

- To niebezpieczny teren, skarbie.

- Tylko tam mog dosi gn .

- Je li podejd bli ej, to wyl duj z tob w łó ku. Chcesz tego?

- Ja ... -Głos Erin zamarł. Przełkn ła lin i mówiła dalej - Nie wiem. Wiem tylko, e lubi ci dotyka i patrze na ciebie.

Lubi , kiedy mnie przytulasz i całujesz. Podoba mi si smak twojej skóry i dotyk r k. -Spojrzała na Cole'a z bezwiedn pro b w oczach. -Nigdy nie przypuszczałam, e b d tak pragn ła jakiego m czynny. Czy to wystarczy?

- To wspaniały pocz tek -odparł niskim głosem. -Posu si , kochanie. Zobaczymy, co jeszcze lubisz.

Zastanawiaj c si , czy dobrze post puje, Erin przesun ła si i zrobiła Cole'owi miejsce obok siebie. Poczwała, jak materac mocno si ugina pod jego ci arem. Rozdarta mi dzy l kiem a po daniem, zamkn ła oczy i czekała, a we mie j w ramiona. Otworzyła oczy, poniewa nic takiego nie nast piło. Rozpinał koszul i patrzył na ni w skupieniu, które zapierało, jej dech w piersiach.

- Cole?

- Zrobi , czego tylko sobie yczysz -powiedział otwarcie, odrzucaj c koszul . -Tylko musisz mi powiedzie . Nie b d ryzykował, e le odgadn twoje pragnienia i ci spłosz .

Za miała si dziwnie.

- Pewne rzeczy, których pragn , ju mnie przera aj .

- Brzmi interesuj co -odparł z u miechem. -Zaczniemy wła nie od tych rzeczy, czy zostawimy je na sam koniec?

- Mo e ... Pocałunek.

Powiedziała to patrz c na usta Cole'a z nie u wiadomionym głodem w oczach. Spostrzegł to i miał nadziej , e i tym razem zdolno samokontroli go nie zawiedzie. Uło ył si na plecach i splótł dłonie pod głow .

- W takim razie, mo e mnie pocałujesz -zach cił.

Zaskoczona Erin wahała si . Chocia Cole powiedział, e nie chce jej spłoszy , oczekiwała, e szybko przejmie inicjatyw . Nie zrobił tego, co jednocze nie dodawało jej miało ci i dra niło j . Widziała wyra nie, e jest podniecony. Wolno odwróciła si na bok i schyliła nad jego ustami. Pocałunek był delikatny, prawie niewinny, dopóki nie przesun ła koniuszkiem j zyka po jego wargach. Ich smak wydał si jej jeszcze bardziej fascynuj cy ni poprzednim

razem. Kiedy Cole zaczął jej pieścić szykiem, poczuła dreszcz, który przenikał do głębi jej ciała.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło. Oboje oddychali teraz szybciej, a ona za każdym dotknięciem jego warg jej ciało cichutko. Z każdym uderzeniem serca było czułości coraz bardziej. Powoli gładziła jego ramiona, czując twarde wypukłości między nimi.

Nie pieszcząc się tym dotykiem, zanim przesunęła dalej palce. Przeciwnie, naciskała nimi po meszku na piersi Cole'a, naciskając delikatnie jego ciało, bez słów mówiąc mu, jak bardzo jej się podoba jego muskularna siła. Kiedy dotknęła płaskich sutków, Cole jęknął cicho.

- Podobało ci się to? -zapytała dotykając ich znowu, czując, jak się naprężają.

- Nie jestem pewien -odparł matowo. -Może spróbuj to zrobić jeszcze z dziesięć razy.

Zrozumiała go dopiero po chwili i roześmiała się.

- Dławi się ze mną -powiedziała.

- Przysięgnę, że jest dokładnie odwrotnie. Ale przebaczyć ci, jeśli...

Cole przerwał, kiedy jej dłonie doszły do elastycznej gumy spodniek i tam się zatrzymały. Kiedy Erin przesunęła rękę z powrotem na pierś, stłumił jej krzyk rozczarowania. Nachyliła się i dotknęła jej szykiem najpierw jego szyi, a potem przesunęła nim po piersi, a następnie do mostka. Ostro nie chwyciła z bamiłymi nionie ciało. Wcisnęła gwałtowne powietrze, a ona się uśmiechnęła.

- To mi się podoba -powiedziała. -Lubię wiedzieć, jaki wpływ na ciebie wywieram.

- Przesuń rękę niżej, a zobaczysz, co się będzie działo -poradził, mijając się mimo obezwładniającego napięcia.

miech Erin był jak łagodne płomienie, omywające jego tors. Przez kilka chwil słychać było tylko szelest skóry ocierającej się o skórę i przytłumiony oddech Cole'a.

- Cole, czy ty też mnie dotkniesz? -wyszeptała z twarzą wtuloną w jego szyję.

Rozplótł dłonie, które zaciskał tak mocno, że aż go

rozbolały, i si gn ł do mi kkiego, kusz cego ciała dziewczyny.

- Gdzie? -zapytał cicho.

Erin zamruczała co ze zdziwieniem.

- Gdzie mam ci dotkn ? -Cole czuł, jak Erin gor co si rumieni, przyciskaj c policzek do jego piersi. Roze miał si łagodnie. -Dobrze. Marzyłem, eby wła nie tam ci dotkn .

Najpierw wolno obwiódł zarys ko ci policzkowych i ciepłego łuku szyi. Masował jej ramiona od łopatek a po czubki palców, a dziewczyna zamkn ła oczy i wyszeptała jego imi z westchnieniem rozkoszy. Gładził j , a ona tuliła si do jego r ki pragn c, eby dotkn ł jej piersi o twardniej cych sutkach.

- Cole, prosz ... -wyszeptała matowo.

- O co?

Zamiast odpowiedzi chwyciła jego dło i przyci gn ła do piersi. W pierwszej chwili zadr ała. Instynktownie przywarła do niego, staraj c si powstrzyma gwałtowne, niemal bolesne uczucie narastaj cego podniecenia. Cole zauwa ył zmian , jaka w niej zaszła, i sam zareagował tak gwałtownie, e zatrz sły mu si r ce. Szczupłe palce zamkn ły si na jego dłoni, ale nie po to, eby j odepchn . Erin przytulała si do niego coraz mocniej, poruszaj c całym ciałem.

- Podoba ci si to? -zapytał, bezskutecznie si staraj c, eby zabrzmiało to mi kko. Jednak głos Cole'a był jak jego ciało: nami tny, gor cy, podniecony.

- Tak, ale ...

Zacisn ł szcz ki i odsun ł r k , uwalniaj c Erin z jej u cisku. Natychmiast splotła ramiona na piersiach, jakby chciała si osłoni , gdyby przypadkiem zmienił zdanie.

- Wszystko w porz dku -zapewnił j Cole.

Po chwili zdał sobie spraw , e Erin nie usiłuje si osłania , ale chce rozpi bluzk , tylko jej r ce za bardzo dr . Zalała go fala po dania, przyprawiaj c o dreszcz. Uj ł dłonie dziewczyny, ucałował je lekko i oparł na swojej piersi.

- Pomog ci.

- Przepraszam, nie wiem, co si ze mn dzieje. Cała si

trzasz, chociaż nie jestem wystraszona. Naprawdę.

- Spójrz na moje ręce.

Popatrzyła i z okrzykiem zaskoczenia spostrzegła, że równie lekko drża.

- Tak, ja też się dziwi - odparł. - Nigdy dotychczas tak nie pragnęłam kobiety, żeby trząsły mi się palce.

Oczy Erin rozszerzyły się. Zerknęła na Cole'a i zobaczyła, że spojrzał na nią, jakby się bał, że za chwilę ogarnie ją popłoch.

- Czy z tego powodu powinnam się denerwować? - zapytała.

- Dlaczego nie? - wyszeptał. - Ja się denerwuję.

Erin obrzuciła spojrzeniem całe jego ciało.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale chyba strach się tak nie objawia.

Rozebrała się, rozsunął ciemny materiał bluzki i zobaczyła gładkie wzniesienie piersi pod różowym stanikiem.

- Mam przestać? - zapytał, wsuwając dłoń pod różowy materiał, lekko gładząc wznosząc się i opadając wypukłość. - A może chcesz, abym tak cię dotknął, jak ty dotykałaś mnie?

Erin rozpięła stanik, zanim zdążyła opuścić odwagę. Cole tylko patrzył na nią, licząc uderzenia własnego pulsu. Piersi dziewczyny były piękniejsze, niż się spodziewał, pełne i wysokie, a sutki zabarwiły się na ciemnoróżowo. Skóra wokół również się zarumieniła, podkreślając jasne, cienkie smugi dawnych blizn.

Kiedy Cole zrozumiał, co widzi, natychmiast oprzytomniał.

- Okaleczył cię nożem!

- Zapomniałam o tych bliznach - wyszeptała Erin. - Teraz już nie wyglądasz tak brzydko jak kiedyś, ale doskonale rozumiem, że nie chcesz...

Zamilkła, kiedy Cole koczkiem języka przesunął po pierwszej bliznie, potem po następnej, i jeszcze jednej. Dotykał jej tak czule, że łzy potoczyły się dziewczynie po policzkach. Jego słowa też były pieszczotą, jak i niebezpieczne płomienie omywały jej umysł i ciało, powtarzały, że jest piękna. Gorącym, słodkim

arem wypalały sobie drogę do jej duszy.

Opanowanie i czułość Cole'a rozluźniły Erin. Zapomniała o przeszłości, o przyszłości, o wszystkim, oprócz słodkiego dreszczu, przenikającego jej ciało przy każdym dotknięciu ręki tego mężczyzny, przy każdym poruszeniu jego ciała i ust. Zabrakło jej tchu, więc tylko cichutko ją przytulała się do niego.

Cole spostrzegł tę reakcję, czuł ciepłość jej ciała, smakował drobne kropelki wilgoci, zbierając się na jej piersiach, słyszał, jak cichym, łamiącym się głosem wykrzykuje jego imię. Krew tak mocno tętniła mu w żyłach, że z trudem chwycił powietrze. Pochylił się nad jej piersiami i chwycił między wargi ich czubki. Jednocześnie sunął dłoń w dół, rozgarniając ubranie dziewczyny, a odnalazł ukryte pod nim ciepło i miękkość.

Kiedy jego dłoń zamknęła się na meszku spleśnianych włosów, Erin zeszywniała, ale gdy chciał się wycofać, nie pozwoliła mu. Na myślenie dziewczyna znieruchomiała z rozkoszy, a nie ze strachu, poczuł nową falę podniecenia. Znowu poruszył dłoń, wywołując kolejny spazm przyjemności. Nie mógł się powstrzymać i znalazł jeszcze cieplejszy i głębiej ukryty zakamarek.

- Cole!

- Jestem tutaj - odezwał się, pieszcząc jej nabrzmiałe piersi. Na chwilę odsunął rękę, ale natychmiast znowu dotknął jej ciała. - Chcesz, abym przestał?

Erin roześmiała się nieopanowanie. Jej mięch się załamał, kiedy przeszła jej niespodziewana fala rozkoszy, zalewając ciepłem całe ciało. Instynktownie przysunęła się bliżej, przywierając do dłoni Cole'a. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, dlaczego tak bardzo go pragnie.

- To znaczy tak, czy nie? - zapytał i delikatnie chwycił czubek jej piersi między palce.

Jeszcze jeden dreszcz przeniknął ciało Erin.

- Tak - wyszeptwała w kąciku. - To znaczy nie.

Otworzyła oczy. Cole'owi wydało się, że nigdy nie widział nic piękniejszego od ich jaskrawej zieleni, przewyższając nawet ten zielony diament.

- Nie przerywaj -poprosiła matowym, uwodzicielskim głosem.

- Czy to znaczy, że mogą ci do końca rozebrać? -zapytał pieszczotliwie.

Erin spojrzała w dół, na jego rękę. Wydała dziwny dźwięk, trochę śmiech, a trochę jęk wstydu.

- Tak naprawdę to mam na sobie tylko ciebie. I... Bardzo mi się to podoba.

Cole ledwie mógł się opanować. Szczerze i zmysłowo Erin nadal go zaskakiwała. Każde jej słowo, głodny ruch, zielony ogień płonący w oczach odbierały mu panowanie nad sobą. Starał się być delikatny, kiedy zdejmował z niej resztę ubrania, ale wiedział, że porusza się zbyt szybko, prawie niezauważalnie, poganiany gwałtownym podaniem.

Zamknął oczy i modlił się w duchu, żeby nie musiał sprawdzać, czy potrafi spełnić jej kiedyś obietnicę. Powiedział przecie, że nawet gdyby oboje byli nadzy, a ona by go uwodziła ze wszystkich sił, ale potem nagle zmieniła zdanie, wstała i ubrała się bez jednego słowa protestu.

- Cole? -wyszeptała Erin. Otworzył oczy.

- Boisz się? -zapytał. Wolno potrząsnęła głową. -Jesteś pewna?

Przytaknęła.

- To o co chodzi, skarbie?

Erin nie mogła znieść jego spojrzenia, więc przytuliła twarz do jego ramienia i wyszeptała:

- Mogę ci dotknąć?

- Kiedy, gdzie i jak tylko chcesz.

Niepewnie przesunęła rękę po jego ciele.

- Nawet tutaj?

Wstrzymał oddech.

- Zwłaszcza tutaj.

Chłodnymi, niepewnymi palcami badała nieznaną jej powierzchnię rozpalonego, męskiego ciała.

- Czuj bicie twojego serca - wyszeptała, zaciskając dłoń.

Zadrżała i jęknęła.

- Przepraszam. - Natychmiast cofnęła rękę.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz, to ci wybaczę. - Oddychał urywaniem, kiedy Erin znowu dotknęła namiętnie jej, wrażliwej skóry. - Tak. Właśnie nie... Tak.

Rytmicznie przywierał do jej dłoni, rozrywany dojmującym uczuciem rozkoszy. Wreszcie udało mu się odzyskać panowanie nad sobą.

- Moim dotykam cię jeszcze inaczej - powiedział niskim, niemal szorstkim głosem. - Obojgu nam będzie dobrze. Zobaczysz wyraz jej twarzy i uśmiechnęła się. - Mówiłem o dotykaniu. Nie weźmiesz siły. Sama musisz mnie zaprosić. Wierzysz mi?

Erin skinęła głową, a Cole uniósł jej włosy na sobie. Wstrzymała oddech, kiedy poczuła go między udami. Był tak blisko, ale nie w niej. Z każdym lekkim poruszeniem ich ciał przebiegał po niej lekki dreszcz. Cole kołysał łagodnie jej biodrami, przesuwając się po jej namiętnym ciele. Cichy okrzyk wydarł się z jej ust. Znowu nie zakłócał, starając się nie stracić kontroli nad sobą. Puścił ją, ale ona nadal poruszała ciałem, niezdolna przestać. Oddychała szybko i urywaniem, drżąc z podniecenia.

- Cole - wyszeptała i sięgnęła po niego. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek tak bardzo zapagnie, żeby ich ciała całkowicie się połączyły. - Pomóż mi.

Nakrył ręką jej dłoń i poprowadził do celu.

- Tak - powiedział, całując ją. - Właśnie tak.

Ich usta i ciała połączyły się jednocześnie. Erin westchnęła głucho, czując jak wolno w nią wchodzi, nie pieszcząc się, czekając, a sama mu na to pozwoliła. Z wolna wnikał w nią do samego końca. Chciała się odezwać, powiedzieć mu, co czuje, ale kiedy ich usta się rozłączyły, ciała zwały się jeszcze mocniej.

Słowa przetopiły się w ciszę. Erin poruszyła się znowu, zgodnie z rytmem ciała Cole'a. Z każdym ruchem, z każdym oddechem cały wiatr zdawał się od nich odsuwać, a wreszcie Cole krzyknął boleśnie i znieruchomiał. Czowała w sobie pulsowanie jego rozkoszy i sama również zdrętwiała. Miała wrażenie, że stanęła u wrót jakiego nieznanego żywiołu.

Ręka Cole'a przesunęła się po jej rozgrzanym zmysłami ciele i odnalazła aksamitny, najwrażliwszy punkt. Pieścił Erin, a jej oczy rozwarły się szeroko, kiedy wybuchła w niej niespodziewana, intensywne rozkosz. Jej ciało zdrętwiało lekko, a z ust wydobył się urywany jęk. Wchłonął jej głos pocałunkiem i mocno ją przytulił, a ich oddechy znów się uspokoiły.

Trzymając ją w objęciach poczuł na ustach słodki smak łez.

- Kochanie, bolało ci? -zapytał, całując ją miękko, chociaż jego głos brzmiał szorstko i matowo. Potrzebowała głosu. -Ale płaczesz.

- Naprawdę? -Dotknęła ręką policzka. -Rzeczywiście. Z westchnieniem przyłgnęła do jego piersi. -Jestem szczęśliwa, Cole. Nie spodziewałam się tego. Nie w ten sposób. Nie podejrzewałam, że po tym, co spotkało mnie z Hansem, kiedykolwiek się zakocham. Tymczasem spotkałam ciebie.

Ręka Cole'a, gładząca wzdłuż linii jej pleców, zawahała się.

- Nie myśl tego, co przed chwilą robili my, z miłością. W ten sposób narażasz się na cierpienie. Ja nie chcę, żebyś cierpiała.

Na moment zamknęła oczy. Nie oczekiwała, że Cole odwzajemni jej miłość, ale miała taką nadzieję.

- Wierz mi -odparła, oddychając z denerwaniem. -Niestety, nie potrafię nic robić połowicznie. Ale nie martw się. Nie oczekuj od ciebie żadnych przysięg ani po grób. To wcale nie znaczy, że od czasu do czasu nie będę próbowała dać ci nauki.

Rozejmiał się zaskoczony i przelotnie ucałował jej włosy.

- Trzymam cię za słowo.

Erin dotknęła jego gorzej skóry czubkiem języka, niemal ukradkowo próbując jej smaku. Potem westchnęła głęboko i wygodniej oparła się o Cole'a. Po jakim czasie głęboko zasnęła.

Ufno, z jaką siłą w niego wtulała, poruszyła Cole'em równie głęboko, jak namiętno, którą przed chwilą dzielili, i zburzyła w nim jakieś wewnętrzne bariery, których istnienia nawet nie podejrzewał. Długo leżała spokojnie, gładząc włosy i kark Erin, rozmyślając o przeszłości i nieznanym przyszłości.

Jednak przede wszystkim zastanawiał się, jak ocalić życie Erin, kiedy Conmin nie naarty zechce wyeliminować ich z diamentowej rozgrywki.

Rozdział osiemnasty

Hugo van Luik siedział z słuchawkami w rękach w półmroku gabinetu i starał się skupić. Jednak trudno było to zrobić, kiedy do jednego ucha wlewał mu się australijski slang Jasona Streeta, w drugim dzwoniła nocna cisza, a w dodatku rodki przeciwbólowe przytępiały zmysły.

Holender uniósł jedną brew i spojrzał przez uchylone drzwi na sypialnię po drugiej stronie korytarza. W padającym z ulicy świetle widział, jak ona poruszyła się w łóżku. W mroku jej włosy przybrały kolor jasnego srebra. Nawet jeżeli się obudziła, nie zawołała go. Trzydzieści osiem lat małżeństwa nauczyło ją nie wtrącać się do spraw męża. Rzadko komentowała jego pracę, bez względu na to, czy problem, który pojawił się w rodki nocy, dawało się rozwiązać w pięć minut czy pięć dni. Może po prostu nie zwracała już na to uwagi.

Van Luik westchnął bezgłośnie. Kiedy bardzo lubił, kiedy w nocy wrywano go ze snu w jakiejś pilnej sprawie. Dowodziło to, że jest w nim człowiekiem w kartelu i ma wpływ na sprawy międzynarodowe. Teraz niespodziewany telefon w sprawie pościgu za nieuchwytnym Cole'em Blackburnem wydał mu się uciążliwym zakłóceniem spokoju.

Van Luik miał dosy trudnych do rozwi zania problemów. T spraw trzeba zako czy , i to szybko.

- Czy jeszcze s w Darwin? -zapytał Street oddalonego o tysi ce kilometrów rozmówc .

- Wyprowadzili si z hotelu, zanim dopadli ich wynaj ci ludzie. Nikt nie zameldował si w innym darwi skim hotelu pod nazwiskiem Blackburn albo Windsor. Nikt o jednym z tych nazwisk nie wypo yczył samochodu. Podejrzewamy, e Blackburn jest ranny.

- Postrzelony?

- Tak.

- W takim razie b dzie unikał lekarzy.

- Uwa amy, e ta dwójka nie opu ciła Darwin.

- By mo e -zgodził si Australijczyk. -Mo liwe, e u ywaj fałszywych dokumentów. Ojciec dziewczyny bez trudu mógł załatwi im ka dy papier, jakiego potrzebowali.

- Zgadzam si . Poprosiłem McLaren, eby uruchomił swoje kontakty w ASIA. W poszukiwaniach wykorzystaj zdj cia.

- Prosię McLaren, co? Tego partacza, co wynaj ł t band ciot, któr Blackburn rozp dził w kilka sekund?

- Z tego, co od nich usłyszałem, wynika, e ten człowiek potrafi si bi jak nikt.

- A co mieli ci powiedzie ? e walczył jak stara baba?

Van Luik zdusił przekle stwo, czuj c nowe ukłucie bólu.

- Nast pnym razem sam zajmiesz si t spraw .

- Z przyjemno ci , kole . Ale najpierw trzeba sukinsyna znale .

- Jak najłatwiej dotrze do stacji Windsora?

- S tylko dwa sposoby. Mo na tam dolecie . Albo dojecha Jeepem. Stawiam na Jeepa. Samochód i tak potrzebny mu b dzie na stacji.

- A autobus?

- Dojazd autobusem? Wykluczone. Stacja le y daleko od jedynej szosy.

- Nie mógłby tam dojść ?
- Nie o tej porze roku, kole. Po jednym dniu wykończyłyby go udary cieplne, a ta cizia wykorkowałaby w ciągu kilku godzin. Powiedz McLarenowi, żeby obserwował wszystkie firmy wyprodukujące samochody w Darwin. Ja się zajmę Derby.

- Derby?

- To, poza Darwin, jedyne miejsce w północno-zachodniej Australii, gdzie można wynająć Jeepe. Tutaj nie Londyn, kole. Zapadła cisza.

- Street? - odezwał się w końcu Holender.

- Co?

- Znajdź ich. Upewnij się, że nic nie znajdziesz przed nadejściem monsunów, kiedy wszelkie poszukiwania staną się niemożliwe. Jeśli to ci się nie uda, zniszcz kopalnię.

- A jeśli okaże się, że jest tak wielka jak ta w Argyle?

- Sądymy, że jest inaczej. Mamy podstawy, żeby podejrzewać, że to niewielkie złóżko okruchowe, a takie można łatwo zniszczyć.

- Skąd ta pewność.

Van Luik skrzywił się i odliczył kilka uderzeń serca w pulsującym bólu, który przeszywał mu głowę.

- Masz swoje wady, Street, ale nie należy do nich ignorancja w zakresie geologii. Naprawdę wierzysz, że przez ostatnie dziesięć lat Abelard Windsor zdołałby ukryć złóżko wielkości plaży Namibii?

- Wykluczone. Zupełnie odpada.

- Pora deszczowa wystarczą ci do poszukiwania. - Holender z ponurym uporem wrócił do głównego tematu rozmowy. - W ciągu pięciu miesięcy może zajść wiele zmian. Bardzo ważnych zmian, które będą miały podstawowe znaczenie dla utrzymania równowagi sił w kartelu. Powtarzam, nie wolno ci wpuścić Blackburna na teren stacji.

- To nie takie proste, kole. Wypadki się zdarzają. Byłoby bardzo w końcu musiał zabić dziewczynę, żeby go powstrzymał.

- Jak to mówi Anglicy? ebrak nie mo e grymasi ? -Van Luik rozmasował nasad nosa. -Cokolwiek si zdarzy, postaraj si , eby to wygl dało na wypadek. Je li j zabijesz, lepiej b dzie, jak ciało zniknie bez ladu. B d czekał na twój telefon.

Street chciał co powiedzie , ale usłyszał w słuchawce trzask przerywanego poł czenia. Po chwili znów wykr cił numer, zaczekał chwil i zacz ł rozmow .

- Cze , złotko. Czy jacy Jankesi nie chcieli wypo yczy twojego Rovera?

- Nie Jankesi, tylko para Kanadyjczyków, wybieraj ca si do Windjany.

Street zawahał si .

- Kanadyjczycy?

- Wła nie.

- M czyzna i kobieta?

- Tak. Nazwiskiem Markham.

- Kiedy zgłosili rezerwacj ? W zeszłym miesi cu?

- Kilka godzin temu zadzwonili z Perth. Przylec nast pnym samolotem. Dlaczego pytasz?

Street szybko si zastanowił. Mógł zało y , e to zwykły zbieg okoliczno ci. Akurat teraz jaka para Kanadyjczyków nagle zapragn ła zobaczy dzikie okolice Australii Zachodniej, szczególnie w wóz Windjana, który znajduje si w tej samej cz ci stanu, co stacja starego Abe'a. By mo e Blackburn i Erin nadal ukrywali si w Darwin i leczyli ran .

Mógł tak przypuszcza , ale byłby głupcem, gdyby nie obejrzał tej pary na własne oczy.

- Słuchaj, złotko -odezwał si . -Chciałbym, eby opó niła ich wyjazd. Przynajmniej do jutrzejszego ranka.

- A co ja b d z tego miała?

- Najtwardsz sztuk , jaka ci si w yciu trafiła.

- Wydaje ci si , e jeste najlepszy, co?

- Nie raz si ju przekonała -odci ł.

- Kiedy dostan zapłat ? -zapytała ze miechem.

- Zajrz do ciebie przed zmrokiem.

- B d czekała.

Street odło ył słuchawk z u miechem. W l d wiach czuł ju znacz ce mrowienie. Nora uchodziła za najładniejsz woln dziewczyn w Derby, co oznaczało tylko tyle, e była troch ładniejsza od wied my, któr mo na straszy dzieci. W łó ku miała szczególne wymagania, co odstr czało wi kszo m czynn. Ale nie Streeta. Jej pomysłowo wydawała mu si bardzo interesuj ca.

Cicho pogwizduj c spakował mały plecak. Miał nadziej , e Cole Blackburn -je li to rzeczywi cie był on -wybierze drog l dow , a nie powietrzn . Z Derby do stacji Szalonego Abe'a prowadziło niewiele dróg.

Jason Street znał ich ka dy metr.

Rozdział dziewi tnasty

Derby robiło wra enie miasta, w którym ju dawno zacz ło zamiera ycie, a wkrótce miało zupełnie usta . Budynek krzywo spoczywały na palach, jakby rozległ równin na brzegu oceanu regularnie nawiedzały powodzie. Chocia tutejsze szerokie ulice z łatwo ci pomie ciłyby kilka pasów ruchu w obu kierunkach, tylko jeden pas z ka dej strony został wyasfaltowany. Na wolnej przestrzeni mi dzy pasami rosła trawa i baobaby o grubych pniach i pał kowatych gał zkach, przypominaj cych korzenie. Nierówny asfalt na chodniku rozmi kł od gor ca. Nie jechały t dy adne samochody, ci arówki ani autobusy. W takim klimacie ludzie tracili ochot na wszelk działalno . Mogli si tylko poci .

W Darwin równie panował upał, ale nowoczesne budynki zaopatrywano w klimatyzacj . Derby było' upalne i prymitywne.

Rover na którego Cole i Erin czekali osiemna cie godzin, okazał si równie nie zach caj cy jak samo miasto. Był mocno u ywanym, rozklekotanym pojazdem, który jednak wci spełniał swoje zadanie. Znale li w nim mnóstwo starych gratów,

skrzynek z narzędziami, plandek, zapasowych opon, podnośników, siatki metalowej i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Wszystko to znajdowało się po bokach samochodu, w metalowych skrzynkach ze skobkami, w które zatknęto te gwoździe. Na górze znajdowała się platforma do przewożenia towarów, ogrodzona poręczami. Zderzaki trzymały się mocno, ale za to siatka oddzielająca pasażerów od ładunku była tak gruba i mocno przytwierdzona, że wytrzymałaby szarpanie rozwieszonych na niej rzeczy.

Przed wyjazdem z miasta Cole robił dokładny przegląd pojazdu. Między Derby a Fitzroy Crossing mieli do przebycia kilkaset kilometrów szosą Great Northern, przy której nie było żadnych miast, osad, stacji obsługi ani pomocy drogowej tylko spinifeks, karłowate eukaliptusy i akacje, wszechobecne w Australii Zachodniej.

Erin stała w mizernym cieniu pod metalowym daszkiem i patrzyła, jak Cole sprawdza silnik samochodu. Jeśli rana mu dokuczająca, to nie dawał tego po sobie poznać. Dzisiejszego ranka też nie zauważyła, aby coś mu dolegało, kiedy obudził ją pocałunkami i pieszczotami, od których jej ciało niemal się rozpuściło. Połczyła ich wspólna rozkosz, która tłumiała wszelki ból.

Uważając się do wspomnień, Erin starała się nie zwracać uwagi na pot, zbierający się pod bawełnianą bluzką bez rękawów i z gumką bokiem wyciętą pod szyję. Wilgoć ciekła w dół, na szorty, które już przybrały brzydkie brązowe kolor. Mimo niewiarygodnej wilgotności, powietrze w Derby było gęste od rdzawego pyłu. Między podmuchami rozgrzanego wiatru atakowały chmury much. Erin odruchowo zganiała natarczywe owady z twarzy. Cole, schylony nad brudnym silnikiem, robił to samo.

Upał wciąż ją zaskakiwał. Cieszyła się, że posłuchała Cole'a, który nalegał, aby ich garderoba składała się głównie z krótkich spódnic, sukienek, podkoszulków, bielizny i sandałów. Jedynym wyjątkiem na rzecz wymogów cywilizowanego stroju były

skarpetki i mocne turystyczne buty, spoczywaj ce w torbie. Erin miała na sobie nowy mi kki kapelusz z płótna i okulary przeciwsłoneczne o niemal czarnych szklach. Le ca u jej stóp nylonowa torba podró na te była nowa. Nawet kanadyjski paszport był dla niej nowy, chocia wygl dał na u ywany od dawna. Cole dał go jej, kiedy przybyli do Perth. Sam te miał podobny. Wystawiono je na nazwisko pa stwa Markham, zamieszkałych w Nanaimo, w Brytyjskiej Kolumbii.

Znalazła si nawet zniszczona złota obr czka dla Erin.

Wygrawerowano na niej imi jej matki. My l, e nosi lubn obr czk matki nie dawała Erin spokoju. Razem z paszportami dostała od Cole'a zbiór rodzinnych fotografii. Były tam zdj cia jej prababki, Bridget Mcqueen Windsor. Kiedy Erin po raz pierwszy zobaczyła fotografie, paszporty i obr czk , zastanawiała si , czy Nan Faulkner wie, co zrobił Matthew Windsor, i czy ojciec nie ryzykuje wieloletniej kariery zawodowej, eby odkupi swój bł d sprzed siedmiu lat.

Nie znalazła odpowiedzi na te pytania. Od ojca dostała tylko karteczk z wiadomo ci :

To s wszystkie pamí tki mojego ojca z Australii, które udało mi si znale . B d ostro na, Erin. Kocham ci . Tata.

Złota obr czka l niła w tropikalnym sło cu, przypominaj c Erin o fotografiach schowanych w nylonowej torbie. Nachyliła si , poszperała w ród бага y i wyj ła kopert .

Przejrzała zdj cia szybko, a potem jeszcze raz, wolniej.

Pochodziły z czasów, kiedy obaj bracia Windsorowie jako młodzi ludzie razem badali dziki australijski interior. Na czarno-białych fotografiach wida było bezludne, jałowe i ponure okolice. Mimo to m czy ni zawsze si u miechali, zwłaszcza kiedy obok nich znajdowała si panna Bridget Mcqueen.

Szczególnie jedno zdj cie przykuło uwag Erin -fotografia młodej Bridget w staro wieckiej sukience. Stała na kamienistym zbocz, pokrytym mizernymi, dziwacznymi drzewami, wyrastaj cymi w ród skał o dziwnych kształtach. Bridget u miechała si promiennie i psotnie, spogl daj c zaczepnie spod

długich rzęs na niewidocznego mężczyznę, który wykonał to zdjęcie. Z boku stał inny młody człowiek, o gładkich, prostych brwiach i potarganej czuprynie, i spoglądał tęsknie na kobietę, której rozpuszczone włosy rozwiewał wiatr.

Na drugiej stronie fotografii napisano równym, eleganckim, staromodnym charakterem pisma: .

*Jedni kochaj dla złota, inni dla pieniędzy,
A my dla tego aru, co nigdy się nie skończy.*

Zdaje się, że zamiłowanie do kiepskich rymów i starannego charakteru pisma było w rodzinie Windsorów cechem dziedzicznym .

- Skończyłem -oznajmił Cole. -Ruszamy w drogę .

Trzask zamykanej maski Rovera podkreślił jego słowa. Erin włożyła zdjęcie do koperty i schowała je do torby z aparatem. Kiedy się schylała, jej głowa znalazła się w pełnym słońcu. Wzrost utrudniał oddychanie. Z wysiłkiem wciągnęła gęste powietrze do płuc. Miała wrażenie, że oddycha przez warstwę wilgotnych, rozgrzanych w saunie rezerwuarów.

A przecież była to dopiero wiosna, a nie lato. Erin spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał Derby spalony w pełnym słońcu. Nie potrafiła.

W trzech kabinach Rovera było rozgrzane i pełne kurzu. Silnik od razu zapalił. Erin siedziała, pocieszyła się.

- Miała rację -oznajmiła.
- W jakiej sprawie?
- Kiedy mówię, że pot wcale nie chłodzi tutaj skóry.

Cole uśmiechnął się trochę ponuro.

- Wolałbym się myć . Nienawidzę tego miejsca w porze przejeżdżając.

Kiedy samochód ruszył, strumień wpadł do czegoś przez otwarte okna powietrza nieco ochłodził dziewczynę . Po kwadransie upał i wilgotność powietrza nie wydawały się już tak przytłaczające, ale zaledwie dokuczliwe, Derby, alosna garstka niskich domów, jakby rzucona przez Boga na płaski teren jedynie przez zapomnienie, zniknęła w bocznym lusterku.

Nieznany krajobraz wywierał na Erin mniej dostrzegalny wpływ niż upał, ale silniejszy. Przyzwyczajona do Alaski i Kalifornii, miała wrażenie, że znalazła się na obcej planecie. Teren wokół był zupełnie płaski, a po horyzont nic nie przyciągało wzroku. W zamglonej od słońca dali nie wznosiły się żadne góry, wzgórza ani nawet pagórki. Z rzadka rosły karłowate drzewa. Jeśli dostrzegało się trawy, to w niewielkich kępach. Między skałami porośniętymi czerwienią się rudawa gleba.

Jednak krajobraz, jego kształt i struktura, z wolną przyciągała uwagę Erin. Rozgrzany, wilgotny i płaski, jednocześnie intrygował i przytłaczał.

Cole zerknął we wsteczne lustro. Zamglone powietrze utrudniało widoczność, ale wydało mu się, że pod nim jakiś pojazd. Ponieważ nie mijali żadnego skrzyżowania, samochód zapewne równie wyruszył z Derby. Ze zmarszczoną brwią jeszcze raz spojrzął w lustro i nieznacznie zwiłszy szybko.

Wokół nich zaczęły się pojawiać kopce termitów, czasami w gęstych grupach. Trudno było odgadnąć, dlaczego w niektórych miejscach występują w większych skupiskach. Przeważnie wznosiły się na wysokość kolan i przypominały korzenie powietrzne mangrowców. Wyższe kopce dochodziły do metra osiemdziesięciu centymetrów. Wielkie bryły czerwonej ziemi wyglądały jak miniaturowe zamki z rdzawego wosku, które roztopiło tropikalne słońce, tak że rozpląszczyły się na ziemi jak zwalone ruiny, w niewielkim stopniu przypominające pierwotny kształt budowli.

Powietrze skwierczało od upału i wilgoci. Po obu stronach drogi niebo miało zamglone niebieskie barwy. Za samochodem, na horyzoncie utworzyła się rzeka z chmur o kolorach od białego do sinocznego. Rzeka rozszerzała się, niby olbrzymi, półotwarty wachlarz na pustym nieboskłonie. Chmury cały czas napływały z jakiegoś niewiadomego źródła.

- Nie ma tu gór, nigdzie w pobliżu nie szaleje burza, więc

skąd te chmury? -zaczekała się w końcu Erin.

- Znad Oceanu Indyjskiego.

Odruchowo chwyciła wilgotny materiał bluzki, który przywierał do niej jak druga skóra, i odciągnęła od ciała. Cole kątem oka zauważył ten ruch i odwrócił głowę. Posłuchała jego rady i miała na sobie tak skąpe ubranie, jak to tylko możliwe. Zrezygnowała też ze stanika. Wilgotna bawełna opinała wydatne wzniesienie piersi, uwidaczniając zarys ciemnych, wypukłych sutek. Pokusa, aby wsunąć rękę pod materiał, owładnęła nią tak silnie, że musiał odwrócić wzrok.

Za samochodem błyskawica przecięła niebo. W pełnym skupieniu bardziej ją wyczuli niż zobaczyli. Nie było też słychać grzmotu.

- Myślałam, że to jeszcze pora sucha -odezwała się Erin po chwili, oglądając się przez ramiona.

- Bo tak jest.

- Wiem dlaczego pada?

Cole pokręcił głową.

- Nie pada -odparł.

Erin trochę zbyt energicznie zdmuchnęła kosmyk włosów z oczu.

- Nie tutaj. Tam.

- Tam też nie pada. To fałszywy alarm. Kiedy pora deszczowa nadejdzie na dobre, chmury zasnuwają całe niebo, błyskawice biegną od horyzontu po horyzont, a deszcz leje jak z cebra.

- Fałszywy alarm. -Erin westchnęła i znowu szarpnęła przywierający materiał bluzki.

- Nie rób tak. Jest zbyt gorąco na takie myśli, jakie mi przychodzi do głowy.

Zerknęła na niego z ukosa i uśmiechnęła się na wspomnienie zeszłej nocy.

- Przestał mnie rozpraszać i zapoznaj się z okolicami - powiedział i dał jej mapę. Jednak i on się uśmiechał.

Erin otworzyła mapę walcząc z wiatrem, wpadając cymbałami przez

okno z przódki niemal stu kilometrów na godzinę. Rozłożyła sztywny papier na kolanach i starała się odgadnąć, gdzie na mapie znajduje się pustkowienie, przez które właśnie nie jechali. Nie było to trudne. Szosa Great Northern jest główną drogą Australii Zachodniej, łączącą Darwin i Perth. Biegnie przez niemal pięć tysięcy kilometrów niezamieszkanego terenu. Ma tylko jedno pasmo, lepsze z dwóch dróg, które przecinają rozległy interior zachodniej części kontynentu.

Za Derby odchodzi od niej na północ droga Gibb River.

Great Northern biegnie dalej na wschód. Kierowca, dokonawszy wyboru na rozwidleniu, może już tylko jechać przed siebie albo zawrócić. Szosa nie krzyżuje się z innymi drogami przelotowymi. Gibb River składa się również z jednego pasma, a w dodatku nie jest asfaltowana. Prowadzi na wybrzeże Kimberley i tam kończy się na pustkowiu. Wzdłuż niej spotyka się tylko z rzadka rozrzucone stacje i działki poszukiwaczy minerałów.

Kiedy dojechali do rozwidlenia, Cole skręcił w drogę Gibb River. Spod opon uniosły się tumany kurzu.

- Wydawało mi się, że stacja Abe'ella jest bliżej szosy Great Northern - odezwała się Erin.

- Rzeczywiście. Ale przecie jesteście my turystami którzy jadacie do Windjana, pamiętasz? - Nie dodał, że na pylistym goście łatwiej będzie zauważyć pod kołami za nimi pojazd niż na asfaltowej szosie.

Erin wróciła do studiowania mapy. Zobaczyła na niej, że co trzydzieści do pięćdziesięciu kilometrów od Gibb River odchodzą boczne drogi.

- Jak nazywają się te boczne drogi? - zapytała. - Nie zauważyłam żadnych drogowych wskazówek, a na mapie nie oznaczono ich numerami.

- One nie mają ani nazw, ani numerów. Wiem tylko z nich, że kończą się albo na jakiejś stacji lub przy kopalni.

Wzrok Erin przyciągnął tuman kurzu na drodze przed nimi.

Z wolna w oddali pojawił się nadjeżdżający samochód. Był

to pierwszy pojazd, jaki widziała od wyjazdu z Derby. Wstrzymała oddech, kiedy samochody nie zmniejszając prędkości dzieliły prosto na siebie po wskiej drodze.

Szybko się przekonała, że chociaż ruch na Gibb River jest niewielki, to jednak wystarcza, aby zakłócić jej spokój ducha. Kiedy pojazdy zbliżyły się do siebie, kierowcy do ostatniej chwili trzymali się rowka. Jeden ani trochę nie zwalniał. Zerknęła na szybko ciomierz i szybko oszacowała, że łączna prędkość obu samochodów wynosi przynajmniej sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Na jakiś niewidzialny, ale dla obu kierowców zrozumiały sygnał, pojazdy zboczyły lekko na skraj drogi, mijając się o kilka centymetrów. Przejedź obok siebie, kierowcy na znak pozdrowienia unosili z kierownicy palec wskazujący prawej ręki.

Przy trzecim spotkaniu tego rodzaju Erin ze wstaniem wypuściła powietrze, kiedy nadjeżdżący z przeciwka samochód ryczał silnikiem między ich w tumanie kurzu.

- Wygląda to na najszybszą na wiecie grupę zbijaków - stwierdziła.

Cole uśmiechnął się i dotknął jej policzka. Spoważniał, kiedy spojrzął we wsteczne lustro.

- Dlaczego na przednim zderzaku jest stalowa belka? - zapytała po chwili Erin.

- W tych okolicach nazywają to belką na byki, a w reszcie interioru belką na kangury. Wśród samochodów jest w niej wyposa

ona.

- Dlaczego?

- Bo są taśmami od zderzaków. Poza tym, jeżeli na coś wpadniesz, dzięki tej belce przeszkoda nie dostanie się pod koła.

- Na co tutaj mogą wpadnąć, oprócz kopca termitów?

Cole pokazał głowę na stadko chudego brzoźwego bydła, pasącego się w tym cieniu karłowatych drzew.

- Na przykład na byka krótkorogiej rasy Kimberley.

- Nie są wiele większe od muła.

- Wystarczająco duży, żeby spowodować śmiertelny wypadek. Nie tylko te zwierzęta mogą tu spotkać. W tym regionie nie grodują pastwiska. Wiele zwierząt swobodnie wędruje, kangury, dziczyzna, osły i konie, byki z buszu. Każde z nich może dostać się pod koła Rovera.

- Czy to się często zdarza?

- Jeśli jeździsz po tych drogach nocą, prawdopodobnie się zderzysz z jakimś dużym zwierzęciem. -Cole zmrużył powieki i spojrzał w boczne lustro. -Właśnie dlatego w podróży po interiorze zawsze zabieram strzelbę z krótką lufą. W takiej kolizji zwierzę nie zawsze ginie na miejscu. Zwłaszcza byk z buszu.

Erin znowu spojrzała na pasce się bydło. Wszystkie sztuki były chude jak szczapa, wynędzniałe i niewiele większe od kuca.

- Czy któreś z tych zwierząt to byk?

- Pewnie tak, ale żaden z nich nie jest bykiem z buszu. Byk z buszu to dziczyzna bawół wodny.

Spojrzała z powątpiewaniem na piaszczystą, suchą okolicę.

- Wodny?

- W okolicach Darwin spada rocznie przynajmniej sto pięćdziesiąt centymetrów deszczu. Wiosną w ciągu czterech miesięcy, w porze monsunów. Wtedy robi się bardzo mokro.

- Ponad trzydzieści pięć centymetrów w ciągu jednego miesiąca?

- W styczniu więcej, a w innych miesiącach pora deszczowej mniej. Właśnie wtedy wszystkie te przerywane linie, które widziała na mapie, zmieniają się w wielkie, błotniste rzeki, a każda zagłębienie w ziemi wypełnia się wodą. Brody stają się nieprzejezdne, a te kilka mostów, które tu wybudowano, zalewa woda. Nie utwardzone drogi i ścieki robi się bezużyteczne. -Cole patrzył przez trzy sekundy we wsteczne lustro, a potem zwrócił wzrok na drogę.

- Skoro jest tyle wody, dlaczego nie buduje się tam, żeby wystarczyło jej na cały rok? -zapytała Erin. -Na nawodnionych

terenach wyrosłaby przynajmniej trawa dla tego biednego bydła.

- W tych rejonach nie da się budować tam. Jest zbyt płasko.

Nawet gdyby udało się wykopać sztuczny zbiornik, gleba jest zbyt porowata. Woda wsiąkałaby w ziemię i zniknęła. -Mówi ci to, Cole zerknął w boczne lustro i zaczął stopniowo przyśpieszać. Miał nadzieję, że Erin nie zauważy. -Spójrz na mapę -cięgnął. -Fitzroy i Lennard to nie są w zasadzie rzeki, tylko kanały odpływowe, odprowadzające wodę z zalanych terenów. Dopiero w porze deszczowej wypełniają się wodą. Przez resztę roku to tylko szereg niewielkich zbiorników wodnych, nie szerszych niż rzut kamieniem. -Erin spojrzała na niego zdziwiona. -To prawda -zapewnił jej. -Sawannowy krajobraz Kimberley to tylko pozory. W ciągu dnia organizm potrzebuje tu około czterech i pół litra wody, nawet jeśli cały czas siedziałaby w cieniu. Ta kraina zabija prawie tak szybko, jak klasyczna piaszczysta pustynia w typie Sahary. Może nawet szybciej, ponieważ nie każdy wierzy, że coś takiego może go tu spotkać. Ja w to wierzę. Ten klimat pokonał już wielu.

Erin odwróciła głowę i spojrzała na przesuwającą się za oknem bezludzie. Spróbowała sobie wyobrazić te hektolitry wody, jakie przez całe tygodnie lej się tutaj z nieba w porze deszczowej.

- Co się dzieje z całą tą wodą? -zapytała w końcu.

Cole zmarszczył czoło, spojrzał w boczne lustro, a wsteczne przytrzymał dłońmi, żeby przestało wibrować. Zobaczył wyraźniejszy obraz i nie miał już żadnych wątpliwości. Ktoś za nimi jechał, utrzymując to samo tempo jazdy. Mocniej wcisnął pedał gazu.

- Czy woda wyparowuje. Wiskoszą wsiąka w podłoże i wolno przecieka do morza przez formacje skalne, które chłoną wodę jak gąbka. Takimi skałami są wapień i piaskowiec.

Erin przypomniała sobie mapy z Blackwing, którym tak długo się przyglądała.

- Te niebieskie krzyżki na mapie, które mi kiedy

pokazała , to był wapie , prawda?

Cole skin ął głow i jeszcze raz spojrział w lusterka. Odległo mi dzy dwoma pojazdami si nie zmieniła. Niewyra ny obłok pyłu w dali za nimi przy pieszył wkrótce po tym, jak oni zwi kszyli pr dko . Teraz Cole nieznacznie zwolnił.

- W wóz Windjana to pradawna rafa koralowa -oznajmił.

- Góry Oskar to morski wapie . To wszystko powstało z prehistorycznych raf, a dowodz tego skamieliny. -Ale mimo to nie ma tam wody?

- Czasami spotyka si ródła lub przecieki, w miejscach gdzie p kła warstwa wapienia. Woda, która si pojawia, jest zdatna do picia i liczy sobie tysi ce lat.

- A czy brak ródeł oznacza, e pod wapieniem nie ma wody?

- Niekoniecznie. Je li teren i warunki s odpowiednie, woda wymywa kanały w wapieniu i przedostaje si nimi gł biej pod ziemi . Powstaj podziemne rzeki, płyn ce w twardej skale. Wła nie tak powstały jaskinie Carlsbad w Nowym Meksyku.

- My lisz, e takie jaskinie jak Carlsbad istnieją w Kimberley i jak diamenty Abe'a czekają na swojego odkrywce ?

Cole usłyszał podniecenie w głosie Erin i stłumił u miech.

- To mało prawdopodobne. Jaskinie to ulotne zjawisko. Wi kszo z nich nie jest w stanie przetrwa dłu ej ni sze milionów lat.

- Tak krótko? Jejku, to mo e lepiej si po pieszmy.

Spojrział na powa n min Erin i roze miał si mimo obezwładniaj cego, znieprawidzonego upału oraz pod aj cego za nimi samochodu.

- W skali ludzkiej jaskinie s wieczne, ale w porównaniu z diamentami yj krótko jak j tki. Mo liwe, e te kamyki, które trzymasz schowane w pasku wokół talii, s najstarsz rzecz na ziemi.

Erin rozwarła oczy ze zdumienia.

- Co takiego?

- To długa historia. -Cole zerknął w lusterko.
- A przed nimi długa droga -odparła ze śmiechem.

Widząc uśmiech na twarzy Erin, Cole odwrócił się i nieświadomie w tej chwili gdzie indziej; gdziekolwiek, byle w bezpiecznym miejscu. Tutaj na pewno nie było niebezpiecznie. Jadąc z nimi samochód zmieniał przód za siebie razem, kiedy robił to Blackburn. Ktokolwiek siedział za jego kierownicą, nie chciał się z nimi równać ani ich wyprzedzić. Był to zwykły podróżny, który odruchowo utrzymuje równy dystans od jadącego przed nim pojazdu, a być może ktoś wiele go niebezpieczny.

Jakkolwiek było, Cole nie mógł w żaden sposób zgubić intruza. Przez następne pięćdziesiąt kilometrów nie było przed nimi żadnych bocznych dróg. Oba pojazdy musiały podążać w tym samym kierunku.

Rozdział dwudziesty

Cole popatrzył w lusterko, a potem szybko zerknął na Erin, obawiając się, że dziewczyna zauważyła jego niepokój. Nie było sensu mówić jej o ledź czymś ich samochodzie. Napięcie i zdenerwowanie zmniejszyłyby jeszcze szybciej niebezpieczny klimat.

Droga zaczęła biec nieco pod górą. Cole wiedział, że za dziesięć minut dotrą do okolic poprzecinanych długimi, łagodnymi wzniesieniami. Potem dojadą do rozwidlenia. Mniejsza odnoga prowadzi do wozu Windjana, główna droga biegnie w kierunku Gór Króla Leopolda i kończy się w niewielkiej osadzie Gibb River. Prawie wszystkie samochody poruszające się tą trasą jechały do lub ze stacji położonych przy szlaku. Miejscowi ludzie nie jeździli do Windjana w porze przejazdu, a w Derby nie było żadnych turystów. Cole i Erin stanowili widok tak niezwykle, że na ulicy wszyscy się za nimi oglądali.

To oznaczało, że jeśli posuwają się za nimi obłok kurzu

skr ci do Gibb River, wszystko jest w porz dku. Je li pod y za Roverem do Windjana, to sprawa przedstawia si powa nie.

- Cole?

Oderwał wzrok od lusterka.

- Słucham.

- Jak diamenty trafiły do wulkanów?

- Kiedy uwa ano, e skryształizowały si w stopionej skale, gdy stygła -odparł. Mówił spokojnym głosem, nie okazuj c napi cia, jakie w nim narastało w miar zbli ania si do rozdro a. -Ale wewn trz wulkanu jest cholernie gor co. Diamenty stopiłyby si tam jak kostki lodu w gor cej kawie.

Zamilkł i zerkn ł na bok, eby si przekona , czy Erin nie patrzy w boczne lusterko. Nie patrzyła. Przygl dała si Cole'owi rozszerzonymi, pi knymi oczyma i nic innego dla niej nie istniało, nie wył czaj c chmury pyłu za nimi.

Pierwszy od osiemdziesi ciu kilometrów znak drogowy pojawił si tu przy rozwidleniu. Droga Gibb River zmierzała prosto. Lewa odnoga prowadziła do w wozu Windjana i parku narodowego Tunnel Creek. Skr cili w prawo.

- Nie tak dawno temu -ci gn ł Blackburn -jaki bystry laborant spojrział na czarny pyłek uwi ziony we wn trzu diamentu i zaciekawilo go, co to jest takiego.

- My lałam, e to cz steczki w gla. Wiesz, takie małe drobinki, które nie zd yły przekształci si w diament.

- Wszyscy tak uwa ali. Ale wreszcie kto to sprawdził. Okazało si , e to jest pirop, szczególny rodzaj granatu. Mo na okre li jego wiek, mierz c stopie radioaktywno ci. Diament, który badał ten młody laborant, pochodził z komina kimberlitowego, licz cego sobie sto trzydzie ci milionów lat. Diament z uwi zionym w nim piropem powinien mie tyle samo. Okazało si , e jego wiek mo na liczy w miliardach lat.

- Ale w takim razie, sk d wzi ły si diamenty w kominie kimberlitowym? Przecie magma jest tak gor ca, e wszystkie by si stopiły.

- Tego nikt nie wie. Według mojej osobistej teorii gdzie

gł boko pod ziemi istnieje diamentowa strefa. Nie si gaj tam metalowe wiertła, bo wykrzywaj si i topi . Rozgrzana skała ma tam konsystencj wosku pozostawionego na sło cu. Temperatura i ci nienie s tam tak du e, e diamenty zostały wypchni te pod powierzchni , kiedy planeta si ochładzała ponad cztery miliardy lat temu.

Erin nie wiadomie dotkn ła płóciennego pasa pod bluzk , gdzie ukryła dwana cie pradawnych kryształów .

- Kiedy Ziemia wystarczaj co si ochłodziła -ci gn ł Cole -bezpowrotnie min ły warunki, w których mogły powsta diamenty. Ale przetrwały i tworzą delikatny, kryształowy welon wokół j dra Ziemi.

- A jak trafiaj pod powierzchni , sk d my je wydobywamy?

- Co jaki czas skorupa si przesuw a i cienkie igielki magmy eksploduj , przechodz c przez diamentowy welon. Robi to tak szybko, e niektóre kryształy nie zd si stopi , bo skała wokół nich ju zastyga. Jednak wi kszo si spala. Tylko jeden na dwadzie cia kominów zawiera diamenty.

Erin siedziała w milczeniu i wyobra ała sobie połyskuj cy welon z diamentów, licz cy sobie miliardy lat; wspaniał krystaliczn pami tk z okresu formowania si planety.

- Co za szkoda -odezwała si w ko cu.

Cole oderwał wzrok od lusterek.

- ałujesz, e tyle diamentów przepada?

- Nie. Szkoda, e te, którym uda si przetrwa , trafiaj w ko cu na palec jakiej pustogłowej lali albo rekina finansjery.

U miechn ł si , ale tak ponuro, jak robił to dawniej. Chmura pyłu skr ciła ich ładem na drog do Windjana.

Kln c z irytacj Cole si gn ł jedn r k za siebie i szukał czego w torbie na tylnym siedzeniu. Drugiej r ki nie zdejmował z kierownicy.

- Mog ci pomóc? -zapytała Erin.

- Włó turystyczne buty najszybciej jak mo esz -polecił Cole. -Potem przejmiesz kierownic , a ja włó swoje.

Erin zerknęła na jego twarz i nie zadawała pytań. Szybko włożyła buty, a potem przytrzymała jedną ręką kierownicę, dając Cole'owi swobodę manewru. Spowodowało to zmniejszenie szybkości samochodu.

- Dzięki - odezwał się Blackburn. Przejmę kierownicę, ale nie przy pieśzał. - Weź lornetki i sprawdź, czy nikt za nami nie jedzie.

Erin ustawiła ostro i uważnie przyjrzała się drodze.

- Widz biały samochód.

- Chce nas wyprzedzić ?

Milczała chwilę.

- Nie.

Cole zaklął pod nosem.

- Co się dzieje? - zapytała z niepokojem.

- Jesteśmy ledzeni od samego Derby. Ten za nami to lepszy cwaniak. Kiedy przy pieśzamy, on to robi, a kiedy zwalniamy, zostaje z tyłu. Ile osób jest w samochodzie?

- Trudno powiedzieć. Powietrze drży od upału, a poza tym jest za daleko.

Cole sięgnął pod fotel, wyjął strzelbę i podał ją Erin.

- Umiesz się z tym obchodzić ?

- Tak.

- Dobrze. Trzymaj to pod ręką, ale nie odbezpieczaj.

- Co zrobimy?

- Będziemy uciekać, tak szybko jak się da.

Bez dalszych ostrzeżeń przy pieśzył. Samochód przebył niskie wzniesienie i opadł w długą, łagodną dolinę. Pedał gazu uderzył o podłogę i tam został, przyciskany stop Cole'a. Rover gwałtownie nabierał szybkości, silnik wył na pełnych obrotach. Strzałka prędkościomierza przesunęła się wokół tarczy i wskazywała sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Erin starała się nie myśleć o różnorodnych zwierzętach, które bezadnych przeszkód w drujpach, tych okolicach.

Rdzawoczerwona droga przewijała się pod kołami pojazdu.

Minęli suche koryta strumienia na dnie doliny i zaczęli

wspina si ę po długim zboczach. Stopniowo zbocze stawało si ę bardziej strome, i samochód musiał nieco zwolnić. Cole nadal mocno wciskał pedał gazu, co chwil ę zerkając na wskaźniki temperatury i ciśnienia oleju. Starał si ę prowadzić samochód po najrówniejszej cz ęści nie utwardzonej drogi i sprawdzał, czy na poboczu nie ma żadnych zwierząt.

Rover przebył szczyt kolejnego wzniesienia, zanim chmura pyłu znów si ę pojawiła w lusterku wstecznym. Cole nadal maksymalnie dociskał gaz. Droga stała si ę bardziej płaska, a potem okr ężyła niewielkie rumowisko skalne. Erin po raz pierwszy zobaczyła w Australii coś, co przypominało wzgórze.

Cole bez litości wyciskał z maszyny wszystkie soki.

Droga do Windjana gwałtownie si ę zwinęła. Pojawiły si ę koleiny, a pobocze stanowiła mieszanina rudej ziemi i kamieni. Krótka gołębica prowadził teraz między rzadkimi drzewami i kępami trawy. Ukształtowanie terenu i liczne zakręty sprawiły, że główna droga Gibb River wkrótce zniknęła z oczu.

Erin jedną rękę trzymała strzelbę, a drugą chwyciła si ę deski rozdzielczej. Tak jak Cole, spoglądała na wskaźniki.

- Jak długo samochód to wytrzyma? - zapytała.

- Krócej niż trzeba i żałuj si ę, że ten drań o tym wie. Baw si ę z nami jak z rybą schwytaną na haczyk.

- Co zrobimy?

Cole uśmiechnął si ę posępnie.

- To, co robią ryby. Chwycimy przynętę i uciekniemy z nią.

- A co b ędzie, je li to tylko zbieg okoliczności i tak naprawdę nikt nas nie łapie?

- Wtedy ogol nogi i zapisz si ę do baletu.

Rover zadrżał, kiedy Cole zmienił bieg na wyboistym odcinku drogi. Erin chwyciła si ę mocniej deski rozdzielczej, kiedy mknęli po coraz trudniejszym terenie. Bała si ę, że zaraz si ę rozbił, ale Cole za każdym razem wyprowadzał samochód na prostą. Pojazd przemierzał suche koryta strumieni i niebezpiecznie lizgał si ę po piaszczystych fragmentach drogi.

Przez kilka kilometrów jedynym dźwiękiem było wycie rozszalałej maszyny. Erin coraz częściej zerknęła na wskaźnik temperatury.

- Cole! -odezwała się w końcu. -Silnik się przegrzewa.

- Wiem. Jeśli w Windjana zobaczymy jakich turystów czy obozowiczów, przyczepimy się do nich jak rzep do psiego ogona. Człowieka łatwo zabić. Trudniej uniknąć za to kary, szczególnie jeśli ofiarą jest córka wysoko postawionego oficera CIA. Conmin nie będzie chciał żadnych wiadomości.

Cole starał się patrzeć jednocześnie na wskaźnik temperatury i na otoczenie. I silnik, i okolica były rozgrzane do granic możliwości. Ziemia przybrała rdzawy kolor. Widzieli tu więcej drzew niż w Derby, były one wyższe, ale wciąż trudno to było nazwać lasem. Wokół wznosiły się bardzo niskie wzgórza o kamienistych szczytach.

Żadne z nich nie było na tyle duże, aby samochód mógł się za nim skryć.

Wypadli z rzadkiego zagajnika na piaszczystych łąkach, które w porze deszczowej zalewa woda. Za nimi jak ciemna chmura wznosił się pod niebem łańcuch skał. Po zupełnie płaskiej równinie, która dotychczas przemierzali, wapienny wał zdawał się nierealny. Rzeka Lennard wyłobiała w nim wóz. W jej korycie nie było teraz wody, ale w wóz Windjana dobitnie wiańczył, jak wartki musi być jej nurt w porze monsunowej.

- Widzisz przed nami jakie samochody? -zapytał Cole, mknąc w kierunku wozu.

- Nie, ale kto tam musi być. Przecież to park narodowy.

- W samym środku pustkowia.

- A strażnicy?

- Jesteśmy w Australii Zachodniej. Turystów pozostawiamy tu samym sobie.

Erin osłoniła oczy i uważnie rozglądała się po okolicy. Wyblakła tablica zawiadomiła ich, że wjechali na teren Parku Narodowego Windjana. Park był równie bezludny, jak otaczające go pustkowia. Nie spostrzegła tu nic. Oprócz placu

do parkowania samochodów i kilku spalonych sło cem, pozbawionych dachu baraków. Nie było adnej kryjówki ani wiadków, którzy mogliby opowiedzie , co widzieli.

Droga si rozwidlała. Cole wybrał odnog , która odchodziła od w wozu i wej cia do parku i biegła wzdłu południowej ciany prehistorycznej rafy. Ze skalnej ciany wychodziły długie, wymyte przez wod wyst py, tworzc gł bokie. W skie kaniony. W cieniu poszarpanego wapiennego wału rósł prawdziwy las. Małe eukaliptusy i k py traw wyrastały ze szczelin w kamiennym zboczu, tam gdzie wiatr przyniósł nasiona i wytworzyła si gleba. Wsz dzie wida było lady bydła.

Droga wiła si lekko, biegn c wzdłu nieregularnej ciany, przez co widoczno była utrudniona. Cole ostro skr cił w lewo, kieruj c samochód wprost na zbocze. Wymin ł wielkie drzewa pochylaj c głow , eby unikn uderze gał zi. Rover lizgał si i kołysał, jakby kierowca za chwil miał straci panowanie nad kierownic . Kurtyna gał zi zamkn ła si za samochodem, tak e z drogi nie mo na go ju było dostrzec. Nagle wyrosła przed nimi poszarpana, bardzo nieregularna ciana skały. Cole gwałtownie zahamował i wył czył silnik.

- Wyjmij z mojej torby pudełko naboí -polecił. Wzi ł od Erin strzelb i wysiadł z samochodu. -Biegnij wzdłu skały, dopóki ci nie dogoni . Ruszaj!

Podmuchy wiatru wolno rozwiewały tuman pyłu wzbity kołami p dz cego-w szale czym tempie pojazdu. Erin biegła po piaszczystej mi kkiej ziemi tak szybko, jak tylko mogła. Po paru sekundach pot zlewał j od stóp do głów. Po minucie miała wra enie, e oddycha rozpalonym ołowiem. Kiedy Cole j dogonił i wci gn ł w w sk rozpadlin , była całkiem mokra i wyczerpana.

- Zatarłem lady. Zosta tu i nie pokazuj si -wydyszał. Erin wr czyła mu pudełko z nabojami i skin ła głow , zbyt zm czona, eby si odezwa .

Cole oszacował wzrokiem nierówn , wymyt przez wod

skął , która wznosiła si wokół nich. Bez słowa przewiesił strzelb przez rami i zacz ł si wspina . Uwa nie sprawdzał punkty podparcia dla r k i nóg. W powolnym, równym rytmie podci gał si coraz wy ej, jak człowiek do wiadczoney we wspinaczce. W pół minuty dotarł wystarczaj co wysoko eby zobaczy wij c si drog . Wcisn ł si w rozpadlin , zdj ł strzelb z ramienia i czekał.

Pi minut pó niej na drodze pojawił si tuman kurzu.

Porywy lekkiego wiatru z w wozu szybko go rozwiewały. Cole nadal czekał, zupełnie nieruchomy, w gł bokim cieniu skały.

Zobaczył nadje d aj cy w p dzie samochód. Udało mu si spostrzec jedynie to, e jest w nim tylko kierowca, a sam pojazd to japo ska niewielka maszyna o zamkni tej kabinie, budow na laduj ca Jeepa. Samochód nie zwalnij c przemkn ł obok miejsca, gdzie Cole pod drzewami ukrył Rovera. Blackburn spojrział na zegarek i zacz ł odlicza czas. W ci gu nast pnych dziesi ciu minut dowie si , czy wybieg si udał, czy b dzie musiał wci gn prze ladowc w zasadzk , zabi go i pogrzeba w piachu. Oczywi cie, je li najpierw sam nie zginie.

Erin słyszała przeje d aj cy samochód. Chocia go nie widziała. Spojrzała w gór , na o lepiaj co bł kitne niebo i na Cole'a, wci ni tego w czarn szczelin . Napi cie widoczne w jego ciele podziałało na ni jak bezgło nie ostrze enie. Rozpłaszczyła si na szorstkim kamieniu i czekała.

Czekała długo.

W ko cu Cole zszedł ze skały.

- Przejechał obok i nic nie zauwa ył.
- Dzi ki Bogu.
- To jeszcze nie koniec. Teraz wrócimy na drog do Gibb River. Potem wrócimy skrótem po bezdro ach na Great Northem.

- Dlaczego?
- W tej chwili ten facet znajduje si mi dzy nami a stacj Abe'a. Zakładaj c, e starczy mu benzyny ...

- A nam starczy? -przerwała mu.
- Nie -odparł Cole i mówił dalej: -Kiedy si zorientuje, e nas zgubił, b dzie miał dwa wyj cia. Mo e jecha jak poln dró k do stacji Abe'a i tam na nas zaczeka albo wróci skrótem na szos i stara si dojecha do Fitzroy Crossing przed nami.
- Co jest w Fitzroy Crossing?
- Jedyna stacja benzynowa w promieniu czterystu osiemdziesi ciu kilometrów. Mamy tylko tyle paliwa, eby tam dotrze .

Rozdział dwudziesty pierwszy

Cole i Erin odnale li szos Great Northem pó nym popołudniem. Nie wiedzieli, czy ich prze ladowca jedzie przed czy za nimi. Cole cały czas prowadził z maksymaln szybko ci . Po wyboistej bocznej drodze jazda asfaltow nawierzchni Great Northem wydawała si nienaturalnie cicha. Nie było słycha chrz stu wiru wypryskuj cego spod kół i odbijaj cego si od podwozia.

Okolica znów stała si płaska. Baobaby o jasnych konarach wyrastały nad ni sze od nich eukaliptusy jak dziwaczne stwory unosz ce si na jasnozielonej powierzchni płytkiego, zakurzonego morza. Mniej wi cej co dwadzie cia minut spotykali jaki nadje d aj cy z przeciwka samochód. W wi kszo ci były to samochody osobowe albo małe ci arówki, ale czasami z rykiem przemykał obok nich olbrzymi diesel, ci gn cy trzy przyczepy towarowe. Kiedy Erin po raz pierwszy zobaczyła taki pojazd, j kn ła z niedowierzaniem.

- Na miło bosk , co to jest? -zapytała.
- Poci g drogowy.
- Poci g drogowy? -powtórzyła, nie bardzo rozumiej c, o co chodzi.
- Wielka ci arówka ci gn ca trzy przyczepy -wyja nił

Blackburn. Zdjął nogę z pedału gazu, zmniejszając szybko do dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Jaki jest jego rozmiar?
- Stąd trudno ocenić. Niektóre mają trzydzieści metrów długości.

Erin milczała przez minutę. Pociąg drogowy pędził w ich stronę, wypełniając swoją masą całą szerokość jednopasmowej drogi. Spod jego kół po obu stronach strzelały fontanny wiru. Jechał równie szybko, jak ich Rover.

- Nie zmieścimy się - powiedziała Erin.
- Spokojna główka, skarbie - odparł Cole z australijskim akcentem i uśmiechnął się. - Mamy mnóstwo miejsca po bokach.

Mówiąc to, zboczył w lewo i wjechał dwoma kołami na pobocze. Ze swojej strony pociąg drogowy wykonał ten sam manewr. Rower podskoczył i zachrzycił, kiedy uderzył w niego podmuch przejeżdżających ciarów. Pociąg drogowy minął ich z hukiem.

Słońce zachodziło szybko, rzucając skośne promienie, które błyskawicznie zmieniły kolor chmur z kremowego w szkarłatny i wreszcie w atramentowy. Ledwie Erin zaczęła podziwiałą grę barw, wszystko zniknęło.

Coś wyczuł wiatła i wcisnął jakiś przycisk na desce rozdzielczej. Silny reflektor, zamocowany nad przednią szybą, szerokim klinem przecięł ciemność, sięgając połowę dalekiej drogi.

- Krowa po prawej - ostrzegła Erin, spostrzegłszy nagły błysk w ciemności, który mógł zostać wywołany tylko wiatłem odbitym od renicy oka zwierzęcia.

- Cholerne głupie zwierzęta - wymamrotał Cole. Ostro zahamował i jednocześnie wyłączył reflektor. - Aby tak wszystkie trafiły pod te wielkie złote łuki.

- Takie jak nad drzwiami restauracji, gdzie podają hamburgery? - domyślała się dziewczyna.

Cole jechał, wyminął zwierzę, wzbijając tuman pyłu, i znów nabrał wytraconej szybkości. Jechał ostro i szybko, ale bardzo

uwa nie, ponieważ po zmroku było Kimberley wychodziło z buszu, aby się pała na skraju szosy, gdzie woda spływała z czarnej nawierzchni i umiarkowała wzrost bujniejszej roślinności.

Kiedy zupełnie się ciemniło, wypatrywanie cieni mających poza zasięgiem reflektora stało się podniecającą grą, która odciągnęła uwagę ich obojga od lepkiego upału, nadal wiszącego w powietrzu, mimo że słońce już dawno zaszło. Nad głowami pojawiły się gwiazdy. Niebo wyglądało tu równie obco jak okolica. Z wyjątkiem Krzyża Południa, wszystkie gwiazdy były równo rozrzucone i jaśniały takim samym blaskiem.

Co jakiś czas Cole' przyhamowywał, wyciągał reflektor i zmieniał światła na postojowe. Przed nim na drodze poruszały się wolno gęste cienie. Kiedy jedna z krów odwróciła się do nich, jej oczy rozblęskły niesamowicie.

- Dlaczego przygaszasz światła? -zapytała Erin.

- Reflektory o lepiej zwierzęta. O lepienie zwierzę zamiera w bezruchu na środku drogi, a jeśli stoi na poboczu, to równie dobrze zamiast uciekać, może rzucić się prosto pod koła. Nie mogą tego używać klaksonu. Wystraszone byłoby mogłoby w popłochu staranować samochód.

Erin obiecywała sobie, że nie zada tego pytania, ale nie wytrzymała.

- Widzisz za nami jakie światła?

- Nie.

- Czy to może być, aby jechał bez światła?

Cole uśmiechnął się zimno.

- Mam nadzieję. Ta jego mała Toyota nie waży wiele więc jej nie przeszkadza wielkość krowy.

To, co z początku wydawało się fragmentem rozgwieżdżonego nieba w ciemnościach przed nimi, powoli przekształciło się w sztuczne światła. Były to pierwsze latarnie, jakie Erin oglądała od czasu wyjazdu z Derby.

- To Fitzroy Crossing? -zaciekawiała się. -Nic innego tu nie ma.

W Fitzroy Crossing jednopasmowa szosa Great Northern

przecina rzek Fitzroy. Szosa i stała obecno wody w billabongach wyłobionych podczas pory deszczowej podtrzymujycie miasteczka, w którym mieszka kilkuset białych, zmienna liczba aborygenów i niezliczone krokodyle.

Cole podjechał pod rozpadającą się stacją benzynową i wyłączył silnik.

- Zostań w samochodzie -poleciał wysiadając. -Jeśli coś wyda ci się podejrzane, zatrzymaj się. Strzelba jest pod moim fotelem.

- Ja kiepsko strzelam.

Złoty Cole'a zajął się w mroku.

- Nie wiesz. Lufa jest takiej długości, że jeszcze nie jest to zabronione, ale z bliskiej odległości strzela się o wiele lepiej niż normalnie. Strzela grubym rurkiem, co daje ci większe szanse nawet w niekorzystnej sytuacji. Po prostu wyceluj, naciśnij spust, a potem patrz, co się będzie działo.

Erin bez słowa sięgnęła pod fotel i położyła sobie strzelbę na kolanach. Cole napełnił bak i zapasowe kanistry, które pojechał z nimi, przynajmniej były już prawie puste. Dolał oleju i wody, sprawdził najróżniejsze przewody, zawory i zbiorniki, a wreszcie wszedł do budynku stacji, aby zapłacić.

Erin rozglądała się, ale dostrzegła tylko jednego aborygena z potarganymi włosami i zrogowaciałymi stopami, który stał obok piramidy z puszek po piwie Black Swann. Cole wyłonił się z wnętrza budynku, gdzie mieścił się sklepik, kafejka i bar. Niósł kanapki i ciepłe napoje gazowane, które wyjął z wysłanej lodówki. Zatrzymał się na chwilę, zamienił kilka słów z ciemnoskórym budowniczym piramidy z puszek, dał mu kanapkę i wrócił do samochodu.

Po chwili mknął już po szosie. Erin bardzo się cieszyła, że znów skryją ich ciemności.

- Pięćdziesiąt kilometrów na północ jest przydrożny parking -oznajmił Cole. -Możemy wykorzystać drewniane stoły jako łóżka, jeśli nikt ich przed nami nie zajmie. Możemy też jechać dalej do stacji.

- Co będzie bezpieczniejsze?

Cole wzruszył ramionami.

- Niedu e, białe japo skie samochody s tutaj bardzo popularne. W mie cie ich pełno. Je li nasz ptaszek jest sprytny, to nie zawrócił, tylko pojechał drog przez Tunnel Creek i pewnie jest przed nami. Pomy li, e zechcemy jak najszybciej dotrze do stacji Abe'a, gdzie czeka na nas pomoc. W nocy, w buszu cholernie łatwo zastawi pułapkę .

- Zawsze marzyłam, eby spa na stole pod gołym niebem. Roze miał si cicho.

- Nie martw si , kochanie. artowałem. Mam plandeki i piwory. Znajdziemy zagł bienie w piasku i za niemy jak dzieci.

Przez dziesi minut nie spotkali adnych pojazdów. Potem naprzeciw, w odległo ci mniej ni kilometra, pojawiły si wiatła. Z ich liczby i wysoko ci, na jakiej były umieszczone, Cole domy lił si , e nadje d a poci g drogowy. Wszystkie przednie wiatła były zapalone. Blask górnego reflektora biegł w stron ich samochodu jak wyci gni ty oskar ycielsko palec.

Cole odruchowo zdj ł nog z gazu i zacz ł uwa niej obserwowa mroczne pobocze, wypatruj c gro nego błysku zwierz cych oczu. Erin starała si odwróci wzrok od zbli aj cych si wiateł i równie skupi si na obserwacji pobocza, ale jaskrawy sto ek blasku o lepił j .

Odległo mi dzy pojazdami gwałtownie si zmniejszała. Cole mrukn ł co pod nosem i wył czył szperacz Rovera.

Olbrzymia ci arówka nie odwzajemniła si t sam grzeczno ci . P dziła wprost na nich, rosn c w oczach i coraz mocniej Ich o lepiaj c.

- Chryste, ten sukinsyn wieci jak wariat -wymamrotał Cole. -Mógłby o lepi krow na Ksi ycu.

Ze zło ci podniósł dło i osłonił oczy przed ostrym blaskiem. Jednocze nie jeszcze troch zboczył na lewo, daj c nadje d aj temu pojazdowi wi cej wolnej przestrzeni. Poci g drogowy równie nieco zboczył, ale nie zwolnił. P dził na nich jak rozszalałe zwierz .

- Jest nieuważny czy po prostu nieokrzesany -zastanawiała się Erin, na przemian włączając i wyłączając reflektor, żeby w ten mało wyszukany sposób zwrócić uwagę kierowcy.

W odległości mniej niż dwustu metrów wielki, o lepiący reflektor zgasł.

- Najwyższy czas, ty stuknięty sukinsynu -powiedział Cole. Ledwie ich oczy zdążyły przyzwyczaić się do mroku, reflektor znów rozbłysnął pełną moc. Jaskrawy, niebiesko-biały strumień uderzył w szyb Rovera, a rozpadający się z hukiem zmierzał wprost na nich, nie zostawiając im miejsca na żadną manewr. Wiatło niby nóż przecięło oczy Cole'a. Na oleskręcił ostro w lewo. Rover podskakiwał dziko na wyboistej sawannie, wymijając wysokie kopce termitów i miażdżąc stalowe belki małe eukaliptusy.

Po kilkuset metrach samochód uderzył bokiem o duży kopiec termitów, zatoczył się, obił o gruby pień baobabu i niemal przewrócił na dach. Przednie koła przejechały przez niski kopiec termitów, zanim Rover zdążył się zatrzymać, i bezradnie zawisły skosem w powietrzu, chociaż silnik cały czas pracował.

W ciągu ostatnich sekund szalejącej ucieczki skro Cole'a kilka razy uderzyła w boczne okno. Przez chwilę siedział oszołomiony, potem odruchowo wyłączył światła i energicznie potrząsnął głową, żeby dojść do siebie. Nadal widział wszystko podwójnie i poczwórnienie. Jeszcze raz potrząsnął głową. Nie pomogło.

Na drodze rozległ się pisk, kiedy olbrzymia ciężarówka zahamowała paląc opony.

- Erin? -odezwał się chrypliwie Blackburn. -Nic ci nie jest?

- Trochę się wystraszyłam, ale nie jestem ranna -odparła dziewczyna głosem.

- Weź strzelbę i uciekaj.

- Ale ...

- Zrób, jak mówi !

Ze strzelb w r ku otworzyła drzwi i chwiejnie wyszła w ciemno . Przebiegła wokół samochodu i otworzyła drzwi po stronie kierowcy.

- Powiedziałem... -zacz ł.

- Nie zostawi ci tu bezbronnego! -zawołała, przekrzykuj c pisk silników ci arówki. -Wysiadaj!

Cole wytoczył si z samochodu, wstał na nogi i potkn ł si .

Erin złapała go i podparła ramieniem. Kiedy stan ł pewniej, ruszył chwiejnym biegiem, daj c si prowadzi Erin w ród niewyra nych, zwielokrotnionych kształtów, majacz cych w ciemno ciach.

Po jakim czasie poczwórne kształty zamieniły si w podwójne, a niektóre z nich w pojedyncze. Cole wydłu ył krok. Niewyra nie słyszał zgrzyt i hurgot hamulców, a potem złowró bn cisz , kiedy ogromna masa elaza w ko cu stan ła w miejscu.

Silny reflektor zaczą ł wahadłowym ruchem przecina busz jak wietlisty miecz. wiecił teraz na lewo od nich, ale wiedzieli, e przy kolejnym nawrocie wyłuska z ciemno ci i samochód, i ich oboje.

Cole bez ostrze enia powalił Erin na ziemi , wci gn ł za kopiec termitów i nakrył własnym ciałem. Modlił si , eby jego zakurzony strój w kolorze khaki okazał si wystarczaj cym kamufla em. Nagle zdał sobie spraw , co zrobił -przewrócić dziewczyn na ziemi i unieruchomił, tak jak kiedy zrobił to Hans.

Le c twarz w piachu, Erin z trudem chwytała oddech, ale nie wpadła w panik . To Cole j obezwładnił. On przecie nigdy jej nie skrzywdził. Bił si za ni , kiedy ona nie miała sił. Cole nigdy nie u ył swojej siły, eby j poni y , zrani czy sterroryzowa . Dawał jej przyjemno , nie ból. Poł czenie ich ciał zawsze j wzbogacało, a nie niszczyło.

Kiedy Cole poczuł, e Erin odpr yła si , odetchn ł z ulg .

- Nie ruszaj si -przemówił -cichym, łagodnym głosem. - Nie podno wzroku. Ludzkie oczy odbijaj wiatło tak jak oczy

zwierz t. Rozumiesz?

- Tak.

Delikatnie przesun ła ustami po jej policzku.

- Jeste dzieln kobiet -wyszeptał. -Równie wspaniał , jak twoje fotografie. Teraz zachowaj si rozs dnie. Bez wzgl du na to, co si stanie, nie ruszaj si . Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym ci przez pomyłk zastrzelił. Obiecujesz mi, e si nie ruszysz?

- Obiecuj .

Poczuła, jak ciało Cole'a wolno si z niej zsuwa. Wyj ła z jej dłoni strzelb , o której nawet nie pami tała. Rozległ si szelest skóry pocieranej o skór , materiał otarł si o ostre trawy, a potem nast piła cisza.

Cole odczował si na bok. Reflektor nadal przebijał noc.

Skraj wietlnego sto ka dotkn ła Rovera, przesun ła si dalej i zaraz wrócił, chwytaj c samochód w jaskrawobiały kr g. Rover wygl dał jak jakie prehistoryczne australijskie zwierz , które przysiadło na tylnych łapach i zadarło nos pod niebo. Uwa aj c, eby nie patrze w wiatło, Cole podpełz bli ej. Wiedział, e morderca z ci arówki przyjdzie tu, eby sprawdzi efekty swojej roboty.

Kiedy promie reflektora si zbli ył, Blackburn zamkn ła oczy, eby nie straci ostro ci widzenia i nie zdradzi swojej pozycji odbitym od nich błyskiem. Wiatło przesun ło si i przez zamkni te powieki wyczuł, e wokół niego panuje ju ciemno . Otworzył oczy. Po kilku minutach dostrzegł po lewej w bladym wietle ksi yca jaki ruch. Mógł to by jaki wybryk zm czonych oczu -wci chwilami widział podwójnie.

Ale równie dobrze mógł to by człowiek.

Cole zastygł na moment, a potem wolno odwrócił głow .

Nic si nie poruszyło, a jednak miał pewno , e kto tam jest. Ten człowiek musiał dobrze zna warunki panuj ce w australijskim interiorze. Prze lizgiwał si z cienia w cie , z jednej osłony za drug . Poruszał si tak pewnie i bezgło nie, jak w mulga. Cole zamrugał powiekami, eby usun resztki

podwójnego widzenia.

Zabójca zniknął w mroku, a po chwili ukazał się bliżej samochodu, jednak cały czas za daleko, aby stał się łatwym celem. Strzelanie nocą jest trudne. Blackburnowi dodatkowo nie ułatwiał zadania dzwoniący mu w głowie ból i to, że jego broń była strzelbą z krótką lufą.

Nagle sylwetka mężczyzny zarysowała się na tle okna samochodu. Cole cicho poderwał się na nogi, jednym ruchem wycelował i strzelił. Język pomarańczowo-białych płomieni rozjaśnił noc. Huk strzału zagłuszył metaliczny szum przeładowywanej broni. Cole wystrzelił jeszcze raz, trochę na prawo od miejsca, gdzie przedtem widział zabójcę, natychmiast znowu przeładował strzelbę i ponownie strzelił, tym razem bardziej w lewo. Natychmiast uskokzył na bok wiedząc, że ogniwo wylotu lufy jest jak latarnia wskazująca jego pozycję.

Odgłos wystrzałów niósł się w ciszy nocy jak grzmot. Gdzieś po prawej zakrzyczały niespokojnie ptaki. Stopniowo do buszu wracała cisza. Nie rozległ się żaden okrzyk bólu ani strzał ze strony wroga. Trudno było odgadnąć, czy chociażby ktoś dosięgł mordercy.

Wstrzymując oddech Cole czekał bez ruchu. Każdym nerwem ciała nasłuchiwał odgłosów z otoczenia. Wyłowił ledwie słyszalny szelest materiału ocierającego się o spinifeks, cichy chrząst podszwy buta o ziemię. Niewyraźnie wycyfrował się. Cole rzucił się w bok, przetoczył kilka razy i wystrzelił. Potem znowu się przetoczył w innym kierunku, znieruchomiał i czekał.

Cisza.

Wsunął jeszcze trzy duże naboje do magazynka, zanim bezgło nie ruszył w kierunku pociągu drogowego. Nagle przeżył przebiegły mu podobne obrazy z minionych lat - noc, gęsta od upału i wilgoci, wokół cicha dźwięku, zbyt cicha, co świadczyło, że drapie nikt nie ruszył na łowy. Zabił albo zginął. Przeżył albo umrze. Nic nowego.

Tym razem jednak było inaczej, trudniej, ponieważ broń

nie tylko swojego życia. Przechylił głowę i nasłuchiwał, czy Erin jakim ruchem nie zdradziła swojej kryjówki. Odpowiedziała mu cisza.

Erin leżała nieruchomo i wsłuchiwała się w noc. Z trudem się powstrzymywała, żeby nie zawołała Cole'a. Czsto podchodziła z aparatem dzikie zwierzęta, widziała, jak wilki osaczają i powalają łosia, ale nigdy jeszcze nie leżała w ukryciu i nie czekała, a jeden z dwóch walczących mężczyzn zabija drugiego. Wolała, żeby nie ma przy sobie skuteczniejszej broni od własnych zębów niż tych pięści.

Trzasnęły drzwi. Silnik pociągu drogowego zawarczał.

Skrzynia biegów zazgrzytała gwałtownie i pojazd ruszył, zaledwie kilka sekund nabierając prędkości. Reflektor i wiatła zgasty, jakby uciekający zabójca się bał, żeby nie trafił na siebie kolejne strzały.

Cole wycofał się w kierunku Rovera. Kiedy znalazł się w pobliżu miejsca, gdzie zostawił Erin, wyszeptał jej imię.

- Tutaj jestem - odpowiedziała równie szeptem.

Chwilę potem osunął się na ziemię obok niej, wziął dziewczynę w ramiona i trzymał, a przestała drżeć i tego objęcia. Nie wypuszczał jej z objęcia długo po tym, jak minęły wywołane napięciem dreszcze. Gładził ją po włosach i wsłuchiwał się w mrok. Z wolna powróciły odgłosy insektów i nocnego życia buszu, upewniając Cole'a, że nikt nie został na drodze, żeby podkraść się blisko samochodu i zastawić na nich pułapki.

- Cały dzień mówiła, że chcesz prowadzić - powiedział cicho. - Teraz te masz na to ochotę?

Erin skinęła głową.

- Zostań tu, a ja się rozejrzę. Jeśli nic się nie stanie, postaraj się zjechać z tego kopca termitów.

- Po co czeka? - zapytała. - Może ten ktoś urządził następną zasadzkę gdzieś na drodze.

- Pojechał do Fitzroy Crossing. My jedziemy w

przeciwnym kierunku.

- A je li było ich dwóch, jeden odjechał, a drugi tu został?
- Niestety, pewnie nie jest taki głupi.
- Mówisz tak, jakby tego ałował.

Z by Blackburna zal niły chłodno w wietle ksi yca.

- O niczym tak nie marz , jak o przygwo d eniu tego sukinsyna. -Jego u miech znikn ł. -Tym razem nie chodziło tylko o mnie. Ty te zgin łaby pod kołami tego poci gu. Je li o mnie chodzi, to ogłaszam, e okres ochronny si zako czył.

Zanim Erin cokolwiek powiedziała, zamkn ł jej usta krótkim, gor cym pocałunkiem, który sko czył si równie niespodziewanie, jak si zacz ł.

- Pi minut -powiedział Cole. -Je li nie wróc i nic nie usłyszysz, spróbuj uruchomi samochód. Dogoni ci , zanim dotrzesz do drogi.

Kiedy Erin doszła do wniosku, e min ło ju pi minut, podeszła do Rovera. Trudno było dosta si do rodka, poniewa samochód stał w nienaturalnej pozycji, ale kiedy znalazła si za kierownic , z łatwo ci uruchomiła silnik. Skrzyni biegów zaprojektowano dla m czyzny, i to silnego. Erin z wysiłkiem przesun ła d wigni na wsteczny bieg i nacisn ła pedał gazu. Rower zsun ł si kilkana cie centymetrów w dół. Przeszła na pierwszy bieg, podjechała troch do góry i szybko znów wrzuciła wsteczny. Tym razem przednie koła dotkn ły nawierzchni.

Rover zjechał z warkotem z kopca, ale koła natychmiast zabuksowały w piaszczystej ziemi. Erin wrzuciła niski bieg i spróbowała jeszcze raz. Rover ruszył do przodu. Zawróciła wolno, nie wł czaj c wiateł, i skierowała si na drog . Cole zmaterializował si w ciemno ciach tu obok drzwi.

- Ja poprowadz -powiedziała szybko Erin, zatrzymuj c samochód. -Ty trzymaj strzelb .

Cole przeszedł na stron pasa era i wsiadł do rodka.

- Dojedziesz do drogi prowadz cej do stacji. Potem ja przejm kierownic .

- Nie b dziemy spali na stołach?
 - Nie dzisiaj. Ukryjemy si w buszu i poczekamy, a znowu zaczn widzie pojedynczo.
 - A na stacji nie byłoby bezpieczniej?
 - Bezpieczniej? -Cole roze miał si , ale raczej ponuro.
- Spojrzał na ni oczami, które w wietle tablicy rozdzielczej l niły jak lód.
- Jeszcze tego nie zrozumiała ? Stacja to nie jest bezpieczne miejsce. To teren łowów diamentowego tygrysa.

Rozdział dwudziesty drugi

Cole obudził si , zanim pierwsze gwiazdy zacz ły znika z g sto usianego złotymi punktami nieba południowej półkuli. Powietrze było wilgotne, wonne i wypełnione cichymi odgłosami budz cego si ycia. Erin poruszyła si przez sen i przywarła do niego, ciesz c si ciepłem jego ciała w chłodnym przed wicie. Obj ł j .

Ten ruch nie wywołał bólu głowy, który n kał go poprzedniego wieczora. Ból głowy nie powrócił te , kiedy Cole poczuł nagle podniecenie blisko ci mi kkiego kobiecego ciała. Kusilo go, eby obudzi Erin tak jak poprzedniego ranka. Bez strachu i wahania, prosto ze snu wprowadzi j w krain rozbudzonych po wielu latach zmysłów.

Powtarzał sobie, e nie powinien tego robi , ale jego r ka ju dotykała ciała Erin, odsun wszy cienk barier ubrania. Pie cił jej wra liwe miejsca i czuł, jak jej ciało reaguje. Zastanawiał si , o czym Erin teraz ni.

Uniosła powieki, a jej oczy zamigotały tajemniczo pod rozgwie d onym niebem.

- To ci wchodzi w nawyk -zamruczała i z u miechem si przeci gn ła.
- Mog przesta .
- Naprawd ? -Jej r ka wolno sun ła po ciele Cole'a, które

równie ch tnie reagowało na jej pieszczoty. -Kiedy?

- Kiedy tylko zechcesz.

Spojrzała w jego rozpalone oczy i wiedziała, e nie kłamie. Gdyby za dała, natychmiast by si opanował. Ale nie chciała tego. Pół pi ca, słuchała utajonego instynktu i bardzo go pragn ła.

Cole poruszył dłoni , a Erin czuła, e w jej ciele zapala si gor cy płomie . Posuwał r k coraz dalej, a dotarł do ukrytego mi dzy mi kkimi fałdkami ciała najwra liwszego punktu. Erin spu ciła rz sy i oddychała urywanie. Przeszywały j igielki rozkoszy, jakby za chwil miała si roztopi . Spojrzała Cole'owi w oczy. Teraz wiedziała tylko tyle, e go kocha.

Cole j kn ł głucho, kiedy ich ciała, na wyra n zach t Erin, poł czyły si tak mocno, jak to tylko mo liwe. Poruszał si wolno, dopasowuj c si do jej rytmu, a oboje zatopili si w rozkoszy. W ostatecznej chwili przywarł do jej ust i spił z nich krzyk podniecenia. Potem trzymał j w ramionach, a oddechy obojga si uspokoiły, a bicie serc wyrównało. Czuł, jak ciało Erin wiotczeje w jego u cisku, kiedy dziewczyna znowu zacz ła zapada w sen.

- O, nie. Nie ma mowy -zaprotestował. -Pora wstawa .

Erin co zamruczała i wolnym, niech tnym ruchem odsun ła si od Cole'a, co tylko wywołało w nim now fal po dania.

Nie zwa aj c na od ywaj ca nami tno , ubrał si szybko, zwin ł piwory i plandek i wło ył je do samochodu. Potem wspi ł si na strome zbocze i w wietle ksi yca stan ł na kamienistym szczycie wzgórze.

Poni ej biegł w prawo szlak prowadz cy do stacji Abe'a.

Droga była ledwie dostrzegalna w mroku przed witu. Niektóre jej fragmenty zupełnie nikiły mi dzy rzadkimi drzewami. Potrafił j odnale tylko kto , kto nie raz przemierzał t tras albo był obdarzony doskonał pami ci , tak jak Cole.

Na pylistej, poznaczonej koleinami drodze nie zobaczył ywego ducha. Wokół panowała cisza.

- Chyba ten dra w ko cu miał dosy -powiedział, kiedy Erin stan ła obok niego.

- Dzi ki Bogu.
- Raczej dzi ki mnie -odparł z u miechem.
- Jak twoja głowa?
- Wci na miejscu.
- Nie ruszaj si .

Stan ł nieruchomo, a Erin delikatnie dotykała czubkami palców jego skóry tu nad praw skroni . Od jej dotyku przebiegły go dreszcze, kiedy ciało instynktownie zareagowało na blisko dziewczyny.

- Guz ju prawie znikn ł -stwierdziła po chwili.

Pogładził j po policzku.

- Chod my st d. Wracajmy do samochodu, zanim znowu zrobi co niem drego. -W jego tonie usłyszała znajom zmysłów nut . -Przy tobie zupełnie trac panowanie nad własnym ciałem -dodał stłumionym głosem.

Erin poszła za nim, w półmroku uwa nie spogl daj c pod nogi. Pierwsze kroki okazały si najtrudniejsze, poniewa zbocze było tu strome i kamieniste. Po lizgn ła si , odzyskała równowag i znowu j straciła. W ko cu buty znalazły pewniejsze oparcie. Wokół niej d bła spinifeksu l niły jak srebrne pr ty, kołysz ce si i faluj ce w gor cym wietrze. Gdzie w oddali jakie zwierz wydało z siebie dziwaczny, d wi czny ryk.

- Co to takiego? -zapytała.
- Krowa gada do ksi yca.

Wiatr przyniósł kolejny ryk.

- A to pewnie ksi yc odpowiada krowie? -odparła z powa n min .

Cole u miechn ł si .

- Szybko si uczysz.

Drzwi samochodu z gło nym hukiem zamkn ły si jednocze nie. Cole uruchomił silnik i wjechał na wyboist , poryt koleinami drog . Nie wł czał wiateł, dopóki nie zjechali

w dół, na równin . Po drodze widział lady jakiego wi kszego pojazdu, który jechał t dy gniot c traw i łami c niskie krzewy. Spozrzegł równie inne, nie zatarte przez wiatr lady po przeje d aj cych niezbyt dawno samochodach.

- Du y tu ruch -stwierdziła Erin.
- Masz dobry wzrok.
- Wyostrzył mi si po wczorajszych przygodach.
- Jak dotychczas, nie zauwa yłem nic nieoczekiwanego - powiedział Cole. -Taki ruch zwykle panuje na podje dzie Abe'a.
- Niezły podjazd. Ma chyba z sze dziesi t kilometrów.
- To niedu o, jak na te strony. Te w skie lady zostawił po sobie jaki samochód o w szym rozstawie kół ni Rover. To pewnie jeden ze starych Jeepów Abe'a. Kiedy tu ostatnio byłem, miał a trzy takie gruchoty. eby jeden utrzyma na chodzie, wyjmował cz ci z pozostałych.

- Wi c s dzisz, e teraz na stacji nie ma nikogo?
- B d tam ludzie przysłani przez Blackwing. W ka dym razie lepiej, eby tam byli, bo inaczej nie zd ymy z naszymi poszukiwaniami przed por deszczow . Mo e tam by Sara, kilkoro jej dzieci i wnuków. Po mierci Abe'a wszyscy m czy ni pewnie ruszyli na włócz g .

- Kto to jest Sara?

Cole u miechn ł si dziwnie.

- Tego nikt nie wie. Była dzieckiem, kiedy Abe i jego brat kupili pierwsz działk . Jej plemi albo wymarło od chorób czy wojny, albo po prostu ruszyło na włócz g , a j zostawiło sam . Została z Abe'em.

Rover podskoczył i zatrzał si . Erin chwyciła si mocniej deski rozdzielczej, kiedy Cole wrzucił ni szy bieg i wjechał na zryt gł bokimi koleinami, tward jak cement powierzchni wyschni tego pagna.

- My lisz, e Sara wie co o kopalni? -zaciekawiała si Erin.

- W tpi . A nawet gdyby wiedziała, nic by jej to nie obeszło. Diamenty to pasja nowoczesnych ludzi. Aborygeni nie

przywi zuj adnej wagi do nowoczesno ci.

- Ale przecie od przyj cia Anglików ycie si tutaj zmieniło, prawda?

- Anglicy s tu od niedawna. Dopiero niewiele ponad sto lat temu pierwsi Australijczycy przyp dzili bydło z Queenslandu do Kimberley. W drówka zaj ła dwa lata. Wyruszali z dziesi cioma tysemi sztuk, a doszła niecała połowa, wi c nikt si nie pieszył, eby i w ich lady. Wi cej ludzi osiedliło si tutaj w ci gu ostatnich dwudziestu lat ni przez uprzednie sto.

Rover zachwiał si i prze lizgn ł po błotnistym fragmencie drogi.

- To wyciek -oznajmił Cole.

- Woda?

- To si zdarza.

- Nigdy bym nie pomy łała. To pierwsza wolno płyn ca słodka woda, jak widz od czasu przybycia do Australii.

Cole skr cił, kiedy jakie zwierz wielko ci małego psa przebiegło przez drog .

- Co to było? -zapytała.

- Waliaby, taki gatunek kangura.

Erin wpatrzyła si w mrok, ale nic nie dostrzegła. Z westchnieniem usiadła g ł biej w fotelu.

- Czy Abe kiedykolwiek rozmawiał z tob o swoim bracie?

- Ze mn nie. Nie bezpo rednio. Według miejscowych opowie ci, po tym, jak twój dziadek wyjechał z Bridget Mcqueen, Abe przez jaki czas ył jak aborygen. Nauczył si ich j zyka i zwyczajów. Dla tubylców, którzy w drowali przez jego stac , stał si troch bogiem, a troch diabłem. Siadywał z nimi przy ognisku, oddawali mu młode kobiety i zostawiali dla niego najlepsze kawałki mi sa jaszczurek i krokodyli.

Przez kilka minut zalegało milczenie, tylko Rover z wyciem silnika podskakiwał na wybojach.

- Lubie Abe'a?

- Czułem respekt dla jego twardego charakteru.

Podziwiałem jego znajomość tej krainy. Ale czy go lubiłem? - Wzruszył ramionami. - Nikt go nie lubił, a już najmniej ludzie, którzy znali go najlepiej, aborygeni. Sympatia to nie jest uczucie, jakim darzy się swoich bogów lub diabła. Uje się z nimi jak najzgodniej. Abe miał obsesję na punkcie seksu, ale nie znałem mężczyzny, który by tak nienawidził kobiet.

- W takim razie dlaczego zapisał mi stację? Mógł ją zostawić tacie albo Philowi.

Cole spojrział na nią z ukosa, a jego oczy zalały się łzami na tle ciemnej twarzy.

- Może Abe tak bardzo ich nie nienawidził.

- Co chcesz powiedzieć?

Cole zaczął cichym głosem recytować fragmenty "Pawia":

A teraz samotny się skryj

Tam gdzie czarny łabędź go ci

Nad martwego morza kości mi.

Kamienna kobieta daje mi nadzieję

Sekrety czarniejsze niż śmierć

I prawd, za którą mogą zginąć.

Ale do ciebie przemówię.

Posłuchaj mnie, dziecko smutku.

Dzień ten przeklniesz strasznym słowem

Jak ja przeklinałem swój królów.

Te słowa, wypowiedane głębokim, mrocznym głosem na spowitym mrokiem australijskim pustkowiu, brzmiały zupełnie inaczej, niż wypowiedane ironicznie w drogim hotelu w Los Angeles. Erin poczuła dziwny dreszcz naciągający ją.

- Co takiego zrobiły mu kobiety? - zapytała.

Cole uśmiechnął się twardo.

- Och, pewnie to co zwykle.

- To znaczy?

- Potraktowały go jak szmata.

- Z tego, co mówiłeś, wynika, że on sam siebie traktował w ten sposób, więc chyba go to nie zdziwiło.

- Co innego postępowanie tak samemu, a co innego

do wiadczy tego na własnej skórze.

- Wiem -odparła smutno Erin.

Cole przypomniał sobie o Hansie.

- Przepraszam, skarbie. Nie pomyślałem. -Roze miał si gorzko. -Szkoda, e Hans nie spotkał na swojej drodze siostry Winga. Ci dwoje s dla siebie stworzeni. Ale sprawiedliwie jest lepa, a lito to nieznównowa ona dziwka. -Po chwili milczenia Cole zmienił temat na bezpieczniejszy. -Nie wiem, co tak zraziło Abe'a do kobiet. Nigdy o tym nie mówił. Kiedy patrzyłem na twoje rodzinne fotografie, przyszło mi do głowy, e to pewnie historia stara jak wiat. Dwóch braci zakochało si w tej samej kobiecie, ale tylko jeden j zdobył.

- Mówisz o mojej babce?

Cole skin ł głow .

- Kiedy Bridget odeszła, jeden z białych s siadów zapytał Abe'a, dlaczego Nate Windsor wyjechał do Ameryki. Abe o wiczył go biczem. Gdyby wtedy nie był pijany, pewnie załukłby nieszcz nika na mier . To si powtarzało za ka dym razem, kiedy kto wspomniiał twojego dziadka. Abe wpadał w morderczy szał. Po jakim czasie ludzie przestali przy nim mówi o Nacie Windsorze, a jego przezwali Szalonym Abe'em.

Droga zamieniła si w pl tanin kolein, wspina j c si na wzgórze. Cole zgasił wiatła, zanim kto zza wzgórze mógłby je dostrzec. Rover pełzł po zboczach podskakuj c, kołysz c si i lizgaj c. Kiedy tylko dojechali na szczyt, Blackburn zgasił silnik. Poni ej, w wietrznej dolinie, w ciemno ci jarzyło si wiatło.

- Co to jest?

- Dom Abe'a.

- Jak na t por , panuje tam du y ruch.

- W czasie pory przej ciowej trzeba wstawa przed witem, je li chce si cokolwiek zrobi . Potem jest za gor co.

Wyj ł z torby pudełko nabo i schował tuzin do kieszeni.

- Upewni si , e nie czekaj tam na nas adne niespodzianki. Przyjedziesz, kiedy wiatła w domu zgasn dwa

razy. Daj mi godzin . Je li do tego czasu nie zobaczysz sygnału, wracaj do Fitzroy Crossing, zadzwo po ojca i czekaj na jego przyjazd na miejscowym posterunku policji.

- A co z tob ?

- To ju moje zmartwienie. Ty masz ocali swoje ycie. Cokolwiek si stanie, nie jed za mn . Kiedy wysi d z samochodu, wszystko, co si poruszy, b d uwa ał za wroga.

- Cole ... -zacz ła.

- Obiecuj mi, e tutaj zostaniesz -wpadł jej w słowo i pochylił si nad ni . -Je li b d si o ciebie martwił, łatwiej mnie b dzie zabi .

Poczuła jego gor cy oddech i pieszczot ust.

- Obiecuj -wyszeptał.

Zadr ała, kiedy na j zyku poczuła jego smak jak wino.

- Obiecuj .

To słowo zabrzmiało bardziej jak westchnienie, ale Cole zrozumiał. Na chwil pocałunek stracił delikatno i stał si bardziej nami tny. Potem trzasn ły drzwi samochodu i Cole odszedł. Noc zamkn ła si wokół niego, kryj c go w ciemno ciach.

Cicho szedł ze wzgórza, korzystaj c z naturalnych osłon, eby nikt nie zauwa ył jego sylwetki. Po dwudziestu minutach dotarł do zabudowa . Dziesi metrów od domu przykucn ł pod smukłym eukaliptusem i czekał.

Nic si nie poruszało. Nawet wiatr przestał wia . Zza domu dobiegał szum du ego generatora. Talerz anteny satelitarnej na dachu był gotowy do odbioru wiadomo ci. Obok urz dzenie nadawcze mogło w ka dej chwili wysła w przestrze sygnały.

Cole w pewnej odległo ci okr ył dom. Dwie nowe jednotonowe ci arówki stały na tyłach, błyszcz c nowo ci mi dzy zardzewiałymi wrakami starych Jeepów. W ciemno ciach nie dostrzegł adnego ruchu, tylko wyczuł smug dymu papierosowego, która zdradzała miejsce ukrytego stranika. Cole wymin ł go i ostro nie podszedł do kuchennego okna. Był niemal tu pod nim, kiedy oddalone od niego na

wyci gni cie ramienia tylne drzwi nagle si otworzyły. Niespodziewana smuga wiatła poraziła przyzwyczajone do mroku oczy Cole'a. Był tak blisko, e mógł tylko atakowa . Zrobił bezgłony krok naprzód. Kiedy drzwi si zamkn ły, oplół ramieniem szyj postaci, która z nich wyszła.

- Ani słowa. Nie ruszaj si -nakazał cicho.

Jeszcze zanim wypowiedział te słowa, dobiegł go zapach egzotycznych perfum, równie znajomy jak delikatna budowa pi knego ciała, które obezwładniał mocnym chwytem.

- Witaj, Lai -odezwał si łagodnie. -Długo si nie widzieli my. Ale to i tak za krótko.

Rozdział dwudziesty trzeci

Po długich godzinach wyt ania uwagi, eby unikn zderzenia z jakim zwierz ciem na szosie Great Northem, Jason Street dotarł wreszcie do swojego biura w Kununurra. Kiedy zaparkował samochód i podchodził do drzwi wej ciowych, nikt go nie zapytał, co tu robi w terenowym stroju, który wygl da tak, jakby jego wła ciciel przemierzył pół kontynentu pełzaj c niczym w mulga. Nikogo nie zaciekawila krwawi ca, płytka rana poni ej poszarpanego r kawa na prawym ramieniu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi po prostu dlatego, e tu po zachodzie sło ca ycie na kilku w skich uliczkach Kununurry zamierało. Jedyne wyj tek stanowiły bary w samym miasteczku i tereny wokół niego, na których aborygeni rozpalali wielkie ogniska i siedz c przy nich upijali si do nieprzytomno ci, eby chocia we nie powróci do pradawnego Czasu Snów.

W biurze było duszno i gor co. Street wł czył szybko klimatyzacj i podszedł do komputera. Wystukał hasło, zapalił papierosa i spojrział na wiadomo ci, które nadeszły, kiedy on uganiał si po interiorze. W wi kszo ci zobaczył to, czego oczekiwał jeden z ochroniarzy przyszedł do pracy w kopalni pijany, jaki klient zgłaszał za alenie, e ostatnia opłata była

zbyt wysoka, a pewne konsorcjum wydobywcze prosiło, eby wyraził opinię, czy ostatni spadek dochodów jest spowodowany gorszą jakością rudy czy wygórowanymi daniami robotników.

Zadzzwonił też Hugo van Luik.

Street zaklął, wydmuchując kłęby dymu, zakaszał i spojrzał na zegarek. Dyrektor pewnie jeszcze siedzi w swoim antwerpskim biurze. Street podniósł słuchawkę telefonu podłóżonego przez drzwi i usłyszał numer i zaczął czekać. Van Luik odpowiedział na drugi sygnał.

- Jak się masz, kole? - odezwał się Street. Jego australijska intonacja sprawiła, że te słowa zabrzmiały radośnie, chociaż daleko mu było do radosnego nastroju.

- Zadanie wykonane?

- Kiedy następnym razem wyleszę mnie na polowanie, to mi powiedz, że mam do czynienia z prawdziwym tygrysem.

- Czy kiedykolwiek zlecałem ci polowania na drobne zwierzęta?

- Nieudolni buntownicy i chińscy szmuglerzy to jedna sprawa. Ten Blackburn, czy tam Markham, to zupełnie coś innego. Jest zbyt dobry jak na zwykłego geologa. Jesteś pewien, że nie pracuje dla CIA?

- Niestety, nie pracuje. Z nimi można by było się dogadać.

Street stłumił ziewnięcie i podrapał się w głowę, na której zaschła twarda skorupa potu i brudu.

- Cóż, teraz jest już na stacji Abe'a.

- Pan Blackburn to wytkowy szcziar.

- Szcziar? - warknął Street. Zdenerwowała go insynuacja, że zbyt nie przyłożył się do swojej roboty. - Mnie się wydaje, że to raczej cwany, twardy sukkinsyn. Ma paszport na inne nazwisko, fałszywe prawo jazdy i inne dokumenty.

- Co się nie powiodło?

- Wszystko, do cholery. Zrobił tak dokładny przegląd samochodu, jakby szukał pcheł. Znalazł wszystkie ukryte uszkodzenia i je naprawił. Nora chciała go zatrudnić jako mechanika. To tyle, jeżeli chodzi o "przypadkowe awarie".

samochołu".

- Mów dalej.

- Oczywiście cie, na tym nie skończyłem. Uganiałem się za nimi po całym tym pieprzonym bezludziu. Blackburn zauważył mnie, kiedy skręciłem za nimi w boczną drogę. Uciekł do Windjana. Mój samochód lepiej cięgnie niż stary Rover Nory. Liczyłem, że dopadnę ich w parku. To byłoby dobre zakończenie. Wypowięzonym samochodem się psuje, dwoje jankeskich turystów gubi się na pustkowiu i umiera, tak samo jak Szalony Abe. Bardzo to smutne i tak dalej, ale przecie w tych okolicach zginęło już wielu ludzi i na pewno wielu jeszcze zginie. Spokojna głowa, kole.

Van Luikowi zaparło dech w piersiach, kiedy dotarło do niego, jak dokładnie ledźstwo zarzadzono by po śmierci Erin Shane Windsor, choćby nastąpiła ona w najbardziej naturalnych okolicznościach. Choć zimny pot spłynął mu wzdłuż kręgosłupa, Holender jednocześnie nie podziwiał kruszycę, brutalną prostotą planu Streeta. Jedno pociąg nie rozwijałoby wszystkich problemów.

- Co się stało? -zapytał po chwili.

- Blackburn ukrył się gdzieś w Windjana i zaczął czekać, a go minęło. Potem wrócił na drogę Gibb River i znalazł boczne połączenie z szosą Great Northern. Kiedy tylko się upewniłem, że mi się wymknęło, pojechałem dalej, do Fitzroy Crossing. Wiedziałem, że gdzieś tam musiał zatrzymać się, żeby nabrać paliwa. Zobaczyłem tam zaparkowany pociąg drogowy. Kierowca poszedł coś zjeść. Było ciemno i nikt mnie nie widział, oprócz czarnuchów. Pomyślałem, że może uda mi się drania staranowa. Ukradłem ciarówki i ruszyłem na poszukiwanie Blackburna. Już myślałem, że go mam, ale sukinsyn jest szybki. Skręcił w busz, trochę nim rzucało, a w końcu wysłał dowołać na kopcu termitów. -Street przerwał, żeby zgasić papierosa. Van Luik nic nie mówił. -Chwilę trwało, zanim udało mi się zatrzymać tę pieprzoną górę złomu. Potem musiałem podejść do Rovera. To też zabrało mi chwilę. Nie

chciałem działać zbyt szybko, żeby się na coś nie nadziać. Ten facet jest za sprytny. Dobrze, że na siebie uważałem. Miał przy sobie strzelbę z ołowiu. Mało brakowało, a by mnie rozwalił.

- Potrafiłby cię rozpoznać? - zapytał Holender.

- Wykluczone. Było ciemno, a ja nie podszedłem blisko.

Inaczej bym cię nie znalazł.

- Co z dziewczyną?

- Nie widziałem jej.

- Czy może była ranna?

- Udało mi się zajrzeć do samochodu, zanim Blackburn spróbował odstrzelić mi głowę. Tam jej nie było. Może jej wyniosł. To wielki chłop.

- Czy istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś cię skojarzy ze skradzionym pojazdem?

Street może miał się krótko.

- Właśnie nie wypłacili zasiłek. Ci czarni nie poznaliby własnej matki.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Rząd Australii płaci aborygenom tylko za to, że się urodzili, a oni przepijają cały zasiłek. W dniu wypłaty są tak pijani, że nie wiedzą nawet, czy żyją. Nikt biały i trzy razy mnie nie widział.

- Gdzie teraz jesteś?

- W Kununurra. Pojadę na stację Abe'a, kiedy tylko mnie wezwą, abym wycenił działki. Pewnie jutro, jeżeli nie urzędnicy będą się chciało kiwnąć palcem. Najdalej pojutrze.

Van Luik przez chwilę milczał, zanim znowu przemówił.

- Twój rząd niech tylko odnosi się do propozycji, żebyś ty oficjalnie wycenił Kopalnię piasku, chociaż przez ostatnie dziesięć lat w imieniu Windsora negocjowałeś kontrakty z Conminem i OHO.

- Niech to szlag! - warknął Australijczyk. - Czy ona już wystąpiła o uznanie testamentu.

- Zrobił to Matthew Windsor. On, rzecz jasna, jest w stanie

przy pieszy załatwienie formalno ci.

Street zapalił nast pnego papierosa i wydmuchn ł dym.

- Nie mo emy czeka na zielone wiatło w sprawie wyceny działek. Wspólnik Blackburna zwiózł mnóstwo sprz tu na stacj . Bardzo mnie to denerwuje.

- Rozmawiamy z Amerykanami o wycenie -oznajmił van Luik. -Nie s zgodni. Oczekuj jednak, e wkrótce dostaniesz zezwolenie.

- Im szybciej, tym lepiej. Kazałem niektórym czarnym ze stacji obserwowa , czy w okolicy nikt nie prowadzi jakich poszukiwa . Ale oni w ka dej chwili mog wyruszy na włócz g .

- Wi cej im zapła .

Street cmokn ł niecierpliwie. Nie wiedział, jak wytłumaczy natur australijskiego tubylca komu tak ucywilizowanemu jak van Luik.

- Aborygenom nie zale y na pieni dzach. Słuchaj mnie, dopóki my l , e jestem cieniem Abe'a. Je li b d za bardzo naciskał, odejd .

Holender odetchn ł wolno i odezwał si , starannie dobieraj c słowa.

- Je li Erin Windsor znajdzie i uruchomi t kopalni , to ju nie yjesz. Mazel und broche.

Pół czenie przerwano. Street spojrział na słuchawk i warkn ł:

- A je li to ja uruchomi kopalni , to co, ty stary durniu? - Roze miał si . Rzucił słuchawk na widełki i skrzywił si , czuj c ból w ramieniu. -Udław si tym swoim mazel, staruchu, i niech ci szlag.

Rozdział dwudziesty czwarty

Erin obudziła si nie wiedz c, gdzie jest. Czuj c wilgotny upał, brak materaca i duszny odór w pokoju, wszystko sobie

przypomniła. Znajdowała się na stacji Windsora, spała w sypialni stryjecznego dziadka, a raczej w tym, co z niej zostało. Cole spojrzął na stare łóżko i wyrzucił je razem z materacem na podwórko za domem. Przyniósł z samochodu piwory i maty. Bez słowa rozłożył na podłodze dwa posłania. Sam spał tu pod drzwiami, blokując je ciałem.

Erin leżała bez ruchu i przypominała sobie, jak wyczuła z trudem kontrolowane emocje, które szarpały Cole'em, kiedy pojawiła się na stacji. Przedstawił jej młodą Chink o imieniu Lai, która patrzyła na Cole'a tak, jakby chciała rozebrać go wzrokiem. Nie przedstawił jej pozostałych sześciu ludzi pracujących na stacji, również Chińczyków. Nie znali angielskiego, a nawet jeśli, to się z tym nie zdradzili.

Lai znała angielski. Erin podejrzewała, że Lai zna również Cole'a Blackburna, albo bardzo chce go poznać.

Niespokojnie przekroczyła się na twardej podłodze. Czuła zmęczenie, ale mimo tego nie mogła już dłużej spać. Piwórek Cole'a leżał pod cianą, pusty. Drzwi były zamknięte. Spojrzała na nie i zastanawiała się, czy jest za nimi Cole w towarzystwie Lai o głodnym spojrzeniu i pięknej, delikatnej figurze. Na myślenie ukochany jest sam na sam z tymi chińskimi dziewczynami, Erin poczuła ukłucie zazdrości. Była zbyt uczciwa, żeby się tego wypierała, choćby przed samą sobą.

- Erin? Helikopter już prawie gotowy. - Głos Cole'a dobiegał z drugiej strony zamkniętych drzwi.

Szybko usiadła i jej kciuki. Drzwi otworzyły się z hukiem.

W progu stanął Cole z miną równie groźną, jak pistolet w jego dłoni. Przeczesał spojrzeniem pokój, ale nie zobaczył nic oprócz ponurego wnętrza, które w zupełności zadowalało Abe'a.

- Co się stało? - zapytał, przyglądając się dziewczynie.

Siedziała na posłaniu w pogniecionym podkoszulku i szortach i widać było, że nic jej nie dolega.

- Wszystko w porządku, tylko trochę zesztywniałam po nocy na podłodze.

Cole powoli się rozluźnił.

- Ksi niczka na ziarnku grochu, co?
- Raczej na kuli do kr gli.

Pomógł jej wsta , przytulił i pocałował tak namiętnie, że zapomniała o bólu.

Odgłos kroków na korytarzu zabrzmiał jak wystrzał armatni. Chocia Cole stał plecami do drzwi, nie musiał się odwraca , eby zidentyfikować intruza. Wiedział, że Lai pod yła za nim z kuchni, kiedy szedł obudzić Erin.

- O co chodzi, Lai? -zapytał, nie odwracając głowy.

Oczy Erin rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy zauważyła zmian , jaka zaszła w Cole'u. Różnica była wstrząsająca. Zniknęło gdzieś zmysłowe ciepło i delikatność , a ich miejsce zajęło jakieś nieokiełznane, gwałtowne uczucie. Mógł to być równie dobrze gniew, jak po daniu. Chciała się wysunąć z jego intymnych objęć , ale ją przytrzymał, spojrzeniem i ramionami.

- Dzwonił Chen Wing -powiedziała Lai. -Chce z tobą rozmawiać .

Głos Chinki był cichy, łagodny, opanowany, tylko oczy chciały pojechać na ciało Cole'a. Na moment zatrzymała wzrok na Erin, jakby brała miarę na trumn . Potem spuściła powieki i czekała, z charakterystycznym dla chińskiej kultury posłuszeństwem i cierpliwością .

Erin poczuła się nieswojo. Jeśli miała jakiegokolwiek wpływ na miłość Cole'em i Lai przepływały jakieś prądy, to teraz je straciła. Tych dwoje się znało sobie i to bardzo blisko.

- Powiedz mi, że za minutę przyjdę -odparł Cole.

Lai odwróciła się i odeszła, stukając wysokimi obcasami po drewnianej podłodze. Była posłuszna, jak na typową Chinkę przystało, ale jej strój stanowił syntezę elegancji Wschodu i Orientu. Miała na sobie tradycyjne spodnie z czarnego jedwabiu, ale nie luźne i obwisłe. Przylegały do jej figury tak perfekcyjnie, że z pewnością zostały uszyte na miarę . Guziki czarnej bluzki Lai, równie jedwabnej, były u góry modnie nie dopięte tak, że widać było wypukłość złotych piersi. Błyszczące czarne włosy spadały gładko kurtyną na biodra.

Erin jako artysta fotografik musiała niechętnie przyznać, że nie widziała jeszcze atrakcyjniejszej kobiety.

- Jest oszałamiająca - odezwała się w końcu.
- Tak - odparł Cole z obojętnością.

Erin nie potrafiła odgadnąć, jakie emocje się pod nią kryją. Wiedziała tylko, że na pewno tam są, tłumione wyjątkowo samokontrolą.

- Jak długo ją znasz? - zapytała, zanim zdążyła się ugryźć w język.

- Wystarczająco długo.
- Wystarczająco?

- Idź teraz porozmawiaj z Wingiem. Może przyniesie mi kawę? To zajmie mi trochę czasu. - Cole zatrzymał się w progu i spojrzał przez ramię. - W takim razie, od tej chwili nie wolno ci zniknąć z oczu na dłużej niż trzy minuty. I nigdy nie oddalaj się poza zasięg głosu. Zrozumiała?

Erin zamrugnęła oczami.

- Nie ufasz Lai i tym Chińczykom?

- Nie ufam nikomu. Dlatego jeszcze żyję. Trzymaj się blisko mnie. Zawsze. Jeśli kiedyś będziesz musiał mnie szukać, to może się skończy.

Cole przeszedł przez zdemolowane pomieszczenia do pokoju, który ludzie Winga przekształcili w centrum łączności. Na miejscu zamontowano sprzęt konieczny do rozmów z Wingiem i do przesyłania w obu kierunkach danych komputerowych.

Cole podniósł słuchawkę.

- Wietna robota, Wing. Myślałem, że będziesz musiał wystukiwać wiadomości do ciebie na komputerze.

- Dziękuję. Przepraszam, że nie zdążyłem jeszcze dostarczyć łóżka i nie zainstalowałem łazienki. Lai obiecała, że się postara, żeby nasi ludzie pracowali dwa razy sprawniej. Czy wszystko działa?

- Znalazłem miejscowych pilotów, którzy za odpowiednią cenę z przyjemnością przetransportowali ludzi i urządzenia,

mimo braku przyzwoitego pasa startowego. Pozwoliłem te sobie natychmiast rozpocząć badania. Ich wyniki są już analizowane. Jeśli z jakiegokolwiek powodu nie ufasz kompetencjom technika albo umiejętnościom pilota, helikopter jest gotowy i sam może jeszcze raz przeprowadzić wszystkie badania.

- Dlaczego zaczął bez mnie? -zapytał wprost Blackburn.

- Dowiedzieliśmy się, że jeszcze ktoś prowadził pomiary stacji Windsora z pokładu helikoptera. Przypuszczam, że szukał tego samego, co my. W tych okolicznościach nie miałem wyboru. Musiałem przyjąć operację.

- Wiesz, kto to był?

- Jeszcze nad tym pracujemy. Helikopter należał do International Mining Security Advisors Ltd., firmy doradczej zajmującej się przemysłem wydobywczym. Jej właścicielem jest Australijczyk, Jason Street. Wykonuje zamówienia różnych przedsiębiorstw wydobywczych, doradza im w sprawach bezpieczeństwa lub sam organizuje ochronę. Niestety, ochrona IMSA działa w naszym mieniu. Nie potrafiliśmy się dowiedzieć, kto zlecił badania. Obsługa Helikoptera dostała anonimowe polecenie i po prostu wykonała zadanie.

- Czy IMSA jest właścicielem jakich kopalni w Australii albo ma w nich udziały?

- Nie.

- Czy przyjmuje dużo zleceń od kartelu diamentowego?

- Niewiele. Składają się one na mniej niż dwadzieścia procent dochodu netto. Jedno jest interesujące. Street pracował kiedyś dla ASIO.

- Kiedy? -zapytał ironicznie Cole. -Kto raz złożył przysięgę, jest jej wierny do końca życia.

- Zdajemy sobie sprawę z takiej możliwości. W każdym razie, ponieważ rząd australijski wreszcie skłania się ku współpracy z Blackwing w tym przedsięwzięciu, w tym celu,

Street na dłu sz met stanowią dla nas realne zagrożenie.

- Miejcie oko na IMSA i na Streeta -polecił sucho.
- Zgoda. -Wing wzi ł gł boki oddech. -Lai mówiła, e jeste ranny.

Cole spojrział na Chink spod zmarszczonych brwi. Patrzyła na niego, jakby był bogiem, który zst pił na ziemi . Kiedy wierzył temu spojrzeniu. Teraz widział w nim tylko cz zmysłowej pozy, gry równie starannie opracowanej, jak strój Lai.

- Płytki postrzał w udo w Darwin -wyja nił.
- A wła nie, Darwin -mrukn ł Wing. -Ci gle jeste w formie, co? Wuj Li jest bardzo zadowolony. Miejskowa policja nie wie, co o tym zdarzeniu my le .
- Bardzo dobrze.
- Lai wspomniała te o innym wypadku... -ostro nie sondował Wing.
- Poci g drogowy chciał nas zgnie w pobli u Fitzroy Crossing.
- Czy zaistniały jakie ... hmm, fakty, które trzeba by wyja nia lokalnym władzom?
- Nie. Nie trafiłem sukinsyna.
- Rozumiem. -Wing zawahał si . -Tak jak chciałe , zebrałem szczegóły na temat mierci Abelarda Windsora. Wszystko wydaje si do wiarygodne. Wnioskuje , e Windsor nie był zrównowa onym człowiekiem. Poszedł do buszu z puszk piwa w jednej r ce i łopat w drugiej. Wi cej nie widziano go ywego.

- Pewnie upał go wyko czył -mrukn ł Cole. -Chryste, jak ja nienawidz tej pory roku. -Otarł pot z czoła. -Co jeszcze?
- Nie.
- Kto go odszukał?

W słuchawce rozległ si szelest przekładanych kartek papieru.

- Zdaje si , e ludzie na stacji, którzy mogli zauwa y jego zniknięcie, byli zbyt pijani, eby zwróci na to uwag . W ko cu

jedna z aborygeńskich kobiet, o imieniu Sara, wytrze wiała na tyle, żeby spostrzec, że co jest nie tak. Zadzwoiła po Jasona Streeta. Kiedy ten wrócił na stację, było już za późno.

- Wrócił? Czy on tu mieszka?

- Razem z Windsorem urządzali sobie wielodniowe libacje alkoholowe. Wiarygodna plotka głosi, że mieli te inne wspólne upodobania. Zdaje się, że Street ma słabość do ciemnoskórych kobiet. Umie również walczyć. To właśnie nie on zaskoczył naszych ludzi, kiedy przeszukiwali budynki stacji. Zabił dwie osoby, sam nie odnosząc przy tym żadnych ran.

Cole uniósł brwi.

- Dwie osoby, tak? Twardy sukinsyn. Co na to australijska policja?

- Nic. Street zaskoczył intruzów w trakcie włamania, zaatakowali go, więc ich zabił. Pośladowania godny wypadek, ale w końcu to byli tylko Chińczycy.

Cole usłyszał nutę gorzkości w głosie Winga. Doskonale go rozumiał. Wielu Australijczyków, szczególnie w interiorze, nie uznawało innych ludzi oprócz białych. Chińczycy byli szczególnie dyskryminowani.

- Czy autopsja dostarczyła nowych szczegółów na temat mierci Abe'a? -zapytał.

- Je li nawet przeprowadzono autopsję, to jej wyniki nie zostały dołączone do raportu. Mam tu tylko stwierdzenie, że miera nastąpiła w efekcie udaru słonecznego. Minęło sporo czasu, zanim znaleziono ciało. Biorąc pod uwagę klimat, w tym czasie autopsja zwłok w tym stanie dałaby jakieś znaczące wyniki.

- Nie podoba mi się, że tak często pojawia się nazwisko Streeta.

- Również to zauważyłem, ale nie powinno ono budzić naszego niepokoju. W Kimberley mieszka niewielu ludzi, więc wydaje się naturalne, że cięgle natrafiamy na te same osoby. W dodatku Street był najbliższym przyjacielem Windsora, o ile tak można nazwać. Street prowadził nawet negocjacje z DHD jako przedstawiciel Windsora. Niewątpliwie właśnie nie on zostanie

wyznaczony przez rząd do oszacowania wartości dzieraw Abelarda Windsora.

- Trzymajcie Streeta z dala od stacji -poleciał stanowczo Cole.

- Staramy się to robić. Niestety, o ile pewni pracownicy ASIO są skłonni z nami współpracować, o tyle rząd Australijski znajduje się raczej pod wpływem potężnego lobby zwanego z kartelem.

- Jesteś pewien, że Street nie pracuje dla Conminu?

- Nie znaleźli my na to przekonujący tego dowodu, a szukamy bardzo pilnie. Sądzi, że Street jest popierany przez różnych członków kartelu głównie dlatego, że nie pracuje dla nas.

- Według zasady, że każdy konkurent naszych przeciwników jest naszym przyjacielem?

- Właśnie.

- Rozumiem, że nagrywasz naszą rozmowę? -powiedział Cole.

- Jak zwykle.

- W takim razie podyktuj ci list sprzątu fotograficznego, który Erin wysłała do Londynu dla zmylenia kartelu.

- Cały ten sprzątu znajduje się na stacji. Przechwycili my go podczas przeładunku w Nowym Jorku i wysłaliśmy go do Australii przez prywatnego kuriera. Dotarł na miejsce, kiedy spała. -Wing prychnął z rozbawieniem. -Ludzie z ASIO byli niezmiernie zaskoczeni, kiedy rozbili skrzynię w urzędzie celnym w Darwin. Błędnie zakładali, że pani Windsor nie jest naprawdę zainteresowana fotografowaniem ich pięknego kraju. -Cole mruknął coś pod nosem. -Spodziewali się, że znajdą jakiś tajemniczy sprzątu wydobywczy. Tymczasem znaleźli tylko zwyczajne aparaty fotograficzne, obiektywy i filmy. Wyobraź sobie ich rozczarowanie.

- A jak wytłumaczyła transport sprzątu elektronicznego, który tu zainstalowała?

- Oficjalnie nic nie zostało zainstalowane. Biuro

Blackwing w Darwin b dzie wkrótce rozbudowane. Po prostu z wyprzedzeniem zamówili my wyposażenie i przechowujemy je w magazynie, eby było pod r k , kiedy nadejdzie wła ciwa pora.

Cole uśmiechn ła si , słysz c satysfakcj , jaka przebiegała z ka dego słowa Winga. Potem rozbawienie znikn ło z jego twarzy.

- Jeszcze jedno, Wing.
- Słucham? -odparł czujnie Chi czyk, słysz c zmian w głosie geologa.

- Lai ma st d wyjecha pierwszym transportem.
- To by bardzo zmartwiło wuja Li.
- Mam to gdzie .
- Lai to do wiadczony ekspert w sprawach ła czno ci i programowania komputerów w zakresie bada geologicznych. Jej pomoc b dzie bezcenna.

- Nie dla mnie.
- Mówisz jak człowiek, który bardzo emocjonalnie podchodzi do tego tematu. Mo e ci gle jeszcze jeste zakochany?

Cole chłodno pomy łał, jak to dobrze, e Wing jest po drugiej stronie długiego satelitarnego ła cza. Inaczej rozerwałby go na kawałki i wysłał w paczce wujowi Li. Potem musiałby tego ła wa .

- Niech si wujowi Li nie wydaje, e znów dam si ogłupi Lai tylko dlatego, e dziewczyna ociera si o mnie na ka dym kroku -oznajmił sucho. -Rodzina Chen nie dostanie ode mnie nic wi cej oprócz przewidzianej kontraktem połowy mojego udziału w kopalni. Powiedz Li, e martwi mnie jego niskie mniemanie o mojej inteligencji.

- Nie ma potrzeby go irytowa . Kiedy wysłał do ciebie Lai, chodziło mu tylko o to, eby zapewni ci najlepsz z mo liwych ła czno z rodzin Chen.

Cole roze miał si zimno. Znajomy zapach uderzał jego zmysły, wywołuj c pogrzebane wspomnienia o gor cych nocach

i złotym ciele kobiety, która si gaj c szczytu rozkoszy w jego ramionach wykrzykiwała słowa miło ci.

*Puszczacie si j cz c co o miło ci. Królowe zdrady
Przeklinam wasze gor ce u ciski.*

- Ł czno , co? -z ironi powtórzył Cole. -Tak teraz nazywacie w Hongkongu prostytutcj ? -Chi czyk nic nie odpowiedział. -Posłuchaj mnie, Wing. Wasi ludzie i twoja doskonale wyszkolona siostra powinni traktowa Erin Windsor jako jedyn nadziej na przetrwanie klanu Chen. Jej dobro jest waszym dobrem. Powiedz wujowi Li, eby sobie uwa nie przeczytał mój yciorys. Zrozumiałe mnie?

- Boli mnie, e tak mało nam ufasz.

- Jasne. I uwa aj, bo mo e zabołe jeszcze mocniej. Wykorzystanie Lai jako przyn ty było bł dem. Do widzenia, Wing. Nie b d ci przekazywał raportów z poszukiwa . Zrobi to za mnie twoja siostrunia, szpieg doskonały.

Cole przerwał poł czenie i odwrócił si do stoj cej za nim w milczeniu Lai. Patrzył na ni bez wyrazu. Złotoskóra kobieta stała dokładnie w rodku kr gu wiatła, które wpadało przez otwarte drzwi. Zastanawiał si , czy ona zawsze tak dokładnie kalkuluje ka dy swój ruch, ka dy oddech, eby podkre li swój wyj tkow urod . Nie przypominał sobie, eby dawniej była taka wyrachowana. Pami tał tylko jej płomienn zmysłowo , głód tak naturalny, jak wiatło sło ca, które zalewało teraz jej posta .

Z gorycz pomy lał, e kiedy był bardzo młody i naiwny, a ona dojrzała i do wiadczona. Bez ostrze enia gwałtownie wyci gn ł rami i niemal czule zacisn ł dło na gardle Lai. Stała bez ruchu. Czuł tylko pod kciukiem mocne, szybkie bicie pulsu.

- Mam nadziej , e wszystko słyszała -powiedział.

- Tak -odparła łagodnie.

- Powtórz to swoim ludziom.

- Dobrze.

Szare oczy mierzyły kruch , doskonale zbudowan kobiet .

Kiedy marzył o tym, eby znów dostał Chen Lai w swoje ręce. Wing chyba to wiedział, a już na pewno wiedział to wuj Li. Tak więc rodzina Chen postanowiła spełnić marzenie Cole'a. Jeśli tylko znajdzie kopalnię, może zrobić z Lai wszystko, ukarać ją, poniżyć, zgwałcić, odebrać jej to, czego tylko zapragnie. Nawet życie.

Lai równie dobrze jak Cole wiedziała, że jest bezbronna.

Może na to było poznać po skrywanym dreszczu jej ciała, mocnych uderzeniach pulsu na szyi, płytkim, szybkim oddechu, który owiewał go wyraźnie, ponieważ stali kilka centymetrów od siebie. Wpatrywała się w niego wietlistymi czarnymi oczami.

Jednak w jej wzroku nie było lęku. Patrzyła na niego, jakby był kawałkiem mięsa, a ona wygłodniałym w drowcem. Delikatny zapach perfum mieszał się z pierwotnym, wiele bardziej uderzającym do głowy wonią kobiecego pośladka. Pod cienkim jedwabiem bluzki rysowały się sutki jak twarde guziki.

Lai go pragnęła.

Kciuk Blackburna przesunął się po jej szyi jednocześnie niepieszczotliwie i złowrośnie.

- Taka posłuszna córka Chin.

Opuściła czarne jak noc rzęsy.

- Dziękuj - odparła matowym głosem i poruszyła głowę, ocierając się podbródkiem o dłoń zaciętą na jej gardle. Drgnęła, zrobiła krok do przodu, jakby chciała do niego przylgnąć. Jednocześnie lekko przesunęła palcami po jego twarzy. - Zawsze nam było dobrze razem, Cole. Nie myśl o tobie.

Erin stanęła w drzwiach, niosąc dwa kubki kawy. Zobaczyła, jak Lai przysuwa się do Cole'a, który pieszczotliwie gładzi ją po szyi. Widok tej intymnej sceny tak ją wstrząsnął, że na chwilę zaniemówiła.

- Widz, że masz zajęte ręce - odezwała się sztywno. - Zaniósł twój kaw do kuchni.

- Zostań.

Głos Cole'a przecięł powietrze jak bicz. Erin odruchowo

usłuchała. To równie j rozzło ciło.

- Trzymasz w domu psa? -zapytała ostro.

Odwrócił si od Lai i spojrział na Erin.

- Psa?

- Siad. Zosta . Aport. Tak mówi si do psa.

U miechn ł si krzywo, wypu cił Lai i wzi ł kubek od Erin.

- Nie mam psa, kochanie. adne zwierz by ze mn nie wytrzymało.

- Naprawd ? Jaka krwio ercza rosiczka na pewno by ci polubiła.

miech Cole'a zagłuszył warkot obracaj cych si łopat wirnika helikoptera, spot gowany przez wilgotno powietrza.

- Powiedz pilotowi, e przyjdziemy za minut -odezwał si Cole.

Słowa te skierował do Lai, ale nie oderwał wzroku od Erin. Chinka wyszła z pokoju, nie spojrzawszy nawet na dziewczyn .

Znad kubka z kaw Cole starał si oszacowa , jak bardzo rozniewała si Erin. ałował tego zaj cia, ale to nie była dobra pora na wyja nienia. Za bardzo sam si zirytował, e dziewczyna tak mało mu ufa. Ostro nie wypił łyk kawy, stwierdził, e jest gor ca, ale nie parzy, i jednym haustem opró nił kubek. Łopaty helikoptera obracały si teraz wolniej, silnik chodził na jałowym biegu.

- Gotowa do lotu? -zapytał. -Mo e kiedy wrócimy, ludzie Winga zainstaluj ju łazienk , i to nie tylko z prysznicem, ale i z pralk .

Beztroskie słowa Cole'a rozw cieczyły Erin. Zamierzała je zignorowa , ale doszła do wniosku, e wystarczaj co ju si skompromitowała okazuj c zazdro .

- Mo esz po prostu wzi prysznic w ubraniu -odparła, staraj c si , eby to zabrzmiało beztrosko. Nie udało jej si to. Nigdy nie była dobr aktork . -Po takiej k pieli b dzie wystarczaj co czyste. Cz sto tak robiłam na Alasce.

- Pranie ubrania z tob w rodku? To mo e by przyjemne.

Ta artobliwa, dwuznaczna zaczepka zaskoczyła Erin i

jeszcze bardziej ją zdenerwowała.

- To jest zabawa dla jednego. Jak pasjans.
- W takim razie to wcale nie jest przyjemne.
- Nie przejmuj się. Nie jestem jedyną kobietą w okolicy, której ubrania wymagają przepierki.

- Ale tylko z tobą chciałbym to robić.

Erin gwałtownie chwyciła powietrze.

- Na lito bosko, Cole. Wiem, że głupio zrobiłam, mówię ci o miłości, ale nawet głupota ma swoje granice. Nie jestem lepa. Gdybym przyszła kilka minut później, Lai przyssałaby się do ciebie jak pijawka.

- Ale ja nie przyssałbym się do niej.

- Bzdura - odparła z wdziękiem.

Słowa te, które zmieniło Lai w filigranowe złote statuetki, rozpalilo złote błyski we włosach Erin i sprawiło, że jej oczy wyglądały jak drogie kamienie. W przeciwieństwie do Lai, Erin nie była świadoma swojej urody, wspaniałej barwy oczu i bijącego od niej powabu. Jednak Cole to wszystko dostrzegał. Tak bardzo pragnął Erin, że musiał odwrócić wzrok albo sięgnąć po nią. Wiedział, że jeśli teraz zechce się do niej zbliżyć, dziewczyna go odepchnie. A wtedy nie mógłby za siebie. W czasie pory przebiegającej nigdy nie był w najlepszej formie, i zdawał sobie z tego sprawę.

- Nie pozwól, żeby wujowi Li udało się ta sztuczka - powiedział, kiedy już był w stanie panować nad głosem.

- Co ... Jaka sztuczka?

- Chciał nas skłócić, podsuwając mi Lai.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślała. Kilka minut temu Lai podsunęła się bardzo blisko.

Cole wydał jakiś zduszony dźwięk. Dawno już nie wpadł w gniew, ale czuł, że za chwilę mu się to przydarzy. Bolała go głowa, rana na udzie dawała się we znaki przy każdym ruchu, od czasu wylotu z Los Angeles spał tylko parę godzin, temperatura dochodziła do czterdziestu stopni, wilgotność powietrza była prawie maksymalna, a teraz Erin patrzyła na

niego jak na obcego człowieka, czujnie i z dystansem, jakby nigdy nie leżała obok niego naga i nie szeptała mu słów miłości.

- Czy nie widzisz, Cole ... -zaczyna szorstko.

- Widziałam wszystko, co potrzebna -przerwała mu. -I w przeciwieństwie do ciebie, wcale mi się to nie spodobało. - Zanim zdecydowała się ugryźć w jego język, zapytała: -Kim ona jest?

- Specjalistka od łowienia ci przysłała tu przez Winga - odparł przez zęby.

- Nie o to mi chodziło. Kim jest dla ciebie?

Cole postawił kubek na stole z takim rozmachem, że rozbił go na kawałki. Zanim jeszcze skorupy spadły na ziemię, zrobił długi krok naprzód i stanął tak blisko Erin, że dziewczyna musiała odchylić głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. Patrzyły na niego groźnie, ale nie cofnęła się ani o centymetr.

- Dla mnie Lai jest chodzącym ostrzem -wycodził niskim, rozwichrzonym głosem. -Przypomina mi, że mam nadzieję, że może być głupim osłem i wierzy w miłosne kobiety. Abe miał o nich słuszną opinię. Pieprz je, ale się w nich nie kochaj. -Gwałtownie się odwrócił i ruszył do drzwi. -Lai wie, gdzie jest twój sprzęt fotograficzny. Zabierz go i wracaj za trzy minuty.

Rozdział dwudziesty piąty

Zanim Erin zdecydowała powiedzieć, że nie ma zamiaru o nic pytać Lai, Cole odszedł. Ze złości poszła do sypialni, wzięła starą torbę z aparatem i wyszła przed dom.

Gwałtowne uderzenie słońca osadziło ją na miejscu.

W domu było gorąco i duszno. Na zewnątrz miała wrażenie, że cały wiat zamienił się w parną saunę bez cienia i wyjścia. Opadło na nią stado much. Odpędziła je od siebie i ruszyła do helikoptera, który przykucnął za domem. Z maszyny usunęła go drzwi, a może nigdy ich tam nie było.

Cole rozmawiał z pilotem. Po chwili pilot wyszedł z kabiny i

wpu cił go na swoje miejsce. Cole spojrzął na wskaźniki i zwiłkszył obroty silnika. Łopaty zawirowały szybciej, wzbijając pod niebo tumany piasku. Sztuczny podmuch dotarł do miejsca, w którym Abe urządził prowizoryczne wysypisko miedzi. Puszki po piwie podskoczyły i wytoczyły się poza dziedzińiec, aby wpaść do kłosa spinifeksu.

Kiedy Cole zakochał się w przegłębieniu, gestem przywołał Erin.

Zacisnęła usta w skłonięciu, kiedy zobaczyła, że dziewczyna niesie jedynie starą torbę z aparatem. Fotografowanie nie było tylko jej zawodem, ale i pasją, a jednak nie chciała odezwać się do Lai, aby zapytać, gdzie jest reszta sprzętu. To wiadczyło, jak bardzo była zdenerwowana, i jednocześnie nie dowodziło braku zaufania do Cole'a, mimo uprzednich wyznań miłosnych.

Reakcja Erin rozwołała ją, chociaż rozum nakazywał zachować zimną krew.

Powtarzał sobie raz po raz, że nie może dopuścić, aby plan wujki Li się powiódł. Rozdzielają ich rodzice to najstarsza na wiecie zasada gry.

Zawsze się sprawdza. Szczególnie w piekielnym klimacie Australii Zachodniej w przebiegu porze roku. Jednak chociaż Cole rozszyfrował taktykę przeciwnika, nie potrafił stłumić szarpących nim emocji. Wujek Li wiedział, gdzie uderzyć. Zawsze trafiał w czuły punkt. Dotychczas Cole nie wiedział, że to właśnie on jest pięty achillesowej Erin.

Odkrył też, że ona jest jego najczulszym punktem.

Niech szlag trafi wujka Li.

- Zapnij pasy i włóż słuchawki - polecił zwiłkszenie, przekrzykując warkot maszyny. - W schowku przy fotelu są okulary przeciwsłoneczne i krem z filtrem ochronnym. Skorzystaj z nich.

Erin weszła do helikoptera, przypięła się pasami i obejrzała słuchawki. Nie znalazła włócznika mikrofonu.

- Włóż się na dźwięk głosu - wyjął Cole i włożył ciemne okulary.

Skinęła głowę, włożyła słuchawki, dopasowała je i wsunęła

na nos okulary. Kiedy słońce przestało ją razić, miała wrażenie, że zrobiło się trochę chłodniej. Niestety, była to tylko iluzja. Sięgnęła po krem ochronny, który jednocześnie nie odstraszał owady.

- Gotowa? - zapytał Cole.

Jego głos wyraźnie zabrzmiał w słuchawkach. Erin znów skinęła głową. Cole skrzywił się, widząc, że dziewczyna nadal nie chce się do niego odzywać, ale nie starał się tego przełamać. Nie był tak wściekły od czasu, kiedy Lai pozbyła się jego dziecka.

Ta myśl nim wstrząsnęła.

Zwiększał obroty silnika, a helikopter zatrzęsł się jak chart czekający na spuszczenie ze smyczy. Chwilę później maszyna uniosła się pod niebo.

Erin nasmarowała się kremem i wyjrzała przez okno. Nie widziała jednak krajobrazu, tylko niezwykle piękne twarze o delikatnych rysach i oczach jak czarne kryształy, wpatrujących się z uwielbieniem w Cole'a. Widziała też jego rękę pieszczącą wzdłuż szyi Chinki, dotykając jej, jakby była z płomienia. Skonfundowana zastanawiała się, czy adenomatozyza nie jest godnym zaufania, czy po prostu ona nie ma do nich szczególne.

Nie była dumna, że wściekło ci powtarzała sobie w myślach. Cole zobowiązał się słuchać tylko swojej wiedzy geologicznej. Niczego nie przyrzekał, nawet nie powiedział, że cię kocha. Nie mówił o tym, co będzie, kiedy znajdziemy kopalnię albo przestaniemy jej szukać. To grubiaństwo z jego strony, że uganiania się za innymi kobietami, kiedy ty jesteś pod tym samym dachem, ale to się już nie raz w historii zdarzało.

To nic nowego. Nic poważnego. Groziło ci niebezpieczeństwo, ale uszła bez szwanku. Kiedy wyrwiesz się z tego straszego klimatu i spokojnie przepisz całą noc, będzie się z tego miała.

Mimo tych pełnych otuchy myśli, Erin czuła, jak kropla po kropli spływa na nią mroczna depresja i tłumi wszelkie światło. Wiedziała, że jej reakcja jest irracjonalna, ale to nic nie

zmieniało. Siedem lat temu równie zdawała sobie sprawę, że jest tylko niewinną ofiarą nie wypowiedzianej wojny, ale jej rany psychiczne i fizyczne wcale przez to mniej nie bolały.

Cole przynajmniej nie dobrał się do niej z nożem. Zostawił blizny tylko na duszy.

Ta myśl niosła niewielkie pocieszenie, ale przeszło nauczyla Erin cieszyć się drobiazgami. To dobrze, że poznała prawdę o Cole'u tak wcześnie. Dobrze, że marzenia szybko zostały przerwane.

Lepiej, żeby nabrała rozsądku i wreszcie przestała marzyć.

- Najpierw przelecimy nad wschodnim krańcem stacji, odezwiesz się do Cole'a, przerywając milczenie. Rzucił mapę na kolana Erin. -Potem zobaczymy północny odcinek. Tam jest Pies numer jeden. Będzie leciał wolno, na wysokość ci mniej więcej trzystu metrów. -Przerwał, ale Erin się nie odezwała. -Nigdy jeszcze nie widziałem stacji Abe'a z góry -cięgnij, staraj się nie okazywać irytacji. -Czasami można na stać dostrzec rzeczy, które z ziemi uchodzą uwagi. Staraj się dopasować to, co widzisz w dole, do mapy.

Erin skinęła głową na znak, że go słyszy, rozłożyła mapę i z wysiłkiem skoncentrowała na niej myśli, żeby jej nie rozpałamił tyfusiem dregoczuca, że ją zdradzono.

Helikopter przemierzał szlak, a Erin spoglądała na rozciągający się pod nią krajobraz. Po monotonnej równinie okolicy.

Derby różnorodno terenem ją zaskoczyła. Na stacji Abe'a dostrzegła niskie pasma wzgórz i niewielkie skalne wzniesienia o płaskich szczytach. Między nimi wyrastały wskie pasma traw i rzadkie drzewa. Czasami trafiały się polacie jaskrawej zieleni, wokół których wiły się lądy bydła.

- To przecieki i małe ródła -odezwiesz się do Cole'a, widzisz zainteresowanie Erin. -Te czarne skały to wapień trasowy.

Z rozrządzeniem skinęła głową, pochłonięta obserwacją okolicy.

Kiedy Erin nie odpowiadała, Cole odwrócił głowę i przyjrzał się jej z uwagą. Nie trzymała się już tak sztywno, jak przy wsiadaniu do helikoptera. Jej linia ust trochę złagodniała. Teraz skoncentrowała się na krajobrazie, a nie na rozpamiętywaniu swojego gniewu.

Erin wydawało się, że minęły całe wieki, zanim helikopter dotarł do kraja całkowicie i zwrócił się na północ, aby przelecieć wzdłuż jej wschodniego obrzeża. Pojawiło się kilka pasm wzniesień i płytkich zagłębień. Spostrzegła rozrzucone bezładnie czerwone skaliste wzgórza, które przypominały zmity koc rzucony na ziemię. Żadne drogi tu nie istniały. Nie widać było nawet kolein. Od czasu do czasu dostrzegała niewyraźne, bezładne linie, które mogły być śladami pozostawionymi przez bydło albo kanałami odpływowymi, wypełnianymi wodą tylko przez kilka miesięcy w roku. Nie było tu budynków, sztucznych zbiorników, wiatraków ani żadnych innych śladów, które by świadczyły, że kiedykolwiek istniała tu cywilizacja.

Czasami udawało jej się wypatrzyć stadko bydła Kimberley albo kangurów. Zwierzęta uciekały, kiedy czarny cień helikoptera z hałasem przesunął się po nierównej ziemi. Raz spostrzegła ciemną plamę, otoczoną kręgiem połyskliwych punktów, od których odbijały się promienie słoneczne.

- Co to takiego? - zapytała.

Cole oderwał wzrok od jakiejś intrygującej anomalii geologicznej i zerknął tam, gdzie wskazywał palec Erin.

- Obozowisko aborygenów - wyjaśnił. - Ta czarna plama to ślad po ognisku.

- A ten wiecie czy kręgi?

- Potłuczone butelki i zgniecione puszki po piwie.

Jeśli ktoś tu był gdzieś, tydzień czy rok temu, nie widać było po nim żadnego innego śladu. Wokół rozciągało się tylko chaotyczne, nieokiełznane pustkowie.

- Gdzieś tubylcy? - zaciekała się.

- Być może odeszli stąd zeszłej nocy albo po ostatniej

porze deszczowej. Stąd trudno to ocenić.

- Gdzie mieszkaj?

- W porze suchej nie mieszkaj nigdzie. Kiedy pada, znajduj naturalne schronienie pod nawisami skalnymi, chyba że są na terenie rezerwatu. Wtedy mieszkaj w domach, które buduje dla nich rząd.

Helikopter nadal podał na północ. Nie przeleciał jeszcze nawet nad jednym bokiem olbrzymiego prostokąta ziemniaków Windsora. Mijały minuty, a Erin powoli zaczynała uświadamiać sobie rozmiary stacji. Zrozumiała też, jak wielkie wymagania stawia ten kraj człowiekowi, który zdecydował się przemierzyć jego powierzchnię.

Z wolna ogarniała ją coraz większa depresja, podsycona czymś więcej niż przeziębieniem, a znowu ją oceniła intencje mężczyzny. Tym razem ją oceniła cała wielka kraina. Chociaż wielu ludzi ją ostrzegało, nie wierzyła, że Australia jest równie niegościnna i bezludna jak Alaska i że równie zazdrośnie strzeże swoich sekretów. Nie wierzyła, że mały punkt na mapie, nazywany stacją Windsora, okazał się tak trudny do zbadania. Nie było tu przecieku lodu, rzek, dżungli, gór ani nawet gęstego lasu - nic nie skrywało natury samej ziemi. Z pewnością ci kopalnia starego Abe'a nie jest aż tak trudna do znalezienia.

Erin nie rozumiała, jak bardzo jałowy to kraj, jak niechcący wszelkiemu życiu. Na Alasce jest ocean i rzeki pełne łososi, zapewniające bogactwo polującym tubylcom. Wymyślna Kimberley nie ma ani oceanu, ani rzek. Nie spotyka się tu stad w drownych zwierząt i ptaków, które nadają się do jedzenia. Nie rosną tu jagody ani polne nasiona.

Przed wszystkim nie ma tu czystej, pitnej wody.

Im dłużej Erin obserwowała ziemniaki Windsora przewijające się pod helikopterem, tym głębiej popadała w depresję. Okazała się naiwna nie tylko w sprawie Cole'a Blackburna.

- Mój Boże, w jaki sposób komukolwiek udaje się tutaj przetrwać? - odezwała się w końcu.

- Trzeba zachować rozwagę.

Potrzebna głowa .

- Tu nie jest tak strasznie, jak na to wygląda -przekonywał Cole. -Może znaleźć niewielkie przecieki wody, a do jedzenia s du e w e.

Erin wydała jakiś dźwięk, który z pewnością nie był miechem.

- Kiedy mi opowiadała, jak statyczna była kultura aborygenów do czasu pojawienia się białego człowieka, nie mogłam w to uwierzyć. Teraz wierzę. -Spojrzał na nią, pytał co. -Mówiła mi, że przez czterdzieści tysięcy lat tubylcy żyli na najwysokich, najczystszych złożach rud żelaza na ziemi, a jednak nie wynaleźli metalurgii. Zastanawiałam się, dlaczego. Powiedziała, że dosłownie potykali się o wielkie, czyste samородki złota, ale nigdy nie przekształcili ich w kolczyki, figurki. Czy chociaż bransolety, a ja się dziwiłam. Nie wiedziałam też, dlaczego nie udomowili zwierząt, nie wynaleźli warsztatu tkackiego, butów ani pisma. Teraz już się nie dziwię. Mieli szczęście, że im się przetrwało na tyle długo, żeby dochować się dzieci, które też miały szczęście, że im dochowały się potomstwa i tak dalej, i tak bez końca.

- Przemawia przez ciebie pora przejęcia -odparł Cole patrząc na jej zaróżowioną twarz i wilgotną od potu skórę. -W takim upale i parnym powietrzu wydaje się, że nie warto żyć. Kiedy spadnie deszcz, zobaczysz Kimberley w innym świetle.

Erin spojrzała na niebo i ziemię. Dziwna, zwracająca uwagę rzeka chmur, która codziennie nadpływała z odległego Oceanu Indyjskiego, powoli się zmieniała. Rozszerzała się na boki, tworząc mroczną pokrywę nad lasem. Wielkie chmury burzowe toczyły się wolno nad ziemią, leniwie przemierzając rozgrzany nieboskłon. U szczytu białe, ciemnoszare u podstawy, obiecywały koniec klaustrofobicznego upału i przesycającej powietrze wilgoci.

- Te chmury mogłyby wreszcie przestać w drować i zabrać się do pracy -stwierdziła.

Cole uśmiechnął się.

- Lepiej, eby jeszcze si wstrzymały. Je li zacznie pada , nie b dziemy w stanie prowadzi poszukiwa . Utkniemy na dobre.

Mówi c to zerkał na desk rozdzielcz . Zmarszczył czoło i stukn ł palcem we wska nik poziomu paliwa. Igła zakołysała si , uniosła, a potem gwałtownie spadła, jeszcze raz si uniosła, wskazuj c niemal pełny zbiornik.

- Jakie problemy? -zapytała po chwili Erin.

- Pilot mi mówił, e ten wska nik zawodzi, kiedy bak jest pełny. Gdybym r cznie nie sprawdził poziomu paliwa, zawróciliby my do domu.

- A je li bak nie jest pełny?

- Pilot nic o tym nie wspominał. -Cole spojrział na Erin. - Nie martw si , kochanie. Helikopter jest sprawny.

- Sk d wiesz? -odparowała. -Nie sprawdziła go tak dokładnie, jak tego wypo yczzonego Rovera.

- Pilot wrócił wła nie z Psa numer trzy. Dopełnił bak, bo my lał, e polecą z nami na inspekcj . Kiedy si dowiedział, e zostaje, uwa nie pilnowałem, eby nic nie majstrował przy helikopterze.

Erin była zaskoczona, e Cole tak oboj tnie mówił o mo liwo ci sabota u.

- Nikomu nie ufasz, co?

Zerkn ł na ni z ukosa.

- Ty te nie. Nawet do mnie nie masz zaufania.

- Wierz , e znajdziesz kopalni -odparła spokojnie.

- Ale nie wierzysz, e nie mam ochoty na romans z Lai.

- To byłoby z mojej strony do niem dre, bior c pod uwag t intymn scen , której rano byłam wiadkiem.

- Erin, na miło bosk ...

- Nie ma o czym mówi -przerwała mu sztywno. - Obiecałem mi tylko to, e sumiennie si postarasz znale kopalni diamentów. Reszta była tylko skutkiem fizycznej blisko ci i zwi kszoney dawki adrenaliny. Koniec rozmowy.

- Naprawd chcesz doprowadzi mnie do szału. Czy ty, do

cholery, my lisz ...

Jednym szarpni ciem zdjęła słuchawki z głowy.

Cole miał ochotę chwycić ją i przemoc włożyć ją na głowę. Zdziwiło go, że dziewczyna tak łatwo potrafi wyprowadzić go z równowagi. W duchu nakazywał sobie spokój, jednak ze zdenerwowania pot jeszcze grubszymi stru kami spływał mu po twarzy. Wycierał czoło, koszulki i przesunął dłońmi po szortach. Po chwili jego skóra znów lepiała się od wilgoci.

Wiedział, że do końca pory przeżytej zostało trochę czasu i upał stanie się jeszcze trudniejszy do wytrzymania. Czekają ich długie dni i noce nieznośnego słońca i obeszczepiającej wilgotności. Promienie słońca błądzą, jakby chciały spalić ziemię na popiół, a powietrze jak senna bestia błądząca próbowało zadusić wszelkie życie, które oparło się na słońcu.

- Cholerny klimat! - zaklął z wściekłością.

Erin go nie słyszała. Jej słuchawki nadal leżały na kolanach, a warkot helikoptera oddzielał ją od rzeczywistości, któremu zbyt wiele z siebie dała. Ale zawsze taka była - wszystko albo nic, życie pełne par albo ułamek, adnych półrodków. Nawet brutalność Hansa tego nie zmieniła. Nic nie mogło tego zmienić. Erin miała taką naturę.

Wiat pod nią gwałtownie uskoczył w bok, kiedy Cole zmienił kierunek lotu. Lecieli teraz nad krótką północną granicą niemal prostokątnego obszaru stacji. Erin spojrzała na Cole'a z zaskoczeniem, ale zaraz ułożyła mapę odpowiednio do nowego kierunku i znów patrzyła na okolice, szukając czegoś nowego, innego, czegoś, co poprawiłoby jej nastrój.

Zobaczyła tylko śnieg, zniszczony, spalony śnieg kraj, który ugiął się pod brzemieniem wilgotnego powietrza, śnieg który mijającego czasu.

Erin ze smutkiem doszła do wniosku, że spadek po Szalonym Abe w pewnym sensie tak samo ją rozczarował, jak widok Cole'a w ramionach Lai. I Cole, i spadek obiecywali jej coś nowego, początek nowego życia, które pozwoli uwolnić się

od brzemienia przeszło ci i zbada nowe horyzonty. Wi zała z nimi wielkie nadzieje i w obu wypadkach gorzko si rozczarowała. Ziemie Abe'a okazały si dusznym, zapylynym piekłem. Cole Blackburn dowiódł, e chocia jest kochankiem jednej kobiety, nie potrafi oprze si drugiej.

W zamy leniu rozło yła nast pn cz mapy, przytrzymała j na kolanach, eby nie szarpał ni wiatr wpadaj cy przez otwarte drzwi helikoptera, i znów zacz ła dopasowywa charakterystyczne punkty krajobrazu do symboli na mapie. Jedynymi u ytecznymi symbolami były te starannie naniesione przez Cole'a. Ukazywały rzadkie przecieki wodne i granice stref geologicznych, suche koryta strumieni i bezładnie rozrzucone bloki piaskowca, które wychodziły z rdzawej ziemi, nieco urozmaicaj c monotoni spłaszczonej przez czas równiny.

Wzrok Erin przyci gn ł zielony g sty szpaler eukaliptusów.

Przyjrzała si im uwa niej i zobaczyła, e drzewa wyznaczaj bieg niewidocznego koryta rzeki, poło onego mi dzy dwoma poszarpanymi grzbietami czarnego wapienia. Zerkn ła na map i jeszcze raz spojrzła w dół. Po chwili si gn ła po słuchawki i wło yła je na głow .

- Wci lecimy wzdłu północnego kra ca? -zapytała.

Cole popatrzył na ni badawczo. Za ciemnymi szkłami trudno było dostrzec jej oczy.

- Tak.

- Kierujemy si na Psa numer jeden?

- Tak.

- W takim razie mamy problem. -Pokazała na drzewa i na map . -Tu jest północna granica, tu jest kopalnia, a tu my.

- A tutaj jest co , co chciałbym obejrze . -Cole uderzył palcem w map .

- Co takiego?

- Te wapienne grzbiety. Podejrzewam, e to pozostało ci po pradawnej rafie koralowej, ale mo liwe, e zostały uformowane w inny sposób.

- Co to za ró nica?

Przez chwilę Cole miał ochotę zignorować chłodne zainteresowanie Erin szczegółami geologicznej budowy terenu i zmusił ją do rozmowy na bardziej osobisty temat. Jednak oparł się pokusie. Jeśli Erin jeszcze bardziej się od niego oddali, zostanie obezwładniona i pokonana jak samotne jagnię osaczone przez stado wilków. Muszą trzymać się razem - jeśli nie jako kochankowie, to jako współnicy w interesach.

- Jeśli te skały zostały ci rąfki, to znaczy, że gdzieś w pobliżu był brzeg - wyjdź na spokojnie. - A gdzie brzeg, tam plaża. Wspaniale byłoby odkryć nową Namibię. Równica jest taka, że tutaj plaża z pewnościami dawno zamieniłaby się w piaskowiec, chyba że ten piaskowiec zderzył się z zerodową i z powrotem zamienił się w sypki piasek.

- Czy to może być liwe?

- A jak mylisz, skąd się bierze piasek na pustyni, jeśli nie ze skały?

Erin zamrugnęła powiekami.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Chcesz powiedzieć, że piasek zamienia się w piaskowiec, a piaskowiec, w piasek?

- I tak dalej, i tak bez końca - powtórzył słowa, które wypowiedziała wcześniej. - Powierzchnia ziemi cięgle się przetwarza, płyty kontynentalne zderzają się i pochłaniają nawzajem. Po takim zderzeniu wszystko się zmienia, nawet diamenty. Ale wyłyna Kimberley od półtora miliona lat nie została wchłonięta przez inną płytę geologiczną. To najstarsza powierzchnia na ziemi, co oznacza, że tutejsze diamenty, które wydostały się ze złoża pierwotnego, wciąż są gdzieś w pobliżu. Wygładzone i zebrane w jakimś złożu okruczym, czekają na swojego odkrywcę.

Cole poruszył sterami i sprowadził helikopter na jej, między innymi, poszarpane szczyty wzniesień. Kiedy maszyna opadała na polanę wśród eukaliptusów, z ziemi podniósł się obłok pyłu. Kiedy tylko łopaty zwolniły, Erin sięgnęła do klamry pasów bezpieczeństwa. Cole przytrzymał ją ramieniem.

- Zaczekaj.

Erin zmrużyła powieki w ostrym słońcu, które przebijało nawet ciemne szkła okularów. Cole spoglądał na półcie rzucany przez gałęzie drzew i głąboki mrok pod skalnymi nawisami. Jedna z ciemnych plam drgnęła i zaczęła się do nich zbliżać. Cole położył dłonie na sterach, ale poza tym się nie poruszył.

- Widzisz go? -zapytał.

Erin spoglądała na tańczące plamy cienia i wiatła pod gałęziami eukaliptusów i akacji. Nagle mocno wciągnęła powietrze. Dostrzegła pokryte kurzem czarne cielsko i grube, zakrzywione rogi bawołu wodnego. Zwierzę spuściło głowę i szykowało się do ataku na intruzów.

- O, Boże, jaki wielki! -jęknęła Erin.

- I zły.

Cole zwiększył obroty silnika i helikopter zawisł nad ziemią.

Nagły dźwięk i ruch zaniepokoiły bawoła. Stanął i patrzył na niego groźnie.

- Może ich wywiejemy w pobliżu? -zapytała.

- Nie. Bawoły prowadzą samotnicze życie, z wyjątkiem okresu godów.

- Tak jak my czy nie -zauważyła chłodno.

Bawół zaatakował, zanim Cole zdążył co odpowiedzieć.

Wznieśli się jeszcze wyżej, a płoty znalazły się na wysokości trzech metrów nad ziemią. Bawół przebiegł pod helikopterem, zwolnił i obrócił się wokół, szukając nieuchwytnego wroga. Cole tak ustawił maszynę, aby kurz i pył uderzały prosto w oczy zwierzęcia. Po kilku minutach zniechęcony bawół oddalił się truchtem.

- Przypomina mi Abe'a! -zawołał Cole, przekrzykując hałas silnika. -W ciekły, samotny i zapamiętały w gniewie.

- Abe z pewno cię czuł się bardzo samotny, kiedy jego gniew wygasł.

- Skąd wiesz, że jego gniew kiedykolwiek wygasł?

- Tak się zawsze dzieje.

Cole spojrzął uwa nie na jej twarz, ale ciemne okulary ukrywały wszelkie uczucia.

- Czy dlatego wyjechała z Alaski? -zapytał. -Twoja w ciekło si wypaliła i poczuła si samotna?

Erin przechyliła głow , zastanawiaj c si nad odpowiedzi .

- Cz ciowo chyba tak było. A jakie ty masz wytłumaczenie, Cole? Co takiego spotkało ci w yciu, e zmieniłe si w samotnego włócz g ?

- Zaufałem kobiecie, która twierdziła, e mnie kocha.

Erin zamarła w sztywnym bezruchu.

- Lai?

- Lai -potwierdził.

- Co si stało?

- Zwykła rzecz. Nie kochała mnie.

- A ty j kochałe ?

Wzruszył ramionami.

- Czym jest miło ? Pragn łem jej.

Erin odwróciła głow i spojrzała na ponur ziemi , swoje dziedzictwo.

Cole posadził helikopter na ziemi i zwolnił obroty silnika.

Cały czas obserwował busz, w którym znikn ł bawół. Nic si nie poruszało, oprócz li ci miotanych sztucznym powiewem wywołanym obrotami łopat wirnika. Po pewnym czasie wył czył silnik. aden cie nie oderwał si od drzew, eby przepłoszy intruza.

- Zosta tutaj -polecił Cole.

Erin chciała zaprotestowa , ale kiedy ustał sztuczny podmuch, upał natychmiast j obezwładnił. Nie miała ochoty wychodzi z kabiny i brn po mi kkiej ziemi pod rozpalonym sło cem, tylko po to, eby zrobi Cole'owi na zło .

Zerkaj c co chwila na zaro la, podszedł do jednej z wielu czarnych skał, które wystawały z ziemi. Po dzikiej okolicy rozniósł si d wi k metalowego młotka uderzaj cego o kamie . Cole odłupał próbk skały. Pod jej szorstk czarn powierzchni ukazała si gładka kremowa płaszczyzna. Zebrał próbki z kilku

innych czarnych brył i wrócił do helikoptera. Kiedy siadał za sterami, był tak mokry, jakby wyszedł spod prysznica.

- No i co? -zapytała Erin

- Wygląda podobnie jak skały w Windjana, to znaczy wapie rafowy. Uzyskam pewno, dopiero kiedy obejrzy próbki pod mikroskopem.

- Masz mikroskop?

- Jest na stacji. Wing to dokładny człowiek. A jeśli o czym zapomni, wuj Li to naprawi.

- Zrobi wszystko, aby zadowolił swojego poszukiwacza diamentów? -zapytała Erin, starając się, aby nie zabrzmiało to złośliwie.

- Właśnie -odparł sucho Cole. -W przeciwieństwie do niektórych, Chenowie wiedzą, kto jest ich sprzymierzeńcem.

Helikopter wzbijał się w rozgrzane, wilgotne powietrze i wspiął się na wysokość trzystu metrów. Dziesięć minut później obniżył lot nad nieregularnym zagłębieniem. Erin powoli zdała sobie sprawę, że jest ono dziełem człowieka, a nie naturalnym ukształtowaniem terenu. Z boku wykopu ział wylot tunelu.

- Pies numer jeden -oznajmił krótko Cole.

Kiedy tylko wyłączył silnik, upadł spowolniony ze wszystkich stron jak gruby, niewidzialny całun. Cole zdjęł koszulę i rzucił ją na fotel. Erin szarpnęła materiał bluzki, chcąc się trochę ochłodzić.

- Zdejmij ją -zasugerował. -W promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów oprócz nas nie ma żywej duszy.

Erin spojrzała na niego krzywo.

- Wytrzymam.

- Jak chcesz.

Cole nachylił się nad nią i sięgnął za fotel. Erin starała się patrzeć gdziekolwiek, byle nie na jego masywny pierś, pokryty czarnymi włosami. Wyjął zza oparcia duży maniek. Otworzył ją i podał Erin.

- Wypij.

Woda była ciepła i trochę słodka. Dziewczyna szybko

zaspokoila pragnienie i oddala manierk Cole'owi. Potrzebna sn 1 glow .

- Wypij wicej. Jeste przyzwyczajona do klimatu Alaski. Dopoki twój organizm nie przywyknie do Kimberley, musisz pi wicej wody, ni wydaje ci si konieczne.

Kiedy uznal, e wypila wystarczaj co du o, wzi l od niej manierk i przylo yl do ust. Dopiero potem wyszedl z helikoptera i ruszyl do wylotu tunelu. Tylko ten tunel wiadczyl o tym, e kiedy byla tu kopalnia. Cole nie odwrócił si , eby sprawdzi , czy Erin pod a za nim. Odpila pasy, chwycila torb z aparatem i zeskoczyla na rozgrzan ziemi . Natychmiast na jej skórze pojawily si krople potu. Miała wra enie, e weszła do rozpalonego pieca chlebowego.

Wokól nie zostaly adne znaki, belki czy ogrodzenia, które by wiadczily, e w tym miejscu kto próbował wydobywa minerały. Pies numer jeden był kiedy kopalni , ale bardzo prymitywn . Przy wej ciu do tunelu staly na wykrzywionym kole zardzewiale taczki. Kilof i łopata le aly porzucone w spinifeksie. Hałda rudy osun la si w kierunku wej cia, niemal je zasypuj c.

- Nie wygl da to imponuj co -stwierdzila Erin.

- Bo i nie jest.

Wewn trz tunelu, poza zasi giem promieni słonecznych, bylo troch chłodniej. Erin schowala okulary do kieszeni i zaczekala, a oczy przyzwyczaj si do mroku. Kiedy spojrzala na wej cie, zafascynowal j uderzaj cy kontrast mi dzy jaskrawym wiatlem a czarnymi zarysami grubo ciosanych cian tunelu. Na o lep wyj la z torby aparat i przyst pila do pracy. Starala si uchwyci niesamowit ró nic mi dzy g stym, aksamitnym cieniem a slo cem, rozpalonym niczym ogie piekielny.

Na Alasce wiatlo i ciemno wyst powaly osobno, w dlugich, oddzielnych przedzialach czasu. W Australii mieszaly si ze sob , jakby rozerwane pot nym wybuchem. Ten kontrast fascynowal Erin, a swoje odczucia potrafila wyrazi jedynie

przez fotografie. Zapomniawszy o wszystkim, przez obiektyw kamery spoglądała na dwa światy - mroczny i promienny.

Cole poszedł w głąb tunelu i obejrzał się, chcąc sprawdzić, co zatrzymuje Erin. Kiedy zobaczył, co dziewczyna robi, wstąpił przywołany z helikoptera elektryczną latarnią i skupił się na badaniu ścian tunelu. Stemple były prymitywne, ale nadal mocno się trzymały. Abe, jak do niczego w tym celu, przykładał się do prac wydobywczych.

Cole upewnił się, że tunel jest względnie bezpieczny, i poszedł dalej, zagłębił się w korytarz, który Abe wydrążył wzdłuż ściany lamprofirowej, a do miejsca, gdzie się rozwidłała. Od czasu jego ostatniej wizyty nic się tutaj nie zmieniło. Ściany wciśnięte stanowiła ciemna skała, z wyjątkiem miejsc, gdzie Abe wcześniej przewidział ukształtowanie złoża i musiał zawrócić. Korytarz, który był niespodziewanie, tam gdzie kończyła się równie ściana lamprofiru i Abe rezygnował z dalszego drążenia, ponieważ jako wydobywanych diamentów była zbyt niska, żeby opłacało się dalej kopać. Tylko diamenty jubilerskie zwracają koszt wydobycia.

Wracając Cole badał każdą lepszą odnogę, gdzie korytarz wychodził poza ścianę lamprofiru. Uważał nie oglądać ścian tych bocznych tuneli, szukając znaku, który świadczyłby o tym, że Abe przypadkowo natrafił na paleozoiczne koryta strumienia, pradawnego płac albo jak innych warstw naniesionych przez płynącą wodę. Nie spostrzegł nic interesującego.

Głos Erin dobiegł go z ciemności. Skierował światło latarni na zegarek, zobaczył, że minęła godzina, i z rozbawieniem potrząsnął głową. Wreszcie spotkał kobietę, która nie nudzi się podczas wyprawy badawczej.

- Id! - zawołał. Oświetlił drogę przed sobą i ruszył szybkim krokiem.

- Znalazłaś coś? - zapytała Erin, kiedy wynurzył się z ciemności, poprzedzany równym kręgiem światła latarni.

- Nic nowego..

Światło prześlizgnęło się po małej hałdzie ziemi i kamieni,

zepchni tej pod cian . Erin zaintrygowały jakie ciemne błyski na powierzchni kopczyka.

- Co to jest? -zapytała.

Cole jeszcze raz o wietlił kopczyk.

- Ruda diamentowa -odparł oboj tnie.

Erin wydała okrzyk zaskoczenia, nachyliła si i podniosła gar ziemi z hałdy. W ółym wietle elektrycznej latami ruda wygl dała jak zwykła kamienista gleba. Małe kie kryształki wbite w odłamki skały miały barw słabej kawy i były równie m tne.

- To zupełnie nie przypomina diamentów -powiedziała.

- Masz na my li diamenty jubilerskie. To jest bort.

Przez dłu sz chwil Erin przygl dała si kawałkom rudy i małym, brzydkim diamentom.

- Nie widz tu zielonych kryształów.

- Gdyby takie tu były, Abe nie mógłby si op dzi od kupców. Tymczasem kupcy rzadko si tu pojawiali.

- Czy Abe nigdy nie opuszczał stacji?

- Nigdy nie pojechał dalej ni do sklepu w Fitzroy Crossing. Miał du o pieni dzy na sprz t wydobywczy, jedzenie i piwo. Tylko tyle potrzebował od cywilizacji.

- Chyba rzeczywi cie nie lubił ludzi.

- Ludzie mog ci osaczy i zdradzi -odparł Cole. - Tutaj niektórzy znajduj wolno , od której trudno si odzwyczai .

- Jeste podobny do Abe'a. Raz si sparzyłe i ju stale unikasz ognia.

- Nikt nie zna si na tym lepiej od ciebie, skarbie. Uciekasz od ognia tak szybko, jak tylko potrafisz. -Cole o wietlił wyj cie. -Nic tu nie znajdziemy. Chod my.

Erin bez słowa ruszyła w rozpalony kr g wiatła słonecznego, który jarzył si u wylotu korytarza kopalni.

Rozdział dwudziesty szósty

- Nie -zaprotestował Matthew Windsor. -Street zbyt cz sto przechodzi na drug stron barykady. Nie ufam mu.

- ASIO za niego r czy -powiedziała Nan Faulkner oschle, gasz c cygaretk . -MI-6 równie .

- MI-6 r czyła ju za wielu zdrajców.

Faulkner zakl ła, zapaliła nast pn cygaretk i spojrzała na człowieka, który siedział po drugiej stronie jej szerokiego biurka.

- Mogłabym ci to oznajmi w formie rozkazu -zauwa ła, wydmuchuj c kł b dymu.

- Masz w szufladzie moj rezygnacj . Wykorzystaj j .

- Wol wykorzystywa ciebie. -Niecierpliwie b bniła palcami po blacie. Wreszcie podj ła decyzj . Otworzyła rodkow szuflad , wyj ła przeno ny magnetofon i poło ła na biurku. Wysłuchaj tego.

Windsor spojrział na ni ostro, a potem skupił si na nagraniu. Pierwszy m ski głos brzmiał obco. Drugi nale ał do Cole'a Blackburna. Z rozmowy jasno wynikało, e Cole został zatrudniony, eby odnale kopalni diamentów, i to za wszelk cen -nawet za cen ycia Erin.

- Rozpoznałem głos Blackburna -oznajmił, kiedy magnetofon zamilkł. -Domy lam si , e ten drugi m czyzna to Chen Wing.

- Strzał w dziesi tk . -U miechn ła si niewyra nie. -Ale przecie zawsze był dobry w swojej robocie. Tak, to był Wing. -Windsor nic nie powiedział. -Nie jeste głupi, Matt - ci gn ła zirytowana Faulkner. -Wiesz, co to oznacza.

- Powiedz mi, co ty o tym my lisz.

- Cole Blackburn to nie wolny strzelec, za jakiego go uwa ali my. Pracuje dla ambitnego klanu z Hongkongu, na którego czele stoi sprytny, bezwzgl dny stary dra . Tak si składa, e to wuj Chena Winga. -Faulkner czekała, ale z ust

spokojnego, rosłego mężczyzny po drugiej stronie biurka nie padł aden komentarz. -Tu chodzi o życie twojej córki, a ty nie masz nic do powiedzenia?

- Życie Erin jest w niebezpieczeństwie od chwili, kiedy została spadkobierczynią Abelarda Windsora.

- Cholera! -Faulkner zaci gn ła si mocno, a zajął czubek cienkiej cygaretki. -To był bł d, e nie wyeliminowali my Blackburna z gry, i ty o tym dobrze wiesz.

- Nic podobnego. To, co przed chwil ę słyszałem, wcale nie dowodzi, e Cole ma zamordowa Erin.

Faulkner spojrzała na niego z odraz .

- Wing powiedział, e je li kopalnia zostanie znaleziona, nic wi cej nie b dzie miało znaczenia, a Blackburn nawet nie pisn ł.

- To nie dowodzi, e ... -zacz ł Windsor.

- Chryste, Matt! -przerwała triu Faulkner ze zło ci . - My łałam, e si ucieszysz na wie , e wysyłamy do twojej córki goryla. Inaczej zginie, kiedy tylko znajd kopalni i klan Chenów od razu przejmie kontrol nad połow udziałów. Wiesz to równie dobrze jak ja.

- Rz d australijski ...

- Nie! -wpadła mu w słowo. -Australijczycy nawet nie kiwn palcem. Chłopcy z drugiej półkuli o niczym bardziej nie marz , jak o ukr eniu ība kartelowi. Wci s na niego w ciekli za tamt histori z Argyle.

- To nie znaczy, e Blackburn jest zabójc . Całe życie starał si pozosta niezale ny. Co mogłoby go nagle tak odmieni ?

- Pieni dze -odparła zwi le Faulkner.

- Ju dawniej kuszono go pieni dzmi. I to wielkimi sumami. Odmówił.

- Chyba ci co padło na mózg! Je li Kopalnie pi cego Psa s warte połow tego, co podejrzewamy, to wkrótce nie jeden człowiek nagle si odmieni. Je li Blackburn dla kogo pracuje, to wła nie teraz si to ujawni.

- Wci nie jestem przekonany.
- Nie zamierzam ci przekonywa -odparła lodowato. -Ja ci to oznajmiam. Europa przechodzi teraz najwisksz restrukturyzacji ekonomicznej od czasów, kiedy zamordowano cara, Rosjanom skończyła się twarda waluta, a kartel to ich najlepsza dojna krowa. Jeśli kartel przepadnie, to oni razem z nim. A my tego nie chcemy, skarbie. Musimy przejść kontrolę nad tym pieprzonym kopalni! -Wydmuchnęła gęstą chmurę dymu. -Nie le mi się dostało za to, że się nie zgodziłem, żeby Thomas został ekspertem do spraw diamentów twojej córki.

- Thomas pracuje dla CIA.

- No jasne, że tak. Właśnie nie o to chodzi.

- Nie, chodzi o to, że przehandlowałby życie Erin za tę kopalnię, gdyby tylko ktoś mu to zaproponował. -Windsor zobaczył, że na twarzy Faulkner pojawiły się nowe bruzdy, wywołane napięciem. -Kto na ciebie naciska?

- Nie musisz pytać, bo dobrze wiesz kto. A ja i tak nie mam zamiaru odpowiadać. -Faulkner w milczeniu paliła cygaretkę. Potem zamknęła oczy i cisnęła znużonym głosem: -Nie powinnam ci tego mówić, ale jeśli miałabym przestać cię ufać, to równie dobrze od razu powinnam wyskoczyć z okna. -Zdusiła w popielniczce do połowy wypaloną cygaretkę. -Albo damy Jasonowi Streetowi list polecający do Erin, albo możemy się poegnąć z minerałami strategicznymi, które zakupujemy od Conminu. Afryka Południowa nam ich nie sprzeda. Rosjanie równie. A to znaczy, że Stany wkrótce wpadną w poważne kłopoty.

- Jedyń odpowiedzi Windsora było milczenie.

- Powiedz coś, Matt.

- Na przykład co? Trudno mi uwierzyć, że Conmin posunie się aż tak daleko z powodu jakiejś tam kopalni diamentów, która by może nawet nie istnieje!

- Zapewniam ci, że się posunie. Może bez entuzjazmu, ale zrobi to. Wiesz, gdzie jest Erin. Zadzwoń do niej. Skorzystaj z mojego telefonu.

- Nie.

Faulkner spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- Kiedy byłem ambitny. O mały włos nie zniszczyłem Erin, ponieważ użyłem jej jako nie wiadomego źródła dezinformacji dla radzieckiego agenta, znanego jako Hans Schmidt.

Faulkner siedziała w absolutnym bezruchu. Czytała akta tej sprawy i zastanawiała się, jaka w tym wszystkim jest rola Windsora. Teraz już wiedziała.

- Wmawiałem sobie, że wszystko będzie dobrze - mówił Windsor. - Przeglądałem kartotekę Schmidta tyle razy, że nauczyłem się jej na pamięć. Zasięgnąłem języka u innych ródzeń. Gdyby nie pracował dla Rosjan, byłby dla każdego ojca idealnym narzeczonym dla córki, inteligentny, silny, ambitny. Prawdziwy człowiek sukcesu. Wydawał się bardzo zakochany w Erin. Ona z pewnością go kochała.

- A gdyby nakłonił go do pracy na dwa fronty, mielibyśmy doskonały wtyczek na Kremlu w czasach, kiedy u nas co chwila ogłaszano fałszywy alarm - dodała Faulkner.

- Tak - potwierdził otwarcie Windsor.

Na chwilę zamknął oczy, chociaż wiedział, że nie ukryje przed bystrym spojrzeniem Faulkner powracającego uczucia bólu, w ciekło ci i wstydu.

Kobieta westchnęła.

- Nie obwiniaj się. Skąd mogłem wiedzieć, że ulubioną zabawą Schmidta jest krojenie dziewczyn nożem.

- Ale gdybym powiedział Erin, że Schmidt jest radzieckim agentem, zerwałybyśmy zaręczyny. A tak... - Głos mu zamarł.

- A tak twoja córka wylądowała w szpitalu. To nie była twoja wina. Zresztą odbiło to sobie - przypomniała mu Faulkner z dziwnym, chłodnym uśmiechem. - Odbiło to sobie z namiżkami.

Przez chwilę panowała cisza. Faulkner czekała. W końcu Windsor odezwał się znowu.

- Teraz ju nie wiem, czy istnieje absolutne dobro i zło - oznajmił powoli. -Zrobiłem to, co uważałem za dobre, konieczne i pożyteczne. Dostałem pochwał, ponieważ informacje, które Erin nie wiadomo przekazywała swojemu kochajcemu narzeczonemu, pomogły nam na całe trzy tygodnie ukryć fakt, że prowadzimy tajne negocjacje z Iranem.

- Każda godzina z tych trzech tygodni miała wielkie znaczenie -zauważyła Faulkner.-Wiele zyskali my, Matt. Niewiele brakowało, a doprowadziliby my do przejścia władzy przez bardziej umiarkowane skrzydło.

- Niewiele brakowało, ale jednak cel nie został osiągnięty. Dla tej sprawy moja córka została pobita, zgwałcona i okaleczona przez sadystę. Od tamtej pory Erin nikomu nie ufa i nie kocha ani mnie, ani żadnego innego mężczyzny. Minęło siedem lat. Ona nawet nie ma jeszcze trzydziestki. Czeka ją całe życie koszmarów, nieufności i samotności.

Faulkner skrzywiła się z powściągliwym smutkiem, ale nic nie powiedziała.

- Siedząc przy jej szpitalnym łóżku, przysięgam sobie, że nigdy nie wykorzystam żadnego niewinnego człowieka. Nasza gra powinna się toczyć pomiędzy dorosłymi ludźmi, poinformowanymi o jej regułach -mówił cicho. Napotkał spojrzenie czarnych oczu Faulkner. -Odpowiedź nadal brzmi: nie.

Drzwi do biura otworzyły się. Weszło dwóch mężczyzn. Stanęło po bokach Windsora. Z wysiłkiem stłumił wybuch, chociaż aż zeszytywniał z wściekłości. Jeśli teraz straci panowanie nad sobą, w ogóle nie będzie miał szansy pomóc córce.

- Areszt domowy? -zapytał oschle.

- Przykro mi -odparła krótko Faulkner. -Wczoraj wysłaliśmy list do twojej córki. Jason Street jutro powinien dotrzeć do stacji. Erin będzie bezpieczna.

Rozdział dwudziesty siódmy

Hugo van Luik już zapomniał, w jakich zapadłych dziurach mogły znajdować się kopalnie diamentów. Kopalnia Argyle leżała w tak bezludnym i odległym miejscu, że pracowników trzeba było dowozić samolotami, dawa im schronienie i wyżywienie, a potem co jakiś czas zapewnia ich wymianę, jakby byli personelem militarnym wysłanym na jakichś trudnych placówkach. To miejsce mogło uchodzić za ponury pałac na czubie sprawniejszej technologicznej. Składały się na nie równo ustawione baraki mieszkalne i stołówki, koparki, rozdrabniarki rudy, przenośniki i stoły rentgenowskie. Kopalnia Argyle produkowała diamenty z mechaniczną regularnością, chociaż wiele obiecujących kamieni w tym procesie ulegało zniszczeniu

..

Van Luik łowił, że po drodze nie niszczy się w kieszeni kilka diamentów. W tej chwili tylko drobniaczka była użyteczna, a nie kamienie jubilerskie.

Van Luik z westchnieniem oparł się o niewygodny fotel Ottera. Czuł ulgę, że ma już za sobą obowiązkową wizytę w kopalni Argyle, podczas której nie zabrakło nawet tradycyjnych zdziękowań w garniturach ciskających sobie dłonie i uśmiechających się w obiektyw. Van Luika nie obchodziło już, jak naprawdę z punktu widzenia Conminu jest poklepywanie po ramieniu i zapewnianie nieznanym, że mają oni wielkie znaczenie dla międzynarodowej ekonomii.

Odegrał swoją rolę z wprawą dobrego aktora, którym zresztą kiedyś chciał zostać. Nie zdecydował się na tę nieprzyjemną podróż dlatego, że kartelowi zależało na kopalni Argyle i brudnej masie bortu, którą tu wydobywano, czasami wyławiając z niej małe kawałki jasnorów lub słomkowo-ółte kamienie jubilerskie. Pewien japoński syndykat od niedawna w szyję wokół Argyle, zainteresowany jej kupnem. Van Luik życzył mu powodzenia.

Interesom Conminu służyło wszystko, co mogło odciągnąć Japończyków od prac nad lepszymi i tańszymi metodami produkcji syntetycznych diamentów przemysłowych. Jeśli Japończyk kupi Argyle, poprawi to sytuację Conminu. Z pewnością ci będą oni bardziej wyrafinowanymi i cierpliwymi członkami kartelu niż Australia.

Holender zamknął oczy i starał się nie myśleć o przeszywających czaszkę igiełkach bólu. Samolot zadrżał w skwarnym, rozgrzanym podmuchu południowego powietrza. Trwała pora przejściowa, przynosząca ze sobą wilgotny upał, który zaostrzał ból głowy dyrektora i sprawiał, że o lepiącej tropikalnej wiatrołobie stawało się torturą. Van Luik zamknął oczy i zacisnął zęby.

Otworzył je, dopiero kiedy dwusilnikowy Otter zatoczył krąg nad sztucznym jeziorem i zaczął schodzić do lądowania w Kununurrze. Dyrektor wytarł zaczerwienioną twarz i spoconą szyję chusteczką. Przygotowywał się do spotkania, które było głównym powodem jego wizyty w Australii.

Krzywiąc się z bólu wyjrzał przez okno. Roztaczały się pod nim rozlewiska rzeczne, niewysokie czerwone skały, scrub i miasto, z tej wysokości przypominające wysypkę na spalonej skórze. Im niżej opadał samolot, tym wyższa stawała się temperatura. Ten klimat dla przeciętnego człowieka był namiastką piekła. Van Luik zastanawiał się, czy czasem pierwsi Anglicy, którzy osiedlili się w Australii Zachodniej, nie byli niepełną rozumu.

Otter gładko wylądował na rozmiętym od upału pasie i kołował do sektora przedsiwzięcia wydobyczego, tu obok niewielkiego, pokrytego blach terminalu dla podróżnych. Steward pokładowy otworzył drzwi i opuścił schodki.

- Oto pana samolot. Przyleciał punktualnie -oznajmił, wskazując na maszynę, która pojawiła się na południe od nich i schodziła prosto. Do lądowania. -Odlatuje za półtorej godziny.

Van Luik mruknął coś na znak, że zrozumiał, i ruszył do budynku terminalu. Osiągnięcie prawdziwego celu wizyty zajęło

mu tylko kilka minut, ale spodziewał się, że będzie tu równie nieprzyjemne jak wizyta w Argyle. Gdyby miał jakikolwiek wybór, nigdy by się nie zgodził na pokazanie się w miejscu publicznym z Jasonem Streetem.

Ale nie dano mu tego wyboru. Czciwo dlatego, że wieziony przez niego list był zbyt ważny, żeby go powierzyć zwykłemu kurierowi. Przede wszystkim jednak stało się tak. Ponieważ pracodawcy van Luika nie byli zadowoleni z tego. Jak ułatwić sprawę spadku po Abelardzie Windsorze. To, że wyprawili go jak chłopca na posyłki, nie przydzielając mu tego do kartelu samolotu i pozbawiając go dyrektorskich luksusów, wiadczyło o tym, jak bardzo Conmin jest rozczarowany jego pracą. Stało się jasne, że jeśli problem nie zostanie zadowolająco rozwiązany, to Hugo van Luik okaże się równie zadowolony jak Jason Street.

Holender poczuł wilgotny chłód, kiedy wszedł do klimatyzowanego wnętrza. Zmiana temperatury sprawiła mu przyjemność, ale równie spowodowała przeszywające ukłucie bólu pod gałkami ocznymi. Przed okienkiem kasy linii lotniczych Ansett stało kilkoro ludzi -dwóch bosonogich aborygenów w dużych roboczych kapeluszach i dżinsach oraz jakaś gospodyni domowa z interioru, z niemowlęciem na rękach i dwójką rozwrzeszczanych, klójących się dzieciaków.

Van Luik skierował się do wahadłowych drzwi z listewek, nad którymi widniał napis "Pub". Wewnątrz na szczycie panował mrok. Jason Street siedział na jednym z pięciu stołków przy obitym cynkową blachą barze i rozmawiał z pulchnym barmanką. Holender z niezadowolonym minem spojrzał na zwalistego mężczyznę w zakurzonym ubraniu khaki i brudnych butach. Street zsunął na tył głowy kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony paskiem z wówej skóry, uwidaczniając w ten sposób wyraźny różnic między ogorzałą twarzą a bladą skórą, zwykle chronioną przed słońcem.

- Patrzcie państwo, jaki zmęczony turysta -odezwał się Street. -Hej, kole, może chcesz się wybrać na wycieczkę w górę

kraju?

Van Luik zmusił się do u miechu.

- Nie tym razem, ale w następną podróż wybieram się z
nim. Może ustalilibyśmy jak niezbyt mocno trasa?

Street uśmiechnął się i powiedział do barmanki:

- Dwa piwa, skarbie. Dla siebie te dwa jedno.

Kobieta wyjęła dwie puszkę Castlemaina, otworzyła je
pociągając za metalowe kółko i pchnęła po blacie baru. Street
chwycił obie i poprowadził dyrektora do stolika w
najciemniejszym kącie małego pubu. Barmanka otworzyła
trzeci puszkę i wycofała się na krzesło za kasę.

- Czuj się, koleżyno - zachęcił Australijczyk.

- Nie jestem twoim kołosem - odparł van Luik
rozwoźnym głosem, który jednak dotarł tylko do uszu jego
rozmówcy.

Street rozparł się na krzesło, pociągając łyk piwa i
wyszczrzył się.

- Jesteśmy trochę rozdrażnieni, co? Klimat nam nie
odpowiada?

Holender odwrócił się plecami do sali, aby nikt inny nie
mógł go usłyszeć.

- Uwaga, jak się wyrażasz, foutre.

Street wystarczająco dobrze znał francuski by zrozumieć, że
go obrażono. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Co mi zrobisz, koleżyno? Wyrzucisz mnie z roboty?

- Na wiecie jest z tuzin takich doradców do spraw
bezpieczeństwa - odparował van Luik. - Skąd wiesz, że ja nie
zatrudniłem któregoś na twoje miejsce?

Uśmiech zniknął z twarzy Streeta.

- Przylij go tutaj. Ja pierwszy go sprawdzę. Ale lepiej,
aby okazał się dobry, bo dam mu tylko jedną szansę. A kiedy
ju go załatwi, poszukam ciebie. Zrozumiałe, koleżyno? - Ostatnie
słowo wymówił z naciskiem.

Przez długi czas mierzyli się wzrokiem i spojrzeniami.

W końcu van Luik odwrócił wzrok i sięgnął po puszkę. Piwo

okazało się ciepłe i gorzkie.

- Jakie zrobiło postępy? -zapytał.

- Nie zrobi żadnych postępów, dopóki nie dostanę się na stację, i dobrze o tym wiesz.

- Licz na to, że wpadłem na jakiś bardziej skuteczny i niewinny wygląd czy sposób załatwienia sprawy niż wypadek drogowy -odparował Holender.

- O, tak, kole -potwierdził z uśmiechem Street.

Ból głowy van Luika podwoił się, a dyrektor poczuł mrowienie w palcach. Jednak nie rozmasował nasady nosa, tylko zacisnął dłoń.

- Gdzie oni teraz są? -zapytał.

- Na stacji. Gdzie indziej mogliby być? Odbyli kilka lotów helikoptrem, porównując teren z mapą.

- I co?

- Nie znaleźli nic, oprócz kangurzego gówna.

- Jesteś pewien?

- Ich zabezpieczenia transmisji radiowych są do niczego -odparł wesoło Street. -Mam identyczne urządzenie do szyfrowania rozmów w swoim biurze w Darwin. Odebrałem wszystkie wysłane przez nich wiadomości.

Dyrektor pociągnął następnymi małymi łykami piwa. Zastanawiał się, dlaczego mu się wydaje, że Australijczyk kłamie.

- Jak ta kobieta znosi surowy klimat i warunki terenowe?

- Upał szybko dał jej się we znaki. Jest rozdrażniona jak kotka w kąpieli. Nie są już z Blackburnem tak blisko jak dawniej.

- A jak blisko byli?

- Tak, że bliżej nie można.

Van Luik skrzywił się.

- Czy panna Windsor znalazła jakieś wskazówki w "Pawiu"?

- Spędza wiele czasu na jego lekturze.

- To dobrze.

- Dlaczego?

- Nikt nie zastanawia się nad rozwiązaniem łamigłówek . -
Zapadła cisza. Holender walczył z pokusą rozmasowania
nasady nosa.

- Jak się trzyma Blackburn?

- W ciekły jak mija -powiedział wesoło Street. -
Wyposzczony mierzyna zwykle tak się zachowuje.

- Wyposzczony? Czy by wystąpiły jakie problemy z
dostarczaniem na stację tylko ci?

- Nie chodzi mi o jedzenie, tylko o seks. Pięć w tym
samym pokoju, ale nie na jednym materacu.

- Masz bardzo dokładne informacje.

- Na tym polega moja robota -odparł chłodno
Australijczyk. -Jeśli mi nie wierzysz, sam się wybieraj na stację .

- Tobie zostawię to w tobie przyjemnie . -Dyrektor
wyjął z kieszeni marynarki cienki pakiet i pchnął go na drugi
koniec stołu. Paczuska była zawinięta w jaskrawo żółty plastik
i zabezpieczona sznurkiem, okręconym wokół dwóch guzików
na kształt ósemki. -Nie otwieraj tego.

Street zerknął na pakiet.

- Co to jest?

- Twoja przepustka, list polecający do panny Windsor. -
Van Luik znów sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę papieru. -To
jest fotokopia.

Australijczyk bez słowa wziął kopię , szybko przeczytał i
podniósł głowę .

- Czy to prawdziwe? -zapytał.

- A jakie to ma znaczenie?

- ważne, jeśli tylko podpis nie wzbudzi żadnych
wątpliwości ci.

- Z podpisem nie będzie kłopotów.

- Cholera. Ktoś na serio chwycił CIA za jaja. -Spojrzał
badawczo na dyrektora. -Conmin? A może ich własny rząd?

Van Luik odebrał mu kopię , wstał i nie odpowiedziawszy
wyszedł z pubu.

Dopiero gdy samolot znalazł się nad rozległą przestrzenią

Oceanu Spokojnego, rodki u mierzaj ce ukończył ból głowy Holendra. Kiedy Van Luik zapadał w sen, w jego głowie za witała my l, któr przedtem tłumilo cierpienie. Street nigdy dot d nie wspominał, e ma jakie inne satelitarne urz dzenie szyfruj ce, oprócz tego, które dostał od Conminu.

Rozdział dwudziesty ósmy

wit napływał jak cicha fala upału i jaskrawego wiatła.

Wielkie drapie ne ptaki wy yny Kimberley rozpo cierały skrzydła i wzbijały si z gał zi baobabu pod rozpalaj ce si niebo. Erin pochyliła si nad pierwszym statywem, a potem nad drugim. Naciskała raz po raz wyzwalacz, ponownie ustawiała ostro i jeszcze raz uruchamiała migawk , a ostatnia klatka filmu przewin ła si automatycznie, wydaj c cichy szelest. Erin pochyliła si nad trzecim aparatem, ale zaraz sobie u wiadomiła, e jest ju za pó no. Moment przebudzenia drapie nych kani odszedł ju w przeszło .

Przeci gn ła si , westchn ła i zacz ła zdejmowa aparaty ze statywów.

- To ju koniec? -zapytał Cole, wyłaniaj c si z nikłego cienia pod akacj .

Erin podskoczyła. Tak bardzo skupiła si na pracy, e zapomniała o obecno ci Blackburna, który pilnował jej ze strzelb w r ku.

- Tak, na dzisiaj wystarczy.

Spakowała sprz t, przewiesiła torby przez rami i rozejrzała si po okolicy, która z wolna, ale nieodwołalnie zmieniała si pod wpływem gwałtownie wschodz cego sło ca. Uczyła si nowego rytmu, jaki obowi zuje w tym dziwnym, surowym kraju. Mi dzy innymi przekonała si , e trzeba wsta wcze nie, eby si nacieszy stosunkowym chłodem. Ka dego ranka przez chwil niemal t skniła za sło cem.

Ale tylko przez chwil . Mimo e wschód nast pił niecałe

pięć minut temu, temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Ciężkie powietrze po prostu nie pozwalało ziemi wystygnąć nawet w ciężkich mrocznych godzinach nocy. Każdego dnia było gorętszy i bardziej wilgotny niż poprzedni. Chmury niezmiennie napływały, pomrukiwały i obiecywały coś, ale nie spadała ani kropla deszczu.

Mrukiwały oczy dla ochrony przed rannym blaskiem, Erin popatrzyła na czarne plamki drapieżnych ptaków, szybujących po rozświetlonym niebie.

- Zawsze się zastanawiałam, czy drapieżne ptaki tak dużo czasu spędzają w powietrzu dlatego, że to potrafią, czy dlatego, że muszą.

- Pewnie jedno wynika z drugiego.

Cole sięgnął po torbę ze sprzętem i niechętnie przesunął dłoń po nagim ramieniu Erin. Dziewczyna uchyliła się i zrobiła krok w tył, mówiąc mu bez słów, że nie chce jego pomocy i nie chce, aby jej dotykał.

Cole zacisnął wargi, odwrócił się i ruszył przed siebie.

Erin nie sprzeciwiała się jego zarządzeniom, że nie wolno jej zniknąć mu z oczu, ale jasno dała mu do zrozumienia, że ich teraz jedynie wspólne interesy. Nie podobało mu się to, ale nie starał się tego zmienić. Wiedział, że wszelki nacisk doprowadzi do tego, że dziewczyna jeszcze bardziej się od niego odsunie.

Kiedy przemierzali krótką drogę dzielącą ich od stacji, usłyszeli odgłosy nieznanymi ptaków, dobiegające ze wszystkich akacji i eukaliptusów. Studnia Abe'a i koryto do pojenia bydła stały się Mekką dla wszelkiego rodzaju dzikich zwierząt. Ułatwiło to pracę Erin. Przez dwa dni pobytu na stacji udało jej się sfotografować czternaście różnych odmian miejscowej fauny. Na własnej skórze przekonała się, dlaczego drapieżniki zasadzają się na ofiary przy wodopoju.

To po prostu bardzo skuteczna metoda.

- Którą kopalnię dzisiaj obejrzymy? - zapytała.

- Psa numer cztery.

- Jeszcze raz? -Cole skin ł g ł o w . -Dlaczego?
- Poniewa w jej pobl u znajduje si miejsce, które chcia ł b y m zbada .
- Czy to nie przy czwartej kopalni widzieli my goann ?
- Tak.
- wietnie. Od dawna si zastanawiam, jak najlepiej j uchwyci .
- Byle nie go ł y mi r kami -odpar ł z powa n min .

Erin u miechn ł a si mimo postanowienia, e utrzyma znajomo z Cole'em na oficjalnej stopie. Teraz by ł o to r ó w n i e trudne, jak na pocz tku, i z tych samych powod ó w. Jego inteligencja, refleks i specyficzne poczucie humoru poci ga ł y j jeszcze bardziej ni regularne rysy twarzy i silne cia ł o.

Pomy ł a ł a gorzko, e Cole jest na tyle ro zgarni ty, e nawet nie próbuje dosta si znowu do jej ł ó ka. A mo e to s ł o dka, drobna Lai zaspokaja te jego potrzeby.

Erin ani przez chwil w to nie wierzy ł a. Kiedy znajdowali si na stacji, wci by ł obok niej. Spali w jednym pokoju, jedli przy tym samym stole, razem latali helikopterem.

Przysz ł o jej do g ł o w y, e Cole'owi nie chodzi tylko o jej bezpiecze stwo. Mo e boi si zosta sam na sam z Lai.

Usta Erin wygi ł y si w podk ó w k . Cole nie wygl da ł na przestraszonego, kiedy zaskoczy ł a go, jak g ł a s ka ł szyj Chinki. Nie wydawa ł si te podniecony. By ł ... Napi ty, cierpliwy, zaciekawiony, gotowy do skoku.

Jak drapie ne zwierz .

Niepokoj cy dreszcz przebieg ł cia ł o Erin. Cokolwiek zdarzy ł o si kiedy mi dzy nim a Lai, g ł boko wry ł o si w jego dusz . Mo e by ł a to mi ł o , mo e nienawi , albo po ł czenie obu tych uczu . Cole da ł Lai co wi cej ni swoje cia ł o. W zamian otrzyma ł lekcj , e kobiety s tym, za co uwa a ł je Abe: kr ó l o w y mi k ł a m s t w a.

Erin wysz ł a spod w t ł ego cienia akacji na traw . S ł o ce otuli ł o j jak wilgotny, rozgrzany ca ł un. Pot wyst pi ł na sk ó r i zbiera ł si w stru ki mi dzy piersiami i pod pachami. Muchy

nadleciały w beładnej chmarze, ale nie siadały na niej. U ywane przez Australijczyków poł czenie kremu przeciwsłonecznego i rodka przeciw owadom okazało si skuteczne.

łowała, e nie wymy lili jakiego kremu chroni cego przed zabójczym klimatem Kimberley. Ju teraz czuła, e robi si zgry liwa, napi ta i gotowa do wybuchu pod pierwszym lepszym pretekstem. Podejrzewała, e Cole jest w takim samym stanie, ale lepiej to ukrywa. To równie j zirytowało. Zapagn ła skruszy skorup jego opanowania.

- Jak długo trwa pora przej ciowa -zapytała.
- Dopóki nie spadnie deszcz.

Mrukn ła co niecierpliwie.

Cole spojrział na ni spod oka. Jej blada skóra ju si zaró owiła od gor ca i pokryła błyszcz c warstewk potu. Zdj ł kapelusz i wło ył go na mahoniowe włosy Erin.

- Gdzie zostawiła swój kapelusz? Mówiłem ci, e ...
- A ja ci mówiłam, ze nie potrafi pracowa , kiedy co mi dynda nad czołem -odci ła si , wpadaj c mu w słowo. -Poza tym, wiedziałam, e b dziemy na sło cu tylko podczas krótkiej drogi do domu.

Zerwała kapelusz i oddała Cole'owi. Znów wcisn ł go jej na głow .

- No go -poccił. -Dwa tygodnie temu siedziała na lodowcu po drugiej stronie kuli ziemskiej i przygotowywała si do zimy. Teraz weszła do rozpalonego pieca i czekasz na lato. Twój organizm wci jeszcze si nie przestawił.

- Za to twój nie ma takich kłopotów -odparła z niech ci .
- Ja przyjechałem tu z Brazylii. To inny piec, ale taka sama temperatura i pora roku. Przesta marnowa energii na udowadnianie mi, e znosisz ten klimat równie dobrze jak ja. Wiesz, e to nieprawda. I daj mi te cholerne aparaty.

Nie czekał na jej zgod . Szybkim ruchem odebrał jej sprz t.

W milczeniu doszli do budynków stacji. Lai czekała na nich przy stole ustawionym w cieniu pod szerokim białym daszkiem,

który biegł wzdłuż całego tyłu budynku. Dawał cię, a jednocześnie nie pozwolił kształt przestrzeni mieszkalnej. Wielki biały namiot rozbito jakiegoś piętnaście metrów od domu. Mieszkało tam ośmiu Chińczyków. Obsługiwali liczne urządzenia na stacji, a również, jak podejrzewała Erin, byli ich strażnikami.

Lai wyglądała jak figurka ze złotej porcelany; spokojna, delikatna i doskonale zbudowana, co podkreślały jedwabne spodnie i bluzka w kolorze indygo. Grzecznie skinęła im głową

I wycofała się do domu.

- Czy ona nigdy się nie poci? - wymamrotała Erin pod nosem.

- Może się bardzo zmieni do dwudziestego piątego tego roku życia, a potem tylko jeżeli człowiek jest pijany, chory albo ranny. Dlaczego pytasz?

- Myślałam, że to Abe napisał te słowa na odwrocie fotografii.

Cole stanął tuż za Erin i spojrzał na zdjęcie i wiersze. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej zgadzał się z dziewczyną. Wiele liter wykazywało podobieństwo nie tylko dlatego, że nakreślono je w tym samym starannym, wiktoriańskim stylu.

- Był może zgodził się Cole. - Ale czy to ma znaczenie?

- Nie wiem. Tylko wydaje mi się dziwne, że ta fotografia podpisana przez Abe'a, znalazła się u mojego dziadka.

Cole westchnął.

- Nic w tym dziwnego, jeżeli obaj spali z tą samą kobietą.

- Co takiego?

- Nie bądź taka zgorzonna. To twoi dziadkowie, co nie znaczy, że nie byli zwykłymi ludźmi. Twoja babka nie byłaby pierwszą kobietą, która sypiała z jednym, a zarazem z drugim.

- "Królowe zdrady..."

- Właśnie.

- To by wyjaśniało, dlaczego tych dwoje wyjechało do Ameryki.

- Tak. Szczególnie jeżeli Bridget była w ciąży z

niewła ciwym m czynn .

- To mało prawdopodobne -zaprotestowała Erin.
- Dlaczego nie? Antykoncepcja nie była wtedy zbyt rozwinięta, a ludzkie natury ci nie zmieniły się od czasów, kiedy Ewa skusiła Adama tak, że ją zjadł.
- Masz spalone pojęcia o kobietach.
- Mógłbym powiedzieć to samo o twoim pojęciu o mężczyznach.

Erin zignorowała jego słowa, odwróciła fotografię i spojrzała na bliższy, wypływały obrazek.

- Czy to wapie? -zapytała, pokazując dziwnie ukształtowane skały, które sięgały Bridget Mcqueen Windsor do kolan albo nawet do talii.
- Prawdopodobnie.
- A co jest pod ziemią?
- Pewnie te wapie.
- "Koń martwego morza".

Cole jęknął.

- Kiedy zrobiono te zdjęcia, Abe szukał wody dla swojego bydła, nie diamentów.
- A jednak ciekawi mnie, gdzie to było.
- Dlaczego?
- To wygląda jak prawdziwe wzgórze, a jeszcze tu takiego nie widziałam -odparła zwiędle. -Chciałabym zobaczyć, jak wygląda wiat z jego szczytu.

Szare oczy Cole'a wpatrzyły się w fotografię leżącą przed Erin. Szacowały kąt nachylenia zbocza i dopasowywały go do utrwalonych w precyzyjnej pamięci obrazów ze stacji Windsom. W końcu doszedł do wniosku, że Erin ma rację. Żadne miejsce na stacji nie przychodziło mu do głowy. Również położone poza jej granicami działki wyglądały zupełnie inaczej i były jeszcze bardziej płaskie.

- Dziwne -wymamrotał, patrząc jeszcze raz na zdjęcia - to nie może być daleko od obozu albo osady, ponieważ jej sukienka jest wygnieciona, ale nie brudna.

Wzi 1 zdj cie wykonane z daleka, wyj 1 lup z jednej z licznych kieszeni koszuli i uwa nie si przyjrzał utrwalonej na nim scenie.

- A niech mnie. Ten przystojny chłopak to Abe.

- Jeste pewien?

- Widz blizn na lewym nadgarstku. Abe miał wła nie tak pami tk z czasów, kiedy był jeszcze młody i tak głupi, e postanowił złapa na lin bawołu. Zwierz omal go nie zabiło. Miał szcz cie, e nie stracił dłoni.

- Tak t sknie spogl da na Bridget.

- Biedaczysko. Jeszcze nic nie wie.

- Czego nie wie? -zapytała Erin.

- Przecie to takie wyra ne, jak ten chytry, uwodzicielski u mieszek na jej twarzy. Ona pragnie m czynny, który robi to zdj cie, nie Abe'a.

- To musiał by dziadek. Byli dobrym mał e stwem. Została z nim do ko ca ycia.

Cole mrukn 1 co niezbyt pochlebnego. Wolno przesun 1 lup , ogl daj c reszt zdj cia.

- Nie widz tu nic, co by wygl dało na ródło, nie mówi c ju o billabongu. Ale to pora sucha, co znaczy, e w drowali od wodopoju do wodopoju.

- Piesz?

- W takich butach? Kiedy Abe wsz dzie je dził konno, ale potem wypu cił na wolno konie i reszt bydła, eby sobie same radziły. Wtedy, razem z bratem i Bridget, jechali pewnie na koniach, rozbijaj c po drodze obozowiska, robi c zdj cia i szukaj c najlepszego miejsca na dom dla szcz liwej pary.

Gorzka ironia kryj ca si w jego słowach wprawiła Erin w zakłopotanie. Dziewczyna wyczuła, e Cole zalicza j do takich kobiet jak jej babka, Lai i Ewa, które zdradziły zakochanych w nich m czynn.

Tłumaczyła sobie, e Cole jej nie kocha, wi c to porównanie jej nie dotyczy. Poza tym, to nie ona rozgrzebywała stygn ce popioły, eby znale w nich iskry.

Cole wydał okrzyk zaskoczenia, ustawił zdjęcie pod innym kątem, żeby padało na niego wiązki światła, i obejrzał narowny fragment przez lupę.

- Rzeczywiście rozbili tu obóz. Widzę juki i bagaże w cieniu tych odległych drzew. Nie znalazłem ródła ani żadnych roślin, które zwykle rosną w pobliżu wody.

- Może wozili wodę ze sobą.

- W tym miejscu. Woda jest ciemna, a konie duży o pij. Daleko by nie zajechali.

Erin obserwowała Cole'a wpatrującego się z wielkim napięciem w fotografię. Kusiło ją, żeby wzięła aparat i zrobiła mu portret. Jednak tylko sięgnęła po kawę i rogaliki, które przyniósł z kuchni. Jedząc, niedbale przejrzała stronę "Pawia z Antypodów". Kiedy uwiadomiła sobie, co oznacza tytuł, skrzywiła się. Wymioty z Australii. Potem przypomniała sobie, jak diamenty przedostają się pod powierzchnię ziemi - w gwałtownie wydobywającym się z głębin strumieniu magmy.

- Czy Abe miał poczucie humoru? - zaciekała się.

- Pewnego rodzaju. Dlaczego pytasz?

- Czy rozbawiłaby go myśl, że diamenty to coś w rodzaju kosmicznych wymiotów?

Blackburn uniósł czarne brwi. Całą uwagę skupił na Erin, tak że dziewczyna poczuła się jak schwytana w wiązki reflektora.

- Tak - potwierdził. - Masz jeszcze jakie pomysły?

Zawahała się.

- Pomyślisz, że zwariowałam, ale te skałki przypominają mi czarne łabędzie. - Erin wskazała na fotografię, na której Bridget McQueen Windsor stała na wietrznym wzgórzu. Cole przez chwilę się nie poruszał. W końcu wzięła fotografię pod lupę. - Nie - powstrzymała go. - Nie tak. Odłóż szkło i spójrz na zdjęcie tak, żeby nie widział go ostro.

- Jakbym był pijany? - zapytał sucho.

- Dlaczego nie? Przecież Abe niemal cały czas chodził zalanym w trupa.

- Mo liwe, e wygl daj jak łąb dzie -odezwał si po chwili. -Ale pewnie to samo mo na powiedzie o ka dym pa mie wzgórz, na których s kawały zerodowanego, szerniałego wapienia.

- Ale to nie jest jakie tam wzgórze. Na tym wzgórze Bridget Mcqueen u miechała si do m czyzny, który wkrótce miał zosta jej m em, a tymczasem Abe stał z boku i my łął, e ona nale y do niego.

- Mcqueen ... Królowa ... Królowa zdrady. -Cole uniósł jedn brew. -Wszystko si zgadza, ale w tamtych czasach Abe nie odró niłby diamentu od kwarcu.

- Nie wydaje ci si , e miał obsesj na punkcie mojej babki?

- Prawdopodobnie. Nic mu nie pozostało, mo e oprócz zemsty. Tak oszukany m czyzna zwykle chce powetowa sobie krzywd , i to z nawi zk .

Erin patrzyła na fotografi , ale widziała Lai, z jej pi kn twarz i gibkim ciałem. Zdradzona miło łątwa mo e si przekształci w dz zemsty. Erin zerkn łą na Cole'a. Chciała go zapyta , czy to pragnienie zemsty i nienawi łą cz go z Lai, a nie miło . Jednak to byłoby pytanie osobiste, a wi c takie, które sama uznala za niedozwolone.

- Czy jest mo liwe, e Abe cz sto wracał w to miejsce, bo zrobił sobie z niego co w rodzaju dziwacznej wi tyni wspomnie ? -zapytała, ostro nie dobieraj c słowa.

- To wi cej ni mo liwe. Wydaje si bardzo do niego podobne. Je dził tam, upijał si , wspominał i wpadał we w ciekło , a w ko cu był zbyt zm czony, eby czymkolwiek si przejmowa .

Erin ju chciała zapyta , czy on te ma tak wi tyni . W której rozpami tuje zrad , ale w ostatniej chwili ugryzła si w j zyk.

- Ile sióstr i braci ma twój ojciec? -zapytał Cole z roztargnieniem?

Zamrugala.

- Nie ma rodzestwa. Jest jedynakiem.
- Je li si nie mylimy co do Bridget i Abe'a, to chyba zdajesz sobie spraw , co to oznacza?

Zanim Erin zd yła si odezwa , zacytował fragment wierszy Abe'a.

*Przyb d na m ziemi ,
Wnuczko zdradzonej miło ci
Ty krew z mojej krwi.
I ko z mojej ko ci.*

- Jeste wnuczka Abe'a. To ciebie nazywa "owocem zdrady".

- Cudownie -stwierdziła Erin, ale jej ton mówił, e wcale jej to nie cieszy. -Tylko tego mi brakowało, przodka, który postradał zmysły.

Cole u miechn ł si krzywo.

- Nie przejmuj si . Je li nawet Abe miał jakie złe geny, to nie przekazał ich twojemu ojcu. To najzdrowszy, najrozs dnejszy człowiek pod słowem.

Erin przerzuciła kartki z poezj .

*Znajd j , je li potrafisz,
Je li masz odwag i
Tam gdzie czarny łab d go ci
Nad martwego morza ko mi...*

- To jest całkiem jasne. Natomiast nast pnych linijek w ogóle nie rozumiem.

- Jak chcesz, wytłumacz ci to jeszcze raz -zapropował Cole.

- Dzi kuj -odparła szybko. -Wiem ju wystarczaj co wiele na temat nieprzyzwoitych wyra e w australijskim slangu.

- Sama mnie o to pytała .

- A ty ch tnie odpowiedziała . -Skrzywiła si . - Sprowadzamy to do absurdu. Jednak musz przyzna , e Abe potrafił nada słowom podwójne, a nawet potrójne znaczenie. Spójrz tylko na tytuł. Mo e oznacza opini o tych wierszach, opis powstawania diamentów albo okre lenie samych

diamentów. Niezbyt to ładne, ale bardzo zgrabnie pomyłane.

Cole czekał patrząc na Erin. Jej długie, szczupłe palce przesuwają się po kartkach z wierszami, ale oczy patrzą w przestrzeń. Z takim samym skupieniem robiła zdjęcia... I kochała się.

- Jesteś pewien, że ani na stacji, ani na żadnej z działek nie ma jaski? - zapytała w końcu.

- Nigdy się z nimi nie spotkałem.

Erin westchnęła.

- Cóż, miałam taki dobry pomysł.

- Jaki pomysł?

- Gdyby były tu jakieś jaskinie, przechodzące przez kościół martwego morza, to Abe, ze swoim dziwnym widzeniem wiata, mógł postrzeżać wejście człowieka do jaskini jako coś przypominające akt płciowy. Jaskinie uważał za kobiety. Czsto się przecie mówi Matka Ziemia. -Cole popatrzył na nią zaskoczony. -Z literatury w college'u miałam same piski. Słowa były moją pasją. Potem odkryłam fotografię. A poza tym, Abe podobno znał się na dziełach literackich, prawda?

- I to dobrze, ale tylko na trzy tygodnie. Kiedy pili my, recytował mi Miliona i Pope'a.

- Musiałeś się, biedaku strasznie męczyć.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale bardzo to lubiłem. Abe miał zadziwiająco dobry głos. -Erin spojrzała na Cole'a i uświadomiła sobie, że wierzy w jego słowa. Miał bardzo różnorodne zainteresowania. -Jest jednak pewien problem, jeżeli chodzi o taką interpretację jego wierszy -cięgnął Cole. - cię mówi, kilka problemów.

- Jakich?

- Nie ma tu jaski.

- Pewnie są, tylko trzeba je znaleźć.

- Oczywiście -odparł zwięźle. -To nam pozostawia problem samego Abe'a.

- Nie rozumiem.

- "Pijaczyna, wiecznie zalany". Te słowa bardzo dobrze go

opisuj .

- Nigdy nie trze wiał? -zapytała.

- Nie. I to mnie martwi. Pami tasz ostatnie wersy na testamencie? -Erin potrz sn ła głow i zacz ła szuka odpowiedniej kartki. -Nie trud si -powiedział Cole. - *"Królowo kłamstwa, ju si egnamy. A ja jestem królem."* Cały ten spadek to mo e by najwi ksze oszustwo wiata.

- Ale te diamenty s prawdziwe.

- Tak prawdziwe jak mier -zgodził si ponuro Cole.

Sekrety czarniejsze ni mier

I prawda, za któr mog zgin .

Ale do ciebie przemówi ... Dziecko smutku.

- To do ciebie mówi, Erin.

Przyjd do mnie,

Dzieci zdradzonej miło ci.

Tu jest mój grób, tu le moje ko ci.

Wsluchaj si w ich j k

- On ci ofiarowuje mier -dodał.

- Powiniene studiowa literatur . Wyczytałe z tych wierszy wi cej ni ja. -Spojrzała na zegarek Cole'a. -Ile mamy czasu do nast pnego lotu?

Chwil panowała cisza, zanim zareagował na nagł zmian tematu.

- Zrobi przegl d helikoptera.

Odszedł, nie mówi c nic wi cej o mierci i poezji. Erin westchn ła gł boko i wypła łyk kawy. Paruj cy płyn był niewiele gor tszy od otoczenia.

Silnik zbudził si do ycia i zaterkotał równym rytmem.

Nagle zadławił si , znów jaki czas chodził równo, po chwili zawahał si i jeszcze raz wpał w rytm. Min ło kilka minut, zanim umilkł. Cole wyskoczył z kabiny, otworzył pokryw I zacz ł szpera w mechanizmie.

Erin dopijała wła nie drug fili ank kawy, kiedy wszedł pod cie rzucany przez daszek. Z jego ruchów i zaci tej linii ust odgadła, e jest zły. Przyniósł ze sob okr gły metalowy

cylinder.

- Jeden dzie mamy z głowy, a mo e nawet dwa -oznajmił, pokazuj c jej cylinder. Spojrzał na zamglone od upału niebo. W kilku miejscach ju zgromadziły si chmury. Było jeszcze zbyt wczesnie na pocztek pory deszczowej, ale wszelkie znaki wskazywały, e si zbli a. Deszcz mógł spa ju wkrótce, odbieraj c im mo liwo poszukiwania kopalni Szalonego Abe'a a do powrotu pory suchej. -Lai!

Na wezwanie Blackburna zjawiła si tak szybko, e z pewno ci stała tu za drzwiami, czekaj c na polecenie albo podsłuchuj c. A mo e i jedno, i drugie. Cole dobrze o tym wiedział.

- Słucham? -zapytała, patrz c tylko na Cole'a.

- Powiedz Wingowi, eby nam przysłał cały komplet filtrów

paliwa dla helikoptera. Lepiej trzy komplety. Cz ci zapasowe b d cały czas woził ze sob .

Lai skin ła głow i powiedziała co po chi sku.

- Mów po angielsku -nakazał jej surowo.

- Ale przecie dobrze znasz chi ski -zamruczała w odpowiedzi.

- Ale Erin go nie zna.

- To dlaczego jej nie nauczysz, jak ja nauczyłam ciebie?

Było to proste pytanie, ale wypowiedziane głosem wywołuj cym obraz dwojga splecionych w u cisku kochanków, którzy ucz si nawzajem rzeczy, nie maj cych nic wspólnego z obcymi j zykami. Lai równie zmysłowo poruszyła r k , jakby chciała przebłąga albo zatrzymam czynn . Ten gest wydał si tak intymny, e Erin odwróciła wzrok.

- Zadzwo do brata -polecił ostro Cole.

Lai z pozbawion emocji min skin ła głow i wycofała si do wn trza domu.

- Co si stało? -zapytała Erin.

- Paliwo jest zanieczyszczone.

- Co takiego?

Cole odkrucił pokrywki cylindra i wyjął papierowy rołek.

- Dotknij tego.

Przesunęła palcami po papierze, a następnie potarła nimi o siebie. Z początku wydawało jej się, że to tylko czyste paliwo, ale stopniowo coraz wyraźniej czuła na skórze jak dziwne szorstkość.

- Zawsze mogła się spodziewać drobnych zanieczyszczeń. Właśnie dlatego używa się filtrów - wyjął je Cole. - Ale to wygląda tak, jakby cały pył z pobliskich wzgórz znalazł się w przewodach paliwowych.

- Jak to możliwe, że paliwo jest aż tak brudne?

- Być może nie zakręciłem wlewu - oznajmił oboje.

- Mało prawdopodobne.

- Dzięki.

Erin wzruszyła ramionami.

- To prawda. Dbasz o ten helikopter jak kwoka o jedyne piśki.

- On daje nam największe szanse na odnalezienie kopalni przed deszczami. Kto jeszcze o tym wiedział i wyspał się do paliwa.

- Sabotaż?

- Zrobiłbym to sarnie, gdybym chciał utrudnić komuś poszukiwania.

- Albo go zabił, prawda?

- Tak.

Erin podniosła wzrok i aż zadrżała, widząc wyraz oczu Cole'a.

Blackburn był przekonany, że ktoś chce ich zlikwidować.

- To nie jest ostatnia próba - powiedział beznamyślnie. - Uciekaj stąd, Erin. Zostaw kopalnię i stację. Wyjedź z Australii. Nic nie jest warte twojego życia, nawet skarbiec samego Pana Boga.

- W Arktyce nauczyłam się, że ucieczka przed wiatem to jest rodzaj mierci. Przyjechałam tutaj, żeby odnaleźć nowe życie. Zostanę.

Nie słyszał w jej głosie wahania, a oczy patrzyły zdecydowanie. Kłótnia nie tylko na nic by się nie zdała, ale jeszcze pogorszyłaby sytuację. Jeszcze bardziej oddaliłaby ich od siebie i Erin stałaby się o wiele łatwiejszym celem dla zabójcy.

- Kto to zrobił? -zapytała spokojnie, chociaż daleko jej było do spokoju.

- To mogło się stać, zanim paliwo dowieziono na stację. Ale jest bardziej prawdopodobne, że kto to zrobił tu, na miejscu.

Erin bez namysłu wskazała palcem na drzwi, za którymi zniknęła Lai.

- Niewykluczone, ale w tym -odparł Cole. -Nie znaczy to, że Lai nie potrafiłaby zabić. Przecież już raz to zrobiła. Ale rodzina Chen ma nadzieję, że dzięki nam dostanie się na grzbiet diamentowego tygrysa, a Lai dla rodziny zrobi wszystko, co tylko jej każe.

- Lai kogo zabiła? -zapytała przerażona Erin.

- Była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy wuj Li rozkazał jej pozbyć się dziecka i wyjść za mąż za innego człowieka, Chi czyka, który miał umocnić pozycję jej klanu w Kowloon. Zrobiła to bez najmniejszych skrępowań.

- Tak mi przykro -wyszeptała z trudem.

- Dlaczego? Przecież nie było w tym twojej winy.

Potrzebowała tylko głosu. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego bolesne przeżycia z przeszłości Cole'a tak ją raniły. Zanim dobrała właściwe słowa, w drzwiach stała Lai.

- Wing chce z tobą mówić.

Cole spojrzął na Erin.

- Chodź ze mną. Z pokoju nadajnika nie będą ci widzieli.

Chociaż Erin ze zdurnienia rozwarła szeroko oczy, nic nie powiedziała, tylko poszła za Cole'em do rozgrzanego, dusznego wnętrza domu.

- Czy mamy jeszcze jakie problemy? -zapytał Cole Winga.

- Jason Street jest w drodze na stację .
- Cole przecesał czarne włosy palcami i jęknął z niechęcią .
- Co się stało ?
- Podejrzewamy, że Amerykanie rzucili Australijczykowi kołko .
- To niedobrze, Wing. Street był dobrym poszukiwaczem. Zanim założył agencję ochrony.
- Jest jedna pomocna wiadomość . Zdjecia satelitarne nie zapowiadają zmiany pogody. Monsuny jeszcze nie zaczęły się pokazywać .
- To bardzo ważne. Poszukiwania z pomocą samochodu są o wiele wolniejsze niż z helikoptera. Co jeszcze?
- Nie odparł Wing.
- Zastanów się , ponieważ dzisiaj już się z tobą nie połączymy .
- ci le mówi ci, nie będzie się z tobą kontaktował, dopóki nie znajdziemy kopalni albo nie zacznie padać . Jedno z dwojga. Erin ma pewny plan, który chcemy sprawdzić .
- Co na temat kopalni? -ożywił się Chińczyk. -Jesteś ci blisko celu?
- Nie tak blisko, jak byli my, zanim ktoś nie zanieczyści paliwa. Przejrzyj kartoteki swoich ludzi, Wing. Załóż się , a co najmniej jeden z nich pobiera wynagrodzenie z dwóch ród.
- Sprawdź to, ale w tajemnicy . Dobrałem tych ludzi wyjątkowo starannie. Czy to rozsądne, żebyśmy tak długo nie mieli ze sobą kontaktu?
- Erin nie chce zrezygnować z poszukiwań , więc nie mam wyboru. Jedziemy na wyprawę . Nikogo za nami nie wysyłaj. Wiesz, że pogrzeby krewnych wprawiają cię w kiepski nastrój.

Rozdział dwudziesty dziewięć

Słońce i wilgoć zmieniały samochód w saunę z napędem na cztery koła. Zeszłej nocy Erin i Cole obozowali w jakiejś anonimowej okolicy, pod akacją . Obudzili się w upale i ciszy,

poniewa było zbyt daleko od wody, eby przylatywały tam jakie ptaki. Teraz cisz burzył warkot silnika Rovera. Samochód z wysiłkiem pracował w rozpalonym powietrzu. Na równinie mo na było nabra szybko ci. Pies numer cztery był najbardziej efektywn kopalni , wi c prowadziło do niej co w rodzaju drogi. Raz tylko musieli gwałtownie hamowa , kiedy wkrótce po wschodzie sło ca przed mask wyskoczyło im stadko krów. Poza tym jazda przebiegała bez niespodzianek.

- Gdzie pojedziemy po obejrzeniu kopalni? -zapytała Erin. Cole zerkn ł na ni szybko i znów wpatrzył si w drog , która cz sto znikaa mi dzy kopcami termitów i k pami spinifeksu.

- Trzydzie ci kilometrów za kopalni jest miejsce, gdzie tereny stacji ł cz si z działkami dzier awionymi przez Abe'a. Jeszcze nigdy tam nie byłem. Z mapy wynika, e w ogóle nikt tam nie był. Fotografie satelitarne pokazuj wzgórze, które mog sugerowa , e znajdziemy tam utwory krasowe.

- Co to takiego?

- Powstaj , kiedy woda przepływa przez skał . To si cz sto zdarza w zerodowanym wapieniu.

- Czy to oznacza, e s tam jaskinie?

- Czasami.

Mówi c to, patrzył na wska niki na zakurzonej desce rozdzielczej. Systemy elektryczne działały sprawnie. Wielki bak był pełen w trzech czwartych. Cole nie martwił si o benzyn .

Na platformie przymocował zapasowe zbiorniki, które zapewniały im wystarczaj c ilo paliwa na objechanie wszystkich terenów, gdzie mógł wyst pi wapie . Z pewno ci te b d mogli dojecha do stacji, zanim deszcze uniemo liwi poruszanie si po okolicy.

W tej chwili Blackburn bardziej si martwił tym, jak utrzyma Erin przy yciu do nastania pory deszczowej, ni tym, czy znajdzie kopalni . Pojawienie si Jasona Streeta oznaczało, e Amerykanie nie s zgodni co do tego, jak post pi ze spadkiem Erin. Mo liwe te , e inni członkowie kartelu si zjednoczyli i zmusili Faulkner do zgody na przyjazd Streeta.

Jakkolwiek było, życie Erin znalazło się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, a ona miała za mało do wiadzenia, żeby to zrozumieć. Dotychczas jej powięzienia z rzemionami chroniły ją przed otwartymi próbami zabójstwa.

"Zjednoczeni powstanjemy, rozdzieleni upadniemy." Właśnie nie zaczęli padać.

- Silnik jest trochę za gorący, prawda? -zapytała Erin. Widział zmarszczone czoło Cole'a.

- Nic dziwnego. W słońcu jest ponad czterdzieści stopni. Bliżej gruntu, tam gdzie znajduje się silnik, temperatura musi być jeszcze wyższa. -Spojrzał na dziewczynę. -Nie martw się. Rover jest tak zbudowany, że wytrzymałby jeszcze trudniejsze warunki.

- Ale ja nie jestem tak zbudowana. -Erin szarpnęła bawełniany podkoszulek. Ten gest tak wszedł jej w nawyk, jak odganie natarczywych hord much.

- Podoba mi się twoja budowa. Jesteś zgrabna, miękka i słodka. Jak długo jeszcze będziesz mnie karała za coś, co się zdarzyło wiele lat przed naszym spotkaniem?

Przez chwilę Erin nie wierzyła własnym uszom. Potem dotarło do niej, co usłyszała. Policzki zarumieniły się jeszcze mocniej, a serce zaczęło szybciej bić. Od czasu, kiedy przestali razem sypiać, jeszcze bardziej czuła bliskość Cole'a.

- Gdyby to ty zobaczył mnie w czułym uścisku z byłym kochankiem, co byś sobie pomyślał? -zapytała w końcu.

Zapadła długa cisza.

- Spróbuj mi zaufać -oznajmił Cole z mocą.

- Nie byłabym z tobą sama na samą w tym rozpalonym piecu, gdybym ci nie ufała.

Cole zastanowił się nad jej odpowiedzią i uświadomił sobie, że Erin mówi prawdę.

- W takim razie, dlaczego traktujesz mnie tak chłodno?

- Chłodno? W tym przeklętym klimacie.

- Wiesz, o co mi chodzi -odparł sucho.

- Powiedzmy, że to okres dostosowawczy.

- Co to znaczy?

- To znaczy, e nie mam tyle do wiadczenia, co inne kobiety w moim wieku -wyja niła szczerze. -Je li chodzi o moje oczekiwania wobec kochanka, jest tak, jakbym miała dziewi tna cie lat i głów pełn marze . Oczekuj , e dla m czynny, który si ze mn kochał, b d jedynym obiektem zainteresowania, tak jak i on dla mnie. To dziecinne, ale taka jestem.

Po raz pierwszy od wielu dni Erin zdecydowała si rozmawia na tematy osobiste. Cole zerkn ł na ni , jakby chciał j zach ci do dalszych zwierze . Wykonała jaki nieokre lony gest i znów szarpn ła wilgotny podkoszulek.

- Kiedy si zrównam z kobietami z mojego pokolenia, b d umiała odda ciało jakiemu atrakcyjnemu m czy nie, ale zachowa dla siebie dusz . Na razie nie potrafi tego rozdzieli . Patrz na ciebie i widz , e jeste tak gł boko emocjonalnie zwi zany z Lai, e ja nie mog z ni konkurowa .

- Chyba oszalała -odparł chłodno. -Ja jej nie Kocham.

- Nie powiedziałam, e j Kochasz. Nienawi ł czy równie mocno jak miło . Niewa ne, czy j Kochasz czy nienawidzisz. Lai ma ci w gar ci.

- Cholera! -Cole zdj ł kapelusz z szerokim rondem, otarł z czoła pot, który zalewał mu oczy, i z rozmachem wło ył z powrotem kapelusz. -Czy nie widzisz, jak łatwo dajesz sob manipulowa rodzinie Chen? Jeste jak jagni mi dzy do wiadczonejmi wilkami, a ja ci przysi gam, e nie pozwol im ci po re . Gdybym pragn ł Lai, to teraz byłbym z ni w łó ku. Nie chc jej. Pragn ciebie. I wiem, e te mo esz mnie pragn .

Erin wci gn ła mocno powietrze, a poczuła ból w gardle.

- Ju o tym kiedy rozmawiali my. Nie we miesz mnie sił . Oboje to wiemy.

- To zostawia mi jeszcze całe mnóstwo innych mo liwo ci. Pomy l o tym, Erin. Ja wiele nad tym rozmy lałem.

Jechali w ciszy przez upał i wilgo . Słupy rozgrzanego powietrza unosiły si z ziemi, tworzc pr dy i wysysaj c par

wodn z nad Oceanu Indyjskiego. Nie ko cz ca si rzeka chmur rozszerzała si coraz bardziej, wolno pochłaniaj c całe niebo. Wtedy klimat stawał si nie tylko trudny, ale wr cz nie do wytrzymania. Deszcz jakby wisiał w powietrzu, a błyskawice przecinały odległe horyzonty. Kurtyna wodna opuszczała si z chmur, ale nie dosi gała rozpalonej ziemi, Wyparowuj c wysoko w powietrzu. W takiej porze ko cz si przyja nie i rozpadaj mał e stwa, ludzie zapadaj na troppo i zabijaj si nawzajem.

"Podzieleni upadniemy."

eby temu zaradzi , Cole mógł zrobi tylko to, co zrobił: zabra Erin i znikn w rozpalonym, dusznym interiorze.

Zanim droga zacz ła odchodzi od równiny pokrytej kopcami termitów, zbiegających od lepu na ptaki, Cole zahamował. Pedał zareagował leniwie, ale go to nie zaskoczyło. W systemie hamulcowym był niewielki przeciek, od czasu kiedy Rover wypadł na pobocze uciekaj c przed poci giem drogowym. Cole nacisn ł dwa razy i pedał znów reagował prawidłowo.

Samochód zatrzymał si przy kopcu wysoko ci m czynny.

Cole wyskoczył zza kierownicy zabrał młotek i zacz ł odłupywa kawałki ze szczytu kopca. Pod biał warstw kopiec miał jasnordzawy kolor. Erin wzi ła aparat, wyszła z samochodu i skrzywiła si od sło ca, które uderzyło w ni z now sił . Zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie mi dzy termitierami. Po kilku minutach zapomniała o bezlitosnym upale. Pracowała nad znalezieniem odpowiedniego k ta uj cia i przesłony, eby uwieczni obcy, roz wietlony kraj, gdzie miliardy insektów wybudowały wysokie miasto z ziemi i błota.

Cole sko czył zbiera próbki z ró nych kopców i rozejrzał si za Erin. Nigdzie jej nie dostrzegł.

- Erin! -zawołał. -Gdzie jeste , do diabła?

Leniwy, rozgrzany wietrzyk poruszył spinifeksem. W skie, szorstkie d bła zaszele ciy cicho ..

- Erin!

- Za minutk ! -odpowiedziała.

S dz c z głosu, znajdowała si kilkadziesi t metrów od niego, ukryta mi dzy wysokimi kopcami o szerokich podstawach. Cole spojrział na zegarek. Na badaniach termitier upłyn ła mu godzina. Miał nadziej , e Erin sp dziła ten czas z wi kszym po ytkiem ni on. Podniósł kapelusz i otarł twarz koszul khaki. Od góry do samego dołu materiał ju był ciemny od wilgoci. Cole rozpi ł guziki, wytarł koszul tors i rzucił j na fotel samochodu.

- Czas jecha ! -krzykn ł. Nie było odpowiedzi. -Erin!

- Ju id ! Daj mi jeszcze chwil !

Dziesi minut pó niej Cole zacz ł kr y mi dzy kopcami, a znalazł Erin pochylon nad aparatem. Kapelusz le ał na ziemi obok niej. Patrzyła przez celownik, niepomna na otoczenie. Cole podniósł jej kapelusz i stan ł w pobli u, eby zaczeka , a sko czy rolk filmu. Potem stan ł przed obiektywem i wcisn ł jej kapelusz na głow .

Erin zaskoczona podniosła wzrok. Dopiero teraz zauwa yła, e nie jest sama.

- No ten cholerny kapelusz -upomniął j rozdra nionym głosem. -Kiedy fotografujesz, nie my lisz o niczym innym. Gdyby mnie tu nie było, zasłabłaby od sło ca, zanim zd yłaby si zorientowa , e co jest nie w porz dku. Wbij sobie wreszcie do tej upartej mózgownicy, e to nie jest Alaska. Tutaj sło ce to wróg. Zrozumiała ?

- Tak. -Erin zawahała si i spytała: -Jak długo tu stoisz?

Spojrział na zegarek.

- Siedem minut.

- Ale mi nie przerwałe . Dlaczego.

- Nie zagra ało ci bezpo rednie niebezpiecze stwo. Wolałem zaczeka , ni ryzykowa , e zepsuj jak "Niepewn wiosn ".

Przez chwil Erin my lała, e Cole artuje. Kiedy zdała sobie spraw , e tak nie jest, zrobiło jej si bardzo przyjemnie. Poczwała si rozbrojona.

- W tpi , czy na tym filmie jest jaka "Niepewna wiosna", ale dzi kuj .

- Zawsze wiesz, jaki b dzie efekt twojej pracy.

Erin potrz sn ła gów .

- Nie. Wła nie dlatego tak starannie przechowuj filmy. Ka de uj cie jest jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne. Mogłabym sp dzi całe ycie w Arktyce i nigdy nie zrobi drugiego takiego zdj cia jak "Niepewna wiosna". Podobnie, mogłabym długo mieszka w Kimberley i nigdy nie dozna takich wra e jak teraz, nie wymy li takich uj .

- Tak przypuszczałem. -Cole spojrział na Erin z mieszanin rozbawienia i irytacji. -Jednak nast pnym razem, kiedy zobacz , e stoisz w sło cu bez kapelusza, nie b d czekał a ci si sko czy klisza. -Bez ostrze enia nacisn ł kciukiem jej rami i sprawdził, jak długo utrzymuje si jasny ład po dotkni ciu. - Kiedy ostatni raz smarowała si kremem z filtrem? .

- O wicie, kiedy kazałe mi to robi -odparła chłodno.

- Najwy szy czas robi to znowu. Nawet wewn trz Rovera...

-... Odbite promienie słoneczne mog spali moj szkocko-irlandzk skór na w giel -doko czyła za niego Erin. Kiedy zobaczyła, e nerwowo zacisn ł wargi, dodała: -Wiem, e to nie arty. Na przyszło b d o tym pami ta .

- Przepraszam -o wiadczył sucho. -Zwykle nie jestem taki nerwowo, nawet w czasie pory przej ciowej. Ty masz dar wyprowadzania mnie z równowagi. Chod my. Schowajmy si przed tym cholernym sło cem.

- Szkoda, e nie mo emy prowadzi bada w nocy - powiedziała Erin, zmierzaj c do samochodu.

- I tak nic nie znale li my, wi c mo e nie robiłoby to adnej ró nicy.

- A co ty w zasadzie robiłe ? M ciłe si na tych małych stworzonkach?

Cole uderzył szpiczastym ko cem młotka w pobliski kopiec i chwycił osypuj ce si grudy ziemi. Roztarł je na dłoni i

pokazał Erin.

- Ziemia -stwierdziła.
- Nic innego -odparł, prowadz c j do samochodu.
- I co z tego?
- Teraz wiem, e do gł boko ci od dwunastu do trzydziestu metrów le y warstwa lu nej, raczej jednorodnej gleby. Nic ciekawego, chocia jeszcze sprawdz pod mikroskopem, eby mie całkowit pewno .

Erin zamrugła powiekami.

- Te owady schodz na gł boko trzydziestu metrów?
- To jedyny sposób, eby uciec przed skwarem.
- Zapami tam to sobie. A czego szukałe ?
- Minerałów wskazuj cych na istnienie zło a diamentów lub zaokr glonych ziaren krzemionki, mówi cych, e tu znajdowały si kiedy pla e albo brzegi rzek.

Popatrzyła na bezkształtn , brzydk termitier .

- Czy stukanie w te kopce to wiarygodny sposób bada geologicznych?
- Wła nie tak Lamont odkrył kopalnie diamentów w Orapa, w Botswanie.

- Jeste pewien, e nie wró ył z wn trzno ci koguta przy wietle ksi yca? .

Cole u miechn ł si krzywo, wytarł dłonie o szorty i wszedł do samochodu.

- Geologia to nauka, a nie obrz dy voodoo.

Spojrzała na niego z ukosa i odpowiedziała u miechem.

- Je li to nauka, to ja jestem dobr wró k -stwierdziła otwieraj c drzwi Rovera.
- Mo esz mnie zaczarowa , kiedy tylko chcesz.

Erin starała si nie zareagowa na ripost Cole'a, ale trudno jej było si powstrzyma . Parskn ła miechem potrz saj c głów , ale zaraz sykn ła z bólu, kiedy dotkn ła udami rozgrzanego w sło cu fotela samochodu.

- Podnie si -powiedział Cole.

Rozło ył na jej fotelu swój koszul . Kiedy cofał r k ,

poczuła na udach jej lekki dotyk.

- Spróbuj teraz.

Usiadła ostro nie.

- Lepiej?

- Tak. Dzi kuj . -Spojrzała na Cole'a. Nogi, pokryte ciemnymi włosami, równie miał zupełnie nagie. -Jak ty to wytrzymujesz?

- Tak samo jak ty mróz na Alasce. Przyzwyczailem si . Co nie znaczy, e to lubi . Ch tnie oddałbym komu por przez ciow i jeszcze dopłacił.

Erin spojrzała na niego i roze miała si .

- A tak jej nie lubisz?

Droga zбочyła z monotonnej równiny, zmierzaj c ku niewidocznemu celowi. Dopiero obejrawszy si za siebie, Erin zdała sobie spraw , e teren lekko si wznosi i staje bardziej pofałdowany.

Nagle przejechali przez niski grzbiet i znale li si mi dzy dwoma niewysokimi, mniej wi cej równoległymi ła cuchami wzgórz, łagodnie wyrastaj cymi z równiny. Znow pojawiły si karłowate eukaliptusy i akacje, a czasami dziwaczne baobaby. Spinifeks był tu troch g stszy, ale nadal trudno to było nazwa morzem traw. Erin wyprostowała si w fotelu i t sknie spojrzała w stron koronkowego cienia pod drzewami.

- Za kilka kilometrów si zatrzymamy -oznajmił Cole. Na tej oficjalnej mapie wiele nie wida , ale teren si wznosi o około sto pi dziesi t metrów. Jest tutaj w wóz, który chciałbym zbada . Znajduje si na granicy mi dzy obszarami piaskowca i wapienia.

- Czy tutaj s te twory ... Jak im tam?

Cole u miechn ł si , słysz c podniecenie w głosie Erin.

- Krasowe. One s troch dalej.

- Wi c nie b dzie tu jaski ?

- Nie słyszałem, eby tu były, ale te nigdy nie badałem tej okolicy. Poprzednio jechałem do Psa numer cztery inn drog .

Erin spojrzała na niego ciekawie.

- Kiedy ostatnio byłe w Kimberley?
- Jaki czas temu.
- Po co?
- Jestem poszukiwaczem.
- Znalazłe co kiedy ?
- To i owo -odparł. Musiał dzieli uwag mi dzy coraz bardziej wyboisty szlak a okolice, których nigdy przedtem nie widział.

- Mo e diamenty? -dopytywała si Erin.
- Troch .
- Złoto?
- Gdzieniedzie.

Erin zacisn ła wargi.

- Wiesz, za ka dym razem, kiedy pytam ci o pobyt w Kimberley, zmieniasz temat albo zamykasz si jak ostryga.

- Zrozum, jestem zaj ty prowadzeniem, a jednocze nie musz si zastanawia , jakie warstwy geologiczne kryj si pod powierzchni . Czy chcesz si dowiedzie czego konkretnego, czy po prostu masz ochot sobie pogada ? -zapytał bez ogródek.

Erin wzi ła koszul khaki, na której siedziała, i osuszyła ni twarz.

- Jak diamenty i testament dostały si w twoje r ce?
- Teraz ju chyba troch za pó no na podejrzliwo .
- Lepiej pó no ni ...
- ...wcale -Cole z ironi wpadł jej w słowo. Zacisn ł r ce na kierownicy i pomy łał o chudej szyi wuja Li. -Ka dy, kto kiedykolwiek miał jak działk w Australii Zachodniej, sp dził jaki czas na stacji Abe'a. Na wy ynie Kimberley Abe mógł uchodzi za człowieka renesansu. Górnik, znawca literatury, hodowca, szpieg. Imał si wielu zaj .

- Szpieg? -zapytała z niedowierzaniem.
- To chyba u was rodzinne.

Erin nie dała si odwie od tematu.

- Je li tyle o nim wiesz, to musiałe go dobrze zna .
- To zarzut czy pytanie?

- Co wolisz.

Zapanowała elektryzująca cisza.

- Którego roku razem przeczekiwali my wczesną porę deszczową - powiedział w końcu Cole.

- Dlaczego mi o tym przedtem nie powiedziały ?

- Nie pytałaś. - Spojrzał na nią szybko i uważył. - Abe nie wie. To, co razem przeszli my, nie ma żadnego wpływu na to, co teraz robi. Moja przeszłość nie ma wpływu na obecną sytuację. Przestała więc odnosić się podejrzliwie do jedynej osoby na wybrzeżu Kimberley, który jest po twojej stronie. Martw się lepiej najnowszym graczem, włączonym do rozrywki przez kartel diamentowy, Jasonem Streetem.

- A ty się nim martwisz?

- Byłbym głupi, gdybym go zlekceważył.

- Czy dlatego wyjechaliście wy ze stacji?

- Mówi się o innych. - Cole wzruszył ramionami. - Ale zyskamy na tym tylko dwie lub trzy osoby. Street zna Kimberley lepiej niż każdy inny biały człowiek. Aborygeni go czczą, tak samo jak kiedyś Abe. Oczywiście cie, ze strachu, a nie z miłości.

Erin rozejrzała się po pustej, rozległej okolicy.

- Mamy gdzie się ukryć.

- Tutaj jest ograniczona liczba wodopojów. Street zna ich więcej niż ty. A jeśli któregoś nie zna, aborygeni mu go wskażą. Próbujcie czytać mapy, może tam znajdziecie. Prawdopodobnie próbujcie tam.

- W takim razie po co wpakowaliście nas w ten cholerny piekło?

- Tutaj wiem, że każdy napotkany człowiek jest wrogiem. Na stacji nie miałbym takiej pewności. Wahanie byłoby fatalne w skutkach. - Popatrzył na Erin. - Mogłbym w ciągu czternastu godzin umieścić cię na pokładzie samolotu. Nadal chcesz szukać diamentów?

- A jak myślisz?

- Przede wszystkim widzę, że przetrwałeś na lodówce stojącej w pełnym słońcu.

Erin krzyknęła z przerażenia i odwróciła się. Tkanina odbłaskowa, którą nakryła lodówkę, zsunęła się. Dziewczyna ułożyła srebrny materiał na miejscu.

- Łódź i tak się w końcu rozpuści - powiedział Cole. - Co się wtedy stanie z filmami?

- Nic, jeżeli będzie uważyła. Emulsja nawet w takim upale się nie rozpuści. Nie można ich tylko wystawić na słońce. Torba w której noszę filmy podczas robienia zdjęć, jest izolowana.

- Ile rolek już wykorzystała?

- Niewiele.

Uśmiechnęła się lekko.

- To znaczy ile?

- Mniej, niż bym chciała. Kiedy pracuję, czuję, że zużywam cały film w ciągu pięciu minut.

- Nic dziwnego, że zapełniła tę lodówkę a po brzegi. Masz tam z dziesięć kilogramów rolek.

- A ty masz z dziesięć kilogramów naboju do strzelby.

- Jeżeli mi ich zabraknie, będę strzelał z twoich filmów.

- Szkoda, że mnie naboje na nic się nie przydadzą. Ile czasu będziemy podróżować owa?

- Do nastania pory deszczowej.

- A kiedy to będzie?

- Jak spadnie deszcz.

- Dzięki. Staram się oszczędzać dni gospodarowania filmami, ale kiedy robi zdjęcia, o wszystkim zapominam. Każda scena wydaje mi się zupełnie nowa. Boję się, że jeżeli jej nie uwiecznię, nigdy już czego takiego nie zobaczę.

Cole lekko dotknął jej policzka.

- Ja czuję to samo, kiedy badam okolice. Zdaje mi się, że wszędzie są ukryte skarby, które tylko czekają na odkrywcę.

Zanim Erin zareagowała na przelotną pieszczotę, Cole cofnął się i skupił się na coraz trudniejszym terenie. Zagryzła wargę i starała się nie zwracać uwagi na przytłumione bicie serca, wywołane czymś, tak zwyczajnym, jak dotyk jego palców. Skoncentrowała się na obserwacji okolicy.

- Zobacz! Kangury! -zawołała nagle.

Blackburn zerknął na prawo.

- Nic podobnego.

- Jak to? Oczywiście, że to kangury. Nic innego tak nie skacze.

- Ale skąd. Zapytaj któregośkolwiek Australijczyka. Powie ci, że to są albo "kangi", albo "roos". Wydaje mi się, że roos, Kangi występują dalej na wschód.

Erin prychnęła rozbawiona. Towarzystwo Cole'a sprawiało jej coraz więcej przyjemności. Zawsze tak było, kiedy zapominała o narzuconej sobie rezerwie i zaczynała reagować naturalnie. On również zachowywał się w naturalny sposób i niczego nie udawał.

Powtarzała sobie, że jest nieumiejętna, ale to nic nie pomagało. Dziesięć minut później Rover zwolnił i zatrzymał się w cieniu pod niskimi skałami. Cole wysiadł, sprawdził poziom płynu hamulcowego i zakręcił zbiornik.

- Jakie kłopoty? -zapytała.

- Wycieka nam trochę płynu, ale tak mało, że nie musimy się martwić. Mam pięć litrów zapasu w skrzynce na narzędzia.

Otarł czoło ramieniem, poprawił kapelusz i spojrzał w niebo. Upał i wilgo sprawiały, że nabrało wietlistego srebrnoszarego koloru, charakterystycznego dla tropików. Zobaczył w pobliżu drogi wyschnięte koryta strumienia, którym w porze deszczowej spływał nadmiar wody. Teraz było zupełnie suche, tak jak się spodziewał.

- Obejrzyj ściany tego koryta. Jeśli obiecasz, że nie zaczniesz robić zdjęć, pozwól ci zostać w cieniu samochodu. Jeśli nie, to idziesz ze mną.

- Dlaczego nie wolno mi robić zdjęć?

- Nie chcę stracić pół godziny na poszukiwania. Tutaj bardzo łatwo się zgubi.

- Idź z tobą. I zabieram aparat.

Cole badał ściany wyschniętego koryta, a Erin wchłaniała płaszczyznę, cienie i kolory krajobrazu. Stopniowo ogarniało ją

subtelne zauroczenie. Tylko raz w życiu do wiadczyła podobnego uczucia, kiedy zaczęła doceniać piękno Arktyki, nie porównując jej z innymi krainami.

Gdy tylko przestała doszukiwać się w Kimberley znajomych kształtów i barw, surowe, odczłowieczone piękno wyłożyło w pełni do niej dociera. W ciekły ran dnia równoważyły mroki nocy, zalegające od horyzontu po horyzont, nie zakłócone wiatłami miasta. Rzadko rolinno ci wynagradzały pełne gracji zarysy eukaliptusów i łagodny szelest spinifeksu. Nie było tu wiele zwierząt, ale te, które przetrwały, zaskakiwały kształtem i oryginalnym sposobem poruszania się.

Panował absolutny spokój piękniejszy od muzyki, urzekający bardziej niż łatwe do uchwycenia piękno wody, traw czy lasów. Głęboka cisza przemawiała do duszy Erin.

Zdała sobie sprawę, że Cole stoi obok i przygląda się jej.

- Wreszcie do ciebie dotarło, prawda? -zapytał.

- Co takiego?

- Piękno tego kraju.

- Tak. Jest niezwykle -odpowiedziała szczerze. -Mimo tego piekielnego klimatu.

- Jak Arktyka w zimie.

Wolno skinęła głową.

- Uwaga cięgnęła stłumionym głosem. -Jeśli się zakochasz w tej ziemi, nic innego cię nie zadowoli. Za kołem polarnym jest wiele krain, ale w Kimberley jest tylko jedna. Czego podobnego nie znajdziesz nigdzie na świecie. Gdziekolwiek pojedziesz, ten krajobraz będzie cię przywodził.

Erin wpatrzyła się w Cole'a.

- Kochasz to miejsce.

- Ale nie w porze przejeżdżającej. Chociaż czasami nawet i wtedy.

- Dlaczego stąd wyjechałaś?

- Szukałem diamentów w kolorze twoich oczu. Jeszcze kilku tygodni temu myślałem, że znajdę je w Brazylii.

- A tutaj są diamenty?

Umiechnęła si smutno.

- W tym ło ysku nie znalazłem nic interesuj cego. Je li nawet s tu jakie warstwy, pozostawione przez rzeki z paleozoiku albo przez plaie, to tutaj nic nie wida . -Kiedy doszli do samochodu, zapytał: -Masz ochot poprowadzi ? Chciałbym obejrze okolic przez lornetk .

- Mo esz nawet si przespa . Uwielbiam prowadzi .

- wietnie. Pedał hamulca troch lu no chodzi, wi c pami taj, e musisz nacisn dwa albo trzy razy.

Droga do kopalni wznosiła si wolno po długim, łagodnym grzbiecie, dzi ki czemu Erin mogła przeje na trzeci bieg. Miała troch kłopotu z oporn skrzyni biegów, ale jako sobie poradziła. Zmieniała biegi, stopniowo nabieraj c szybko ci. Cieszyła si wiatrem wpadaj cym przez okno.

- Nie za szybko? -zapytała.

- Mo esz jecha tak szybko, jak chcesz. Wokół nie widz nic oprócz piaskowca.

Droga pi ła si w gór , przeci ła kolejny szczyt i nagle zacz ła zbiega w dół, do w wozu, który musiał mie ponad trzysta metrów gł boko ci.

- Mój Bo e -j kn ła Erin i szybko przeszła na drugi bieg.

- Wjechali my na szczyt góry.

- ci le mówi c, wspi li my si na główne wzniesienie niewielkiego ła cucha. Na Alasce nikt by tego nie nazwał górami.

- Nic nie szkodzi. W ko cu zrozumiałam, e nie jestem na Alasce. -Spojrzała na drog wij c si seri stromych zakosów. - Czas troch zwolni .

Dotkn ła pedału hamulca praw stop i poczuła, e dobija go do podłogi. Nacisn ła kilka razy, ale nie poczuła oporu.

- Nie mamy hamulców -powiedziła zdenerwowana. - Spróbuj wrzuci jedynk .

Oboje wiedzieli, e jad zbyt szybko jak na pierwszy bieg.

Ale jednocze nie tylko tak mo na było nieco przyhamowa rozp dzony samochód. Erin wcisn ła sprz gło i próbowała

przesun d wigni na pierwszy bieg. Jad cy teraz na luzie samochód nabierał pr dko ci jak rozszalała lokomotywa. Ze skrzyni biegów wydobył si rozdieraj cy zgrzyt metalu. Erin jeszcze raz wcisn ła sprz gło. Znowu metal zazgrzytał o metal. Jeszcze raz powtórzyła manewr, z tym samym efektem.

- Wró na dwójk -poradził Cole.

Ona doszła do tego wniosku w tej samej chwili. Zanim jeszcze przebrzmiały jego słowa, nacisn ła sprz gło i przesun ła d wigni z powrotem na drugi bieg. Pu ciła sprz gło. Silnik rykn ł, samochód zadr ał, ale po chwili wszystko si wyrównało. Nadal jednak jechali o wiele za szybko jak na gwałtownie schodz c w dół drog .

Kilkaset metrów przed nimi droga zakr cała ostrym zakosem. Oboje w jednym momencie zdali sobie spraw , e Rover nie utrzyma si drogi i runie w przepa .

Cole ju si gał po kierownic , ale Erin uprzedziła go i skr ciła gwałtownie w prawo, gdzie w ród piaskowcowych głązów rosła k pa eukaliptusów. Samochód ci ł jedno drzewo tu przy ziemi, zgarn ł je na stalow szyn i wyrzucił w powietrze. Drugie drzewo z cienkim zgrzytem otarło si o karoseri po stronie kierowcy. Trzeci eukaliptus był najgrubszy. Rover uderzył w niego i zatoczył si na głąz. Erin znowu szarpn ła kierownic i samochód obit si o dwa kolejne eukaliptusy. Tymczasem zmniejszył pr dko ju na tyle, e mogła wrzuci jedynek i zwolni .

Ostatnie drzewo, na które wpadli, zadr ało, ale si nie zламаło. Kurz, gał zie i li cie uniosły si wokół nich. Silnik zamarł. Erin przerzuciła d wigni na wsteczny, a Cole zaci gn ł r czny hamulec.

Wokół stało si bardzo cicho. Piach kł bił si w kabinie Rovera. Erin spojrzała na Cole'a.

- Co, nie b dzie adnych dowcipów o kobiecie za kierownic ? -zapytała roztrz siona.

- Dałbym ci si zawie na koniec wiata -odparł. -Chcesz zjecha na dół, czy mam ci zast pi .

- Z przyjemno ci si z tob zamieni .

Uruchomili samochód i zjechali na dno w wozu; Erin troch ochłon ła. Była całkiem wyczerpana. Kiedy Cole zaparkował na płaskim terenie, westchn ła z ulg . Wszedł z samochodu, wyj ł ze skrzynki z narz dziami ma ł latark , półokr gły klucz, rubokr t, kilkadziesi t centymetrów cienkiej gumowej rurki i znikn ł pod Roverem.

- Tylko mi si nie wa nigdzie odchodzi i nie zaczynaj fotografowa -powiedział.

Erin podskoczyła, poniewa g łos rozległ si tu pod ni .

Z poczuciem winy schowała aparat do torby. Po chwili wzi ła lornetk i wspi ła si po przednim zderzaku na platform nad kabin . Znalazła stosunkowo wygodne miejsce mi dzy kanistrami z benzyn a zapasowymi kołami. Było tam chyba wiele wygodniej ni na ziemi, o czym wiadczyły przekle stwa, wydobywaj ce si spod samochodu. Włó yła kapelusz i zacz ła ogl da okolic przez szkła.

Nic si nie poruszało, oprócz rozedrganego od upału powietrza. Od czasu do czasu zrywał si lekki wietrzyk, nie daj cy adnej ochłody. W wóz i równina na jego drugim ko cu były zupełnie puste. Nie widziała bydła ani kangurów, ani ptaków, tylko skały i drzewa, niewiarygodne w tych trudnych warunkach.

Erin odsun ła lornetk od oczu. Jej wzrok przyci gn ł jaki ruch w pobl u. Popatrzyła na punkt odległy od niej o trzydzie ci metrów.

- Cole? -zawołała. Odpowiedział jej głuchy pomruk. -jak wygl daj australijskie jadowite w e?

Spod samochodu wysun ła si głowa, a za ni ubrudzony smarem tors. Szorty Cole'a i tył jego nóg przybrały rdzawy kolor ziemi. W r ce trzymał kawałek czarnej rurki. Spojrzał na Erin, która siedziała po turecku na zapasowej oponie i patrzyła przez lornetk . Dziewczyna pokazała mu w a, pełzn cego po ziemi. Był jasnobr zowy, a jego brzuch połyskiwał na niebiesko. Migotliwe błyski przemykały po całym, jakby wie o

wypolerowanym, półtorametrowym ciele, kiedy gad wił si z leniw ,pełn siły gracj prawowitego mieszka ca tej okolicy.

- Niektóre z nich dokładnie tak wygl daj -powiedział Cole.

- Jest niebezpieczny?

- Jak diabli.

- Cholera. Chciałam podej bli ej i go sfotografowa .

- Dlaczego?

- Spórz na ten kontrast mi dzy błyszcz cymi łuskami i ziemi , na te idealne łuki jego ciała na tle kanciastych skał. To jedyny wykwit ycia w ród kamieni i piachu... -Wzruszyła ramionami. -Jest pi kny.

- To królewska mulga, jeden z najbardziej niebezpiecznych w y na ziemi. Trzymaj si od niego z daleka - nakazał surowo. -Pi kny! -powtórzył ironicznie. -Mogłem tego oczekiwa . Ka dy, kto wierzy w dobre wró ki, musi mie jakie inne dziwactwa.

Erin spojrzała na rurk , któr trzymał w r ku.

- To na pewno wygl da brzydko. Nie mam co do tego adnych w tpliwo ci.

- W dodatku mogło si równie okaza miertelnie niebezpieczne -oznajmił Cole, przeci gaj c si . -Od zderzenia z kopcem termitów za Fitzroy Crossing mieli my niewielki wyciek. Zacisk przytrzymał cy rurk wbił si w gum , przetarł w niej dziur i cały płyn si wylał.

- I co teraz? - Zapytała. -B dziemy wolniej jecha i modli si , eby nie trzeba było hamowa ?

- Nie ma problemu. Kimberley to zabójczy teren dla samochodów i dlatego wszyscy tu wo ze sob zapasowe przewody i płyn hamulcowy. Wymieniłem zniszczon rurk i sprawdziłem, czy nie ma innych przecieków. Kiedy napełni zbiornik, ruszamy dalej.

- Dzi ki Bogu. Wcale mi si nie u miechała dalsza droga piechot .

- W porze przej ciowej? To byłoby bardzo trudne.

Przeszłaby najwyżej trzy kilometry.

Cole poszedł na tył Rovera, otworzył skrzynię z czarnymi zapasowymi, wyjął duży kanister z płynem i potrząsnął nim. Był prawie pełny. Wrócił do maski, otworzył ją i odkręcił zbiorniczek. Miał w pamięci zanieczyszczone paliwo do helikoptera, więc wylał kroplę płynu na dłoń i potarł palcami. Nie wyczuł ziaren piachu.

Jednak po kilku minutach palce zaczęły go piec. Powstał dym w kanistrze. Oprócz jego charakterystycznego zapachu, wyczuł coś jeszcze.

- A to drażniące.

Wytarł palce o ziemię i wylał zawartość kanistra do wyschniętego kanału odpływowego na poboczu drogi.

- Co się stało?

- Kto dodał trochę substancji do płynu hamulcowego.

Gdybym go wlał do zbiornika, w całym Kimberley nie znalazłbym wystarczającej ilości rurki na wymianę.

Erin spojrzała na pusty pojemnik.

- Jak daleko dotrzemy bez hamulców?

- O wiele bliżej niż z nimi.

Przeszukał pudła z zapasami. Wyjął kilka butelek, obejrzał i schował z powrotem. W końcu znalazł wielką butelkę mydła w płynie. Erin patrzyła z niedowierzaniem, jak wlewa je do pustego zbiorniczka. Kiedy skończył, dokręcił wieczko i uśmiechnął się.

- Płyn to płyn. Ten jest trochę ciśnień wyciągnięty, ale spełni swoje zadanie. -Uśmiechnął się krzywo. -Pociesz się, ale będziemy mieli najczystsze przewody hamulcowe w całej okolicy.

- Na jak długo nam to wystarczy?

Wzruszył ramionami.

- Pierwszą o tym przekonamy.

Rozdział trzydziesty

Następnego dnia wyruszyli w okolice położone za kopalnią, gdzie istniało prawdopodobieństwo znalezienia wymytych przez procesy krasowe jaski. W miarę zbliżania się dusznego, obezwładniającego popołudnia, chmury napływały w skłębionych ławicach, obiecując deszcz, który jednak nie nadchodził. Erin patrzyła tęsknym wzrokiem na niebo, w nadziei, że zobaczy zapowiedź ulewy, która zakończy przytłaczający, wilgotny upał pory przejściowej.

- Eby tak już zaczęło padać - wymamrotała.
- Dzisiaj nic z tego - odparł Cole. - Pewnie jeszcze przez tydzień nie spadnie ani kropla.

- Chciałabym, eby tak lało i lało - stwierdziła z westchnieniem.

- Ciekawe, czy to samo powiesz mi w styczniu. Nie raz już widziałem, jak pewnego dnia zaczynało padać i lać bez przerwy przez cztery miesiące.

- Obiecanki, cacanki. - Erin odciągnęła bluzkę od ciała, eby trochę powietrza owiało jej piersi. - Nic dziwnego, że ludzie wariują. Każde dziecko zapowiada zmianę, a następnym jest jeszcze gorszy. Zupełnie jak te przeklęte kopalnie Abe'a. Z każdą nadzieją, a nic w niej nie znajdujemy.

Cole z wysiłkiem oderwał wzrok od podkoszulka Erin, który cięśle przylegał do jej kształtów. Pragnął jej, ale nie mógł zaspokoić potrzeby, a to rozdrażniało go jeszcze bardziej niż klimat.

- Przynajmniej znowu znaleźli my się na terenach wapiennych - oznajmił.

- Czy badanie dało jakie ciekawe wyniki?

- Na tyle ciekawe, że chcę zbadać teren w górze strumienia.

- Jakiego strumienia? Jedyne źródło w promieniu wielu kilometrów to mój pot. I twój - dodała, spoglądając na

błyszczące strumyczki, które spływały mi dłużej czarnymi włosami na piersi Cole'a. Jedna kropla zsunęła się z rodkiem ciała i zniknęła pod bawełnianymi szortami. Erin szybko odwróciła wzrok.

- Nie zapominaj o manierce przy pasie - zauważyła. - Przecież masz w niej wodę.

- Jak mogłabym o tym zapomnieć? Wąska torba ze sprzątem.

- W tym. Samych filmów masz chyba ze dwa kilogramy.

- I zużyłam już prawie wszystkie, z wyjątkiem trzech rolek. - Westchnęła. - Wróciłabym do samochodu po następne, ale nie chce mi się tak daleko chodzić.

- Czy to aluzja?

Uśmiechnęła się kwaśno, potrząsnęła głową i znów odciągnęła materiał podkoszulki.

- Dzięki, ale to nie jest konieczne. Słońce weszło już za wysoko. Cienie są płaskie. Kiedy wiatło znów zrobi się odpowiednie, napłyną chmury. Może przed zachodem znowu będą dobre warunki. Jeśli nie, zawsze jest jutrzejszy dzień.

Wachlując się podkoszulkiem, myślała, jak by to było dobrze pozbyć się manierki, ale nic nie powiedziała. Cole kazał jej nosić przy sobie, kiedy tylko wychodziła z samochodu, żeby robić zdjęcia. Sam również nie stosował wobec siebie taryfy ulgowej. Na wyprawy badawcze zabierał jeszcze większą manierkę, a poza tym nosił duży plecak ze sprzątem.

Erin zdziwiła się widząc, że oprócz kompasu, lornetki, saperki, torebek na próbki, etykiet i jakichś plastikowych płacht, których przeznaczenia nie potrafiła określić, miał w plecaku również strzelbę i kilka pudełek naboju.

- Napij się - polecił Cole. - Woda w ołdaku cię mniej niż w naczyniu przy biodrze.

Erin posłusznie odkręciła manierkę i wypila kilka łyków.

Płyn okazał się lekko słony i cieplejszy niż jej usta. Z westchnieniem pomyślała o lodowcach schodzących do lodowatego morza.

- Bdziesz jeszcze robiła zdj cia? -zaciekawil si Cole.
- To tak, jakby mnie pytal, czy mam zamiar oddycha .
- Zerkn ł na ni i lekko si u miechn ł.
- Głupie pytanie, co?

Kontrast mi dzy rozbawionym, delikatnym u miechem Cole'a a silnym, półnagim ciałem zaparł Erin dech w piersiach. Poczula uklucie dziwnej t sknoty i u wiadomila sobie potrzeby, własnego ciała. Ogarn ła ja fala wyra nych; zmysłowych obrazów z minionych dni, zanim jeszcze ujrzała Chen Lai w jego obj ciach.

- Posuwaj si w gór strumienia -poradził. -W ten sposób si nie zgubisz. Dobrze?

Erin skin ła głow .

- A ty gdzie bdziesz?
- Tu za tob . Chc przesia kilka warstw tego zbocza.

Erin wyczula napi cie w jego głosie.

- Naprawd znalazle co ciekawego?
- Musi tam by jakie stare ł ysko strumienia albo zło a powstałe z pradawnych pla -powiedzial, wskazuj c na dwa niskie wzgórzta wyrastaj ce po obu stronach suchego koryta. Znalazłem cz steczki bardziej zaokr glone i zbudowane z innych minerałów ni te, które wyst puj we współczesnych ł yskach rzek. Te mogły by naniesione z warstw rzecznych albo pla .

- Jakie lady diamentów?
- Nie. Ale te wzgórzta to wapie , wi c musimy wypatrywa miejsc, gdzie woda wymyła skalne podł e. Tam mog by jaskinie.

- Naprawd ?

- Tam gdzie jest wapie i woda, istnieje mo liwo wyst pienia jaski -odparł zwi le. -Nie ma jednak pewno ci. Tylko prawdopodobie stwo. Wi kszo jaski zostaje odkryta, kiedy strumie wody wymywa skał , jak nó zatapiaj cy si w szwajcarski ser. Wtedy odsłaniaj si wewn trzne korytarze i otwory.

Oczy Erin rozbłyły. Chciała coś powiedzieć, ale tylko niecierpliwie odgoniła muchy.

- Czas na smarowanie kremem -oznajmił Cole i sięgnął do plecaka. -Owady ci uwielbiają, skarbie.

Erin skrzywiła się i wycisnęła na rękę trochę rzadkiego kremu o medycznej woni. Szybko i sprawnie zaczęła rozsmarowywać go na całym ciele, począwszy od czoła. Pokryła nim każdą narzędną na działanie słoneca fragment skóry i nawet miejsca zwykle chronione przez ubranie.

- Uwaga na węże -ostrzegł Cole, znów biorąc do ręki paletę do przesiewania. -Zwykle kryj się w cieniu i w szczelinach skał. Jeśli dostrzeżesz jakie ptaki albo nietoperze, daj mi znać. To może znaczyć, że w pobliżu znajduje się woda.

- Potrzebujemy już wody? -zapytała.

- Zapas w samochodzie wystarczy nam na kilka dni, ale jeśli znajdziemy źródło, którego nie zaznaczono na mapie, to utrudnimy zadanie Streetowi.

Erin zakryła ciętą plastikową buteleczką z kremem i oddała ją Cole'owi.

- Może Street jest tym, za kogo się podaje: inspektorem, który na polecenie rzędu szacuje wartość Kopaliny tego Psa.

- Może. Chciałaby się założyć o własne życie?

Erin próbowała coś odpowiedzieć, ale Cole uciszył ją gwałtownym gestem. Zamarł w bezruchu i przechylił na bok głowę, jak człowiek, który czegoś nadśłuchuje.

- Co ... -zaczęła.

Przerwał jej kolejnym niecierpliwym gestem. Bez słów wskazał na niebo na wschodzie. Erin odwróciła się i wytężyła słuch. Po chwili usłyszała odległy warkot silnika helikoptera.

Cole dotknął jej ramienia i znów coś wskazał. Zmrużyła oczy i spojrzała na rozjarzone niebo. W końcu zobaczyła czarny kropki unoszące się nad ziemią. Helikopter leciał na wysokość trzech tysięcy metrów i szybko przemierzał dzieląc go od nich kilometry. Jeśli nie zmieni kierunku, przeleci mijając ich bokiem.

- Kto szuka Psa numer cztery? -zapytała Erin.
- Je li tak, to wła nie nad nim przeleciał.

Nagle helikopter zmienił kierunek. Cole zakł ł, chwycił Erin za r k i ruszył biegiem w stron k py eukaliptusów, rosn cych wzdu zewn trznego łuku zakola suchego ł yska.

- Padnij na ziemi i nie ruszaj si ! -rozkazał.

Erin musiała go posłucha . ci gn ł j na dół i obejmuj c w pół ramieniem przygwo dził do ziemi. Otworzyła usta, eby o co zapyta , kiedy usłyszała wzmo ony warkot helikoptera. Był tak blisko, e mo na było rozró ni pojedyncze uderzenia łopat tn cych powietrze. Po minucie hałas zacz ł zamiera .

- Nie! -odezwał si Cole, kiedy Erin chciała si podnie .
- Dopiero kiedy nie b dzie go słyca przez pi minut.

Le ała sztywno, prawie nie czuj c pod sob piachu, kamieni i korzeni drzew. Do jej wiadomo ci docierała tylko przytłaczaj ca cisza dnia i napi cie człowieka, który le ał obok niej. Szcz k naboju wchodz cego do komory strzelby zabrzmiał w jej uszach jak grzmot.

- Jeste pewien, e Pies numer cztery le y wła nie tam? -zapytała.

- Tak.
- Mo e pilot si zgubił.

Warkot silnika ponownie zacz ł si przybli a , burz c cisz .

- A mo e zaraz przywiezie nam tu skrzynek zimnego piwa -odparł ponuro Cole. -On wyra nie przeszukuje teren. Kiedy ci powiem, eby nie podnosiła głowy, nie rób tego.

Zimny dreszcz przebiegł Erin, kiedy z głosu Cole'a wywnioskowała, e grozi im realne niebezpiecze stwo.

- A co b dzie, jak znajdzie samochód?

Cole nic nie odpowiedział, tylko spojrział na poło enie sło ca. Ciemno ci zapadn zbyt pó no, eby im pomóc. Pozostała mu tylko nadzieja, e drzewa, pod którymi zaparkował Rovera, oka si wystarczaj co g ste. Sam latał nad Kimberley i wiedział, e tutejsze drzewa s bardzo nił ochron . Jak u wszystkich ro lin? Którym udało si przetrwa w

tych surowych warunkach, li cie eukaliptusów i akacji były bardzo w skie i zwiślały w dół, eby jak najmniej sło ca padało na ich powierzchni . W innych rejonach li cie s szersze i ustawiaj si pod k tem prostym, by schwyta du o sło ca.

Warkot przybli ył si , odbijaj c si echem od wapiennych wzgórz i mi dzy stromymi cianami w wozu. Erin nie potrzebowała ostrego rozkazu Cole'a, eby jeszcze mocniej przywrze do ziemi. Przytuliła policzek do gor cego piachu i zastanawiała si , jak to mo liwe, e teren, przed chwil tak pusty i cichy, w jednej chwili wypełnił si hałasem i wniesionym przez człowieka zagrożeniem.

Ryk silnika si gn ł szczytu i stopniowo opadł, kiedy helikopter znów zmienił kierunek.

- Je li zostanie na tym kursie, zaraz przeleci nad Roverem -stwierdził Cole. -Gdyby wyl dował, id prosto do samochodu. Je eli nie wróc i kto inny zacznie ci woła , wsta i wyjd z ukrycia.

- Ale...

- adnych ale -przerwał jej gwałtownie. -W porze suszy sama tu nie przetrwasz, tak jak ja nie przetrwałbym nagi nie ycy na Alasce. Street mo e mie jaki powód, eby utrzyma ci przy yciu, natomiast ten kraj z pewno ci ci nie oszcz dzi.

Cole zdj ł kapelusz, wytarł czoło wewn trzn stron dłoni i rozejrzał si po okolicy. Dno suchego w wozu było w skie i kr te. Biegło łagodnie w gór , pomi dzy dwa wzgórz poło one jakie półtora kilometra od nich. ar palił niemiłosiernie. Coraz grubsza pokrywa chmur pogarszała warunki, a wilgotne powietrze dobrze przenosiło d wi ki. Oboje natychmiast usłyszeli, kiedy helikopter zmienił kierunek.

- Dlaczego kr y wła nie tutaj? -wymamrotała Erin.

- Bo to jedno z niewielu miejsc, gdzie ro linno jest na tyle g sta, eby ukry samochód. Mo liwe te , e helikopter jest wyposa ony w tak czuły sprz t, e potrafi wykry metalow karoseri samochodu.

- A może w Roverze jest nadajnik? -zapytała z obaw dziewczyna.

- W tym. Sprawdzam. Zresztą pilot nadal szuka, więc nie odbiera sygnału.

Hałas nagle się wzmógł. Zaczął dobiegać z innej strony, co znaczyło, że pilot zmienił kierunek lotu i znów się do nich zbliżył. Był już niemal tuż obok. Dźwięk silnika niósł się wokół nich. Erin próbowała wciągnąć powietrze w bólce płuć. Miała wrażenie, że oddycha przez wilgotną wełnę. Zamknęła oczy i się woli starała się nakłonić helikopter do odwrotu.

Warkot wolno zamierał. Erin westchnęła głębiej. Zanim zdążyła się odezwać, silnik znów zaryczał w nagłym zrywie, a potem nagle całkiem ucichł, kiedy maszyna wylądowała.

- Znalazł samochód -domyślił się Cole.

Skoczył na równe nogi, odrzucił wszystkie bagaże, oprócz strzelby, napełnił kieszenie nabojami i pobiegł w dół wozu. W ciekły upał i grzeski piach spowalniały jego ruchy, pętały nogi i zmieniały płuća w ogień, a mimo to nie wołował. Rover był oddalony o półtora kilometra. Pokonanie tej odległości w normalnych warunkach zajęłoby Blackburnowi osiem minut. Teraz miałby szczęście, gdyby dobiegł tam w dwanaście.

Był jeszcze prawie czterysta metrów od samochodu, kiedy helikopter uruchomił silnik i wzbił się w powietrze. Zawisł na wysokości trzydziestu metrów i zataczając kręgi zaczął oddalać się od pojazdu, wyraźnie czegoś szukając. Kurz wzbił się w skłębione obłoki w powietrze. Nagle helikopter zawrócił i skierował się prosto na Cole'a.

Skoczył pod cienką zasłonę porastających brzegi łożyska eukaliptusów. Tuż za nimi, u stóp stromego zbocza, leżało rumowisko wapiennych głazów, pozostało po obsunięciu się ziemi w porze deszczowej. Dotarł do skał, kiedy helikopter był jakieś sto metrów od niego. Warkot maszyny rozsadzał mu uszy. Cole rozejrzał się za lepszym schronieniem. Zobaczył, że spod niektórych kamieni woda wymyła ziemię, tak że głazy niemal zawisły w powietrzu, tworząc nawis. Rzucił się w ich stronę,

kiedy helikopter zakołysał się i ruszył na niego jak rozszalały byk. Silnik pracował głośno, ale nie tak głośno, aby zagłuszyć urywany terkot karabinu maszynowego. Kule uderzały o piach i ze wstępnym odbiciem od skał. Przywarł plecami do kamienia i podniósł strzelbę. W zamkniętej przestrzeni huk wystrzału na chwilę go ogłuszył. Cole przeładował i strzelił, potem jeszcze raz, i jeszcze raz tak szybko, jak tylko potrafił. Nie zadawał sobie trudu, aby dokładnie celować, bo helikopter był za blisko, aby w niego nie trafił.

Helikopter unosił się wysoko i odskoczył jak przestraszony jastrząb. Cole wyjął naboje z kieszeni i po jednym wkładał do magazynka, a jeszcze raz całkowicie go napełnił. Przyłożył broń do ramienia i położył palec na spuście.

- Podejść bliżej, sukinyńco - wycodził. - Trochę bliżej. Właśnie nie tak... Właśnie nie tak. Jeszcze trochę.

Helikopter kołysał się nerwowo tuż poza zasięgiem strzału, co chwila niespodziewanie uskakiwał na boki, próbując cięgnąć na siebie ogień. Cole czekał z cierpliwością drapieżnego zwierzęcia zaczajonego u wodopoju. W końcu jego przeciwnik znowu przeleciał tuż nad skalnym rumowiskiem.

Pilot albo nabrał zbyt pewności siebie, albo źle ocenił odległość. Kiedy tylko znalazł się w zasięgu ognia, strzelba Cole'a natychmiast ożyła, wypływając z siebie seriami strzałów, które chyba jak na nerwy pilota się gały zbyt blisko celu. Helikopter skoczył naprzód i nabierał szybko cięgnąć za wzgórzami.

Cole odruchowo załadował strzelbę co do ostatniego naboju. Warkot helikoptera zanikał, a w jego uszach zostało tylko lekkie dzwonienie. Ostro nie wytoczył się spod osłony skał i się rozejrzał. Między nim a samochodem nic się nie poruszało. Wolałby zaczekać jeszcze dwadzieścia minut, na wypadek gdyby helikopter zostawił tu zabójcę, ale w tym, czy Erin tak długo wytrzyma.

Wykorzystując w tle drzewa jako osłonę, posuwał się naprzód do Erin. Znalazł dziewczynę dokładnie tam, gdzie ją

zostawił. Kiedy go zobaczyła, skoczyła na nogi i rzuciła mu się w ramiona. Przez chwilę kurczowo się do niego tuliła, potem nabrała głąboko powietrza i zrobiła krok do tyłu.

- Nic ci nie jest? -zapytała, spoglądając na niego wietlistymi, zielonymi oczami. -Wydawało mi się, że słyszysz strzały.

- Jeden z nas nie trafił przeciwnika.

- Kto to był?

- Nie widziałem, bo nie podchodziłem zbyt blisko. Ale rozpoznałem helikopter z stacji.

Erin nie zadawała więcej pytań, tylko poszła za Cole'em po rozgrzanym, suchym piachu do miejsca, gdzie zostawili samochód. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła pojazd. Jego duszne wnętrze było przyjemniejsze niż nagie promienie słoneczne.

Cole pierwszy zrozumiał, co oznaczają ciemne plamy, wyłaniające się spod Rovera. Chociaż oczekiwał sabotażu, ten widok nim wstrząsnął.

- Cole?

- Twoje obawy są słuszne -stwierdził szorstko. -To płyn z chłodnicy.

Erin patrzyła w milczeniu, jak Cole sprawdza silnik samochodu, tablicę rozdzielczą i skrzynię ze sprzętem.

- Sukinsyn działał bardzo dokładnie -stwierdził, zatrzasnął drzwi samochodu. -Nie zostawił ani jednego przewodu w całości i ani jednej kropli wody.

- Zabrał nam wodę?

- Nie, zabrał jedzenie. Woda wylała.

Erin jęknęła.

- A radio?

- Również zniknęło, tak jak i mapy.

Zaczęła szybko oddychać. Odwróciła wzrok, żeby Cole nie zobaczył, jak bardzo się boi.

- Rozumiem. Co teraz?

Spojrzał na rozpalone niebo, a potem na dziewczynę, która pobiła, mimo że jej skóra zarumieniła się od tropikalnego

upału.

- Napij si wody z manierki, kochanie.
- Nie powinnam jej oszcz dza ?
- Zdziwiłaby si , gdyby wiedziała, ilu znaleziono zmarłych z pragnienia ludzi, którzy wci mieli przy sobie wod . Odwodnienie działa podobnie jak hipotermia. Zanim ci zabije, odbiera zdrowy os d rzeczywiście ci. Pij, dopóki jeszcze masz wod . I tak wkrótce poczujemy pragnienie.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Erin spojrzała na zawarto plecaka, któr Cole rozło ył na cienkiej płachcie ratowniczej. Wyj ł zza paska młotek i bez wahania poło ył obok stalowego talerza do przesiewania minerałów, torebek na próbki i próbek, które do tej pory zebrał. W pobli u zobaczyła swój izolowan torb na filmy. Kompas Cole'a le ał obok jego manierki, tak jak zapalki, saperka, nó w skórzanej pochwie i kilka zło onych w kostk , du ych płacht plastyku. Cole nadal wyjmował przedmioty z plecaka i sortował je według stopnia, w jakim mog im si przyda do przetrwania.

- Ile lodu zostało w przeno nej lodówce? -zapytał nie podnosz c głowy.

- Nic. Stopił si , jeszcze zanim ten kto zerwał pokryw . Pewnie zajrzał do rodka, zobaczył tylko filmy i zaj ł si wa niejszymi rzeczami.

Cole mrukn ł co pod nosem.

- Czy filmy s w dobrym stanie?
- Chyba nic im si nie stało. Pojemniki s szczelne.

Erin szybko wybrała na wietlone filmy i zacz ła je wkłada do wojskowego pasa, który był wyposa ony w wiele kieszeni i uchwytów z tkaniny w maskuj cych kolorach.

- Nie zavrcaj sobie głowy tym pasem -poradził Cole. To tylko niepotrzebne obci enie. We miemy tylko to, co absolutnie niezb dne i ani grama wi cej.

- Kiedy tu wrócimy? -zapytała Erin, spoglądając na wietlone filmy.

- W ogóle nie powinniśmy na to liczyć -odparł Cole spokojnie. -Do drogi Gibb River mamy ponad sto dziesiąt kilometrów w prostej linii. Praktycznie jest to trochę więcej.

- Jak daleko stąd do stacji Windsora?

- Mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów, jeśli poszlibyśmy drogą. Mniej na skróty. Ale między nami a stacją nie ma nic oprócz wapiennych wzgórz i spłaskanych, gliniastych równin, na których poza porośniętymi nie ma żadnej wody. -Zaczął pakować plecak. -Nawet gdybyśmy dotarli do stacji, to ten sukinyś z helikoptera czekałby tam na nas, a my nie mielibyśmy możliwości, żeby go przechrztał, zaskoczył czy uciec. Mamy więc szansę na znalezienie wody w drodze do Gibb River, a kiedy tam dotrzemy, będziemy mieć nadzieję na pomoc.

Cole nie powiedział, że jeśli w ogóle mają jak szansę na przetrwanie, to jest ona minimalna. Bez jedzenia, z małą ilością wody, mieli przemierzyć długie kilometry terenu, który był dla nich stawiąłem przed nimi wielkie wymagania, w zamian nie dając im, tylko próbując jeszcze trochę utrudnić im, w miarę jak by odpuszczały ich siły.

Erin spojrzała na ponurą minę Cole'a. Bez słowa odwróciła się plecami do filmów, na których zapisała swoją pierwszą niepowtarzalną reakcją na nieznaną krajobrazową wyprawę Kimberley.

- Czy w przenośnej lodówce zostało trochę wody? -zapytał Cole.

- Tak.

- Przelej ją do pustej manierki, którą znajdziesz pod siedzeniem. Jeśli ci kiedyś to zrobi tak, żebyś nie rozlał, pomogę ci.

Zanim Erin skończyła przelewać wodę, podszedł do samochodu z całym plecakiem i strzelbą. Włożył jedną koszulkę khaki, a drugą zapakował do plecaka. Potem patrzył, jak Erin ostro nie wlewa ostatnie krople wody do manierki. Kiedy

zakr ciła naczynie i oddała mu je, zwa ył je ze zdziwieniem w r kach.

- Prawie dwa i pół litra -stwierdził. -Dobrze.

Nie wspomniał, e taka ilo wody zaspokoi tylko niewielk cz ich dziennego zapotrzebowania. Przypi ł manierk do parcianego pasa. Po drugiej stronie zwisała inna du a manierka, równie zawieraj ca ponad dwa litry wody.

- Odepnij swój manierk i zdejmij pas -nakazał, wyci gaj c r k .

- Ponios j sama.

- Daj mi.

- Cole ...

- Nie -przerwał jej stanowczo. -Jestem od ciebie trzy razy silniejszy. Daj mi j .

Erin spojrzała w jego szare oczy i zrozumiała, e spór niczego nie da. Co gorsza, zmarnuj tylko energi . Oddała Cole'owi manierk i rzuciła pas na ziemi . Odruchowo podeszła do samochodu i wyj ła torb z aparatem. Natychmiast u wiadomiła sobie, co robi, i odło yła torb na miejsce. Wróciła do Cole'a z pustymi r kami.

- Tak mi przykro -powiedział, lekko gładz c j po policzku.

- To z przyzwyczajenia. Ale przecie nie mo emy go zje ani wypi , ani z niego strzela , wi c jest nam niepotrzebny, prawda?

- Tak. Wing zwróci ci wszystko, co tu zostawisz.

Skin ła głów . Nawet gdyby prze yła i doczekała dnia, kiedy Wing odkupi jej sprz t, nie da si odzyska ju zrobionych zdj . Erin odsun ła od siebie t my l, bo wcale nie podnosiła jej na duchu.

Cole sprawdził wskazania kompasu i ruszył w gór ło yska strumienia swobodnym, długim krokiem, ani szybkim, ani wolnym. Erin pod yła za nim, staraj c si nie zwraca uwagi na pot spływaj cy po ciele i ar bij cy falami od spieczonej ziemi. Przeszli w gór wyschni tego koryta niecałe trzy

kilometry, kiedy Cole skrcił w bok i wszedł pod ciemny, aksamitny cień, zalegający pod jednym z wapiennych wzgórz. Była to bardziej nisza niż jaskinia, ale dawała schronienie i był z niej dobry widok w dół w wozu. Na nierównej skale widać było rysunki. Tam, gdzie kiedyś płonęło ognisko, skała znaczyła czarne języki sadzy.

- Aborygeni - powiedział Cole, rozglądając się. - Musieli tu obozować w porze deszczowej.

Erin patrząc na piktogramy zapomniała o upale. Zastanawiała się, jak by je sfotografowała, gdyby miała przy sobie aparat.

- Tutaj nikt nas nie dostrzeże z powietrza. Do zmroku będziemy bezpieczni - powiedział Cole. Kiedy odwrócił wzrok od rysunków, dostrzegł tęskne spojrzenie Erin. - Może ci pocieszy, że w całej Australii są tysiące takich miejsc. To nie jest twoja ostatnia szansa sfotografowania starego obozowiska aborygenów.

Skin ła głowę. Nie wiedziała, czy Cole wierzy we własne słowa, które sugerowały, że przeżyje, nie zginie. Nie zapytała go o to. Taka rozmowa wcale nie zwiększyłaby szans na przeżycie.

- Te rysunki robił niesamowicie wrażliwy - powiedziała.

- To wiemy te miejsce.

- Naprawdę? - Erin przyjrzała się piktogramom z nowym zainteresowaniem.

- Każde miejsce, które chociaż trochę się różni od otoczenia, jest dla aborygenów ważne. Wszystkie ródła, dziwnie ukształtowane skały, wszystko, co nie jest porożnięte spinifeksem równin albo wzgórzami, pokrytymi z rzadka eukaliptusami. - Blackburn zrzucił plecak i rozprostował ramiona. - Nie musimy się martwić, że kto tu wpadnie z wizytą. Nikt tu nie obozował od pojawienia się na kontynencie białego człowieka.

- Skąd wiesz?

- Nie ma potłuczonych butelek i puszek po piwie. - Wskazał na plecak. - Użyj go jako poduszki. Jeśli potrafisz,

za nią. Przed nimi długa noc marszu.

- Cała noc. Tak bardzo się boisz, że ktoś nas zauważy?

- Jeśli będziemy spali w dzień, a maszerowali noc, w dzień nam potrzeba mniej wody.

Erin po krótkim wahaniu zdecydowała się zadać pytanie, chociaż obiecywała sobie, że tego nie zrobi, bo odpowiedź i tak nic nie zmieni.

- Ile czasu zajmie nam droga do Gibb River?

- Cztery dni, jeśli nam się poszczęci. Bardziej prawdopodobne, że będzie to sześć dni. Druga połowa trasy jest cholernie ciężka, a w dodatku będziemy już wyczerpani.

- Na ile czasu starczy nam sił?

- Jeśli nie znajdziemy wody i wypijemy tylko trochę z manierek, jutro skończy nam się zapas. Pojutrze ledwie będziemy trzymać się na nogach. -Cole usiadł, oparł się o skałę i nasunął kapelusz na oczy. -Jeśli dopisze nam szczęście, znajdziemy jakiś nie zaznaczony na mapie przebieg. Jeśli nie, są inne sposoby.

Zanim Erin zdążyła zapytać, co to znaczy, Cole zasnął. Nie przypuszczała, że i jej się to uda, ale przebieg tych niewielu kilometrów bardzo ją wyczerpało. W ostatniej chwili przed zapadnięciem w sen poczuła ulgę, że już dzisiaj nie będzie musiała w drowa w okrutnym słońcu..

Obudziła się dopiero, kiedy Cole obok niej się poruszył. Po natęgnięciu wiatła domyśliła się, że jest późne popołudnie. Błada, prawie niewidoczna błyskawica przecięła ciemnoszare niebo. Wisząca nad całą krainą rzeka chmur zmieniła się w zwartą, skłą bioną pokrywę, która nie przynosiła wspaniałej, chłodnej wilgoci deszczu, tylko nie pozwalała ziemi ostygnąć.

- Jesteś pewien, że tu kiedykolwiek pada? -zapytała Erin przełykając linę w zaschniętych ustach.

- W końcu kiedyś zacznie. Ale nie dzisiaj. Chmury za kilka godzin znikną. To tylko ciche błyskawice. -Podniósł się, podał rękę Erin i pomógł jej wstać. -Więc przejdziemy, jeśli wyruszymy jeszcze przed zmrokiem.

Cole włożył na ramiona plecak. Erin wyszła za nim ze schronienia pod skałami na nagą ziemię. Nawet kiedy słońce skryło się za horyzontem z błyskawiczną szybkością, która wci zaskakiwała Erin, przyzwyczajoną do długich, arktycznych wieczorów, słońce biło od nagrzanego gruntu wyraźnie wyczuwalnymi falami. Wilgotno, chociaż tak wielka, niebezpieczna, była jednak zbyt niska, aby ochroniła organizm ludzki przed odwodnieniem i zatrzymała na skórze pot spływający strumieniami.

Cole szedł w równym rytmie, w wietle latarki sprawdzając wskazania kompasu, dopóki chmury się nie przerzedziły i nie odsłoniły gwiazd migoczących w gęstej masie na niebie południa. Droga Mleczna jak odległa fala jasno się omywała jedną trzecią firmamentu. Niespodziewanie wystrzeliła w górę błyskawica, niewiele jaśniejsza od gwiazd. Księżyc również oświetlał okolice srebrnym blaskiem.

Erin szła za Cole'em w ród spinifeksu i kamienistego skrubu. Jedynymi przerwami na odpoczynek były chwile, kiedy spoglądał na kompas, dopasowując jego wskazania do układu gwiazd lub czarnej nierównej linii horyzontu. Zwykle wybierał drogę w wyschniętych korytach strumieni, chociaż zalegał tam grzeski piach. W ciemnych miejscach, którymi kiedy spływała woda, wydawały się tonią niebezpieczna od otoczenia i nie natrafiali w nich na tyle przeszkód.

Wypili ostatnie łyki wody w północnych, niemal chłodnych godzinach.

Kiedy gwałtowny wiatr wybuchnął na niebie, Erin ze zmęczenia chwiała się na nogach. Przez noc krajobraz wokół nich trochę się zmienił. Wzgórza były teraz bardziej strome i wyrastały z ziemi osobno, a nie w długich, niskich łańcuchach.

Cole wykorzystał wiatr, aby przyśpieszyć w drówek. Mimo narastającego upału utrzymywał szybkie tempo marszu, a znalazł mały jar u stóp wzniesienia, ocieniony rzadkimi eukaliptusami. Rozciągnął płachtę ratowniczą między dwoma gałkami i mocno ją przywiązał, tworząc baldachim, pod

którym mogli się przespać.

- Połóż się w cieniu - powiedział. - I nie ruszaj się, chyba nie będzie dziesięć godzin.

Rzucił plecak na ziemię, żeby służył jako poduszka, chwycił saperski i wyszedł na otwarty teren. Tam wykopał dół szeroki na dziesięć centymetrów i głębią na sześć, i wyłożył jego ściany liśćmi, zerwanymi z eukaliptusów i akacji. Na dnie zagłębienia postawił blaszankę, nakrył wszystko jedną z plastikowych płacht i przygniół krańce płachty kamieniami. Na równym poziomie położył kamień, tak że plastik zwisał nad blaszanką.

Bez odpoczynku wrócił pod baldachim, wziął jeszcze kilka kawałków plastiku i znów przystąpił do dzieła. Kolejne płachty przywiązał do gałęzi zielonych drzew, starannie zbierając ich końce, a utworzył coś w rodzaju torby z uwięzionymi wewnątrz liśćmi. Cielię obwiązał ją na górze i schronił się w miłym cieniu baldachimu.

Erin podniosła głowę, kiedy opadł obok niej na ziemię.

- Co to jest? - zapytała, wskazując na połyskliwe kawałki plastiku.

- Destylatory. W liściach jest mnóstwo wilgoci. Tym razem zmusimy słońce, żeby pracowało dla nas, a nie przeciwko nam. pij.

Obliżała usta, zastanawiając się, jak to możliwe, że są takie wyschnięte, kiedy powietrze wokół jest nasycone wilgocią. Trwało to tylko chwilę. Sen spadł na nią z szybkością tropikalnego zachodu słońca. W ostatnim przebiegu wiadomo ci poczuła, jak Cole wciera w jej skórę krem ochronny. Chciała mu podziękować, ale się okazało, że to zbyt daleko wysiłek.

Obudziła się, kiedy potrzęsł jej ramieniem.

- Wstawaj, Erin. Nadchodzi niakanie.

Na wzmiankę o jedzeniu jej gruczoły linowe ciśnęły się boleśnie. Usiadła i przetarła oczy, zaczerwienione od snu i pyłu.

- niakanie? - zdziwiła się.

- Musisz na nie zapracować .
- Jak?

Cole pomógł jej wstać .

- Widzisz go? -Wskazał miejsce oddalone o jakie piąć metrów.

- Co takiego?

Po rumowisku pod eukaliptusem w zygzakowatych ścieżkach sunął w stronę, polując na jakiegoś ofiarę albo po prostu szukając chłodniejszego miejsca do wypoczynku.

Erin wydała dziwne dźwięki.

- niadanie?

- Jeśli dopisze nam szczęście. -Cole wręcz jej liści ciasta gałązkę długo ci ramienia. -Odwróć tym jego uwagę, a ja zajmę się od tyłu. Nie rozdrażnij go, tylko zaintryguj jego zainteresowanie. Trudniej będzie go złapać, kiedy wpełźnie między skały.

- Czy to niebezpieczne w tym miejscu? -zapytała, kiedy Cole ruszył w jego stronę .

- Tylko dopóki go nie zabijesz . Potem zmieni się w niadanie.

Erin otrząsnęła z siebie ostatnie pozostałości snu i wyszła spod baldachimu. Chociaż nastąpiło późne popołudnie, słońce przemykało przez chmury z dzikim ciekłością . Zaszleściła gałązki, omiatając jej czubkiem ziemi . Jednym zwrotem silnego ciała w stronę odwrócił się w jej kierunku.

- cięgnęłam jego uwagę ! -zawołała Erin.

Gad spoglądał na nią oczami jak płatki obsydianu. Jej obecność go nie denerwowała. Mulgi są bezspornymi władcami australijskiego interioru. Dla nich istota ludzka to raczej ciekawa nowinka niż zagrożenie.

- Nie podchodź za blisko -ostrzegł Cole.
- I kto to mówi.

Nic nie odpowiedział. Wolno przysuwał się do niej, a Erin lekko poruszając gałązki koncentrowała na sobie jego uwagę .

Nagle ręka Cole'a poruszyła się błyskawicznie i chwyciła

zwierz za ogon. Cole uniósł go w gór i w jednej chwili zabił, uderzaj c nim jak biczem o skał i łami c mu kr gośłup. Dla pewno ci jeszcze raz uderzył gadem o kamienie. Metr dwadzie cia niadania zwiślało bezwładnie z jego r ki.

Erin przełkn ła g st lin i powtarzała sobie w duchu, e ka de białko to białko. Jej umysł zna ró nic mi dzy mi sem mulgi a sushi, ale oł dkowi to oboj tne. Z pewno ci w nie smakuje gorzej ni foka.

- W mi sie w a jest du o wody -zapewnił Cole, wyci gaj c nó z pochwy przytroczonej do ramienia. -Je li mi nie wierzysz, zobacz, jak obdzieram go ze skóry.

- Nie, dzi kuj .

- Nie przejmuj si . Po upieczeniu mi so robi si białe i smakuje jak...

- ...kurczak -doko czyła za niego, krzywi c si .

Zerkn ł na ni , zaskoczony.

- Jadała w e na Alasce?

- Nie, ale to samo mi mówiono o abich udkach, g sienicach i ka dym innym tak zwanym egzotycznym przysmaku, którego kiedykolwiek próbowałam. To kłamstwo. Tylko kurczak smakuje jak kurczak.

- W jest lepszy od goanny.

- Je li tylko smakuje lepiej ni foka, nie b d narzeka . Przynajmniej niezbyt gło no.

K ciki ust Cole'a uniosły si .

- Mówiłem ci ju , e jeste wietn towarzyszk podró y?

Nie czekaj c na odpowied zacz ł oprawia w a szybkimi, wprawnymi ruchami. Erin patrzyła spod spuszczonej powiek doszła do wniosku, e czyszczenie ryb jest równie krwawe, a foki o wiele bardziej nieprzyjemne.

- Rozpal ogie -polecił Cole. -Upieczesz mi so, a ja opró ni destylatory. Je li nie chcesz teraz zje swojej porcji, zachowam j dla ciebie na pó niej. Po całonocnym marszu twój oł dek b dzie tak domagał si po ywienia, e mulga posmakuje ci niczym w dzony łoso .

Nie uwierzyła mu, ale nie protestowała. Kiedy nadejdzie pora jedzenia, zje, co b dzie mo na, poniewa jest to jedyny sposób na podtrzymanie energii.

Upiekła kawałki po ywnego białka na ognisku z gał zi eukaliptusa, a Cole tymczasem zebrał wod z czterech destylatorów słonecznych. Było jej prawie cztery i pół litra. Wlał równe cz ci płynu do dwóch manierek.

- Ta jest twoja -oznajmił, podaj c jej jedno z naczy . - Wypij.

Woda miała równie egzotyczny smak jak mi so mulgi. Wyczuwało si w nim eukaliptus i akacj . Mimo pragnienia, Erin wypła mniej ni jedn trzeci swojej porcji, odpiła od paska Cole'a metalowy kubek i wlała do niego połow pozostałej w manierce wody.

- To dla ciebie -powiedziała. -Pij.

- Nie ma mowy.

- Jeste ode mnie dwa razy wi kszy. To oznacza, e potrzebujesz dwa razy wi cej wody.

- Erin ...

- Nie -przerwała mu. -D wigasz wszystkie бага e, bo jeste wi kszy, w takim razie powiniene dostawa odpowiednio wi ksz porcj jedzenia i picia.

Przez dług chwil spogl dał w jasne pi kne oczy Erin.

- Wolałbym, eby ty to wypła -powiedział w ko cu.

- A ja wolałabym nie swoje бага e, ale zachowuj zdrowy rozs dek. Je li oboje chcemy przetrwa , musimy podchodzi do tych spraw rozs dnie, prawda?

Zawahał si , ale wypł wod o smaku eukaliptusa i troch złagodził m cz ce go pragnienie. Kiedy sko czył, dotkn ł ustami warg Erin, oddaj c jej w delikatnym pocałunku ostatnie krople wilgoci.

- Jeste wspaniał kobiet , Erin.

- A ty jeste wspaniałym m czyzn -wyszeptała. -Nawet je li b d musiała umrze , to ze wiadomo ci , e wykorzystałam wszystkie szanse na prze ycie. Dzi kuj ci za to.

Sama nie dałabym sobie rady.

Lekko dotknął jej policzka, ale zaraz odwrócił się i zaczął metodycznie pakować plecak. Skończył, popatrzył na kompas i przypomniał sobie mapy tych okolic. Wyciągnął rękę do Erin,

- Gotowa? - zapytał.

Uśmiechnęła się smutno.

- A jaki mam inny wybór?

- No tak. Wiem, że jesteście zmęczona, ale w resztkach dziennego wiatła będziemy szybciej szli.

Erin wzięła Cole'a za rękę i ruszyli w przytłaczający i pusty wyłazł Kimberley. Prowadził ją tak, żeby nie zauważała wiejskich ludzkich śladów, które spostrzegł dzisiaj rano. Nie było sensu jej mówić, że ich mozolna w drzewka jest bacznie obserwowana. Gdyby to wiedziała, zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego tajemniczy wróg tak się z nimi zabawia, zamiast wykończyć ich jednym litościwym pchnięciem.

Cole sam nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Rozdział trzydziesty drugi

Czwartej nocy marszu pragnienie stało się ich nieodłącznym okrutnym towarzyszem. Spowijało ich bardziej niż ciemność nocy, drzewa silniej niż upał i zdawało się, że wieszki nie rozgwieżdżone niebo. Erin starała się nie myśleć o wodzie. Koncentrowała się na tym, żeby utrzymać się na nogach. Cole szedł przed nią, pozornie nie osłabiony przez mizerne racje żywnościowe i pragnienie.

Erin wiedziała, że jest inaczej. Dostrzegła lekkie drżenie jego ręki, kiedy oprawiał upolowanego gołębia. Mimo wilgotności powietrza i codziennych porcji wody o egzotycznym smaku, ich ciała z godziny na godzinę, z każdym oddechem coraz bardziej się odwadniały.

Między czarnymi zarysami obłoków migotało zimne białe światło gwiazd. Co jakiś czas cicha błyskawica przebiegała

powłok chmur, która ostatnio już nie rzedła w ciągu nocy. Mimo gwiazd, księżyca i błyskawic noc zdawała się ciemniejsza niż inne i dłuższa niż noce, których Erin doświadczyła za kręgiem polarnym.

Kurtyna wiatła opadła ze szczytu zbitej masy chmur za ciepłymi horyzontami. W nagłym rozbłysku dziewczyna zobaczyła sylwetkę Cole'a. Odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Miał minę tak ponurą, jak otaczający ich krajobraz. Kiedy ujął jego dłoń, przyciągnął ją do siebie. Wiedział, że jeśli usiędzie, natychmiast zasną, marnując cenne godziny. Stali więc razem i trzymając się w objęciach odpoczywali w jedyny bezpieczny sposób.

Znowu rozbłysła odległa błyskawica. Nierówny grzmot, który po niej nastąpił, dał się bardziej wyczuć niż usłyszeć.

- Jeśli dopisze nam szczęście, za dwa trzy dni spadnie deszcz - oznajmił Cole schrypniętym głosem.

Erin tylko skinęła głową, ponieważ mówienie sprawiało jej zbyt duży trud.

Cole przytulił się do niej policzkiem i wypuścił ją z objęcia.

Spojrzał na kompas! Rozejrzał się po okolicy, o wietlonej w tym wiatłem błyskawicy, i ruszył w kierunku łąki cucha wzgórz, który równie dobrze mógł być wysoki lub nie i znajdować się blisko lub daleko. Jednak z pewnością cięli się na ich drodze do Gibb River.

Kiedy niebo na wschodzie zszarzało, wzgórz wcale nie wydawały się bliżej. Cole przystanął i zaczekał, aż Erin go dogoni. Odpinął się od pasa manierki, pociągnął dwa łyki i wręczył je dziewczynie.

- Ostatni łyk dla ciebie - powiedział.

- Nie. Dla ciebie.

Cole przechylił manierkę, potem przyciągnął Erin i pocałował ją jak kiedyś. Jej usta się rozchyliły, a on delikatnie oddał jej wodę, której nie chciała wypić z manierki. Zaskoczona nie miała innej możliwości, jak ją przełknąć. Cole rozejrzał się cicho i nadal ją całował, a oboje na kilka słodkich chwil

zapomnieli o pragnieniu. Potem j obj ł, jakby to było ich ostatnie spotkanie.

Kiedy wypu cił Erin z ramion, cichy wit ju wstał w nagłym, gwałtownym potoku wiatła. Sło ce eksplodowało przez poszarpanie chmury. W ci gu kilku sekund odległo ci si zwi kszuły, a barwy i faktura ziemi wróciły do ycia.

- Do diabła z diamentami -wyszeptała wolno Erin, patrz c na wspaniał , odwieczn przemian nocy w dzie . -Oddałabym wszystko za aparat i kilka filmów.

Cole u miechn ł si lekko.

- Wierz ci. -Pogładził j po spl tanych mahoniowych włosach, odsuwaj c ich kosmyki z zaró owionej od gor ca twarzy. -Dla mnie diamenty s tym, czym dla ciebie s nie na wietlone filmy: kluczem do nowego wiata. Ale gdybym teraz znalazł kopalni Abe'a, bez wahania wymieniłbym j na sprz t dla ciebie.

Zobaczył, e jest wstrz ni ta tym wyznaniem. Wyczuł to w drgnieniu jej ciała, kiedy odsun ła si , eby na niego popatrze .

- Mówisz szczerze, prawda? -wyszeptała.

- Zawsze mówi szczerze. -Przyci gn ł j bli ej, osłaniaj c l ni ce zielone oczy dziewczyny przed sło cem. -Kiedy zobaczyłem "Arktyczn Odysej " poczułem si tak, jakbym odkrył kopalni diamentów. Nabrałem energii i ch ci do ycia. - Tulił j przez chwil , a potem odst pił o krok. -Wypatruj ptaków i k p zielonej ro linno ci. To jest okolica krasowa. Woda na pewno si tu zbiera w rozpadlinach, gł bokich kotłach erozyjnych albo nawet w jaskiniach. Musimy j tylko znale i módlmy si , eby nikt tam nie dotarł przed nami.

Wypili ostatnie krople wody dwie godziny po wschodzie sło ca. Uło yli si w cieniu rzucanym przez cienk płacht , rozpi t mi dzy dwoma w tnymi drzewkami, i patrzyli, jak fale ciepła odrywaj si od ziemi. Woda w manierce była niemal gor ca. Miała wyra ny smak li ci eukaliptusa, z których j uzyskali. Mimo to cudownie zwil ała wyschni te gardło Erin. Cole patrzył na ciemne chmury, napływaj ce znad Oceanu

Indyjskiego. Burzowe obłoki wyprętały się nad słońcem, a ich sine podstawy płynęły tuż nad ziemią.

- Tak blisko, a jednak tak daleko - powiedział ochryple Cole, szacując rozmiary nieokiełznanej, gęstej rzeki chmur, zasnuwającej powoli całe niebo i rozrywanej przez podmuchy wiatru w pojedyncze burzowe formacje.

Po kilku minutach oderwał wzrok od tej złudnej obietnicy deszczu i wpatrzył się w krajobraz. Równina czerwonej ziemi porastała chaotycznie rozrzucone eukaliptusy. Rozgrzane powietrze drżało. Kłopy twardego spinifeksu walczyły o przestrzeń z wapiennymi skałami. Równinę otaczała poszarpana łańcuch wzgórz. W oddali wyprętało się długie, strome wzniesienie o płaskim szczycie, zaznaczające granice niecki, gdzie nieuchronnie podczas pory deszczowej musiała się zbierać woda, ponieważ w pobliżu nie było żadnej szczeliny, rozpadliny czy wozu, którym mogłaby spłynąć.

Mimo to Cole patrzył bardzo uważnie, nie znalazł żadnego znaku świadczącego o tym, że równina podczas pory deszczowej zmieniała się w tymczasowe jezioro. Kiedy sobie to uświadomił, poczuł małe iskierki podniecenia, dzięki czemu zapomniał o pragnieniu, które stopniowo nadwładzało jego siły.

- Czego szukasz? - zapytała Erin, również rozglądając się po okolicy.

- Zastanawiam się, gdzie stąd spływa woda w porze deszczowej.

Przez kilka minut Erin patrzyła uważnie na rozciągający się wokół krajobraz. Potem z zadumie zmarszczyła brwi.

- Czy wczoraj jutro nie przechodziliście my?

Cole zerknął na nią ukradkiem, w obawie czy upał, odwodnienie i głód nie załamały jej umysłu

- Nie - zaprzeczył.

- To wszystko jest takie... Znajome.

- Stąd do Zatoki Admiralicji wszystko wygląda tak samo.

- Jesteś pewien, że jeszcze tu nie byliście? - Erin zmrużyła

oczy przed blaskiem. Czują coraz wikszą pewność, że już kiedyś widziały te okolice.

- Nie denerwuj się. Nie jestem jeszcze tak wycieńczona z pragnienia, abym chodził w koło. Przejdź się - dodał wstając. - Niedługo znowu trzeba będzie ruszać.

- Gdzie idziesz?

- Tam. - Wskazał wzgórze, z którego przed chwilą zeszli.

- Po co?

- Chcę się rozejrzeć ze szczytu. Może zobaczysz zielone rośliny albo przelatujące ptaki.

Zostawił plecak, ale wziął strzelbę, a do kieszeni włożył zapas naboju. Erin spojrzała na niego ostro.

- Czy ty coś przedemną ukrywasz? - zapytała.

- Za nią, jeżeli ci się uda. Niedługo wrócę.

- Cole!

- Wszystko w porządku. Ze wzgórza będzie ci dobrze widziało.

Odszedł, zanim Erin zdążyła wydobyć z niego odpowiedź na swoje pytanie.

Westchnęła i położyła się. W dziwnym otępieniu patrzyła na gęstniejące chmury, które nieco tłumiliły w ciepłym powietrzu kilka stopni. Powietrze stało się jeszcze cieplejsze, zbyt wilgotne, aby nim swobodnie oddychać, a zbyt suche, aby gasiło pragnienie. Obłoki zbijały się w coraz gęstsze chmury i nabierały od dołu sinej barwy, która obiecywała deszcz. Jedna z takich chmur zawisła nad jej głową. Po niewidocznej błyskawicy rozległ się przeciągły grzmot.

Rzadkie krople zabijały o baldachim, który rozpiął nad nią Cole. Erin skoczyła na równe nogi i wypadła na otwarte przestrzenie. Podniosła do góry głowę i rozłożyła ramiona, aby złapać w nie deszcz. Pojedyncza kropla spadła jej na górny warg. Zebrała ją językiem. Miała czysty, słodki smak, mimo że zmieszana była z jej potem i drobnym pyłem, który spowija w Kimberley wszystko.

Kilka kropeł spadło na ziemię. Błyskawice co chwila

wykwitały na niebie, jakby flirtując z wiatrem, a grzmoty przetaczały się z zadziwiającym główym hukiem. Wiczej kropel uderzyło o spieczoną ziemię. Były ciękie i grube, niosły ze sobą obietnicę ycia. Każda zostawała na piaszczystym gruncie poszarpany ciemny ład, który znikał w ciągu kilku sekund.

- No, dalej! - powiedziała Erin ochryple, starając się cięgnąć ulew z wiszącej nad głowami siennej chmury. - Jeszcze!

Deszcz ustał równie szybko, jak się zaczął. Chmura przesunęła się, odepchnięta gorącym podmuchem. Erin opadła na kolana. Znowu poczuła zmęczenie, o którym na chwilę zapomniała wyczekując deszczu. Spojrzała na zamglone srebrzyste niebo, gdzie jeszcze przed chwilą wisiała chmura.

Nie zauważyła, że Cole już wrócił, dopóki nie wzięła ją za rękę i nie pomógł jej podnieść się.

- Wróć do cienia - polecił. - Jest za gorąco na prawdziwy deszcz. Prawie wszystkie kropelki wyparowują, zanim dotrą do ziemi.

Odrzuciła Erin skinęła głową i weszła pod baldachim chroniący ich przed rozpalonym słońcem. Opadła na ziemię, nie czując wiru i kamieni.

- Znalazłaś coś? - zapytała ochryple, kiedy Cole wyciągnął się obok niej.

- Jeśli jest tu jakaś woda, to pod ziemią.

- Jak głębooko?

- Pytanie za milion dolarów. Nie znam odpowiedzi - odparł szorstkim głosem, krzywiąc się ponuro.

Dręczyła ją dotknięcia jego ust, tłumiąc gorzkie słowa.

- To nie twoja wina - wyszeptała.

Ujęła jej dłoń i przytulił. Zapadli w niespokojny sen, zakłócany pragnieniem, głodem i suchym dudnieniem odległych grzmotów.

Erin obudziła się i zobaczyła, że jest sama. Na miejscu Cole'a leżała strzelba i garnek naboju, ułożonych na plastikowej płachcie, na której wciąż jeszcze połyskiwało kilka kropel wody zebranej podczas ostatnich godzin, kiedy plastik służył jako

destylator. Wiatr sypał w dół z poszarpanej, skłóconej pokrywy chmur. Domyślała się, że zachód nastąpi dopiero za kilka godzin. Usiadła i czekała, a minęły jej zawroty głowy.

Na ziemi obok strzelby Cole nakreślił trzy słowa: Poszedłem na polowanie.

Pozostałe destylatory nadal były nieoprowiane i chłonły wilgoć z liści. Erin wzięła strzelbę, sprawdziła, czy jest załadowana, i położyła ją w zasięgu ręki. Przeciwnie się jeszcze raz. Zastanawiała się, co było tak pilne, że Cole, wypiszący zawartość jednego destylatora, wyruszył na polowanie mimo okrutnego popołudniowego skwaru.

Dostała odpowiedź dopiero tuż przed zachodem słońca.

Usłyszała jakiś szelest w suchym skrubie po lewej. Chwyliła strzelbę, odbezpieczyła i czekała.

- Kochanie, to tylko ja.

Głos Cole'a rozległ się z prawej, nie z lewej. Odwróciła się i zobaczyła go stojącego nie dalej niż trzy metry od niej. Zadrżała, kiedy uświadomiła sobie, jak groźnym byłby przeciwnikiem. Zabezpieczyła broń i wolno wstała.

- Masz szczęście, że ci nie postrzeliłam -oznajmiła.

- Właśnie dlatego rzuciłem kamieniem w skrub. Gdyby postąpiła zbyt nerwowo i nacisnęła spust, strzeliłaby do skały, nie do mnie.

Spojrzała na jego puste ręce i nóg przytroczony do przedramienia.

- Wytropiłeś swój zwierzyn ?

Cole z roztargnieniem otrząsał z rękawów liście i drobny wir.

- Tak.

- Co to było?

- Aborygen. Jest jakieś czterysta metrów za nami.

- W tej chwili?

Cole skinął głową.

- To nie jest młody miasek, który dla fantazji wyruszył na wycieczkę. Idzie za nami, od kiedy stracili my samochód. Już

raz, kiedy spała , próbowałem go wy ledzi , ale był za dobry.

Potrzebna była głowa , staraj się zrozumieć sytuację . -
Dlaczego nas ledzi? Czy chce nas zabić ?

- Nie. Jest jak s p. Krzywy w pobliżu i czeka, a umrzemy.
Wtedy wezwie helikopter i ktoś odnajdzie nasze ciała, tak samo jak odnaleziono Abe'a -powiedział Cole sucho. -Nieszczęście, smutna historia, dwoje Amerykanów zginęło w interiorze, kiedy ich samochód się popsuł. Ciężkich ran po kulach ani śladów przemocy na ciele. Śmierć nastąpiła w wyniku odwodnienia, głodu i wyczerpania. Nie bój się kłopotliwych pytań , mi dzynarodowego dochodzenia czy drobiazgowego śledztwa, prowadzonego przez CIA albo twojego ojca.

- Nikt nie uwierzy, że tak beztrudnie poszliśmy przed siebie i zginęliśmy. Wszyscy zobaczą , że ktoś uszkodził samochód!

Cole uśmiechnął się ponuro.

- Czy by? Może po prostu zabrakło nam wody, opróżniliśmy chłodziarki i chcieliśmy iść dalej pieszo? -Kiwnął głową , kiedy zobaczył, że Erin już wszystko rozumiała i przerażenie cięga jej twarz. -Wymieni uszkodzone przewody, włożył radio na swoje miejsce, by może coś w nim popsują , żeby było wiadomo, dlaczego nie wezwali pomocy, a potem zadowolony był pozował do fotografii w gazetach -cięgnął Cole. Wszystko szło zgodnie z ich planem. Nie przewidzieli tylko jednego. Ja zawsze noszę w plecaku plastikowe płachty na destylatory. Wytrzymałyśmy dwa razy dłużej, niż oczekiwaliśmy. Temu nieuchwytnemu aborygenowi, którego za nami wysłali, w końcu zabrakło wody. Długo musi jej szukać tak samo jak my. Właśnie teraz to robi, szuka wody.

- Co zrobimy?

- Módlmy się , żeby mu się powiodło.

Rozdział trzydziesty trzeci

W ciemnościach nie można było tropić aborygena. Po

zachodzie słońca Cole zdjął baldachim i rozłożył go na ziemi jako pościel. Jak to jej weszło w nawyk, mimo gorąca, Erin przytuliła się do Cole'a i zapadła w stan półsnu. Noc minęła w mrocznych wywołanych pragnieniem, które w bardzo niewielkim stopniu gasiła aromatyczna woda z destylatorów.

W przeciwieństwie do poprzednich nocy, tym razem chmury nie rzędyły wraz z upływem godzin ciemno ci. Szerokie błyskawice przecinały niebo, zamieniając połowę nocy w ośnieżenie, niebieskobiałe wiatło. Dudniły grzmoty. Jeszcze nie przebrzmiały ich ostatnie echa, kiedy niebo rozświetlił inny rodzaj błyskawic, podobnych do małych, w owych języków, liście chmury w konfiguracjach nasuwających na myśl pradawne rysunki na skalnych ścianach.

Nadkany pragnieniem i wizjami spadającego deszczu, Erin i Cole spali niespokojnie. Kiedy pierwszy brzask oddzielił niebo od ziemi, Cole wykonał się, aby sprawdzić, czy ich strażnik powrócił. Znalazł szerokie ślady bosych stóp tam, gdzie aborygen obszedł ich obozowisko, zanim ruszył dalej.

Tu po nim spadło nieco deszczu. Krople były ciśnień nabrzmiałe. Jednak okazały się fałszywym alarmem. Prawdziwy deszcz nie zaczął padać i znowu wschodziło rozjarzone, przeświecające słońce.

- Po prostu się ponaglił Cole. -Ukośne wiatło, w którym łatwiej odnaleźć tropy, nie trwa tutaj długo.

Pierwsze ukośne promienie sprawiały, że zostawione na ziemi ślady robiły się widoczne, niby namalowane jaskrawymi farbami. Cole pokazał jej Erin.

- To jest początek linii, która prowadzi nas z nami - powiedział, rysując kreski przy śladach. -Jej koniec jest gdzieś tam, przy wodopoju.

Jeśli trop był wyraźny, Cole maszerował szybko. Obrysowywał znalezione ślady kółkiem i wypatrywał następnych. Kiedy gubił trop, wracał do ostatniego i jeszcze raz zaczynał poszukiwania. Z początku tropienie było dla Erin tak

ciekaw nowo ci , e zapomniała o pragnieniu i zafascynowana obserwowała, jak Cole sprawnie odczytuje zapisane na ziemi informacje.

Jednak kiedy sło ce weszło wy ej i mia d yło ich promieniami niby młotem, Erin poczuła, e opuszczaj j siły. Cole parł naprzód bez przerwy, przeklinaj c zmieniaj cy si k t wiatła, które teraz zacierało odciski stóp, wce niej tak wyra nie zaznaczaj ce si w pyle.

lady znikn ły na rozległej, wygładzonej przez wiatr i spalonej przez sło ce skale.

- Sta tutaj -poleciał Erin, wskazuj c jej ostatni odnaleziony trop.

Erin stan ła w pełnym sło cu, a Cole otoczył cał skał , zanim znalazł kolejne lady.

- Mam. Idziemy.

Dziewczyna st pała po kamieniu, zastanawiaj c si , czy rzeczywi cie jest tak rozgrzany, e dałoby si na nim usma y jajko. Nawet przez grube podeszwy turystycznych butów czuła, e jest gor cy.

W miejscu, gdzie piechur mógł wybra wiele kierunków marszu, Cole ukl kn ł, pochylił głow i z tej pozycji wypatrywał ładów aborygena.

- Jak długo mógł i , eby znale wod ? -zapytała w ko cu Erin.

- A do skutku. Ale utrzymuje dobre tempo marszu. Nie zawraca, nie bł dzi ani nie wspina si na wzgórze, eby obejrze okolic .

- Czy to dobrze?

- Oznacza to, e wie, dok d idzie. Musimy tylko trzyma si jego ładów.

Cole zmru ył oczy, kiedy dostrzegł jakie nikłe, nieregularne wgł bienia w ziemi. Kiedy podniósł głow , wgł bienia znikn ły mu z oczu. Przysiadł na pi tach i spojrzał tam, gdzie prowadziły lady. Przed sob zobaczył niewielk kotlin . Za nim wyrastało strome wzgórze o płaskim szczycie, które wcale nie wydawało

si bli sze, mimo e od paru godzin posuwali si naprzd.

Cole wstał. W r ku trzymał dwa kamienie. Wytarł je o koszul i dał jeden Erin. Drugi wło ył sobie do ust.

- Pomy l, e to kawałek cytryny -poradził.

Gruczoły linowe Erin zareagowały błyskawicznie. Po raz pierwszy od kilku dni nie czuła w ustach sucho ci.

- To działa tylko za pierwszym razem -wyja nił Cole. Miał ochot si u miechn , kiedy zobaczył min Erin. -Jednak nawet je li nie zadziała, to kamyk w ustach pozwala zapomnie o sucho ci.

- Taki figiel, co?

- Wła nie tym jest ycie -odparł matowo. -Figlem, który płatamy mierci.

Erin szła za Cole'em w coraz wi kszym upale i wilgotno ci.

Chmury monsunowe nawarstwiały si i kł były, zapowiadaj c deszcz, w którego nadej cie przestała ju wierzy .

lady stały si trudno uchwytnie i Cole cz sto musiał w ich poszukiwaniu zatacza kr gi, podczas gdy Erin stała i patrzyła. Nagle wiat zawirował jej w oczach, a kontury straciły ostro . Opadła na kolana, podparła si r kami i zwiesiła głow . Powoli wracała jej wiadomo . Znow dostrzegła wokół pastelowe, zakurzone barwy spieczonej sło cem Australii Zachodniej.

Zdała sobie spraw , e Cole nad ni stoi i osłania j koszul jak przeno nym baldachimem. Spróbowała wsta , ale poło ył jej r k na ramieniu.

- Odpocznij. Zawroty głowy zaraz min .

Tym razem.

Tego jednak nie powiedział gło no. Spodziewał si , e Erin straci siły ju dzie albo nawet dwa wcze niej: Wytrzymało na klimat, do którego jej ciało nie było przyzwyczajone, zadziwiała go i sprawiała, e jeszcze bardziej mu zale ało na ocaleniu ycia dziewczyny.

- Lepiej? -zapytał w ko cu łagodnym, chocia schrypni tym głosem. Skin ła głow . -Spróbujesz wsta ?

- Tak -wyszeptwała.

Z pomoc Cole'a podniosła si na nogi. Poprowadził j w cie akacji i zacz ł przywi zywa do gał zi płacht ratownic .

- Nie -zaprotestowała Erin. -Musimy rusza dalej.
- Jeszcze nie. Musisz troch wypocz .

Cole znów wło ył koszul i spogl dał na okolic z ocienionego miejsca pod baldachimem. Wci byli na równinie, na dnie niecki, która nie miała widocznego uj cia dla wody. Jedynym wyró niaj cym si punktem w ród otaczaj cych j wzniesie było strome wzgórze z płaskim szczytem, które uciekało przed nimi jak mira . Nie wydawało si ju takie niskie i przestało przypomina zwyczajne wzgórze. Geolog nazwałby tak formacj płaskowzgórzem. W ród rzadkiej ro linno ci wznosiły si zniszczone przez wiatr i wod skały.

- Cole?

Oderwał wzrok od dziwacznie ukształtowanych kamieni i popatrzył' na kobiet , której pełna determinacji ch ocalenia ycia dorównywała jego własnemu uporowi. .

- Jeste pewien, e nigdy tu nie byli my? -zapytała.
- Tak.

Erin osłoniła dłoni oczy i zmru yła powieki, chc c wyra niej si przyjrze dziwacznemu, ciemnemu kształtowi, wyrastaj cemu pod zachmurzonym, burzowym niebem.

- Gdzie jeste my?
- W Kimberley -odparł łagodnie Cole.
- To wiem, ale dokładnie gdzie? W pobli u której z działek Abe'a? .

Cole chwil si zastanowił i poszukał w pami ci obrazu map, nad którymi sp dził setki godzin. Spojrzał pa kompas, zerkn ł na zegarek, obliczył co w my lach i zwrócił si do Erin:

- By mo e jeste my na skraju jednej z nich. Dlaczego pytasz?

Nie od razu odpowiedziała. Czuła si jak lunatyk, obudzony nagle w obcym miejscu.

- Czy kiedy badałe te okolice?
- Nie. To mała działka. Poszukiwacze złota przeczesali j

dokładnie czterdzieści lat temu. Znaleli akurat tyle, czego było ich to do dalszych długoletnich badań, ale w końcu się poddali. Tu jest za sucho.

- Czy Abe kiedykolwiek wspominał o tych terenach?
- Tylko kiedy był pijany, ale wtedy mówił o wielu miejscach. Nigdy nie sugerował, że tu jest coś szczególnego.
- Wydaje mi się, że to jest wzgórze Bridget -odparła z prostotą Erin. -Nie jestem pewna, bo patrzemy na nie pod innym kątem. Jeśli to jest to samo miejsce, to fotografie wykonano gdzieś z lewej, bardziej w kierunku północnym.

Cole zmrugał oczami i w pamięci porównał fotografię z tym pradawnym, zerodowanym krajobrazem.

- Niech to szlag -wymamrotał. -Byłoby może masz rację. Jeśli tak jest, to tu powinna być woda nawet w porze suchej. Dlatego właśnie tutaj obozował Abe. I w tę stronę zmierzały ludy aborygena, zanim je zgubiłem.

Erin z wysiłkiem dźwignęła się na nogi.

- Spokojnie -powstrzymał ją Cole. -Nie ma po piechu. Ta góra wapienia jest tu od bardzo dawna, więc zaczeka na nas te kilka godzin.

- Ale czy ja tyle wytrwam? -wyszeptała.

Wiatr przed oczami na przemian ciemniał jej i jaśniał, w rytm uderzeń nierównego terenu.

Cole mocniej przytrzymał dziewczynę.

- Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

W oddali rozległ się grzmot. Spod czarnych chmur przyleciał wiatr. Cole podniósł wzrok i zauważył, że powłoka chmur wyraźnie zgęstniała i przytłumiła okrutny barw. Duszna bryza wyginała spinifeks i cienkie eukaliptusy. Cole wciągnął w nozdrza jej zapach, jak dzikie zwierzę w szczerze pod wiatr. Wyczuł znajomy zapach deszczu.

- Cole? -wyszeptała pytając co Erin, spoglądając w niebo.
- Ju niedługo, kochanie.
- Kiedy?

Błyskawica wygięła się w łuk, wypalając sobie drogę pośród

chmur. Znów rozległ się huk grzmotu, tym razem gło niej i bli ej.

- Nie wiem. Czasami ten stan trwa wiele dni, ale widziałem te , jak w ci gu kilku godzin spadał na ziemi cały ocean wody. -Spojrzał na zapadni t twarz Erin i na jej zielone oczy, których pi kna nawet zm czenie nie było w stanie zniszczy . - U stóp wzgórza Bridget na pewno znajdziemy i cie , i schronienie.

- A wod ?

Cole nie odpowiedział. Nigdy jeszcze nie okłamał Erin i nie zamierzał tego zmienia .

Dziewczyna spojrzała na nierówne wzniesienie, cel ich w drówki. Wydawało si takie odległe. Zmusiła si do dalszego marszu.

Przez pierwsze kilka kroków Cole szedł za ni , gotów j chwyci , gdyby upadła. Cierpiał patrz c, jak z wysiłkiem, niepewnie zmierza przed siebie, ale wiedział, e dopóki ma siły, powinna i sama. We mie j na r ce, kiedy to b dzie absolutnie konieczne. Jego krok równie był chwiejny, wzrok niepewny, a ciało z coraz wi kszym trudem walczyło z odwodnieniem i straszliwym upałem.

Podmuchy pachn cego wiatrem deszczu zach cały Erin do dalszej w drówki. Wolno szła w kierunku wzgórza, które po raz pierwszy zobaczyła na zdj ciu z czasów, kiedy Abelard Windsor był jeszcze tak młody, e wierzył miłosnym wyznaniom kobiety. Wzgórze Bridget zdawało si cofa z ka dym krokiem Erin.

- Czy ono si przesuw a? -zapytała w ko cu zn kanym głosem. -Wcale si do niego nie zbli amy.

- Jeste my w połowie drogi. To tylko ta równina i rozgrzane powietrze wywołuj takie złudzenia.

Przeszli kilometr, potem nast pny. Stopniowo teren pod ich stopami zacz ł łagodnie zbiega w dół. Z niecki wzgórze wydawało si jeszcze wy sze. Wygl dało jak demon, który przykucn ł na ziemi w rozedrganym, nagrzanym powietrzu.

Erin potknęła się o kęp spinifeksu. Cole chwycił ją i podtrzymał. Przerzucił jej ramię przez swoje barki i chwycił jej jedną rękę, a drugą objął dziewczynę w talię.

- Zostaw mnie tutaj - wyszeptała. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. - Do diabła, zostaw mnie - nalegała.

- Nic nie mów. Idziemy.

Cole, trochę podtrzymał ją, a trochę cięgnął za sobą Erin, zmierzał do ciemnej, poszarpanej formacji wapiennej, która przysiadła na skraju rozgrzanej równiny. Tu nad ich głowami zahuczał grzmot. Jedne z nich nie zwróciło na to uwagi. Skupili się wyłącznie na mającym przed nimi wzniesieniu. Im bliżej podchodzili, tym bardziej Cole był pewien, że przypuszczenia Erin są słuszne.

Przed sobą mieli wzgórze Bridget.

Erin zachwiała się i byłąby upadła, gdyby Cole jej nie podtrzymał. Zatrzymał się, żeby oddechać. Po chwili dziewczyna wyprostowała się i z wysiłkiem ruszyła przed siebie.

Chwiejnie przeszli przez pozostałe ogniska, znajdujące się dwieście metrów od stóp wzniesienia. Zwęglone kawałki gałęzi czy ciwo zapadły się w czerwony piach. Ognisko było wielkie, więc Cole wynioskował, że musiało tu się odbyć spotkanie kilku grup aborygenów. Ciemniał od ognia ziemi otaczał krąg potłuczonych butelek po piwie i pociętych puszek. Nie sposób było stwierdzić, kiedy ostatni raz gościli tutaj aborygeni, ale z pewnością ci ostatni deszczach.

Nagła błyskawica spadła na szczyt wzgórza, na ułamek sekundy przy miewając jaskrawe światło słoneczne. Natychmiast po niej rozległ się grzmot, wyrwał Erin z wywołanego zmęczeniem otępienia. Powietrze wokół nich zawiroowało, jakby poruszone jakąś tajemną mocą. Dziewczyna zadrżała i przełknęła ślinę.

- To właśnie te miejsce - wydyszała.
- Dla nich wszystko jest właśnie te.
- Dla nich?

Zamrugnęła powiekami i rozejrzała się. Zobaczyła, że stoi w środku wielkiego kręgu wypalonego drewna. Wokół niego biegł szerszy krąg wydeptanej ziemi, otoczony aureolą zbitego szkła i starych puszek.

Powoli oddalili się od pozostałości po ognisku i stanęli w ród rumowiska wapiennych głazów, które zebrały się u podnóża wzniesienia. Stromo wznoszący się stok płaskowzgórza przywoził na myślenie prehistoryczną rafę koralową. Była to zbita masa rozpuszczalnego w wodzie wapienia, który kiedy przykryły młodsze warstwy wulkaniczne Kimberley, a teraz erozja wolno wydobywała wapienne kości martwego morza na powierzchnię.

Cole spojrzął na strome, kruche zbocze i odgadł, że tylko lekkomyślna, szalona biała dziewczyna mogła wpadnąć na pomysł, aby się na nie wspiąć, a tylko równie szalony biały mężczyzna mógł za nią podążyć, aby jej zrobić zdjęcie. Wapień był zerodowany i niebezpiecznie kruchy. Szczyt wzniesienia z pewnościami przecinały liczne szczeliny i rozpadliny, kotły erozyjne i kanały wymyte przez wodę. Były tam zapewne jedynie jaszczurki i ptaki. Niemożliwościami było stwierdzenie, czy wzgórze Bridget jest szczątkiem wielkiej wapiennej masy, czy czubkiem skalnej góry lodowej, która kryje się pod powierzchnią ziemi.

Cole przyglądał się uważnie wapiennym ścianom, ale nigdzie nie zauważył kęsa bujnej jaskrawozielonej roślinności, która świadczyłaby o istnieniu przecieku lub źródła.

Błyskawice raz po raz rozjaśniały niebo, godzina w samym szczycie wzniesienia. Natychmiast po błysku rozlegał się werbel grzmotu, od którego trzęsła się cała okolica. Wiatr z szelestem przemykał po zniszczonych wapiennych stokach, niosąc w sobie wiatry i wiry, poderwane z wysuszonej ziemi.

- Woda? - zapytała Erin ochryple.

Cole bez słowa ruszył do rozpadliny, wymytej pod najbardziej stromym fragmentem zbocza. Tylko tam mogło kryć się źródło.

Po drodze mijał wapienne głązy, na których powierzchni woda wyłobiała zagłębienia, i misy, w których zbierał się deszcz. Teraz jednak woda dawno już wyparowała i został tylko dziwny zbiór szerniawych kamieni, rozrzuconych na suchej, miękkiej ziemi. Wyschnięte koryta strumienia wiła się między skałami jak rozwidlane ścieżki, wyrastające z rozpadliny pod zboczem.

Nad szczytem wzniesienia z góry widać zataczała błyskawica. Potem rozległ się grzmot.

Erin podążyła za Cole'em do stóp wzgórza, gdzie przez większość dnia zalegał śnieg. Ktoś tu był przed nimi. Wokół zobaczyła bezładnie rozrzucone niewielkie wzniesienia wykopanej ziemi, połamane odciskami szerokich, płaskich stóp, które widzieli na równinie. Cole podszedł do pierwszego dołu, a potem do innych. W każdym zobaczył to samo - śnieg na ziemi, a na jego boku kilka centymetrów równie suche wapienne podłoże.

- Na razie ten śnieg ma takiego samego pecha jak my - stwierdził ponuro.

Ich stopy prowadziły od wyschniętego koryta strumienia do samego wzgórza i zniknęły na kamienistej powierzchni. Widać było, że aborygen, nie zważając na niebezpieczeństwo piorunów, postanowił wspiąć się na szczyt skalnej formacji, aby poszukać zapadlisk albo głębokich kotłów, w których woda mogła się utrzymywać przez cały rok.

Cole wiedział, że nie ma innego wyboru, jak tylko podążyć za nim. W milczeniu zrzucił plecak i rozejrzał się za najłatwiejszą drogą w ród kamiennego labiryntu.

- Nie! - wychrypięła Erin. - Pioruny!

Jakby dla podkreślenia jej słów, w tej samej chwili niebo od horyzontu do horyzontu przecięła jaskrawa błyskawica, a w powietrzu rozniósł się zapach spalenizny. Grzmot przetoczył się po ziemi i niebie, wprawiając wszystko w drżenie. Błyski nieustannie rozjaśniały okolice, a drobne włoski na ciele Erin i Cole'a zjeżyły się, reagując na ładunki elektryczne w powietrzu.

Z minuty na minut wszystko wokół ciemniało, jakby kto zerwał z nieboskłonu ście. Cały wiat zadrzał konwulsyjnie, kiedy ciemne chmury zmieniały się w wodę. Deszcz spadł na ziemię równie gwałtownie jak błyskawica, z taką siłą jak grom, jakby gdzieś w górze był zbiornik oceanu i chciał zatopić i niebo, i ziemię.

Erin i Cole chwycili się w objęcia i ze śmiechem podnosili do góry głowy, żeby powitać nocy ulewę.

Rozdział trzydziesty czwarty

Godzinę po wschodzie słońca Erin patrzyła na płomień ogniska, buchający pod niebem, które drżało od zamglonego wiatru. Kiedy ulewa ustała, nocne niebo zasnuwały czarne chmury. Tuż przed witem zerwał się pachnący deszczem wiatr i przyniósł szum wody, wypływającej z każdej szczeliny i zagłębienia wzgórza Bridget. Niebo było zasłonięte gęstymi powłokami czarnymi od wilgoci chmur.

Erin, ubrana w dodatkową koszulę, którą Cole zabrał włącznie na taki wypadek, prawie zmarzła, mimo że siedziała w schronieniu zbudowanym z przezroczystych płacht plastyku. Było to uczucie tak nowe, że wydało jej się zabawne, podobnie jak apetyt na kawałek wędzonej karpia, którego Cole upolował, kiedy pierwsza fala ulewy wypłoszyła go ze skalnej rozpadliny. Roze miała się cicho, sięgnęła po pełną manierkę i wypijała tyle wody, na ile miała ochotę.

Cole podniósł wzrok znad rozpalanego ogniska i również sięgnął u siebie.

- Lepiej się czujesz?
- Wciąż niedorzecznie wspaniale - przyznała, odkładając manierkę po kilku łykach. - Być może jutro albo pojutrze zginie, ale teraz tu siedzisz i cieszysz się, że jest mi chłodno, a namyłowu na niadanie linka napływa mi do ust.

Roze miał się rado nie i ywiołowo. W jego oczach odbijały

si płomienie ognia.

- To lepsze niż foka, co?

- Bez porównania. -Przecież gnęła się, lekko zadręła i usiadła wygodniej. -Woda to wspaniała rzecz! Chociaż muszę przyznać, że przez chwilę się bałam, że utonę.

- Ja, też -przyznał wesoło Cole. -Wciąż nie mogę uwierzyć, że ta masa wody, która spłynęła do szczelin, nie porwała nas i nie zmyła nas do Zatoki Admiralicji. -Zobaczył, że Erin dla rozgrzewki rozciera ramiona. -Usiadł przy ogniu i zjedł posiłek. Za godzinę nie będzie wierzyła, że miała na to ochotę.

- Na jedzenie?

- Nie, na ogrzanie się przy ognisku. Dzisiaj będzie równie gorąco jak wczoraj, ale ponieważ wilgotno po deszczu jest jeszcze wilgotniejsza, upał da nam się dotkliwiej we znaki.

Erin potrząsnęła głową.

- Co za klimat. To cud, że aborygeni tu przetrwali.

- Wielu z nich to się nie udało - odparł Cole, podając jej kawałek spieczonego mięsa.

- Mylisz, że ten przeżył?

- Ten, który nas ledził?

Skinęła głowę z ustami pełnymi jedzenia.

Cole wzruszył ramionami i ugryzł kawałek mięsa.

- Po deszczu nie znalazłem żadnych nowych ładów. Jeśli zszedł ze wzgórza, to nie na tę stronę.

Zanim skończył posiłek, ziemia zaczęła parować. Słonce wyciągało z niej wilgoć. Cole wstał i korzystając z jaśniejszego wiatru przyglądał się uważnie wzniesieniu.

- Cole?

Mruknął coś, pytając co.

- Czego szukasz? Aborygena?

Wolno potrząsnęła głową. Całą uwagę skupił na podnóżku wzniesienia.

Erin podniosła się i stanęła obok Cole'a. Popatrzyła w tym samym kierunku, ale nic nie zauważyła, oprócz niewielkiej

kaskady spływają po nierównej skale.

- A niech mnie! - odezwał się w końcu Blackburn.

- Co się stało?

- Widzisz te kaskady? - Przystanął. - Płynię mi dzięki pami spinifeksu i tymi karłowatymi drzewkami. Potem spada na to rumowisko u stóp wzgórza, prawda?

- Tak. - Erin pochyliła się naprzód.

- A widzisz, gdzie potem wypływa?

Erin jeszcze bardziej się pochyliła i wytrzymała uwagę.

- Nie widzę - odparła w końcu.

- Ja też nie.

Cole wziął plecak i strzelbę i ruszył w kierunku kaskady. Erin poszła za nim, wyciągając nogi, aby dotrzymać mu kroku.

Kiedy stanęli na skraju rumowiska, wcale nie znaleźli rozwiania zagadki. Woda spadała na kamienie, wśród których wyrastał skrob, ale nie było widać, gdzie następnie wypływa.

- Co... - zaczęła Erin, ale Cole przerwał jej gwałtownym gestem.

- Słyszysz coś? - zapytał.

Erin chwilę nasłuchiwała.

- Słyszysz szum wody.

Blackburn zrzucił plecak i podał jej strzelbę.

- Idź przyjrzyj się temu bliżej. Sprawdź, czy w pobliżu nie ma innych miejsc, gdzie woda spływa ze wzgórza, ale nie pojawia się na równinie.

Im dłużej Erin patrzyła na wzgórze Bridget, tym bardziej nie wiedziała, co o tym myśleć. Mimo nocnej gwałtownej ulewy bardzo mało wody spływało z długiego wapiennego stoku. Można to było wytłumaczyć tym, że karłowate drzewka, twarde spinifeksy i popłosa powierzchnia kryły większość strumyków. Ale trudno było wyjaśnić fakt, że tylko kilka ze spadających żyzków wody wypływało spod stóp wzniesienia za krąg wypalonej ziemi, pozostały po aborygeńskim ognisku. W niecce dostrzegła jedynie płytkie kałuże, pozostałe po deszczu.

Cole zszedł z rumowiska i szybko zbliżył się do Erin.

- To miejsce jest bardzo dziwne -oznajmiła dziewczyna.
- Tak, cholernie mały odpływ wody -przytąknęła zwiła. -
Czy właśnie nie to miała na myśli mówiąc, że wapie jest jak
głęboka?

Rozejrzyła się, ale w jego oczach płonął podniecenie.

- Niezupełnie, kochanie. Potrzeba więcej czasu i
większego ciśnienia, żeby woda wnikała w niewielkie
przestrzenie między szczelkami wapienia.

- W takim razie, co się dzieje z tą wodą? To nie jest małe
wzgórze. Jego szczyt musi mieć przynajmniej dziesięć
kilometrów kwadratowych powierzchni.

- Raczej około dwudziestu pięt. A wczoraj w nocy
spadło około trzech, a może nawet pięć centymetrów deszczu.

- Czy to wszystko spłynęło ze szczytu w ciągu nocy?

- Gdyby tak było, brodziłoby się po pas w wodzie. Założę
się, że tylko niewielki ułamek wody, która spada na wzgórze
Bridget, widzi kiedykolwiek światło dzienne. Większość wpada
w rozpadliny, znika w wypłukanych kanałach i w końcu dociera
do wód gruntowych.

- Czy właśnie nie coś takiego dzieje się z tą kaskadą?

Skinął głową.

- Każda kropla wody, która spada na szczyt wzniesienia,
długo ku dołowi. Jestem przekonany, że ten wapie jest
poprzecinany mnóstwem wypłukanych kanałów.

- Jaskinie? - zapytała Erin ciekawym z przejęciem głosem.

- *"Twój spadek to istny skarbiczek zamknięty przez skalną
pieczęć"* -Złoty Cole'a zalał ją jaskrawym światłem na tle czarnego
zarostu. -Idziemy, kochanie. Zobaczmy, jak możemy na siebie dostać
pod tę pieczęć.

Pierwszy rumieniec podniecenia na policzkach Erin zbladł,
kiedy Cole bezskutecznie przeszukiwał podstawy wzgórza
Bridget. Szukał otworu, który mógłby prowadzić do jaskini.
Znalazł pięć w szczelinach skalnej ścianie, w których znikała woda.
Były to szczeliny, gdzie wpływało więcej wody, niż
wypływało. Jednak nie dostrzegł otworu na tyle dużego, żeby

wsunęło dłoń, nie mówił o przejściu na drugą stronę.

Znowu zaczął padać. Krople były rzadkie, powolne i ciepłe. Czuli się jak uwiłaził pod nieokrzesanym pryzmatem.

Po dwóch godzinach Erin zdjęła kapelusz z miedziowym rondem, wytarła nim twarz i usiadła na spadającym pod ostrym kątem w dół, kamienistym gruncie, pod obójnym cieniem drzewa. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni. Pomiędzy opadami wilgotno powietrze się gała maksimum.

- Przynajmniej mamy tyle zapasów wody, nie możemy uzupełnić wszystkiego, co wypocimy - powiedział Cole.

- Wcale nie narzekam.

Uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

- Wiem. Na nic nie narzekała.

- Z wyjątkiem tej goann.

- Powiedziała, że jest lepsza niż focze miś.

- Wszystko jest lepsze niż focze miś, nawet głód - odparła. - No, może nie do końca. - Westchnęła i przeciągnęła się, podniosła wysoko ramiona. - Cud! - zawołała ze zdziwieniem.

- Co takiego?

- Chłodny powiew.

- Chyba w końcu dopadła ci tropikalna choroba - stwierdził, ocierając pot z twarzy. - Stąd po Snowy River nie wiadczysz chłodnego wiatru.

- Ale tak! - Wzięła jego dłoń i uniosła do góry. - Tutaj.

Kiedy tylko Cole poczuł strumień chłodnego powietrza, wiksza dawka adrenaliny zaczęła krążyć w jego żyłach. Minął Erin, przedarł się przez ostre spinifeksy i karłowate drzewka, i stanął jak wryty. Ukryte w ród rumowiska i roślinności, otwierało się w wapiennej cianie czarne w skałę przejście.

- Cole? Czy znalazłeś to, czego szukali my? - Erin spojrzała w napięciu na skalne zbocze. - To chyba za małe. Czy Abe to był duży młocznik?

- Mniejszy ode mnie.

- Prawie każdy jest mniejszy od ciebie - odparła sucho.

Sprawnym ruchem Cole zdjęł z ramienia strzelbę i odłożył

na bok. Plecak z głuchym j kiem opadł na ziemi .

- Wchodz do rodka. Zaczekaj tutaj.
- Nie ma mowy.
- Jaskinie s niebezpieczne -oznajmił surowo.
- Wi kszo interesuj cych rzeczy w yciu jest niebezpieczna.

Spojrzał na ni z ukosa, a potem u miechn ł si krzywo.

- Przynajmniej daj mi sprawdzi , czy przy wej ciu nie ma adnych pułapek, naturalnych albo zrobionych przez człowieka.
- Dobry, stary Abe, król kłamstwa -wymamrotała Erin.
- Wła nie. Chocia nie mamy gwarancji, e to jaskinia Abe'a. Jak mówiłem, całe wzgórze mo e by podziurawione jaskiniami.

- Ale ta szczelina troch przypomina e sk "map Tasmanii" -stwierdziła Erin ze miertelnie powa n min .

Po chwili zaskoczenia Cole parskn ł miechem, niespodziewanie chwycił Erin i mocno j pocałował.

- To na szcz cie -powiedział i wypu cił j równie nagle. Zanim Erin zd yła go upomnie , eby uwa ał, znikn ł bez ladu, jak spływaj ca ze stoku woda.

Otwór nie był tak w ski, jak si wydawało, poniewa biegł troch krzywo. W ci gu kilku sekund Cole z tropikalnego sło ca wszedł w nieprzeniknione ciemno ci. Zatrzymał si , zapalił zapak i osłonił płomie dłoni . Pierwsz rzecz , jak ujrzał w dr cym wietle, był stos grubych kremowych wiec. Dalej le ał rz d górniczych kasków z lampkami i paliwo.

Zobaczył te zardzewiałe blaszane pudełko po cukierkach. Podniósł je dygocz cymi z emocji r kami. W pudełku co zagrzechotało. Kiedy na nie patrzył, pal ca si zapalka zacz ła parzy jego skór . Zgasił j z przekle stwem i si gn ł po nast pn .

- Cole? -zawołała Erin. -Nic ci si nie stało?

Wydał długie, urywane westchnienie. U wiadomił sobie, e przez chwil nie oddychał.

- Nic mi nie jest. Mo esz przynie plecak i strzelb do

wej cia?

Erin chwyciła broń i plecak. Jego ciar ją zaskoczył. Na myśli, że Cole długi w morderczym upale, podczas gdy ona szła bez żadnego obciążenia, zrobiło jej się przykro. Wspięła się po kamieniach i zajrzała do punktu w skalnym zboczu.

Cole zapalał wiec od płomienia poprzedniej. Lekko 'drąc z przejściar ką podał jej jedn z nich.

Z początku Erin nic nie widziała, oprócz samego korytarza, chłodnego mroku, w którym ginało wiatło i powracało z niespodziewanych miejsc, gdzie kamień odbijał blask. Z oddali dobiegał głośny szum spadającej wody. Bliżej dawało się słyszeć kapanie i delikatny szmer cienkich strumyków, jak drzewce westchnienie rozchodzące się po wiecznym mroku jaskini.

Wapienie wiał pod wpływem wody.

- Co to jest? -zapytała Erin, dostrzegłszy blaszane pudełko.
- Co, co zostawił Abe.
- Puste?
- Nie.
- Są tam diamenty? -zapytała podniecona.

Cole podważył wieczko.

- Nie. Ale jest tu coś, co w jaskini jest cenniejsze od diamentów. Zapałki.

Na garści drewnianych zapałek i wodoszczelnych pojemniczkach, zawierających kolejne zapałki, leżała zła ona kartka. Erin ostro nie wzięła papieru i rozłożyła. W migocącym płomieniu wiecy zobaczyła wyblakłe, eleganckie linie pisma Abe'a.

Wnuczko,

Jeśli dotarła tak daleko, jest w tobie więcej mojej krwi niż krwi Bridget. Ona nienawidziła Kimberley. Twierdziła, że to miejsce dobre tylko dla skazańców i tubylców. Ale to mnie kochała, a nie mojego brata. Moje dziecko urodziła. Królowa Kłamstwa. Przeklinam ją. Napij się, dzieci, moich marzeń. Zobacz, gdzie płynie czarny łabędź. Dotknij skarbu Pana Boga,

tam, gdzie pod zimną skałą się chowa.

egnaj, wnuczko zdradzonej miło ci, krwi z mojej krwi, ko ci z mojej ko ci. Nie zostawaj tu zbyt długo. Zachły niesz się czerni i utoniesz.

- Wygląda na to, że miała rację - odezwała się Erin.- Bridget nosiła w sobie dziecko Abe'a, kiedy wyszła za mnie za mojego dziadka. .

- "Królowa Kłamstwa" - mruknął Cole. Schylił się i w ciemności zaczął szperać w plecaku. Wyjął z niego wszystko, oprócz małej latarki.

- "Przeklinam ją" - powiedziała cicho Erin. Złożyła papier i schowała z powrotem do pudełka. - Chyba nie umiał przebaczać. .

- A ty by umiała?

- Czasami mi się to udaje - odparła wzruszając ramionami.

Wzięła wodoszczelne pudełko zapalek, sprawdziła jego zawartość i włożyła je do kieszeni szortów.

- Czy to znaczy, że przebaczyła Hansowi? - zapytał Cole.

Wziął strzelbę i oparł ją o skałę w pobliżu wejścia.

- To znaczy, że sama sobie przebaczyłam głupotę i łatwowierność. - Zamknęła pudełko i postawiła na ziemi. - Nieśpiesz się, aby Abe dotarł do tego punktu. Wolał wypić morze piwa niż stanąć twarzą w twarz z samym sobą. .

Jasne oczy Cole'a załamywały się w świetle świecy, kiedy zwrócił się do niej.

- A ja? Już mi wybaczyła, że nie zacisnąłem ręki na szyi Lai i nie skręciłem jej karku?

- Pytasz niewłaściwie osobę. - Wzięła kilka świec i włożyła do drugiej kieszeni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zapytaj samego siebie, a nie mnie.

Przez kilka chwil w jaskini było słychać tylko szum wody ciekącej w szczelinach nieczułego kamienia.

Potem Cole włożył plecak i odwrócił się; chrząst jego kroków na kamieniach wymieszał się z odległym szemraniem wody. Obejrzał znajome karbidowe lampki na kaskach i

spróbował jeden zapalić. Ku jego zdziwieniu, działała. Czysty płomień palił się równo, a okręgle lustro z wielokrotnością jego jasności. Cole przykrył płomień sto kowatym szklanym kloszem.

Zdmuchnął wieczki i chciał zapalić kolejną lampkę, ale nie działała. Trzeciej też nie udało mu się uruchomić. Dopiero czwarta okazała się dobra. Zdjął kapelusz, włożył kask, a drugi, równie z palcami się lampkę, podał Erin. Dziewczyna szybko nauczyła się nie patrzeć prosto w wiatło nad czołem Cole'a.

- Zdejmij kapelusz - polecił.

Kask był za duży. Cole dopasował paki i sprzączki i jeszcze raz włożył go Erin na głowę. Tym razem trzymał się dobrze.

- Idź przynajmniej trzy metry za mną - powiedział. - Nie ma sensu, żebyśmy oboje wpadli w ten sam dziur.

Erin zmrużyła oczy. Chciała zgasić wiec, ale zawahała się.

- Chcesz mnie przestraszyć, żeby tu została, prawda?

- Nie. Po prostu mówię ci prawdę. Może będziemy szli po skale grubej jak całe to wzgórze, a może cienkiej jak jesienny lód na rzece - odparł bez ogródek. - Może na siebie o tym przekonasz, dopiero kiedy się na niej stanie. Albo się załamie, albo nie.

Nerwowo spojrzała na ziemię pod stopami. Była nierówna i wydawała się solidna.

- Może powinniśmy wstrzymać się z badaniami do czasu, kiedy wrócimy tu z linami i sprzętem?

- Zaczekaj na mnie przy wejściu. Tam nic nie grozi. - To była jedyna odpowiedź Cole'a.

- Nie.

- W takim razie idź za mną ład w ład. Jeśli podłogę nie zarwie się pod moją, utrzyma równie ciebie.

Erin zdmuchnęła wiec i ruszyła za Cole'em, trzymając się trzy metry z tyłu. Korytarz szybko się obniżył i musieli teraz iść pochyleni, żeby zapomnieć o ciemnościach i olbrzymiej masie wapienia, która odgradzała ją od słonecznej, Erin myślała o Szalonym Abe Windsorze.

- Ile lat miał Abe? - zapytała dysząc cięko, zmęczona

marszem w nienaturalnej pozycji.

- Tyle, ile powinien mieć dziadek. Dlaczego pytasz?

- Może surowa w trolu krokodyla ma jakie zalety, o których nie wiem.

Roze miał się i nagle zaklął, kiedy sklepienie opuściło się jeszcze nieej. Musiał teraz iść na czworaka. Woda spływała po wszystkich powierzchniach, a rozmiękły kamień był liski. Ciemne poziome linie bieżyły wzdłuż obu gładkich cian. W miarę jak korytarz schodził coraz niżej, ich wysokość się zwiększała.

- Co z tą jaskinią jest nie tak -odezwała się Erin po chwili. -Jest mała, w skałę i wilgotna. Jaskinie powinny być wielkie i wspaniałe.

- Takie są tylko te najładniejsze. Wiąkszość to w skałę, błotniste korytarze, w których nie ma żadnych ciekawostek.

- Dlaczego?

Cole zaklął, gdy ostry kamień zranił go w kolano.

- Warunki nie są odpowiednie -wymamrotał.

- Dlaczego?

- Bo ja tak mówię, i koniec -odparował.

Erin zrozumiała aluzję i o nic jej nie pytała. Pełznąć wolno, odwracała głowę i oświetlała w skałę przez cie. Rozsądnie tłumaczyła sobie, że jej strach nie ma sensu. Wzgórze Bridget z pewnością się nie zapadnie i nie zmieni jej. Po prawej mignęło jej kilka czarnych wejść do bocznych korytarzy. Odwróciła głowę, ale światło nie docierało do ich mrocznego wnętrza. Otwory były wystarczająco duże i mógł się w nich zmieścić człowiek. Gdzieś z ich czeluści wydobywał się szum spadającej wody.

Erin drąc sunęła naprzód. Woda skapywała ze cian i zbierała się w krótkie strumyczki, popychana siłą ciśnienia wpływała z wapiennej szczeliny. Była chłodna i tajemnicza, zalewała ciemne zagłębienia i niknęła w wąskich kanałach wzdłuż cian tunelu. Ciemne linie na cianach zniknęły. Na nierównej powierzchni zbierały się małe, płytkie kałuże. Faliste

podło e wygl dało jak wymyte przez wartki strumie wody.

Korytarz schodził ni ej pod coraz ostrzejszym k tem. Erin przypomniła sobie o bocznych odnogach, które wyławiało wiatło jej latarki.

- Sk d wiemy, e to wla ciwy korytarz? -zapytała.

- Tu s strzałki.

Tunel szedł jeszcze stromiej w dół. Wapienny wyst p uderzył Erin w kolano, a poczuła ostry ból w całej nodze.

- Ile ju przeszli my?

- Najwy ej sto pi dziesi t metrów.

Zakl ła pod nosem.

- To wcale nie to, kochanie. To jaskiniowy szlam. Bardzo długo musi si zbiera . Prawd mówi c ... Nie ruszaj si !

Erin zamarła.

- Co si stało?

- Dziura w podło u -oznajmił krótko.

Wolno wysun ł głow , obwodz c wiatłem nieregularny kolisty cie , który pojawił si na ziemi kilka metrów przed nim. Cienkie stru ki wody spadały migocz c i wij c si z niewidocznego wylotu na sklepieniu i znikwały w ziej cej poni ej dziurze. Cole poło ył si na brzuchu i ostro nie posuwał si po liskiej, nierównej powierzchni, eby zajrze w dół pionowego tunelu.

Ta cz ce strumyki wody znikwały w czerni. Sze metrów ni ej rozkołysana powierzchnia wody odbijała wiatło w chaotycznych błyskach. Cole zobaczył te co , co wygl dało jak spl tany ła cuch i wyra niej ni woda odbijało wiatło. Stwierdził, e to ci ka, aluminiowa drabinka. Spu cił jeden jej koniec w otwór. Woda spływała i rozpryskiwała si o metalowe dr ki. Górny koniec był przytwierdzony do ciany trzydzie ci centymetrów poni ej kraw dzi otworu.

Cole długo ogl dał w wietle górniczej latami wielkie sworznie, które utrzymywały drabink w tunelu. Były troch zu yte, ale nie za bardzo.

- Czy zej cie jest bezpieczne? -zawołała Erin.

- Właśnie się nad tym zastanawiam.

Kiedy już straciła nadzieję, Cole co powie, odezwał się.

- Abe był dobrym górnikiem. Stemple we wszystkich jego kopalniach wciąż się mocno trzymają.

- No i co?

- Prawdopodobnie wystarczy coś solidnie przymocować drabinkę; żeby wytrzymała mój ciężar, nie tylko jego. Poza tym, na tych sworzniach można by zawiesić Most Brooklyński.

- Tam jest drabina?

- Szczególnego rodzaju.

Cole stknął, dźwignął się z ziemi i oparł nogi w górę szybu, podpierając się tylko ramionami. Z pozycji Erin wyglądało to tak, jakby był po szerokości uziębiony w skałę.

- Odwróć głowę. wiecisz mi prosto w oczy.

- Przepraszam. -Erin po piesznie się schyliła.

Cole odnalazł prawy stop aluminiowy szczebel. Wolno przynosił ciężar ciała z ramion na nogi, nie zwracając uwagi na wodę, która ciekła mu po twarzy i ramionach. Nagle stopa się ześlizgnęła i musiał z całej siły zaprzeć się ramionami.

- Cole!

- Nic się nie stało. Szczeble są mokre.

Tym razem głębiej wsunął stopę, a czubkiem buta dotykał skały. Metal wytrzymał jego napór nie uginając się. Sworznie ani drgnęły. Cole wiadomie zmieniał nacisk na drabinkę, unosząc się w górę i opadając sprawdzał wytrzymałość zaczepu. Nic się nie poruszało.

- Ten stary drań nie był taki całkiem stuknięty - wymamrotał Cole. Spojrzał na Erin. W świetle latarki spadająca na niego woda migotała i błyszczała. -Wolałbym, żeby nie musiała tego znosić, kochanie.

- W yciu kadego człowieka zdarzają się deszczowe dni.

- Na trochę deszczu bym się zgodził, ale przyszli my tu w niedobrej porze. -Podniósł głowę i spojrzał na czarny otwór, z którego spadały na niego cienkie strumyki. Stwierdził z całą pewnością, że przez ostatnie kilka minut tempo wypływania

wody się zwi kszyło. -To nam dobrze nie wró y.

Erin spozrzała w tym samym kierunku i jej lampka równie o wietliła otwór. Mimo dr tego blasku, wi ksze stru ki nie były srebrne ani przezroczyste, tylko czarne.

- Teraz pada na tyle, eby nas irytowa -powiedział Cole. - Za kilka godzin b dzie tu wodospad. Wszystko zale y od tego, jak mas wody zbierze ten kanał odpływowy i jak długo woda z powierzchni b dzie przeciekała przez wapie do kanału.

- Kiedy Abe ostrzegał, eby nie zachłysł si czerni i nie uton , my lałam, e ma na my li niebezpiecze stwo ataku klaustrofobii -oznajmiła Erin .

- W tpi . Abe bardzo lubił kopalnie, im gł bsze tym lepiej. Poza tym jego metafory bywaj całkiem dosłowne. Je li mówił o utoni ciu, to miał na my li wod .

- Czarn wod .

- W jaskiniach nie ma innej.-Cole oparł lew stop na szczeblu.-Teraz jeste my ju poni ej linii wysokiej wody.

- Co takiego?

- Mam na my li te poziome kreski na cianach, które mijali my po drodze. To linie wysokiej wody.

- Bardzo mi to dodaje otuchy.

- Je li chcesz doda sobie otuchy, wracaj do wej cia.

Erin wolno wci gn ła powietrze i nic nie powiedziała.

- Te faliste wgł bienia, po których si czołgali my, dowodz , e woda kiedy płyn ła przez ten tunel. To si mo e powtórzy -wyja nił Cole.

- Mo e si powtórzy czy na pewno si powtórzy?

- Kiedy wapie poni ej nas si nasyci, poziom wody b dzie wzrastał a do wysoko ci takich otworów, jak ten, którym tu weszli my. Je li odb dzie si to powoli, zd ymy wyj . A mo e poni ej te s jakie odpływy, wtedy b dziemy bezpieczni.

- A je li nie?

- To si przekonamy, ile czarnej wody uda nam si wypić , zanim utoniemy.

Rozdział trzydziesty piąty

Cole wolno oparł prawą rękę na szczeblu ruchomej drabinki. Kamienna ściana była nierówna, więc niektóre szczeble odstawały od niej na kilkanaście centymetrów. Tam, gdzie ściana biegła pionowo, Abe wykuł zagłębienia na ręce i nogi.

- Cole, jesteś pewien, że nie powinniśmy zaczekać?

- Wkrótce będzie tutaj o wiele bardziej mokro. Poza tym szansa, że przez tę wspinaczkę po tej drabince jest o wiele większa niż szansa ucieczki przed Conminem, jeśli jako broń posłuży nam tylko przypuszczenie, że to jest właśnie ta kopalnia, której szukamy.

- Bądź ostrożny - wyszeptała.

Co mruknął i oparł lewą rękę na szczeblu. Przez moment zamigotała rzęka ukrytego w zabłoconej skórzanej pochwie na przedramieniu.

Metal wytrzymał ciężar Cole'a. Odetchnął głębiej i zaczął schodzić na niższy szczebel. Drabinka lekko się kołysała i skręcała, dopóki nie oparła się o skałę. Odnalazł następny stopień i opuszczył się w głąb szybu. Plecak otarł się o skałę i zawisł na przewieszonym.

Cole zaklął i wrócił na wyższy szczebel. Zdjął plecak i przewiesił go przez prawe ramię. Jednak i teraz nie udało mu się go przecisnąć przez wąski otwór.

- Jesteś za duży - odezwała się Erin. - Ja zniosę plecak na dół.

- Miałem nadzieję, że nie zechcesz ze mną schodzić wymamrotał, ale wspiął się wyżej i podał jej bagaż. - Włóż moje zapasy koszul, zanim jeszcze bardziej zmarzniesz.

- Jak długo potrwa, zanim wapie nasyci się wodą? - zapytała spełniając polecenie Cole'a.

- Nie wiem. Być może woda nie dochodziła do tego poziomu przez ostatnie dziesiątyście lat. Może w ogóle tu nie

dojdzie. -Spojrzał do góry i spostrzegł zielony błysk oczu Erin. - Ale co ci powiem. Myślisz, że to jest nasza ostatnia szansa przed nadejściem kolejnej pory suchej.

Erin zagryzła dolny warg, kiedy Cole znowu zniknął w otworze. Usłyszała suchy szelest kamienia ocierającego się o ubranie i skórę, a potem Cole'a przeklinającego rozmiary własnego ciała, chociaż to właśnie dzięki jego sprawności dotarli tak daleko.

- Przeciwnie nie sądzisz? -zapytała.

- Z trudnością. -Stwierdził i jeszcze raz zaklął. -Abe był w szybach w ramionach.

Stopniowo zniknął w głębi szybu. Woda z sykiem uderzała w szkło lampki na jego kasku.

- Czy kiedyś już schodziłaś po takiej łańcuchowej drabince? -zapytał, zanim całkiem zniknął poniżej krawędzi.

- Za każdym razem, kiedy schodziłam z pokładu statku towarowego do bazy. Zwykle przy pięciostopniowym wietrze.

- W takim razie to będzie dla ciebie kaszka z mlekiem. Ciężka jest na tyle nachylona, że znajdziesz miejsce na ręce i nogi, ale nie tak bardzo, aby się kołysała przy podmuchach.

Kiedy Cole zawołał do niej z dołu, Erin założyła plecak, wzięła głęboki oddech i jeszcze raz powtórzyła sobie, że kiedykolwiek to takiego robiła, i to w trudniejszych warunkach.

Ale nie w ciemnościach.

Cole w milczeniu patrzył, jak Erin opuszcza się po stopniach. Woda ciekła i rozpryskiwała się wokół niej. Strumienie zmieniły się w grube na palec strumyki i spadały z coraz większą siłą. U stóp drabinki kałuża wody się gęła kostek. Było tam tylko tyle miejsca, że dwoje ludzi mogło stanąć tu obok siebie. Prawie całkiem okrągły otwór prowadził do odchodzącego pod korytarza. Nowy tunel był w ścianie i miał gładkie ściany.

- Uwaga! -powiedział Cole i chwycił Erin, kiedy nie znalazła pod stopami ostatniego szczebla. -Szyb jest ponad pół metra dłuższy niż drabinka.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy poczuła na kostkach chłodną wodę.

- Mam nadzieję, że nie zejdziemy już wiele głębiej.
- Ja też mam taką nadzieję.

Cole opuścił głowę i omiótł wiatłem latarki całe widoczne podłoże. W miejscu, na które podczas pory deszczowej spadała kaskada wody, w wapieniu została wymyta nieregularna misa. Za ciałą jej małe kamienie, wygładzone przez strumień.

- Może na chwilę wejść na drabinkę? - zapytał.

Erin wspierała się kilka szczebli wyżej.

- Wystarczy?
- Jeszcze jeden.

Nie zważając na zimne strumienie wody, Cole przysiadł na piętach w miejscu, które zwolniła Erin. Wybierał kamienie gładkie i przeszukiwał dno zagłębienia. Kiedy sięgnął po raz ósmy, coś do niego zamrugało i błysnęło w świetle, jakby nagle ożyło.

- Mam ci coś - wyszeptał Cole.
- Co masz?

Nie odpowiadając wstał i wyciągnął rękę, tak że padał na niego promień wiatła latarki. W palcach trzymał wygładzony kryształ, wielkości niedużych kulki do gry.

- Diament? - zapytała Erin nie wierząc własnym oczom.
- Najprawdziwszy. Trzymaj. Sprawdź, czy Abe nie przegapił innych.

- Nie przegapił?

- To jest pierwszy kocioł, jaki spotykamy w tej jaskini. Abe na pewno przeszukał go nie raz wchodząc do jaskini i wracając na powierzchnię.

Erin czuła w dłoni zimny diament. Serce, pobudzone adrenaliną, biło dwa razy szybciej. Zaciśnięta ręka wokół kryształu, a zabolęły jej palce. Usłyszała z dołu stukot przesuwanych kamieni. Cole przeszukiwał rumowisko aż do samego dna misy. Znalazł tam w szczelinie, którą uciekała woda. Chciał ją zbadać, ale była dla niego za wysoka:

- Trudno. Nawet je li s tam jakie diamenty, to bardzo małe.

- Jak mo esz by taki spokojny? -zapytała z pretensj .
Roze miał si .

- Spokojny? Kochanie, r ce mi si trz s prawie tak samo jak wtedy, kiedy kochałem si z tob pierwszy raz.

Erin drgn ła zaskoczona i u miechn ła si ukradkiem. Cole wstał i w zamy leniu wycierał r ce o mokre szorty.

- Nie marnujmy tu wi cej czasu .

- Nie marnujmy? Cole, przecie wła nie znale li my diament.

- Uwa aj na ostatni szczebel. -To była jego jedyna odpowied .

Na czworakach wszedł do tunelu, który pod k tem prostym odchodził od szybu, którym si przed chwil opu cili. Dno tunelu nie zostało wy łobione przez spadaj c kaskad , wi c nie zerodowało tak mocno jak niecka pod drabink . Wapienne ciany były mokre, ale nie zalane wod . Pod kolanami wyczuł falist powierzchni .

Po omacku przeszukał kilka rowków i znalazł mały diament.

Włó ył go pod j zyk i posuwał si dalej, nie zawracaj c sobie głowy innymi płytkimi rowkami. Krzywi c si z niezadowoleniem wnikał coraz gł biej w wapienn formacj .

Zdał sobie spraw , e w ski tunel opada. Woda s czyła si ze sklepienia i cian, a potem zbierała si w zwarte stru ki. Wpływała do płytkich kanałów po obu stronach tunelu albo znajdowała niewielkie szczeliny i znikafa w skale. Zastanawiał si , jak wysoko w tej cz ci Kimberley si ga poziom wody gruntowej i ile czasu upłynie, zanim pradawna, cz ciowo rozpuszczona rafa nasyci si na tyle, e tunel wypełni si wod .

- Na stropie te s te faliste rowki -powiedziała Erin. -Czy to znaczy, e ten korytarz jest cz sto zalany wod ?

Cole mrukn ł co niewyra nie .

Przed nimi rozległ si szum płyn cej wody. Cole zwolnił i uwa nie przygl dał si ta cz cym cieniom, wypatruj c

kolejnego szybu w podłoże.

Ze stropu jak z dziurawego sita ciekła woda. Tunel rozszerzył się na boki. Dno stało się nierówne, z licznymi wgłębieniami wypłukanymi przez długotrwałe, silne uderzenia kaskad wody podczas pory deszczowej. Niektóre niecki były tak duże jak wanna, inne nie większe niż pięść. Pod cianami leżały małe stopy kamieni, które ktoś wybrał z zagłębienia i odsunął na bok.

Woda zalewała Cole'a i Erin, moczyc ich od stóp do głów, ale oni pełzli naprzód. Strumyki nie były już chłodne, ale wręcz zimne. Kiedy tylko Erin się zatrzymała, żeby zbadać małą nieckę, zaczęła dygotać. Mimo to nie zrezygnowała. Nawet zmarzniętymi palcami wyczuwała różnicę między kawałkami wapienia a wygładzonymi przez wodę diamentami.

- Znalazłam jeden! -zawołała.
- Brawo. Włóż go pod język i idź dalej.
- Ale przecie ...
- To tylko resztkę po Abe -przerwał jej Cole. -Widzisz to rumowisko pod cianami? Już przeszukał te niecki.
- W takim razie dlaczego znalazłam diament?
- Mogłoby tylko przypuszczać, że Abe dalej znalazł coś tak interesującego, że staranne przeszukiwanie tego odcinka wydało mu się stratą czasu.

Mówiąc to czołgał się w kierunku gardłowego, coraz głośniejszego grzmotu. Ogarnęło go podniecenie, odciągnęło go od rozciągających się ców, których się nabawił podczas pełzania po ostrych kamieniach. Kanał zrobił się wyszy, Cole mógł już iść zgięty wzdłuż, a nagle stanął całkiem wyprostowany. Woda chlupała wokół stóp. Nie zwracał na nią uwagi, tak samo jak na zeszywniałe, bolące mięśnie. Kiedy lampa Erin pojawiła się kilka metrów za nim, podał dziewczynie rękę i podciągnął ją do pozycji stojącej. Jęknęła z ulgą.

- To mi bardziej przypomina jaskinię -stwierdziła, przesuwając dokoła wiatło latarni. -Trochę tu nisko, ale za to szeroko. I dużo wody.

Cole wypluł diament spod języka i włożył go do jednej z kieszeni plecaka. Erin oddała mu swój i patrzyła, jak wdruje tam, gdzie poprzedni. Ku jej zdziwieniu, Cole nie skierował się dalej w głąb poprzecznego otworu. Stał i wyciął wkoło latarką, zapamiętując swoją pozycję w szerokiej grocie. Potem zawrócił i obejrzał tunel, z którego przed chwilą wyszli.

Duża, niezgrabna jedyńka została wryta nad wylotem tunelu. Kiedy Cole odwrócił głowę, na skraju zasięgu wiatła zobaczył dwójkę.

- Widzisz jeszcze jakie numerowane wejście? - zapytał.

Erin popatrzyła w przeciwnym kierunku. Zauważyła tylko, że wieje stamtąd wilgotny wietrzyk.

- Nie ma tu żadnych cyfr, za to czuję prąd powietrza.

- To pewnie dlatego, że kanałami spływa mnóstwo wody, która wypycha powietrze.

- Co takiego?

- Posłuchaj. To nie grzmot. Gdzie dalej jest co najmniej jeden wodospad albo kaskada, spadająca ze stropu i przedzierająca się kanałami w dół.

Erin zadrżała i wytężyła słuch.

- Zimno ci - zauważył Cole.

- Nieraz było mi zimniej i jako wytrzymałam.

Zawahał się, a potem wzruszył ramionami.

- Lepiej będzie, jak pójdziemy dalej. Nie wiem, ile czasu nam jeszcze zostało.

- Którdy?

Cole wskazał na cianę.

- Widzisz tę strzałkę? Pójdziemy w przeciwnym kierunku.

- Dlaczego?

- W jaskiniach i kopalniach strzałki zawsze pokazują drogę do wyjścia.

Erin podeszła bliżej do ciany i wydała okrzyk zdumienia.

- Wygląda, jakby była wieńcem wryta.

- Dziesięć czy dwadzieścia lat to dla skały sekunda.

Cole ruszył w przeciwnym kierunku niż wskazywany przez

strzałk . Po kilku metrach stało si jasne. e gdzie przed nimi woda napływa szybciej, ni ucieka szczelinami w gł b ziemi. Pod nogami pojawiła si płytka kału a. Po kilkunastu krokach woda zacz ła si ga Cole'owi powy ej butów.

- St paj uwa nie -ostrzegł. -W podło u mog by gł bokie niecki, w których mo na nawet uton . -Zatrzymał si i odwrócił. -Umiesz pływa , prawda?

- Tak, ale wolałabym tego nie robi . Ta woda wcale nie robi si cieplejsza.

- Czy chcesz ...

- Nie -wpadła mu w słowo. -Nie zawróć . Chc zobaczy skarbiec Abe'a.

- Mo e wła nie teraz po nim idziemy.

Erin natychmiast skierowała wiatło na wod chlupic jej pod nogami.

- Naprawd tak s dzisz?

- To mo liwe, ale mało prawdopodobne. Nie widz tu stert kamieni. Przy wydobywaniu diamentów, nawet ze zło a wtórnego, jest wiele odpadów.

Przy wolno narastaj cym huku odległego wodospadu brodzili w szerokiej, płytkiej kału y. Cole starał si nie traci z oczu ciany, dopóki nie doszli do szczeliny oznaczonej dwójk . Perspektywa wczółgania si do w skiego otworu wcale ich nie poci gała. Woda miała co najmniej pi tna cie centymetrów gł boko ci i płyn ła wartkim strumieniem.

- No i co? -zapytała Erin, zatrzymuj c si obok Cole'a.

- Woda płynie w gł b tego korytarza.

- I co z tego?

- Spodziewałem si , e b dzie płyn ła w kierunku tego huku, który teraz słycha za nami.

Opadł na kolana i raz po raz kln c zacz ł na czworakach i korytarzem. Erin pod yła za nim. Kilka minut pó niej zrozumiała, dlaczego Cole tak w ciekłe przeklinał. Tunel miał teraz tylko trzydzie ci centymetrów wysoko ci i był tak w ski, e ramiona ocierały si o ciany.

- Zmie cisz si ? -zawołała.

Jedyn odpowiedzi było st kni cie, plusk wody i kolejny stek przekle stw, poniewa tunel ostro skr cił w lewo. Cole wygi ł ciało, eby si precisił przez zakr t, i nagle stwierdził, e znów mo e si swobodniej porusza . Sklepienie tunelu nieco si uniosło. Wkrótce Cole mógł stan wyprostowany, ale bokiem, poniewa kanał wymyty przez wod był tak w ski, e inaczej jego szerokie ramiona si w nim nie mie ciły.

Odgłos spadaj cej wody wypełniał ciasn przestrze , ale w wietle latarki widzieli tylko par cienkich stru ek. Kilka metrów dalej czekała na nich kolejna drabinka. Pi ła si w gór przez nast pny długi i w ski szyb, który w jednym punkcie si rozszerzał, wypłukiwany przez spływaj c wod . Szczelby były całkiem mokre.

- Zaczekaj, a wej d na gór , i dopiero potem zacznij si wspina -poccił Cole.

Bez wahania wszedł na pierwszy błyszcz cy metalowy szczebel. Wej cie do szybu było bardzo w skie, wi c nie musiał si martwi , e drabinka si skr ci, a on uderzy o cian . Woda jak uparty prysznic ciekła z niewidocznych kraw dzi na górze.

Czterna cie szczebli wy ej latarka na kasku Cole'a wyłowila z mroku kraw d szybu, wy łobion w rozpuszczalnym wapieniu. Wszedł z otworu i zawołał Erin.

- Wchod na gór !

Latarka dziewczyny zgasła w połowie drogi. Cole natychmiast skierował wiatło swojej lampki w dół. Kiedy ramiona Erin i plecak ukazały si nad kraw dzi , podci gn ł j , zdj ł jej kask i zapalił płomie latarki. Erin westchn ła z ulg .

- Bałam si , e ju si nie da jej zapali -wyznała trz s cym si głosem.

- Tak mogło si zdarzy , kochanie. Za du o tu wody. - Zawahał si . -Powinni my wraca .

- Mamy mnóstwo zapalek i wiec, wi c damy sobie rad .

Cole przez długi chwil spogl dał na Erin. Jej twarz ci gało napi cie. Erin ukochała wiatło, wokół niego skupiało si jej

ycie zawodowe. Kiedy latarka zgasła i przez kilka sekund panowały wokół ciemno ci, doznała wstrząsu.

- Nie podoba ci się tutaj, prawda? -zapytał.

- Podobało mi się, kiedy znalazłam diament. A resztę jeszcze przez jakiś czas zniosę.

W świetle latarki zobaczyła błysk jego uśmiechu.

- Jeszcze pozostać cię minut. Jeśli przez ten czas niczego nie znajdziemy, wracamy. To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- A dla ciebie nie?

- Ja znam zagrożenia, a ty nie.

- Czy tu jest bardzo niebezpiecznie?

- Jeśli przeżyjemy, ta wyprawa będzie do nas wracała w nocnych koszmarach -odparł szczerze. -Zejść ci tutaj to nie było dla mnie trudne.

- Abe przeżył.

- Opatrzność czuwa nad głupcami i pijanymi.

- No to w połowie jesteście my bezpieczni -odparowała.

Cole rozejrzał się.

- Zamknij oczy, kochanie.

- Dlaczego? -zapytała, ale posłuchała jego prośby.

- Aby moje wiatło cię nie odepchnęło.

Erin poczuła ciepłą miękkość ust Cole'a, szorstkość zarostu i wkośnięcie języka, kiedy ich pocałunek stał się bardziej namacalny. Cole zdjął z niej plecak, podniósł ją i mocno przytulił. Pocałunek zakończył się nagle, a ona drżała już nie tylko z zimna i wilgoci. Chwilę później Cole delikatnie ubrał ją w swój koszulki i zapinął guziki, nie zważając na protesty Erin, która nie chciała mieć na sobie trzeciej warstwy odzieży.

- I tak bym cię podał, przeciskaj się przez te wskie przełazki -powiedział spokojnie.

- Strasznie zmarzniesz. -Jednak bez dalszego sprzeciwu podniosła plecak.

- Mam dwa razy więcej siły niż ty. Wolniej traci ciepło. Kiedyś biolog ci to powie.

Zanim Erin zdążyła zaprotestować, ruszył wzdłuż kolejnego

tunelu. Ten był wysoki i tak w skrajności, że trzeba było posuwać się bokiem. Tutaj również widać było oznaki, że korytarz kiedyś całkowicie wypełnił się wodą. W ścianach wykuto strzałki wszędzie tam, gdzie odchodziły boczne odnogi.

Do wody płynącej woda dochodził ze wszystkich stron i Erin miała wrażenie, że w każdej szczelinie powietrza porusza się przez całą kaskadę i wodospadów. Ciekawiło ją, jak daleko się zagłębiła w wapiennej formacji, ale postanowiła nie pytać. Tak naprawdę nie chciała wiedzieć, jaka masa skały wisi jej nad głową. Wystarczająco trudno było zapamiętać wszystkie zmiany kierunku, jakie zdarzyły im się po drodze. Wciśnięci zakręcali, wspinali się w górę albo schodzili w dół przez korytarze, a szum wody dochodził ich z coraz to innej strony. Gdyby nie strzałki, szybko straciłyby orientację i się zgubiła.

Cole minął zakrętek korytarza i poczuł, że ściana już go nie naciska. Przeszedł trzy kroki i wolno się odwrócił, oglądając otoczenie w świetle lampki na kasku.

Znaleźli się w najwęższej grocie, jak dotychczas tu spotkali. Zewsząd dobiegał szum płynącej i spadającej wody, przelewającej się przez niewidoczne kanały, wymyte w wapieniu. Wiatło latarki nie sięgało ani sklepienia, ani ścian, oprócz jednej tuż za nim. Wokół przebiegały ledwo wyczuwalne prądy powietrza, wywołane niezliczonymi strumieniami wody, przedzierającymi się przez szczeliny wyplukiwane od tysięcy lat przez deszcze.

- Pięć minut. Nie wiesz - powiedział, zerkając na zegarek. Erin była zbyt pochłonięta otoczeniem, aby się sprzeciwić.

Wielka, nieograniczona ścianami przestrzeń wokół niej podnosiła ją na duchu, ale również robiła na niej jakieś dziwne wrażenie. Cała grotka ożywała, poruszona tysiącami strumyków. Dokoła słychać było szepty, pomruki, szelest, plusk, dudnienie, huczenie, kapanie i szum wody. Podziemny wiat kipił srebrnymi kroplami w ród nieprzeniknionej ciemności. Rozległe, płytkie rozlewisko cięgnęło się w mroku dalej, niż sięgało wiatło latarki. Ukryte prądy lekko burzyły jego

powierzchni, od której srebrny zorz odbijał się blask.

Po raz pierwszy od chwili wejścia w wapienny labirynt Erin ałowała, a nie ma ze sobą aparatu. Ostatni raz widziała coś tak niezwykłego i pięknego jak to jezioro, kiedy przeżyła pierwszą arktyczną noc.

Ruchomy stółek wiatła padł na kopczyki wygładzonych przez wodę wapiennych kamieni. Wzgórki wystawały ponad poziom rozlewiska, którego krańce nikały w ciemnościach. Erin chwyciła Cole'a za ramię.

- Spójrz!

Wiatło jego lampy przecięło mrok, a spoczęło na kamiennych kopcach wystających z płytkiego jeziora. Cole podszedł do jego brzegu. Jakby stworzenie drążyło jego stóp, burzone prądami powietrza i wody. Rozlewisko było doskonale przezroczyste. Woda podczas długiej podróży przez wapienne rafy pozbyła się pyłów i zanieczyszczeń. Gdyby od rozdręganego powierzchni nie odbijało się wiatło, trudno byłoby dostrzec, że jest tu jakieś jezioro.

Cole wolno się odwrócił i obejrzał się za siebie, zapamiętując położenie korytarza. Abe nie oznaczył go numerem. Inne punkty i otwory w cianach też nie były oznakowane.

- Nie widzisz strzałek - stwierdziła Erin.

Cole nie odpowiedział. Podszedł do drzewce wody i zaczął brodzić wzdłuż brzegów, szukając potwierdzenia, że Abe był tu przed nimi.

- Tutaj. Pod wodę - powiedział po chwili.

Musiał powtórzyć te słowa głośno, bo huk wody zagłuszał go. Erin podeszła i zobaczyła strzałki wykutą na wapiennym podłożu.

- Czy to znaczy, że jeziora nie było, kiedy schodził tu Abe?

- Prawdopodobnie - odparł Cole. - Nie przepadał za wodą. Prawdopodobnie mówił ci, nienawidził jej. Nie potrafił pływać.

- Badanie jaskini musiało być dla niego okropne.

- Nie w porze suchej. Cała ta woda to ostatnie opady.

Erin chwyciła powietrze i dopiero po chwili wypuściła je z wysiłkiem. Pomyślała o ulewnych deszczach pory monsunowej i dwudziestu piąciu kilometrach kwadratowych powierzchni wapiennego szczytu płaskowzgórza, na które miało spaść dwa i pół centymetra opadów. Wszystkie te krople zbierają się w strumyczki, wpływają do szczelin, tam się łączą i tworzą kanały odpływowe wymyślające skały, wypłukujące tunele, groty i szyby. Woda pchana siłą ciężkości przebiega w dół. Każdy kanał może zbierać wodę z jednego, dwóch albo nawet więcej kilometrów kwadratowych.

Tony deszczu przenikał w głąb wapienia. Kiedy wypełni wszystkie szczeliny, zostanie tylko ciemność, woda i skała.

Nie zostawaj zbyt długo. Zachły nieś się czerni i utoniesz

Erin z wysiłkiem odsunęła od siebie obraz olbrzymiej masy wody i kamienia, która wisiała nad jej głową. Brodząc, ze spuszczonego głowa podeszła do Cole'a, aby w świetle lampki lepiej widzieć srebrzyste wzory migoczące u jej stóp. Nad nią długie wstęgi wody wypływały z ciemności w promieniu sztucznego światła, jakby gdzieś w sklepieniu ukryto kurki.

- Między tymi pagórkami z kamieniami niecki i kanały - powiedział Cole. - Kiedy przez ten grot płynęły bardzo szybkie strumienie.

- Podczas ostatniej pory deszczowej?

Cole nie odpowiedział.

Z ponurym minem wpatrywał się w siłki, które mu prawie do kostek wodę. Wyczuł wyraźnie prąd, zmierzający w ciemny zakamarek grotu, którego jeszcze nie zbadali. Ukłonił się w wodzie i zbadał niewielką nieckę. Tymczasem Erin szukała czegoś, co odciągnąłoby ją od rozmyślań o złowrogiem ciemności i przytłaczającej masie grząskiej wody.

Skierowała światło lampki w dół, szukając niecki. Jej uwagę przyciągnął jakiś kolisty cień. W pierwszej chwili wzięła go za wygładzony przez wodę kamień. Potem zdała sobie sprawę, że jego zarys jest zbyt idealny. Obok dostrzegła takie same

kształty, doskonale okrągłe. Podeszła bliżej i wydała okrzyk przerażenia, kiedy wpadła w misę, której głęboką maskowała przezręczysta woda. Rozłożyła ramiona, aby się podeprzeć przy upadku. Jej palce zamknęły się na blaszanym pudełku po cukierkach.

Zagłębienie było nimi wypełnione.

- Erin? -zawołał Cole, unosząc głowę znad garści kamieni, której się właśnie nie przyglądał. -Nic ci się nie stało?

Chciała odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu. Chwyliła w ręce po jednym pudełku i wyciągnęła je w górę, aby trafiły w promień lampki Cole'a. Woda spływała jej po ramionach, odbijając światło niezliczonej ilości białych, zielonych i złotych błysków.

Nagle Erin spostrzegła, że to nie woda, tylko kamienie, wysypujące się z zardzewiałych pudełek. Stała w samym środku skarbcza Pana Boga, a diamenty przesypywały się jej między palcami.

Rozdział trzydziesty szósty

- Przywiń go sobie do stopy i wyciągnij na górę za sobą - zawołał głosem Cole.

Bliźsza wyjścia drabinka toniła teraz pod kaskadą wody dwa razy większą niż wtedy, kiedy schodzili po jej liściach i szczepkach.

- Nie wygłupiaj się -zaprotestowała Erin, wsuwając na ramiona pasy plecaka. -Wystarczająco trudno będzie ci balansować na tej drabince nawet bez plecaka obciążonego nogami. Poza tym nosiłam już plecaki co najmniej dwa razy cięższe. Ten nie waży więcej niż dziewięć kilogramów.

Cole spojrzął na nią z troską. Trzęsła się z zimna i zdenerwowania, ponieważ ona też zauważyła, że najniebezpieczniejszy korytarz, jaki dotychczas przebyli, był w ponad połowie wypełniony

wód , a jej poziom szybko si podnosił. Gdyby sp dzili w skarbcu Abe'a jeszcze pół godziny, nie mogliby z niego wyj , dopóki nie opadłby poziom wód. Je li w ogóle by im si to udało.

- Pójd przodem -odezwał si . -Je eli twoja lampka znowu zga nie, o wietl ci drog . Ale nie czekaj zbyt długo. Je li utkniesz w przew eniu, unie do góry ramiona i potrz nij plecakiem. Je eli to nie podziała, wypu powietrze i zrób jeszcze raz to samo. Gdyby nadal nie skutkowało, wró na dół, zostaw plecak, a ja go przynios . Zrozumiała ?

Erin skin ła głow , a wiatło jej lampki podskoczyło.

Cole odwrócił głow na bok, eby móc oddycha pod strumieniem i wspi ł si na pierwsze szczeble. Woda tak blisko powierzchni była m tna i w porównaniu z wod z gł bszych cz ci jaskini niemal ciepła. Nie zwracaj c uwagi na kamie ocieraj cy si o nag skór , pi ł si wzwy na jednym oddechu. W ko cu dotarł do kolejnego tunelu. Podci gn ł si i odwrócił, eby spojrze w dół.

- Wchod ! -krzykn ł.

Erin wzi ła gł boki oddech, odwróciła głow i ruszyła do góry, mimo bij cej w ni kaskady, która usiłowała zepchn j na dno szybu. Zaciskała zimne dłonie na metalowych szczeblach. Drabinka dr ała i grzechotała pod naporem lej cego si strumienia. Dziewczyna pokonała dwa kolejne stopnie i znalazła si w najw szej cz ci szybu. Kiedy próbowała podci gn si wy ej, stwierdziła, e uwi zła. Si gn ła do tyłu i przesun ła zapakowane do plecaka blaszane puszk i, eby uło yły si inaczej i dały jej przej .

Zardzewiałe pudełko otworzyło si pod naciskiem jej dłoni.

Czuła, jak diamenty wysypuj si na dno plecaka. Chciała przesun si do góry, ale znowu uwi zła. Starła si zsun z ramion pasy, ale nie mogła. Zalewała j woda, prawie uniemo liwiaj c oddychanie.

Strach ogarniał Erin jak fala czarnej wody z gł bi jaskini.

Szyb wokół niej wypełniał si wod , poniewa jej ciało i

plecak, zablokowane w przewężeniu, działały jak korek, hamując odpływ. Jeśli się nie poruszy, utonie.

Oparła się o plecak, mocno zapierając się nogami, aby precyzyjnie przesuwać się przez twarde kamie. Czuła, że kolejne puszki zgniatają się i otwierają, kiedy zardzewiały metal ustąpił siłom jej nacisku. Jednak było to za mało, aby się uwolnić.

Cole powiedział, aby uniosła ramiona.

Przypomniała sobie jego słowa tak wyraźnie, jakby stała tu obok niej. Podniosła ramiona, wygięła plecy w łuk i starała się przełiznąć przez wąskie gardło. Kiedy to nie pomogło, z wysiłkiem rozluźniła mięśnie i wypuściła z płuc powietrze. Kolejna pushka się poruszyła, ale nie wystarczająco, aby ją uwolnić. Erin przesunęła się w lewo, bez żadnego efektu. Naparła ciałem w prawo.

Zawartość plecaka zmieniła ułożenie. Erin zaczęła brakować powietrza, ale bała się odetchnąć. Jeszcze mocniej napierała na kamie, a nagle poczuła, że się uwolniła. Szybko podeszła kilka stopni w górę. W końcu ręce Cole'a chwyciły ją pod ramiona i wyciągnęły na powierzchnię. Przez kilka sekund leżała przewieszona przez krawędź otworu i cięko dyszała.

- Nic ci się nie stało?

Skinęła głowę. Wiatr nie drgnął przy tym ruchu, ponieważ jej lampka znowu zgasła. Cole spróbował ją zapalić, ale na próżno, więc podał dziewczynie swoją.

- Masz - powiedział, zamieniając się z nią kaskami. - Do wyjścia został nam już tylko krótki odcinek.

Korytarz był zbyt wąski, aby mogła wyminąć Cole'a. Musiał znowu zgiąć się we dwoje, aby się odwrócić. Czołgał się naprzód, w końcu sklepienie na tyle się podniosło, że mógł się pochylić. Odnajdował drogę przez wąskie zakola przy świetle z kasku Erin. Jego powieszony cię mający przed nim niewyraźny, przesuwający się przy każdym ruchu po nierównym wapieniu.

To właśnie ten dźwięk, niepewny cię zmylił Jasona Streeta i uratował życie Cole'owi. Cios, który wylądował na tyle jego

czaszki ogłuszył go, ale nie strzaskał ko ci. Cole miał jeszcze na tyle przytomno ci, eby mi kko osun si na ziemi i uło y lewe rami pod ciałem, ukrywaj c nó .

- Cole? -zawołała Erin. Kiedy zobaczyła, e upadł, gor czkowo rzuciła si za nim. -Co si stało?

- Spokojna głowa, panienko. Teraz jeste bezpieczna. Znale li cie kopalni Abe'a?

Nagły błysk białego wiatła elektrycznej latarki o lepił Erin.

Na jej ramieniu zamkn ła si dło m czyzny.

- Pu mnie! Cole jest ranny!

- Nie przejmuj si tym draniem. Wynaj to go, eby ci zabił.

- Chyba oszalałe ?

- Czy by? Przeczytaj to, złotko. To list od twojego ojca.

Erin zerkn ła na jaskrawo ółty plastik, który podał jej Street. Tak si trz sła z zimna i ze strachu, e ledwie mogła oddycha .

- Nic nie b d czytała, zanim nie pomog Cole'owi.

Street u miechn ł si przyjacielsko, chocia przede wszystkim chciał si dowiedzie czego o kopalni. Je li jeszcze jej nie znale li, b dzie potrzebował współpracy Erin. Udowodniła, e lepiej potrafi rozwi zywa zagadki Abe'a ni ktokolwiek inny.

- Je li musisz, sprawd , jak on si czuje -zgodził si , puszczaj c rami Erin. -Ale kiedy przeczytasz list od ojca, zrozumiesz, jaki bł d popełniła .

Nie patrz c na człowieka, który był tylko czarnym cieniem, majacz cym za jaskrawym wiatłem latarki, Erin szybko podeszła do Cole'a i przykl kła. Krótkie badanie upewniło j , e oddycha regularnie. Krew s czyła si wolno z si ca u podstawy czaszki.

Erin poczuła tak ulg , e a zmi kły jej kolana. Lekko pogłaskała czoło Cole' a i odsun ła mu z oczu kosmyk włosów. Usłyszała za sob jaki ruch i odwróciła głow . Zobaczyła metaliczne l nienie pistoletu. Jego lufa kierowała si na rannego.

- No i jak, panienko? Jak on się czuje?
- Całkiem nieprzytomny. Kim ty, do diabła, jesteś?
- Nazywam się Jason Street. Czy twój ojciec nie o mnie nie wspominał?

- Nie.
- Przeczytaj to, skarbie. Jestem po twojej stronie.

Erin wstała i spojrzała na paczuszkę, którą wyciągnęła do niej Street. Kiedy ona spostrzegła, że lufa pistoletu cały czas jest skierowana na Cole'a, a nie na nią, zrzuciła plecak i usiadła na nim, nie zważając na zgrzyt zgniatanych metalowych pudełek.

Niechętnie spojrzała na paczuszkę. Tak naprawdę nie chciała wiedzieć, co w niej jest. Bała się, że znowu się przekona, że została wykorzystana jako pionek w międzynarodowej grze, tocząc się w zadymionych gabinetach, ale także w sypialniach.

Przynajmniej tym razem nikt nie kaleczył jej nosem. Na razie.

Nic nie mówiła wyciągnięta ręką. Street uśmiechnął się zachęcająco i podał jej zawiniętko.

- No właśnie, złotko. Przeczytaj to sobie. Już jesteś bezpieczna.

Rozwijała sznurek, rozłożyła folię plastikową i zobaczyła wewnątrz cienki pakiecik. Zawierał kopertę ze znakiem cła i jej nazwiskiem, wypisanym miękkim, męskim pismem ojca. Chociaż to nic nie dało, próbowała wytrzeć o szorty, zanim otworzyła zapieczony kopertę. Dopiero przy kolejnej próbie udało się jej wyjąć z rodka złożony kartek kremowego papieru. Wyglądał znajomo, ponieważ pochodziła z biurka jej ojca w Waszyngtonie. List był krótki i napisany rzecznie.

Erin,

Przepraszam cię, dziecińko. Postąpiłem głupio, pozwalając ci na wyprawę z Cole'em Blackburnem. Odkryłem, że Blackburn pracuje dla rodziny Chen, najpotężniejszego, najambitniejszego i najbardziej bezwzględniego klanu południowo-wschodniej Azji.

Człowiekowi, który przyniesie ci tę wiadomość, Jasonowi Streetowi, możesz zaufać. Pracuje dla australijskiego

odpowiednika naszej agencji. Zrób, co ci ka e. Przede wszystkim nie ufaj Blackburnowi. On ma ci zabi , a nie chroni .

B d ostro na. Kocham ci .

List był podpisany jak wszystkie listy, które pisał do niej ojciec: zamaszystym, wielkim T, które oznaczało słowo "tata".

Erin zamkn ła oczy i poczuła, jak zimno przenika j do szpiku ko ci. Spojrzała na Streeta. Obserwował j uwa nie, ale pistolet nadal kierował na Cole'a, który si nie poruszał. Le ał bezwładnie na brzuchu, z r k pod piersi . Twarz miał odwrócon od Erin.

- Jak mnie odnalazłe ? -zwróciła si do Streeta.

- To nie było łatwe. Ci Chi czycy, dla których pracuje Blackburn, zacierali wszystkie wasze lady. Gdyby ten tubylec, którego za wami wysłali, nie nadawał meldunków na ogólnie dost pnej długo ci fali, wci bym ci szukał. Ale po prostu go namierzyłem radionamiernikiem.

- Jacy Chi czycy?

- Rodzina Chen, złotko. Blackburn od lat jest współnikiem Winga.

- Czy to od ciebie ojciec zdobył te informacje?

- A tak jest napisane w li cie? -odparował Street.

- Jak ten list trafił w twoje r ce?

- Pracuj dla rz du australijskiego, chocia mojego nazwiska nie znajdziesz na adnej li cie urz dników pa stwowych wyja nił z rosn cym zniecierpliwieniem. - Podobnie jak twój ojciec. Zajmujemy si tak sam robot . Dlatego tu jestem.

- W takiej pracy równie popełnia si bł dy. Wydaje mi si , e wła nie si to zdarzyło mojemu ojcu. Cole Blackburn wcale nie chce mnie zabi .

- Brednie -odparł zimno Street. -To, e dobrał ci si do majątek, wcale nie oznacza, e nie chce ci zabi . Chen Lai to dla niego numer jeden. Figlował z ni , kiedy ty jeszcze miała mleko pod nosem. B dzie ci wykorzystywał, dopóki mu nie pomo esz znale kopalni Abe'a. Potem zginiesz, a kopalnia

przejdzie w ręce rodziny Chen. Ale teraz ja tu jestem i dopilnuj, żeby tak się nie stało. Mów, znalazłaś cholerną kopalnię?

- Nie jestem pewna...
- Co to ma znaczyć? -zapytał gniewnie.

Erin szybko wstała i podniosła plecak. Street obserwował każdy jej ruch oczami, w których odbijało się światło latarki. Lufa pistoletu cały czas kierowała się na Cole'a, lecz tego bez ruchu metr obok. Erin podeszła bliżej.

- Nie jestem geologiem -powiedziała, rozpięła sprzączki plecaka i otworzyła klapę. -O, sam zobacz.

Z tymi słowami przeszła obok Streeta, odwróciła plecak do góry nogami i wysypała migoczące kaskadę diamentów w kierunku ostrego światła latarki.

- Słodki Jezu i wszyscy wi ci!

Na chwilę wylot lufy skierował się w bok od celu, kiedy Street skupił całą uwagę na błyszczących kamieniach. W jednej sekundzie Cole poderwał się na nogi i skacząc na Streeta wbił mu nóż pod brzo, w samo serce.

Chwyć jego pistolet, zanim upadł na ziemię, wyciągnął nóż z rany; Street osunął się twarzą w dół na toczące się wokół diamenty. Cole odruchowo schował zakrwawiony nóż i zabezpieczył pistolet. Dopiero potem sięgnął po latarkę.

Erin poczuła narastające mdłości i przełknęła ślinę.

- Czy on nie żyje? -zapytała chrypliwie.
- Pozbieraj diamenty.

Te słowa padły niewyraźnie, niemal bełkotliwie. Cole z jakimś odciśnięciem Streeta na bok i zostawił go leżącego na brzuchu w głębokim cieniu. Poruszając się dziwnie niepewnie, jakby nie ufał własnemu ciału, podszedł do Erin. Wyciągnął do niej pistolet, rękę ci do przodu.

- Potrafisz się z tym obchodzić?
- Tata nauczył mnie strzelać z każdą bronią -odparła głucho, biorąc pistolet.
- Mój dryczłowiek.

Słowa Cole'a dobiegały Erin jakby z daleka. Niejasno zdała sobie sprawę, że tak działała na nią połączona szok, zimna, głód i wyczerpania. Dochodziła do kresu sił, a miała przy sobie człowieka, który właśnie na jej oczach zabił Jasona Streeta.

Streeta, którego przysłał ojciec, żeby ją bronił przed Cole'em Blackburnem.

- A więc jednak mu uwierzyła - powiedział szorstko. - Jesteś głupia, Erin. Zdarzało mi się zabijać ludzi, ale nie jestem najemnym mordercą.

Z początku nie rozumiała, o co mu chodzi. Potem spostrzegła, że pistolet w jej rękach celuje prosto w Cole'a... I w dodatku ją go odbezpieczyła. Jej knęła urywanie i opuściła broń.

- Masz rację - zgodziła się ponuro. - Gdyby miał mnie zabić po odnalezieniu kopalni, ja bym pływała twarzą w dół w tym samym czarnym jeziorze.

Oczy Cole'a zapłonęły w ciemności.

- Tak starannie odmierzasz zaufanie. Kierujesz się wyłącznie rozumem, a nie sercem.

- Tak właśnie nie ty postępujesz - odparła ostro. - Tak robi mój ojciec. Tak się dzieje na całym świecie. Wolno się uczyć, ale w końcu przyswoiłam to sobie. I mam już doświadczenia, którzy mnie wykorzystują, żeby osiągnąć własny cel!

Cole odwrócił się do niej plecami.

- Jeśli chcesz te cholerne diamenty, to je pozbieraj i pójdź do wyjścia. Zobacz, czy na zewnątrz nie czekają nas żadne niespodzianki.

Erin bez słowa zabezpieczyła pistolet i wsunęła go do plecaka. Ukłoniła się garściami zaczęła zbierać diamenty z błotnistego, wapiennego podłoża. Kamienie pobrzękiwały cicho i melodyjnie, objął ją o siebie i o zimną stal pistoletu.

Erin zostawiła diamenty, które potoczyły się w ciemność, tam gdzie leżało ciało Streeta. Za żadne pieniądze nie zmusiłaby się, żeby je stamtąd podnieść. Niech je sobie zachowa Street. Zapłacił za nie wystarczająco wysoką cenę.

Zanim Erin skończyła, Cole wrócił, niosąc strzelbę.

- Zostaw resztę. Wynośmy się stąd, zanim jeszcze ktoś się tu zjawi.
- Chyba nie zajdź daleko -stwierdziła sucho Erin.
- Ja też nie. Street przyleciał helikopterem ze stacji. -Cole zaczął się, ale przy pierwszym kroku się potknął i musiał chwycić się ściany. -Po pieś się, Erin. Już załadowałem nasze rzeczy do helikoptera.
- Dokąd lecimy?
- Na stację Windsora. Teraz, kiedy Street nie żyje, powinniśmy być tam bezpieczni. W każdym razie, nikt się nie spodziewa, że nas tam znajdzie.

Erin zebrała resztki sił, podniosła plecak i za Cole'em wyszła z jaskini. Przez pierwsze kilka minut wilgotny upał wydawał się jej przedśmionkiem nieba. Kiedy doszła do helikoptera, znów czuła się jak w piekle. Pociła się obficie. W przeciwieństwie do Cole'a. Kiedy pomagał jej wsiąść na pokład, zauważyła, że jego skóra jest bardzo chłodna.

Po pięciu minutach lotu uświadomiła sobie, że Cole z trudem zachowuje przytomność.

Rozdział trzydziesty siódmy

Deszcz uderzał rozrywającymi biczami w okrągły kopuł helikoptera, zmniejszając widoczność do kilkuset metrów. Erin odczytywała wskazania przyrządów, które pokazywał Cole. Jej głos brzmiał monotonnie, umysł miała otępiały. Powinna się bać, ale ze zmęczenia było jej wszystko jedno.

Wiedziała, że Cole musi się czuć jeszcze gorzej. Wyczuwała, że jest kompletnie wyczerpany. Miał nieskoordynowane ruchy i zaburzenia wzroku. Zaczął się pocić, ale jego skóra była nadal zimna. Co jakiś czas helikopter chwiało się na boki w podmuchach wiatru, a Cole coraz wolniej prostował jego kurs. Wstrząs mózgu pozbawiał go sił. Działał wyłącznie odruchowo, kierując się refleksami, a wokół nich z niesłabnącą siłą szalała

burza.

- Powinni my wyl dowa -powiedziała Erin.
- Jeszcze jeste my za daleko. Nie udałoby si nam doj piechot .

Nie upierała si . To była prawda. Ledwie wystarczyło jej energii, eby dowlec si z plecakiem do helikoptera.

- Masz wstrz s mózgu -powiedziała.
- Nie gadaj bzdur. Odczytaj kompas.

Erin w odr twieniu skupiła si na instrumencie. Błyskawica przeci ła niebo i piorun uderzył w ziemi ,

A w ich słuchawkach rozległ si ogłuszaj cy trzask. Cole skrzywił si bole nie i ciszył radio.

Niespodziewanie wylecieli z zasi gu burzy. Po kilku minutach wiatr poprzerywał czarn powłok chmur. Sło ce pra yło prze witami z zadziwiaj c sił , wydobywaj c z mokrej ziemi obłoki pary wodnej. Po lewej jak tafla wody zabłysn ł blaszany dach pod ciemn chmur burzow , z której skł bionego wn trza jeszcze wydobywały si kurtyny wody.

- Spórz tam -powiedziała Erin, dotykaj c ramienia Cole'a.
-Czy to nie stacja?

-Alleluja.

Mówił niewyra nie. Ze ci gni t z wysiłku twarz zmienił kurs helikoptera. Znale li si na skraju odchodz cej burzy. Maszyna szarpn ła i zadr ała jak narowisty ko . Cole zakł ł, rozw cieczony na nieposłuszne stery i na własne zwolnione reakcje. Helikopter zrobił zwrot w zacinaj cym deszczu i porywistym wietrze. wiatła stacji były teraz kilkadziesi t metrów pod nimi.

- Zobacz, czy nie ma jakich obcych samochodów -polecił Cole.

Zatoczył wokół budynków szerokie, chwiejne koło. Erin patrzyła przez strumienie ulewy na ziemi . Wewn trz du ego namiotu, który zbudowano jako kwater dla Chi czyków, paliło si kilka lamp. Jednak na podwórzu nikogo nie spostrzegła. Widocznie m czy ni schronili si przed deszczem.

Jej uwag przycięła jaka jasna plama.

- Widz biały samochód z napędem na cztery koła. Stoi na tyłach domu.

- To Streeta. Jeszcze co ?

- Nie.

Cole wydał westchnienie, które niemal przekształciło się w jęk.

- To dobrze.

Kiedy kołował nad frontowym dziedzińcem domu, drzwi się otworzyły i wyszła przez nie drobna postać.

- To Lai -powiedziała Erin.

- Sama?

- Jeśli dobrze widzisz, tak.

Lai wyszła spod daszku i spojrzała w niebo, osłaniając oczy przed kroplami deszczu.

Cole gwałtownie potrząsnął głową i skrzywił się.

- Strzelba -rzucił krótko. -Wej.

Erin pochyliła się i wyjęła broń spod fotela.

- Jest gotowa do strzału? -zapytał.

Sprawdziła magazynek i odcięła bezpiecznik.

- Tak -odparła.

- Połóż mi ją na kolanach. I trzymaj ten pistolet w plecaku pod ręką. Jeśli tam na dole czeka na nas pułapka, nikt nie będzie się spodziewał, że jesteś uzbrojona.

Erin bez słowa położyła sobie plecak na kolanach, wydobyła pistolet spod diamentów i odbezpieczyła. Teraz wystarczyło tylko sięgnąć do plecaka i chwycić broń.

Cole obrócił helikopter i opadł na błotnistą ziemię przed budynkiem. Lądowanie było twarde. Jedna z płóz zaryła dziesięć centymetrów w czerwone trzawisko. Druga opadła sekundę później i równie zniknęła w błocie. Cole wyłączył silnik i rotor powoli zwalniał obroty. Erin wyszła z kabiny, chociaż łopaty wciściły powietrze. Obeszła helikopter, aby pomóc Cole'owi.

- Wsiadaj -poleciała, szarpiąc go za ramię. -Nie możesz tu

zosta .

Nie poruszył si .

- Wysiadaj! -zawołała gło niej. -Nie donios ci do domu. Cole, pomó mi!

Wolno podniósł gów . Niepewnie wyszedł z kabiny, trzymaj c w r ku strzelb . Erin, ciskaj c plecak, poprowadziła go przez błoto do domu, w którego drzwiach czekała Lai.

- Tak si ciesz , e pan Street was odnalazł -powiedziała Chinka matowym głosem, spogl daj c na Cole'a przezrzystymi czarnymi oczami. -Bardzo si martwili my. Wing wr cz szalał z niepokoju. -Spojrzała na helikopter. -Gdzie jest pan Street?

- Nie yje -bez ogródek odparła Erin.

- Nie yje? Nic nie rozumiem.

- Street chciał zabi Cole'a. Nie udało mu si . Cole miał wi cej szcz cia.

Lai nerwowo wci gn ła powietrze.

Erin min ła Chink i wprowadziła Cole'a do domu.

- On jest ranny. Przynie koce, apteczk i lód na okłady.

Spojrzała na kobiet , która jak zamurowana stała w miejscu. Rusz si !

- Ale najpierw poł cz si z wujem Li -powiedział ochryple Cole. -Powiedz mu, eby przysłał posiłki. Znale li my kopalni .

Lai jeszcze przez chwil wpatrywała si w niego. Zataczał si lekko, ale jego oczy spogl dały przytomnie, a palca nic odrywał od spustu strzelby. Kiedy Erin prowadziła go na kanap , poruszał si wiele mniej sprawnie ni zazwyczaj, co znaczyło, e jego siła woli i sprawne ciało przegrywaj ze zm czeniem i obra eniami.

Lai pobiegła na tył domu, a Erin posadziła Cole'a na rodku kanapy. Ze zduszonym przekle stwem opadł na poduszki i z całych sił starał si nie zamyka oczu. Po chwili uło ył sobie strzelb na kolanach. Erin postawiła plecak na skraju kanapy. Ukł kła obok Cole'a, eby obejrze ran . Potr ciła kolanem strzelb .

- Masz siniec wielko ci połowy mojej dłoni -stwierdziła.

Cole j kn 1.

- Ju nie krwawi -ci gn 1a. -Opuchlizna si nie powi ksza. Dobrze, e masz takie mocne mi nie szyi. Inaczej chyba oboje zostaliby my w tej jaskini.

- Martwi jak kamie .
- Jak si czujesz? -zapytała.
- To przychodzi i odchodzi.
- Co takiego?

- Mdło ci, podwójne widzenie, zawroty głowy.

Erin poruszyła si i znowu tr ciła kolanem strzelb .

- Odłó j -powiedziała. -Jeste my bezpieczni.
- Niezupełnie, panno Windsor -rozległ si głos Lai. -Ale ju wkrótce b dziesz bezpieczna. Odsu si od Cole'a.

Zaskoczona Erin podniosła głow i zobaczyła w lewej r ce Lai automatyczny pistolet. Jego lufa była skierowana prosto w serce Cole'a. Mina Lai nie pozostawiała w tpliwo ci, e Chinka bez wahania poci gnie za spust. W prawej r ce trzymała mały przeno ny magnetofon.

- Odsu si poza jego zasi g -poleciała łagodnie. -Nawet ranny, wci jest bardzo niebezpieczny.

Erin przesun ła si na bok i usiadła obok plecaka.

- Odłó strzelb na podłog i odepchnij j nog -zwróciła si Lai do Cole'a. - adnych szybkich ruchów, bo b d musiała ci zabi .

Wolno si schylił i wypełnił polecenie Lai. Czarne oczy i wylot lufy pistoletu ledziły jego najmniejsze poruszenie.

Chinka, tak bardzo si skupiła na nim, e nawet nie zauwa yła, jak Erin si ga do plecaka.

- Odłó bro Lai -powiedziała dziewczyna. -Jestem taka wyczerpana, e wszystko mi jedno, czy ci zabij .

K tem oka Chinka spostrzegła bro w dłoni Erin.

- Nie b d głupia -odparła po pieszni. -Chc uratowa ci ycie!

- Ci gle kto mi mówi, e jestem głupia, i mam ju tego do . Gdyby Cole chciał mnie zabi , mógł to zrobi ju z tysi c

razy.

- Nie rozumiesz, o co idzie gra. -Lai mówiła niskim, spokojnym głosem. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od niego czyżby na kanapie. Dobrze znała jego siłę, koordynację i inteligencję. Street go nie docenił. Lai nigdy by nie popełniła takiego błędów. -Street chciał wykorzystać rodzinę Chen do walki z Conminem. Miał nadzieję przejść kopalnię na rzecz Australii. Rząd australijski nie wydałby polecenia, aby was zabił, ale gdyby cię zginęli w buszu, a Street dostarczyłby swoim szefom dane o kopalni, rząd zarejestrowałby ją i ogłosił, że zginęła na skutek wypadku albo z ręki Cole'a. Uniknęłoby w ten sposób kłopotliwych pytań ze strony twojego ojca i CIA.

- Ale ja cię -odparowała Erin. -I wcale nie zamierzam umierać. Odlóż broń, Lai.

- Jeśli to zrobi, Cole cię zabije. Wysłuchaj mnie, Erin. Od tego zależy twoje życie. Cole ma podrobiony skrypt długu od Abelarda Windsora, według którego jest posiadaczem połowy Kopalni Czegoś, ponieważ Abe przegrał je do niego w karty.

- Skąd wiesz?

- Widziałam, jak podrabiano ten dokument -odparła Lai. - Teraz Cole ma połowę udziałów i dodatkowo jeszcze pięćdziesiąt procent twojej części. Prawda, Cole?

- Zgadza się ze wszystkim, co powiesz. To ty trzymasz pistolet.

Erin szybko spojrzała na Cole'a. Obserwował Lai jak drapieżnik zwierzę, tylko czekając na chwilę jego nieuwagi.

- To bardzo ciekawe -odezwała się. -Ale Cole nigdy nic mi nie wspomniał o długu karcianym.

Lai zacisnęła usta.

- Nie musiał korzystać z tego dokumentu. Miał na ciebie lepszy sposób: swoje ciało. To niebezpieczny, wprawny uwodziciel, a ty masz tak mało do wiadczenia. Była łatwym podbojem. Pewnie już poprosił cię o rękę. Jeśli nie, wkrótce by to zrobił. A potem, kiedy by po paru miesiącach umarła -a na

pewno tak by si stało -Cole przejąłby kontrolę nad kopalnią i nie odebrałby mu jej ani jeden z nich. Nie wierzysz mi, ale zaraz ci udowodnię, że mówi prawdę - zapewniła szybko. -Posłuchaj uważnie. Od tego zależy twoje życie.

- Cole? -odezwała się pytając co Erin.

- Rób, co ci każę. Wcześniej czy później i tak to usłyszysz. Porównaj i rozdaj. To najstarsza gra pod słowem. Ale cokolwiek się stanie, trzymaj Lai na muszce. Jeśli o tym zapomnisz, zginiesz.

Lai nacisnęła guzik magnetofonu. Ta ma zacząć się przesuwając.

- Pierwszy głos należał do mojego brata, Winga -wyjaśniła Chinka. -Drugi rozpoznasz sama. To Cole Blackburn. Ta rozmowa odbyła się dzień przedtem, zanim Cole zjawił się u ciebie w Los Angeles.

Chwilę trwała cisza, a potem rozległ się głos.

- Rodzina Chen nie zatrudniła cię tylko dlatego, że jesteś doskonałym poszukiwaczem, chociaż niewątpliwie doceniamy twoje umiejętności. Właściwie myśli o nas, o nasze zamierzenia, ponieważ dostała słowne przyrzeczenie od Abelarda Windsora, że dostaniesz pięćdziesiąt procent udziałów w Kopalniach Pięcego Psa, jako spłatę długu, który zaciągnął wobec ciebie w czasie całonocnej gry w karty. Czy wydał ci skrypt dłużny?

- Stary Abe nie był takim wariatem. To znaleziono w jego domu.

- Wingowi chodzi tu o skrypt -wyjaśniła Lai w ciszy, która zapadła, kiedy mówili zamilkli. W tym skrypcie Abe zobowiżył się oddać Cole'owi Blackburnowi połowę udziałów w Kopalniach Pięcego Psa, ponieważ o jeden raz za duży przegrał z nim w karty.

Po kilku chwilach milczenia Wing znów się odezwał.

- Rodzina Chen pozwoliła sobie potwierdzić autentyczność tego dokumentu u dwóch specjalistów grafologów, więc nie musisz obawiać się kompromitacji. Nawet bez pisemnego

za wiadczczenia dług karciany byłby wa ny. Kiedy przedstawisz ten dokument, rz d Australii natychmiast uzna twoje roszczenia do kopal .

Magnetofon zamilkł.

- Jest tego wi cej -ostrzegła Lai.

Patrzyła na Cole'a bez drgnienia powiek. Odpowiadał jej tym samym. Po paru sekundach rozległ si głos Winga.

- Gdyby kobieta stan ła mi dzy tob a tym skarbcem Pana Boga, to co by zrobił?

- Ju dawno si nauczyłem, e diamenty s bardziej stałe ni kobiety.

- I bardziej kusz ce?

Przez chwil trwało milczenie, potem usłyszeli Winga.

- Czy j uwiedziesz, czy nie, to twoja sprawa. Masz j ustrzec przed mierci , do czasu kiedy rozwi e zagadk Szalonego Abe'a lub dopóki sam nie znajdziesz kopalni. Potem panna Windsor nie ma dla nas adnego znaczenia. Tylko kopalnia si liczy i za wszelk cen musi by chroniona.

- Nawet za cen ycia Erin Windsor?

- W porównaniu z kopalni , wszystko inne to błahostka.

Pauza, a potem:

- W porz dku, Wing. Powiedz wujowi Li, e znalazłe mu odpowiedniego człowieka.

W ciszy szumiała tylko przewijaj ca si ta ma. Lai czekała, nie odrywaj c wzroku od Cole'a.

- Chciałabym wysłucha tego jeszcze raz -za dała Erin ochryple.

Lai jedn r k po omacku szukała odpowiedniego przycisku, potem zerkn ła w bok, eby sprawdzi , czy dobrze trafiła. Stopa Cole'a wystrzeliła w gór i uderzyła j w nadgarstek. Pistolet wypadł jej z r ki. Kiedy Cole chwycił j za gardło, Lai znieruchomiła. Przesun ł kciukiem po wyra nie pulsuj cej yłce na szyi Chinki. Ten gest mógł by pieszczot albo ostrze eniem.

- Nie przestajesz mnie zaskakiwa -powiedział. -Od jak

dawna szpiegujesz dla Streeta i działasz na szkodę swojej rodziny?

Erin wzдрыgnęła się, kiedy usłyszała jego głos. Nie było w nim nienawiści, gniewu, namiętności ani żadnego innego uczucia, tylko nieludzki spokój i cierpliwość. Jasne oczy równie spokojnie i bezlitośnie.

- Zaczęłam planować zemstę, kiedy zmusili mnie do usunięcia twojego dziecka i po lubieniu trzy razy starszego ode mnie mężczyzny - wyznała Lai. Mówiła nisko, łagodnie i uwodzicielsko, jakby rozmawiała z kochankiem. - To ja skontaktowałam się z Jasonem Streetem. To ja uszkodziłam helikopter i samochód. Poradziłam Jasonowi, żeby wysłał za wami jednego z aborygenów Abe'a, który miał nam donieść, kiedy zginiecie. Potem razem polecilibyśmy na miejsce, naprawili samochód, obwieścili wiatu wasz tragiczną śmierć i wykupili nowe koncesje na nasze nazwiska.

Z wolną ręką Erin zaciskała się na ciemnym pistolecie. Lai nawet tego nie zauważyła. Skupiła całą uwagę na jasnych oczach byłego kochanka. Mówiła dalej słodkim, melodyjnym głosem, jakby opowiadała o miłości, a nie zemści i śmierci.

- Kiedy weszłabym w posiadanie kopalni, rodzina Chen musiałaby zapłacić za to, a posłużyła mi jak pionki na szachownicy. Nie jestem pionkiem, jestem królem. A ja jestem królem przy moim boku byłby królem.

Mocne palce Cole'a przesuwają się pieszczotliwie po szyi Chinki.

- Królowa kłamstwa - wymamrotał. Spojrzał na Erin. Jej twarz pobladła, a oczy tak pociemniały, że wydawały się teraz czarne, a nie zielone. - Chyba nic nie pomoże, jeśli ci powiem, że zakochałem się w twoich fotografiach, jeszcze zanim ci poznałem?

- Zakochałeś się? Ty? - Erin wydała dźwięk, który mógłby być i miechem, i szlochem. - Dobry Boże, Cole, naprawdę uważasz, że jestem tak beznadziejnie głupia?

- Spodziewałem się, że włącznie nie tak zareagujesz. Gratuluję,

kochanie. Wreszcie nauczyła się, jak dbać o własne życie. Teraz będziesz miała taki sam problem jak ja. Nie będziesz umiała znaleźć niczego, dla czego warto żyć. -Erin opuszcza powieki, nie mogąc znieść smutku w spojrzeniu Cole'a. - Zadzwoń teraz do Chena Winga i powiem mu, żeby zabrał stąd swoją kochającą siostrę. Jeśli to ci się nie podoba, to masz w rękę broń. Użyj jej.

Erin zakryła sobie oczy w głowie. Z trudem opanowała lekkie drżenie, jakie opanowało jej ciało.

- Ocaliłeś mi życie na pustkowiu -odparła urwanym głosem i opuszcza pistolet. -Ja nie pozwoliłam, żeby Lai ci zabiła. Rachunki zostały wyrównane.

Na widok uśmiechu Cole'a Erin poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

- Lai nie miała zamiaru mnie zabić. Chciała, abym podpisał umowę lubną. Ale najpierw zastrzeliłaby cię.

Chinka wdzięcznie opuszcza głowę i pieszczotliwie otarła się podbródkiem o silną rękę Cole'a, która wciąż trzymała ją w elastycznym cisku.

- Jeśli to dziecko byłoby chłopcem, nigdy bym się go nie pozbyła -o wiadczyła matowo. -Ale to była tylko dziewczynka, a ty wyjechałeś do Brazylii. Jeszcze nie jest za późno, ukochany. Ona ci nie zastrzeli. Odbierz jej broń. Razem poskromimy diamentowego tygrysa.

W nabrzmiałej ciszy słychać było tylko urwany oddech Erin. Cole patrzył, jak lufa pistoletu kieruje się na głowę Lai, a palec Erin dotyka spustu. Nie poruszył się, nie przeszkodził, tylko czekał z ponadludzkiem cierpliwością na decyzję Erin.

- Ty sobie lepiej radzisz z jadowitymi wężami niż ja - powiedziała schrypniętym głosem dziewczyna. -Zabij ją albo zostaw sobie do zabawy. Mnie jest wszystko jedno..

Nie oglądając się wyszła z pokoju.

Rozdział trzydziesty ósmy

- To bardzo miło, e pa stwo przyszli -powitał ich Chen Wing.

Erin i Matthew Windsor weszli do rodka, a Chi czyk zamkn ł za nimi drzwi biura Blackwing w Los Angeles. Spojrzenie czarnych oczu Winga zatrzymało si na Erin. Wygl dała inaczej ni na fotografii. Była dojrzalsza, bardziej nieufna i opanowana. Włosy zwi zała na karku w gładki w zeł. Miała na sobie kosztowny, ale swobodny strój.

Jednak najbardziej zmieniły si jej oczy. Patrzyły teraz chłodno i badawczo.

- Prosz usi -odezwał si Wing.

U miechn ł si lekko i wskazał Erin i jej ojcu miejsca za długim stołem konferencyjnym. Na jego rodku le ało zamkni te pudło. Erin zerkn ła na nie, nie dostrzegła nic interesuj cego i skoncentrowała uwag na Chenie Wingu. Na swój sposób był równie urodziwy jak siostra, doskonale zbudowany i inteligentny. Miał takie same przebiegłe czarne oczy.

- Jak si miewa pa ska siostra? -zapytał uprzejmie Windsor, kiedy usiedli.

- Psychiatra robi nam nadziej , e uda si jej doj do siebie -odparł Wing. -Oczywi cie, do tego czasu musi przyjmowa lekarstwa i pozostawa pod cił obserwacj psychiatryczn .

- Co si stało? -zapytała szorstko Erin. -Przecie Cole złamał jej nadgarstek, a nie uszkodził głow .

- Obawiam si , e umysł Lai zawsze był nieco nadw tlony. Ju kiedy musieli my... trzyma j pod stałym dozorem,

- Doprawdy? Dopilnujcie, eby jej dozorca stale miał przy sobie bat.

Windsor spojrział na zegarek.

- Trochę nam się spieszy, panie Wing.
- Naturalnie. -Chiż spojrział prosto na Erin. -Cole upiera się, że do niego należą tylko połowa Kopalni tego Psa. Ta połowa, którą pani dała jako honorarium dla odkrywcy.

- Dałam mu połowę swojego spadku. Czy odziedziczyłam połowę, czy wszystkie kopalnie, zależy od tego, jak wam się spodoba podpis na skrypcie, o którym wspomniała Lai. Chyba się upieracie przy twierdzeniu, jakoby była niespełna rozumu.

- Cole nie chce się ubiegać o uznanie długu karcianego Abelarda Windsora, chociaż taki bez wątpienia istnieje -odparł Wing, ostro nie dobierając słowa. -Nie chce tak się zawierać umowy z DHD na warunkach połowy należącej do BlackWing wydobycia z Kopalni tego Psa. Zrozumiałe, że członkowie kartelu są trochę... Zaniepokojeni. Połowa wydobycia nie gwarantuje monopolu.

Erin wzruszyła ramionami.

- Zarobi trochę mniej pieniędzy. I co z tego?

Wing spojrział na Windsora.

- Nic jej pan nie wyjął?

- Mój ojciec nie jest właścicielem ani jednego karata z kopalni, więc niech pan rozmawia ze mną, a nie z nim.

- Jeśli władza kartelu się załamie, cena diamentów przemysłowych przekroczy moją cenę w krajach Trzeciego świata, takich jak Chiny -powiedział Wing.

- To jaka bzdura. Kiedy monopol na diamenty zostanie przełamany, ceny powinny spaść.

- Owszem, ale tylko ceny diamentów jubilerskich, a nie bortu.

- Dlaczego?

- Koszt eksploatacji złoża jest niebotyczny -tłumaczył Wing. -Cena bortu nie jest w stanie go pokryć, aby kopalnia przynosiła dochody, diamenty jubilerskie muszą być sprzedawane po stałej, zawyżonej cenie.

- W takim razie produkujcie diamenty przemysłowe w

laboratoriach -zasugerowała obojętnym tonem.

Wing z nim prosto spojrzął na Windsora, który westchnął i zaczął mówić :

- To nie takie łatwe, dziecinko. Badania cały czas trwają , ale sztuczne diamenty wciąż nie są tak tanie jak brylanty kartelu. Poza tym, nawet jeżeli kiedyś uda się tanio produkować sztuczne diamenty, to nie nam. Japonia jest najbardziej zaawansowana. Nikt nie chce, aby Japonia jeszcze bardziej wzmocniła swoją pozycję ekonomiczną .

Erin przez chwilę milczała, rozważając to, co jej powiedział. I to, co zachował dla siebie.

- Chcesz mi uzmysłowić , że bez tanich diamentów przemysłowych rozwój krajów Trzeciego świata byłby bardzo utrudniony, tak?

Wing spojrzął na nią zaskoczony.

- Byłby prawie niemożliwy. Diamenty mają o wiele większe znaczenie dla przemysłu, niż się ludziom wydaje, szczególnie dla takiego przemysłu, jakim są zainteresowane kraje rozwijające się . -Wing rozłożył ramiona w niemej prośbie. -Czy nie lepiej, aby dochód ze sprzedaży luksusowych diamentów w krajach zachodu subsydiował koszty wydobywania brylantów dla państw komunistycznych i krajów Trzeciego świata?

- Mówimy tu na przykład o industrializacji Chin, którą rodzina Chen może kontrolować -powiedziała spokojnie Erin. - Chiny to kraj, w którym mieszka jedna piąta ludności świata. Tradycyjnie jest głównym potęgą Azji. Kto kontroluje Chiny, wkrótce przejmie kontrolę nad wszystkimi krajami rejonu Pacyfiku, oprócz Stanów Zjednoczonych i Japonii. Oczywiście, moglibyście się sprzymierzyć z Japonią . W takim wypadku Stany Zjednoczone byłyby zmuszone do ciężeń zwińnięć ekonomicznych z Europą . Nawet z pomocą Japończyków nie możecie liczyć na zwycięstwo.

Wing czekał. Zrozumiał wreszcie, że Erin jest tak bystra, jak zapowiadał Cole. I wroga.

- Nie b d nawet wspominała o ci głym zainteresowaniu rodziny Chen minerałami strategicznymi, którymi zajmuje si jedna ze spółek nale cych do Conminu. Nie mam zamiaru analizowa faktu, e je li kartel si pogr y, to warto Kopal pi cego Psa te spadnie na łeb, a razem z ni warto udziałów BlackWing w tym lukratywnym przedsi wzi ciu.

Wing spojrział na Windsora. Ojciec Erin tego nie zauwa ył.

Wpatrywał si w córk z pełnym rozbawienia szacunkiem.

- Widz , e dobrze si przygotowała , dziecinko.

- Chcesz powiedzie , e wreszcie przejrzałam na oczy. - Erin u miechn ła si chłodno. -Powiedziałam kiedy Cole'owi, e ucz si wolno, ale si ucz .

- Rodzina Chen ju jest bardzo zamo na -powiedział bez emocji Wing. -Nasze bogactwo nie opiera si na współpracy z Conminem ani na dochodach z Kopal pi cego Psa.

Erin spojrziała na ojca.

- On mówi prawd -potwierdził Windsor. -Chenowie nie walcz z Hugonem van Luikiem i DHD o pieni dze. Chc władzy.

- Co na ten temat s dzi Nan Faulkner? -zapytała Erin.

- Wolałaby, eby Conmin si nie rozpadł. Jest za bardzo potrzebny Rosjanom. Poza tym kartel to dobrze znany nam przeciwnik. Od czterdziestu lat uczymy si , jak z nim post powa . Nasza gra polega na subtelnych poci gni ciach dla zachowania równowagi sił. W tej chwili interesy adnego kraju, nawet naszego, nie przewa aj szali.

Erin czekała, ale ojciec na tym zako czył.

- adnej rady dla mnie? -zdziwiła si . -To co nowego.

- Jeste zbyt wojowniczo nastawiona, eby kogokolwiek posłucha . -Windsor u miechn ł si lekko. -Poza tym nie potrzebujesz moich rad. Zmieniła si , dziecinko.

- Człowiek si zmienia, je li poluj na niego jak na zwierz .

- Nie zrozum mnie le -odparł szybko. -Jestem zadowolony z tych zmian. Nie mo na by wła cicielem połowy

Kopal pi tego Psa i zachowywa si jak ufne dziecko. A ty nie planujesz odda kontroli nad swoj cz ci udziałów, prawda?

- Jeszcze si nie zdecydowałam.

- Masz trzy mo liwo ci -oznajmił Windsor, ziewaj c. - Mo esz odda komu nadzór nad swoj cz ci interesów i zostawi to wszystko albo zosta u steru i dosi diamentowego tygrysa. Mo esz te zabi tygrysa, namawiaj c Cole'a, eby nie zawierał umowy z DHD.

Erin skin ła głow .

- Jak ju powiedziała, jeszcze nie wiem, co zrobi .

Wing cicho odchrz kn ł.

- Ta trzecia mo liwo nie jest zbyt realistyczna.

- Chce pan powiedzie , e dobry, stary wuj Li nie pozwoli Cole'owi wyko czy kartelu. -Było to raczej stwierdzenie ni pytanie.

U miech, którym Wing obdarzył Erin, był chłodny jak kostka lodu.

- Niestety, nikt nie potrafi zmusi do czegokolwiek Cole'a Blackburna, nawet mój m dry wuj Li. Ale Cole nie jest głupi. Wie, e nie trzeba wielkiej bomby, eby zasypa t jaskini . Mo na te odebra tym diamentom jak kolwiek handlow warto , napromieniowuj c kopalni . Dałoby si to wytłumaczy jako katastrof górnicz .

Erin uniosła ciemne brwi.

- To raczej drastyczne rodki.

- Przesta si ju z nim dra ni -powiedział Windsor i jeszcze raz ziewn ł. -Tak czy inaczej, prawie wszystkie kraje wiata w jaki sposób ł cz swoje interesy z kartelem. Nikt by ci nie pomógł w zniszczeniu Conminu. Wszyscy raczej by woleli, eby twoje kopalnie uległy zniszczeniu, a razem z nimi ty.

- Cole zdaje sobie spraw z niebezpiecze stwa -zwrócił si Wing do Erin. -Nie chce, eby przydarzyło si pani co złego. W nieprzyjemny sposób oznajmił wujowi Li, co si stanie z rodzin Chen, je li pani... hmm, na przykład ulegnie jakiemu

wypadkowi.

Windsor zmrużył oczy.

- Blackburn to nie jedyny człowiek, który rozliczy się z rodziną, je-li moja córka b-dzie miała jakiś "wypadek".

- Wiem. -Wingskin ł-głowa. -Ale to Blackburna się obawiamy.

Erin z wysiłkiem zachowywała spokojny wyraz twarzy, tłumiąc szalejąc w jej duszy burzę uczuć.

- Niepotrzebnie się pan boi, panie Chen. Cole Blackburn sprzedałby mnie za garść diamentów. W zasadzie już to zrobił.

- To bzdura, dziecino -zaprotestował natychmiast Windsor.

Nic nie odpowiedziała.

- Rozmawiałem z Cole'em -ci gnęła jej ojciec. -Ty o sobie nie mów tego powiedz.

- Kiedy z nim rozmawiałeś? -zapytała Erin, zanim zdążyła się powstrzymać. -Jak on się czuje?

- Czaszka nie jest problemem. Jego umysł nadal pracuje sprawnie. Kiedy tylko Cole doszedł do siebie, zadzwonił i zadał mi dwa pytania. Po pierwsze, chciał wiedzieć, gdzie jest Hans Schmidt.

Erin nie potrafiła ukryć, jak nią to wstrząsnęło.

- Po co, na miłość boską, szukał Hansa?

- Aby go zabić -wyjaśnił niecierpliwie Windsor. -Po cóby innego?

- Ja ... To ... -Erin potrzebowała głowa, zbyt zszokowana, aby mówić.

- Powiedziałem Cole'owi, gdzie jest Hans. Podałem mu nazwisko, stopień, numer służbowy i dokładny adres szpitala, gdzie Hans leży, podłączony do respiratora i z rurką do sztucznego karmienia na stałe wszyci do ołdka.

Erin otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Zdaje się, że ten ałosny dra siedem lat temu miał wypadek -oznajmił Windsor z lodowatą satysfakcją. -To jeden z takich okropnych wybryków losu. Katastrofa samochodowa. Wszędzie było pełno odłamków szkła, włącznie z kładym

centymetrem ciała Hansa.

- Wypadek ... -powtórzyła głucho Erin.

- Jest kompletnie sparaliżowany -ci gnął Windsor cichym głosem. -No, może nie kompletnie. Mógłby mrugać, gdyby jeszcze miał powieki. Widziałby, gdyby miał oczy. Pewnie coś by powiedział, ale nie ma języka. Może czasem dostałby erekcji, tylko obciążło mu niezdolność do tego narządu. Jednak jego fale mózgowo są normalne. Jego umysł pozostał nie uszkodzony. Hans to prawdziwy szlachcizna. -Wing nerwowo zakłamał pod nosem. -Cole to przemyślał i doszedł do wniosku, że dla pocziwego Hansa śmierć stałaby się wybawieniem, a Cole nie był w nastroju do dobrych uczynków. Wycałował Hansowi długiego, szlachliwego pocałunek. Tak samo jak ja, dziecko. Tak samo jak ja.

- Wypadek -odezwał się Wing po angielsku. -Cóż za zbieg okoliczności.

Windsor spojrzał na niego.

- To nie była osobista zemsta, tylko wiadomo dla przeciwnej strony, że nie należy krzywdzić bezbronnych cywilów dla sadystycznej przyjemności. Sam zdecydowałem o formie wiadomości. Została prawidłowo odczytana. Od siedmiu lat nie ucierpiał nikt postronny. -Zwrócił wzrok na Erin. -Po drugie, Cole chciał się dowiedzieć, czy list do Jasona Streeta był autentyczny.

- Po co? -zapytała Erm słabym głosem.

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego pytał o Hansa -odparł sucho ojciec. -Ty byś może zdecydowała się porzucić Cole'a, ale on nie porzucił ciebie. Powiem ci prawdę, dziecko. Jestem bardzo szlachliwy, a ten list został sfałszowany. Twój Cole to twardy mężczyzna.

- On nie jest mój. Zależało mu tylko na kopalni.

- Nie wierzę w to, tak samo jak ty.

- Uwierzyłbyś, gdyby wysłuchał tej taśmy.

- Słyszałem kilka jej wersji -odparował Windsor. -Na wszystkich jego głos był autentyczny, ale nic więcej. Ludzie

zapominaj, że Cole Blackburn to niezależny duch. Nie jest mo liwe, żeby machając ogonem przybiegał na gwizdanie rodziny Chen w zamian za wysadzenie diamentami obrońcy i smycz.

- Skąd wiesz?

- To proste. Nieoficjalnie odwiedziłem go w biurze, zanim jeszcze przyszli my tutaj z Nan Faulkner. Zapytałem Cole'a, dlaczego to wszystko robi. Powiedział mi, że kobieta, która robi takie zdjęcia, jest warta więcej niż jej waga w diamentach. -Erin wydała cichy jęk zaskoczenia. -Założył się, że wziął od Winga ten skrypt i udawał, że przystaje na warunki gry, żeby rodzina nie sfałszowała kolejnego rewersu i nie zawarła układu z kimś, komu by nie zależało na twoim życiu. Ja bym tak na jego miejscu zrobił.

Wing uśmiechnął się kwaśno.

- Wuj Li niedawno doszedł do tego samego wniosku oznajmił. -Pan i Cole jesteście do siebie bardzo podobni, prawda?

- Pod pewnymi względami -zgodził się Windsor. -Ale w jednym się różnimy. Wolałbym raczej umrzeć, niż siedzieć teraz w tej czarnej dziurze i walczyć z monsunami o kubeł diamentów patrz, jak woda wokół mnie się podnosi i bym może zaraz mnie pochłonęła.

Erin gwałtownie chwyciła ojca za rękę.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze mnie słyszała.

- Ale przecie Cole wie, jakie to niebezpieczne! Nie ryzykowałby życia, żeby zdobyć jeszcze trochę diamentów, a nawet całe mnóstwo diamentów!

- Dlaczego nie? Co innego mu pozostało? Opuściła go kobieta, za którą potrafiłby oddać życie, za którą o mały włos nie zginął. Została mu tylko druga nagroda, czyli najbogatsze złoto diamentów na świecie, ukryte w najdroższym kawałku piekła, jakie kiedykolwiek należało do człowieka.

- Mylisz się -wyszeptała Erin, z wysiłkiem wymawiając

słowa przez gardło, które si jej ciskało na wspomnienie zimnej, czarnej, stałe i nieubłagane nadpływającej wody. Niewiele dla Cole'a znaczyłam. Byłam tylko przygodnym romansem w drodze do sukcesu.

- Na lito bosk , Erin ...

- Czy to wszystko, panie Chen? -zapytała, wpadając ojcju w słowo.

- Pozostało mi jeszcze zwrócić pani własno .

- Jak własno ? Ju pan mi zwrócił cały sprzęt fotograficzny, który uległ zniszczeniu, kiedy samochód zalała woda. Wyjeżdżając, zabrałam ze stacji wszystko, co do mnie należało.

- Nie wszystko.

Szybkim ruchem Wing sięgnął po pudło, stojące na środku stołu. Otworzył je, przechylił i na polerowany blat wysypał się stos dużych kolorowych fotografii.

- Z negatywów sporządzono kopie. Jeden komplet spoczywa w sejfie w kasynie rządowym w Darwin -oznajmił Wing. - Drugi jest tutaj. Cole podjął wszelkie środki, aby pani dzieło nie uległo zniszczeniu.

Fragmety australijskiego interioru połyskiwały i migotały jak szkiełka w kalejdoskopie: kopce termitów, tworzące niezwykle miasto pod parnym, srebrzystym niebem; delikatne, zakurzone karłowate akacje, wyrastające prosto ze skały; błyskawica przecinająca puste niebo; równina, ciągnąca się po krańce horyzontu, nieubłagane pusta, całkiem płaska, zawierająca w sobie kwintesencję samotności; nad tym wszystkim niezmiennie wisiało słońce, płomienne oko wszechwładnego boga.

Kaśka z tych odbitek została zrobiona z filmów, które Erin zostawiła w zepsutym Roverze.

- To wspaniałe zdjęcie -powiedział Windsor, z uwagą je przeglądając. -Do diabła, zupełnie niewiarygodne. To najlepsze twoje prace, nawet lepsze od "Arktycznej Odysei". Co ty o tym dzisiaj, dziecinko?

- Ja ... -Głos jej si załamał. -Dlaczego mnie pan okłamał w sprawie samochodu, panie Wing? Mówił pan, e uległ zniszczeniu, a to nieprawda. Te zdj cia robiłam na filmach, które musiałam w nim zostawi .

- Samochód został zniszczony przez wod , jak i wszystko, co w nim było -odparł sucho Wing. -Cole a do jaskini niósł te filmy w plecaku.

- Ale dlaczego? -wyszeptała. Patrzyła na zdj cia, jakby w nich szukała odpowiedzi. -Przecie kiedy zniszczyli nam samochód, byli my w dramatycznej sytuacji. Cole miał nie tylko to, co absolutnie niezb dne do prze ycia, i ani grama wi cej. Tam były całe kilogramy filmów. To niemo liwe, eby marnował siły, nios c taki бага . To by było szale stwo, a Cole nie jest szalony.

- Te mu to mówiłem -odparł ozi ble Wing. -Jak twierdzi, nauczyła go pani, e w yciu s wa niejsze rzeczy ni proste przetrwanie. Obawia si , e on nauczył pani czego wr cz przeciwnego.

Erin w osłupieniu przegl dała zdj cie za zdj ciem. Były ich setki, ale ona wci powracała do jednego. Zrobiła je Cole'owi w korycie wyschni tego strumienia, tu przed tym, jak pojawił si helikopter i zmusił ich do desperackiej odysei przez pustkowie wy yny Kimberley. Cole badał wła nie odsian gar wiru, kiedy zauwa ył, jak Erin si do niego skrada. Podniósł głow tu przed tym, jak nacisn ła wyzwalacz. Nawet w cieniu szerokiego ronda kapelusza jego oczy l niły jak czysty kryształ. Przygl dał si jej z wr cz namacaln intensywno ci i po daniem, którego nigdy nie skrywał.

Gdybym znalazł teraz kopalni Abe'a, zamieniłbym j na film dla ciebie.

Erin zamkn ła oczy. Nie mogła dłu ej patrze na fotografi , kiedy u wiadomiła sobie, e Cole niósł filmy przez piekło bólu, pragnienia i upału, ale nie pozbył si nawet małej cz ci tego бага u.

- Pani naprawd nie wiedziała, prawda? -zapytał Wing,

patrz c jak po policzku Erin wolno spływaj łzy.

- Nic nie wspominał, e ocalił moje filmy - wyszeptwała.
- Nie chodzi mi o filmy. Nie wiedziała pani, e Cole pani

kocha.

Całym ciałem Erin wstrz sn ł wyra ny dreszcz. W ciszy, która nast piła po słowach Winga, usłyszała echo innych słów, własnych oskar e i rozs dnych odpowiedzi Cole'a.

Jeste cie z Abe'em bardzo do siebie podobni. Raz si sparzyli cie i teraz unikacie ognia.

Sama to wiesz najlepiej, kochanie. Uciekasz przed ogniem tak szybko, jak tylko potrafisz.

Zamkn ła oczy, eby ukry łzy, które nie chciały przesta płyn . Pytała si w duchu, czy to prawda.

- Prosz wybaczy , panno Windsor, ale musz jeszcze raz zapyta . Co pani zrobi ze swoj połow Kopal pi tego Psa?

Erin wstała bez słowa i wyszła z sali.

Rozdział trzydziesty dziewi ty

Jak barwna grzywa rozbijaj cej si o brzeg fali, kr ta linia niezwykłych brylantów biegła wzdłu konferencyjnego stołu DHD. Jak woda, kamienie były przejrzyste i białobł kitne, ale połyskiwały w nich ukryte t cze. Tu i ówdzie, jak p cherzyki w białej pianie, pojawiały si chromowo ółte i jaskraworó owe błyski, a czasem rzucał si w oczy zielony kamie , tak czystej i intensywnej barwy, e wr cz trzeba go było dotkn , eby uwierzy w jego istnienie.

Cole wytrz sn ł ostatni kamie ze zniszczonego plecaka i poszedł w gór długiego, polerowanego stołu, na którym czekały na uczestników zebrania kryształowe popielnice, musuj ca woda, pióra i długopisy. Lekko skin ł głow Chenowi Wingowi, który wyjmował "modlitw " Blackwing z cienkiej skórzanej teczki.

Nie zwracaj c uwagi na innych zebranych, którzy w

osłupieniu wpatrywali się w kamienie, podszedł do krzesła, na jego pro b ustawionego pod cian , a nie przy stole. W ród zgromadzonych narastał gwar podniecenia. Feinberg podniósł ró owy kamie , wielko ci czubka jego kciuka, wyj ł lup z kieszeni i tonem pełnym podziwu wymamrotał co po holendersku.

Nan Faulkner spojrziała na Cole'a ukradkiem, nalała sobie wody, wypiała i podeszła do niego.

- Nie wiedziałam, e Street jest zdrajc -powiedziała bez wst pów.

Mówiła głosem, który docierał tylko do uszu Blackburna, mimo e nie musiała się martwi , e kto ich podsłucha. Uwag członków kartelu przykuwały niezwykle diamenty.

Przez dług chwil Cole przygl dał się Faulkner wzrokiem, który był równie twardy i nieczuły, jak przejrzyste kamienie, wydobyte z nieubłaganie wzbieraj cej czarnej wody.

- To samo powiedział mi Matt -odezwał się w ko cu. -Je li on ci wierzy, po tym numerze, jaki mu wyci ła z podrobionym listem i aresztem domowym, to chyba i ja mog ci ufa .

- Czy to oznacza, e rozszerzysz umow z DHD? -zapytała szybko. -W diamentowym interesie trzy lata to tyle co nic, dobrze o tym wiesz.

- Wszystko zale y od mojej współpracownicy.

- Matko Boska -j kn ła Faulkner. -Erin zamkn ła się w pokoju hotelowym. Nie chce się spotka ani ze mn , ani z adnym innym przedstawicielem DHD.

- Dziwisz się ? Przez was omal nie zgini ła.

Faulkner spojrziała na niego z ukosa i odwróciła się na pi cie.

- Faulkner.

Ostro nie zawróciła i stan ła twarzą w twarzą z Cole'em. Ton jego głosu brzmiał jak ostrze enie.

- Nie próbujcie wi cej stawa na drodze Erin.

- Słyszałam, złotko. -Skrzywiła się . -Słyszałam te , co mówił Matt. Ale byłoby lepiej dla ka dego, a szczególnie dla Erin, gdyby cie j wyci gn li z tego pokoju!

Ze le maskowanym zdenerwowaniem Faulkner usiadła u szczytu stołu, zapaliła cygaretk i otworzyła pi knie zdobion teczk z maroka skiej skóry. W sali natychmiast zaległa cisza, w której słyca było tylko szelest "modlitw" podawanych z r ki do r ki i cichy, krystaliczny brz k brylantów, które odkładano na stół. Faulkner wydmuchn ła smug dymu, odło yła cygaretk do kryształowej popielnicy i zacz ła zbiera kartki od członków kartelu.

- Zanim rozpoczniemy dzisiejsze zebranie, mam panom co do powiedzenia -o wiadczyła, starannie układaj c "modlitwy" przed sob . -Pani van Luik prosiła mnie, ebym przekazała wyrazy wdzi czno ci za współczucie okazane jej po mierci m a. To wła nie w takich chwilach si przekonujemy, kto jest naszym prawdziwym przyjacielem.

Cole nie zauwa ył, e Faulkner zerkn ła na niego spod oka, poniewa w skupieniu patrzył na zielony kamie , który Erin podarowała mu na znak przypiecz towania umowy. Nawet w stanie surowym wygl dał wspaniale. Teraz, ci ty, oszlifowany i osadzony na w skiej obr czce z matowej platyny, łożkowaty brylant stał si zielonym płomieniem, w którym l niły wszystkie marzenia, tajemnice i nadzieje człowieka.

Wolno zacisn ł pier cionek w dłoni, a nieczułe kraw dzie kamienia wbiły mu si w ciało.

- Z pewno ci ucieszy panów wiadomo , e ufundowano stypendium imienia pana van Luik -ci gn ła Faulkner. - Pieni dze b d przyznawane młodym, obiecuj cym studentom geologii, którzy zechc si specjalizowa w poszukiwaniu i uruchamianiu kopalni diamentów. Wł czanie takich kopalni do produkcji w kontrolowany, racjonalny sposób to podstawowy czynnik dla zachowania stabilno ci cen na rynku diamentów - oznajmiła spokojnie. -W czasach, kiedy systemy ekonomiczne wielu krajów padaj szybciej, ni mogli my przewidzie jeszcze kilka lat temu, utrzymanie równowagi w OHO ma wielkie znaczenie dla rozwoju licznych pa stw.

Strz sn ła popiół do popielnicy, otworzyła teczk i wyj ła

odpowiedzi OHO na poszczególne "modlitwy". Ułożyła je przed sobą, nalała sobie wody, wypijała i odstawiła szklankę. W pokoju panowała cisza, jeśli nie liczyć stłumionego szmeru głosów tych, którzy wciąż nie wierzyli w to, co widziało się na stole.

- Conmin nie jest niezniszczalny - oświadczyła szorstko. Stoimy teraz na rozdrożu. Przyczyną takiej sytuacji widzicie panowie przed sobą. Rozmawiałam na osobno z każdym z członków komitetu doradczego. Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać? - Tym razem cisza była absolutna. - W takim razie powitajmy oficjalnie najnowszego członka komitetu, pana Chena Winga. Pan Wing reprezentuje interesy Blackwing Inc. Właśnie ta spółka dostarczyła diamenty, które tak podziwiamy. Dzięki wytrwałym dyskusjom pana Chena ze swoim wspólnikiem będziemy obrabiali pięćdziesiąt procentami wydobywania Kopalnię Ciego Psa, a nie dwadzieścia procentami.

- Jak długo? - zapytał ostro Jarakow.

- Przez trzy lata - odparła krótko Faulkner.

Wokół stołu przebiegł wieloletni zyczący pomruk niezadowolenia.

- To za mało, żeby zrobić choćby krótkoterminowy plan gospodarczy - zaprotestował Jarakow.

Odezwał się uporczywie brzydkim interkomu. Faulkner zakłamał pod nosem i z rozmachem wcisnął przełącznik.

- Lepiej, żeby to była dobra wiadomość - warknęła.

- Przyszła panna Windsor.

- To cudowna wiadomość, złotko. Wpuść ją.

Wielkie drzwi się otworzyły i wkroczyła Erin. Nie zauważyła pełnych uznania spojrzeń wszystkich zebranych, kiedy szła wzdłuż stołu. Nie spuszczała wzroku z postawnego mężczyzny, który siedział pod ścianą i patrzył na nią spod opuszczonych powiek. Tak samo był ubrany, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Miał na sobie sportową marynarkę z surowego czarnego jedwabiu, szare spodnie i białą koszulę bez krawata. Strój Erin również się nie zmienił: czarna bluzka i spodnie wyjęte prosto z walizki.

- I có ? -zapytała Faulkner widząc, że Erin zamierza przejść obok niej bez słowa.

- Co powiedział Cole? -odpowiedziała pytaniem, nie zatrzymując się .

- Zdecydował się na próbną umowę . Trzy lata, pięćdziesiąt procent wydobycia.

- Rok, sto procent wydobycia.

- Dwa lata, sto procent -zapropozował Cole, kiedy Erin zatrzymała się przed nim.

- Dwa lata, sto procent -zgodziła się .

- Mazel und broche.

Powiedziała szybko Faulkner, pieczętując umowę .

Zebrani wokół stołu odpowiedzieli zgodnym chórem, a Cole i Erin im zawtórowali. .

Z nadzieją Blackburn spojrzał na kobietę oczami pełnymi nadziei, który zaciskał w dłoni.

- Dwa lata? -zapytał niskim, niemal szorstkim głosem.

- Nie dla ciebie. -Erin przeciągnęła kości palców po ustach Cole'a. -Ty się tak łatwo nie wywiniesz. adnych okresów próbnych. Do końca życia, sto procent.

Cole w milczeniu rozwarł dłoń , pokazując jej pierścienek z brylantem.

- A ty? -zapytał.

- Tak samo. Sto procent. Do końca życia.

Wsunął pierścienek na palec Erin, i przyciągnął ją do siebie. Zanim ją pocałował, wyszeptał cicho:

-Witaj na grzbiecie diamentowego tygrysa.

